Hervé Le Tellier

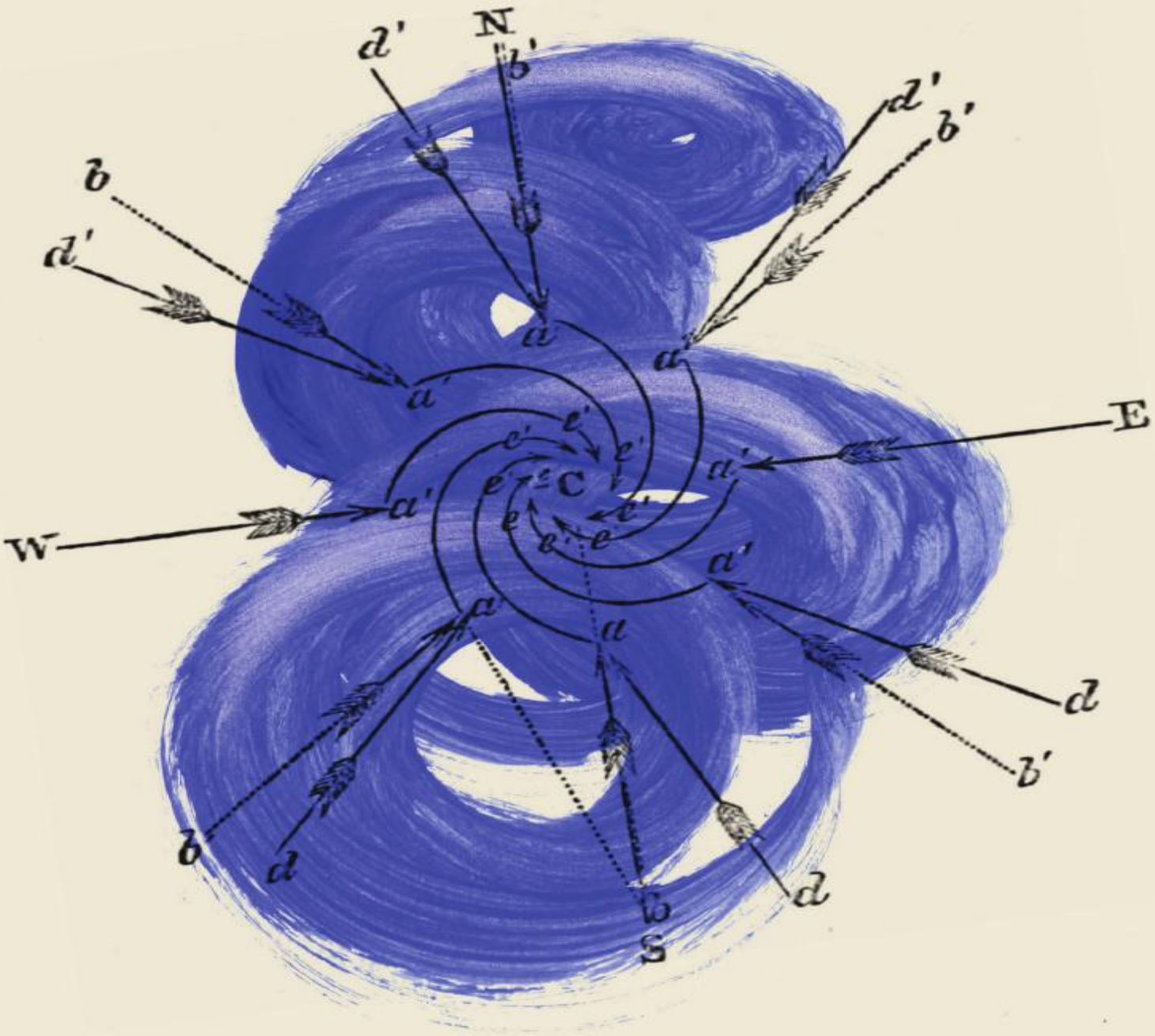

ANOMALIA

WYDAWNICTWO filtry

Przełożyła Beata Geppert

Cet ouvrage a bénéficié du soutien des Programmes d’aide
à la publication de l’Institut français.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Instytutu Francuskiego w ramach programów
wsparcia wydawniczego.

Hervé Le Tellier

Anomalia

Przełożyła Beata Geppert

filtry
WYDAWNICTWO

Spis treści

Strona tytułowa
Motto

I. CZARNE JAK NIEBO

Blake
Victor Miesel
Lucie
David
Wirówka
Sophia Kleffman
Joanna
Sprawa Miesela
Slimboy
Adrian i Meredith
Żart
André
Pierwsze godziny

II. ŻYCIE JEST SNEM, JAK MÓWIĄ

Ta chwila, kiedy
Siedem przesłuchań
Kartezjusz 2.0
Stół nr 14
E pur si muove
Hangar
Pytania Meredith
Kilku prezydentów
The people have the right to know

III. PIEŚŃ NICOŚCI

Bliskie spotkanie drugiego stopnia
Mężczyzna patrzy na kobietę
Świat Sophii
Slimboys
Same player dies again
Woods kontra Wasserman
Jedno dziecko, dwie mamy
Powrót Victora Miesela do przyszłości
Night show
Głos w głowie Jacoba Evansa
Zniknięcia
Trzy listy, dwa maile, jedna piosenka, zero absolutne
Ostatnie słowo

Podziękowania
Źródła cytatów
MAREK BIEŃCZYK Posłowie
Nota o autorze
Strona redakcyjna

A ja, który mówię, że śnisz, również sam śnię.

Zhuangzi

Prawdziwy pesymista wie, że już za późno, by nim być.

Victør Miesel, *Anomalia*

I

Czarne jak niebo

(marzec–czerwiec 2021)

> Rzecz zachwycająca, która zawsze wykracza poza wiedzę, inteligencję, a nawet geniusz, to niezrozumienie.
>
> Victør Miesel, *Anomalia*

Blake

Zabić nie znaczy nic. Trzeba tylko obserwować, czuwać, myśleć, długo, a w odpowiedniej chwili zanurzyć się w pustkę. I tyle. Zanurzyć się w pustkę. Sprawić, żeby świat się skurczył, skurczył tak, że cały się skondensuje w lufie strzelby lub na ostrzu noża. To wszystko. Nie zadawać sobie żadnych pytań, nie dać się ponieść złości, wybrać odpowiedni protokół, postępować metodycznie. Blake to potrafi – od tak dawna, że nawet nie wie, kiedy się tego nauczył. Reszta przychodzi sama.

Blake buduje swoje życie na śmierci innych. Tylko proszę bez żadnego moralizowania. Jeśli chcemy dyskutować o etyce, jest gotów odpowiedzieć statystyką. Gdyż – Blake bardzo przeprasza – kiedy minister zdrowia tnie budżet, w jednym miejscu likwidując tomograf, w innym zwalniając lekarza, w jeszcze innym zamykając oddział reanimacji, to musi sobie zdawać sprawę, że skraca życie tysięcy nieznajomych. Odpowiedzialny, ale niewinny, stara śpiewka. A Blake na odwrót. Nie musi się zresztą usprawiedliwiać, ma to w nosie.

Zabijanie nie jest powołaniem, jest skłonnością. Stanem ducha, jeśli ktoś woli. Blake ma jedenaście lat i nie nazywa się Blake. Siedzi koło matki w peugeocie sunącym drogą departamentalną niedaleko Bordeaux. Nie jadą zbyt szybko, przez drogę przebiega pies, wstrząs znosi ich nieznacznie na bok, matka krzyczy, hamuje, zbyt ostro, samochód wpada w poślizg, silnik gaśnie. Zostań w samochodzie, kochanie, mój Boże, zostań w samochodzie. Blake nie słucha, podąża za matką. To szary collie, uderzenie rozszarpało mu klatkę piersiową, krew spływa na pobocze, ale jeszcze żyje i skowyczy jak płaczące niemowlę. Matka w panice biega w tę i we w tę, przykrywa dłońmi oczy Blake’a, bełkocze coś bez ładu i składu, chce wzywać karetkę. Mamo, to tylko kundel, to tylko jakiś kundel. Collie dyszy na spękanym asfalcie, jego poszarpane, skręcone ciało ułożyło się pod dziwnym kątem, pies drga coraz słabiej, kona na oczach Blake’a, a Blake z ciekawością patrzy, jak życie ucieka ze zwierzęcia. To już koniec. Chłopiec udaje smutek, a przynajmniej to, co za smutek uważa, żeby nie niepokoić matki, lecz w rzeczywistości nie czuje niczego. Matka stoi zmartwiała nad

drobnym ciałem psa, Blake się niecierpliwi, ciągnie ją za rękaw, Mamo, nie mamy tu po co stać, on zdechł, jedźmy już, spóźnię się na trening.

Zabijanie to także pewne umiejętności. Blake odkrywa, że ma w sobie wszystko, czego potrzeba, w dniu, w którym wujek Charles zabiera go na polowanie. Trzy strzały, trzy zające, wrodzony dar. Strzela szybko i celnie, potrafi opanować najbardziej zdezelowaną strzelbę, najbardziej rozregulowany karabin. Dziewczyny ciągną go ze sobą na jarmarki, Proszę cię, chciałabym żyrafę, słonia, game boya, och tak, jeszcze! I Blake rozdaje pluszaki, konsole, staje się postrachem strzelnic, zanim postanawia, że będzie dyskretny. Blake lubi robić to, czego uczy go wujek Charles – podcinać gardło sarnom, ćwiartować króliki. Zrozummy się dobrze: nie znajduje przyjemności w zabijaniu, w dorzynaniu rannych zwierząt. Nie jest człowiekiem podłym. Nie, to, co mu się podoba, to techniczny gest, niezawodna rutyna, którą można osiągnąć tylko dzięki praktyce.

Blake ma dwadzieścia lat i pod swoim bardzo francuskim nazwiskiem, Lipowski, Farsati lub Martin, zapisuje się do szkoły hotelarskiej w małym miasteczku w Alpach. Nie jest to wybór z braku lepszego, uwaga, mógłby robić cokolwiek, lubił elektronikę, także programowanie, miał dryg do języków, o, na przykład do angielskiego, po trzech miesiącach stażu w szkole Lang’s w Londynie mówił praktycznie bez akcentu. Blake jednak najbardziej lubi gotowanie, wymyślanie przepisów w wolnych chwilach, czas płynący nieśpiesznie, nawet w rozgorączkowanej atmosferze kuchni, długie spokojne sekundy, kiedy patrzy, jak masło topi się na patelni, jak dusi się biała cebula, jak rośnie suflet. Lubi zapachy i przyprawy, lubi komponować kolory i smaki na talerzu. Mógłby być najlepszym uczniem w szkole, ale Do jasnej cholery, Lipowski (lub Farsati, lub Martin), odrobina uprzejmości w stosunku do klientów nie zawadzi! To jest praca w usługach, rozumiesz, Lipowski (lub Farsati, lub Martin), w usługach!

Pewnego wieczoru w barze jakiś nawalony facet mówi mu, że chciałby zlecić zabójstwo. Zapewne ma dobry powód, sprawy zawodowe, kobieta, ale Blake’a to nie obchodzi.

– Zrobiłbyś to dla kasy?

– Jesteś walnięty – odpowiada Blake. – Kompletnie walnięty.

– Zapłacę ci, nieźle zapłacę.

Proponuje sumę z trzema zerami. Blake zaczyna się śmiać.

– Nie. Zgrywasz się?

Blake pije powoli, bez pośpiechu. Facet leży na barze, Blake nim potrząsa.

– Słuchaj, znam kogoś, kto mógłby to zrobić. Za dwa razy tyle. Nigdy się z nim nie spotkałem. Jutro ci powiem, jak się z nim skontaktować, ale później nie będziemy już nigdy na ten temat rozmawiać, okej?

Tej właśnie nocy Blake wymyśla Blake'a. Na cześć Williama Blake'a, którego czytał po obejrzeniu filmu z Anthonym Hopkinsem *Czerwony smok*, i dlatego, że lubi wiersz „Jak diablik w chmurze, z tą fujarką w ręce, skoczyłem w przepaść świata". A poza tym Blake, *black* i *lake*, czerń i jezioro, pasuje.

Następnego dnia na amerykańskim serwerze pojawia się adres e-mail blake.mick.22, utworzony w kafejce internetowej w Genewie. Za gotówkę od nieznajomego Blake kupuje używanego laptopa, zdobywa starą nokię i kartę prepaid, aparat fotograficzny, teleobiektyw. W pełni wyposażony czeladnik kucharski przekazuje facetowi namiary na „Blake'a", „ale bez gwarancji, że adres nadal jest aktualny", i czeka. Trzy dni później facet z baru wysyła do Blake'a jakąś pokręconą wiadomość; łatwo zgadnąć, że nie ma zaufania. Zadaje pytania. Szuka dziury w całym. Między kolejnymi wiadomościami czasem upływa dzień. Blake pisze o celu, logistyce, terminie dostawy i te środki ostrożności w końcu faceta uspokajają. Dogadują się, Blake żąda połowy tytułem zaliczki: jest to już kwota z czterema zerami. Kiedy facet doprecyzowuje, że ma to wyglądać na „śmierć z przyczyn naturalnych", Blake podwaja sumę i żąda miesiąca. Przekonany, że ma do czynienia z zawodowcem, facet zgadza się na wszystkie warunki.

To jego pierwszy raz i Blake improwizuje. Jest skrupulatny, ostrożny, pomysłowy do granic możliwości. Naoglądał się tylu filmów. Aż trudno sobie wyobrazić, ile płatni zabójcy zawdzięczają scenarzystom z Hollywood. Od początku kariery będzie otrzymywać pieniądze za zlecenie i informacje o kontrakcie w plastikowej torebce zostawionej w umówionym miejscu, w autobusie, fast foodzie, na placu budowy, w kontenerze na śmieci, w parku. Będzie unikać miejsc zbyt odosobnionych, gdzie byłby na widoku, i zbyt uczęszczanych, gdzie nikogo nie mógłby zidentyfikować. Na spotkanie będzie przychodzić kilka godzin wcześniej, żeby dobrze zlustrować okolicę. Będzie nosić rękawiczki, kaptur, kapelusz, okulary, będzie farbować włosy, nauczy się przyklejać sobie sztuczne wąsy i nosić peruki, sprawiać, by jego policzki zapadały się

lub pęczniały, będzie mieć dziesiątki tablic rejestracyjnych z najróżniejszych krajów. Z czasem Blake nauczy się rzucać nożem z półobrotu lub pełnego obrotu zależnie od odległości, konstruować bomby, wydobywać z meduzy niewykrywalną truciznę, w kilka sekund składać i rozkładać browninga 9 mm, glocka 43, będzie żądać zapłaty w bitcoinach i kupować broń za tę samą kryptowalutę, w której transakcje są nie do wyśledzenia. Stworzy własną stronę w deep webie, a darknet stanie się dla niego zabawą. Bowiem w internecie można znaleźć instruktaże na absolutnie każdy temat. Wystarczy poszukać.

Jego celem jest więc mężczyzna koło pięćdziesiątki, Blake dostał jego zdjęcie i nazwisko, ale postanowił dać mu na imię Ken. Jak mąż Barbie. Dobry wybór: imię Ken pozbawia go osobowości.

Ken mieszka sam, co już jest niezłą wiadomością, myśli sobie Blake, bo gdyby facet był żonaty i miał trójkę dzieci, byłoby trudno stworzyć okazję. Tyle że w tym wieku śmierć z przyczyn naturalnych nie daje wielu opcji: kraksa samochodowa, ulatniający się gaz, atak serca, nieszczęśliwy upadek. Kropka. Majstrować przy hamulcach czy układzie kierowniczym Blake jeszcze nie potrafi, podobnie jak nie umie zdobyć chlorku potasu, żeby wywołać atak serca, a zatrucie gazem też mu jakoś nie podchodzi. Pozostaje upadek. Dziesięć tysięcy ofiar śmiertelnych rocznie. Przede wszystkim staruszkowie, ale coś się wykombinuje. Ken nie jest sportowcem, żadna bójka nie wchodzi w grę.

Ken zajmuje dwupokojowe mieszkanie na parterze domku jednorodzinnego niedaleko Annemasse. Przez trzy tygodnie Blake tylko obserwuje i opracowuje plany. Za zaliczkę kupił starego vana renault, z grubsza go urządził, siedzenie, materac, dodatkowy akumulator, żeby mieć oświetlenie, po czym znalazł miejsce na pustym parkingu górującym nad osiedlem. Ma stąd dobry widok na mieszkanie. Ken wychodzi codziennie koło wpół do dziewiątej, przekracza granicę szwajcarską, a z roboty wraca o siódmej wieczorem. W weekendy czasami przyjeżdża do niego żona, nauczycielka francuskiego w Bonneville, dziesięć kilometrów od Annemasse. Wtorek jest dniem najbardziej zrytualizowanym i przewidywalnym. Ken wraca do domu wcześniej, od razu wychodzi na siłownię, po dwóch godzinach jest z powrotem, jakieś dwadzieścia minut spędza w łazience, je kolację przed telewizorem, trochę siedzi przy komputerze i idzie spać. A zatem wtorek wieczorem. Wysyła do klienta wiadomość zgodnie z umówionym kodem: „W poniedziałek

o dwudziestej?”. Dzień wcześniej, dwie godziny wcześniej. Zleceniodawca będzie mieć alibi na wtorek, na dwudziestą drugą.

Tydzień przed ustalonym terminem Blake zamawia pizzę z dostawą do Kena. Dostawca dzwoni, Ken bez wahania otwiera drzwi, jest zaskoczony, dyskutuje z dostawcą, który się oddala ze swoim pudełkiem. Blake nie musi wiedzieć nic więcej.

W następny wtorek wchodzi na klatkę schodową z kartonem do pizzy, przez chwilę obserwuje pustą ulicę, nakłada przeciwpoślizgowe ochraniacze na buty, poprawia rękawiczki, czeka, żeby zadzwonić do drzwi dokładnie w momencie, kiedy Ken wychodzi spod prysznica. Ken otwiera w szlafroku i wzdycha na widok kartonu z pizzą w rękach dostawcy. Ale zanim powie choć słowo, pusty karton spada na posadzkę, a Blake przystawia Kenowi do piersi dwie elektryczne pałki. Pod wpływem wyładowania elektrycznego mężczyzna osuwa się na kolana, Blake przez jakieś dziesięć sekund przyciska pałki do jego piersi, aż Ken przestaje się ruszać. Producent pisał o ośmiu milionach woltów, Blake sprawdził na sobie tylko jedną pałkę i omal nie stracił przytomności. Ciągnie do łazienki ciało Kena, który jęczy, tocząc pianę z ust, dokłada mu jeszcze jedno wyładowanie do kompletu i jednym osłupiająco gwałtownym ruchem – ten gest wielokrotnie ćwiczył na orzechach kokosowych – chwyta głowę Kena, unosi ją, przytrzymując skronie i z całej siły uderza o umywalkę; czaszka pęka na krawędzi umywalki, pod wpływem uderzenia odłupuje się kawałek kafelka. Natychmiast rozlewa się krew, szkarłatna i lepka jak lakier do paznokci, pachnąca ciepłą rdzą, usta pozostają głupio rozdziawione, szeroko otwarte oczy patrzą bezmyślnie w sufit. Blake rozsuwa poły szlafroka: wyładowania elektryczne nie zostawiły ani śladu. Układa ciało najlepiej, jak potrafi, zgodnie z hipotetyczną trajektorią, jaką by narzuciła siła ciążenia przy nieszczęśliwym poślizgnięciu się.

Kiedy wstaje, pełen podziwu dla własnej pracy, ogarnia go przemożna chęć, by się wysikać. Nigdy by mu to nie przyszło do głowy. Trzeba przyznać, że w filmach mordercy nigdy nie sikają. Potrzeba jest tak gwałtowna, że chce się odlać do kibla, nawet gdyby to oznaczało konieczność jego dokładnego umycia. Lecz jeśli gliniarze okażą się choć trochę inteligentni lub po prostu systematyczni, jeśli będą metodycznie przestrzegać procedur, znajdą ślady DNA. Bez wątpienia. Przynajmniej tak przypuszcza Blake. Mimo błagającego o łaskę pęcherza postępuje dalej zgodnie z planem, krzywiąc się z bólu. Bierze mydło, mocno je przyciska

do pięty Kena, rysuje nim ślad na posadzce i rzuca je w kierunku domniemanego poślizgu; mydło odbija się i ląduje za muszlą klozetową. Znakomicie. Śledczy będzie zachwycony, kiedy je znajdzie, szczęśliwy, że rozwiązał zagadkę. Blake ustawia temperaturę prysznica na maksymalną, odkręca kurek, kieruje strumień wody na twarz i tors trupa, unikając kontaktu z gorącą wodą, po czym wychodzi z łazienki.

Biegnie do okna, zasuwa zasłony, po raz ostatni rozgląda się po pomieszczeniu. Nic nie wskazuje, że ciało było wleczone przez kilka metrów, różowa woda zaczyna zalewać podłogę. Komputer jest włączony, na ekranie widać zdjęcia angielskich trawników i klombów. Ken miał rękę do roślin. Blake wychodzi z budynku, zdejmuje rękawiczki, nieśpiesznie idzie do skutera zaparkowanego dwieście metrów dalej. Rusza, przejeżdża kilometr i w końcu staje, żeby się odlać. Cholera, nadal ma na nogach ochraniacze z czarnej bawełny.

Dwa dni później zaniepokojony kolega zawiadomi policję, która odkryje przypadkową śmierć Samuela Tadlera. Tego samego dnia Blake dostaje resztę zapłaty.

Wszystko to zdarzyło się bardzo dawno temu. Od tamtego czasu Blake zbudował sobie dwa życia. W jednym jest niewidoczny, występuje pod dwudziestoma nazwiskami i imionami, ma odpowiednie do nazwisk paszporty różnych krajów, w tym kilka z danymi biometrycznymi, owszem, to jest łatwiejsze, niż się powszechnie sądzi. W drugim ma na imię Jo, zdalnie kieruje renomowanym paryskim przedsiębiorstwem, które dostarcza pod drzwi wegetariański catering i otworzyło swoje filie w Bordeaux, Lyonie, a niedawno także w Berlinie i Nowym Jorku. Jego współpracowniczka Flora, będąca również jego żoną, oraz dwójka ich dzieci skarżą się, że za dużo podróżuje, a jego wyjazdy trwają czasem zbyt długo. To prawda.

*

21 marca 2021

Quogue, stan Nowy Jork

Dwudziestego pierwszego marca Blake jest w podróży. Biegnie w siąpiącym deszczu po wilgotnym piasku. Długie blond włosy, bandana,

ciemne okulary, żółto-niebieski dres, pstrokata niewidzialność biegacza. Przyleciał do Nowego Jorku dziesięć dni temu na australijskim paszporcie. Jego transatlantycki lot był tak przerażający, że naprawdę sądził, iż nadeszła jego ostatnia godzina, a Niebo domaga się zemsty za wszystkie kontrakty. W niekończącej się turbulencji jego blond peruka omal nie spadła mu z głowy. I oto od dziewięciu dni przebiega regularnie trzy kilometry po plaży pod szarym niebem Quogue, wzdłuż linii domków, każdy za dziesięć milionów dolarów, o ile nie więcej. Zagospodarowano wydmy, ulicę nazwano po prostu Dune Road, posadzono sosny i trzciny, tak by żadna willa nie była na widoku sąsiedniej, a każdy właściciel mógł żywić przekonanie, że ma cały ocean tylko dla siebie. Blake biegnie truchtem, bez pośpiechu, i nagle zatrzymuje się, jak każdego dnia o tej samej porze, naprzeciwko pięknego przeszklonego domu o płaskim dachu, obłożonego deszczułkami z sekwoi, którego taras schodkami prowadzi do morza. Udaje, że się zasapał, pod wpływem wymyślonego kłucia w boku zgina się wpół i jak każdego dnia podnosi głowę, by z daleka pozdrowić mężczyznę koło pięćdziesiątki, który oparty o balustradę popija kawę pod markizą. Towarzyszy mu młodszy facet, wysoki, krótko ostrzyżony brunet. Stoi trochę dalej, oparty o drewnianą ścianę, i z nieco zafrasowaną miną czujnym wzrokiem omiata piasek. Marynarkę po lewej stronie wypycha mu niewidoczna kabura. Jest praworęczny. Dzisiaj, po raz drugi w tym tygodniu, Blake podchodzi do nich z uśmiechem, maszerując piaszczystą ścieżką między kępami żarnowca a niskimi trawami.

Opanowanym ruchem Blake się przeciąga, ziewa, wyjmuje z plecaka ręcznik, ociera sobie twarz, po czym bierze bidon i wypija duży łyk mrożonej herbaty. Czeka, aż starszy z mężczyzn się do niego odezwie.

– Dzień dobry, Dan. Co słychać?

– Cześć, Franck – rzuca Blake, który ciężko oddychając, udaje, że złapał go skurcz.

– Paskudna pogoda na bieganie – stwierdza mężczyzna, który od czasu ich pierwszego spotkania tydzień temu zdążył zapuścić szpakowate wąsy i brodę.

– Paskudny dzień – odpowiada Blake, zatrzymując się w odległości pięciu metrów od nich.

– Myślałem dziś rano o panu, widząc kurs akcji Oracle’a.

– Dajmy spokój. Wie pan, co przewiduję na najbliższe tygodnie, Franck?

– Nie…

Blake starannie składa ręcznik, wsuwa go do plecaka, równie starannie chowa tam bidon, zanim błyskawicznie wyciągnie pistolet. Trzykrotnie strzela do młodszego z mężczyzn, którego siła wystrzału odrzuca do tyłu, i mężczyzna zwala się na ławkę, po czym także trzykrotnie – do osłupiałego Francka, którego ciało lekko podskakuje, opada na kolana i osuwa się po balustradzie. Za każdym razem dwa strzały w klatkę piersiową, jeden w środek czoła. Sześć strzałów w ciągu paru sekund z pistoletu SIG-sauer P226 z tłumikiem, zresztą szum fal zagłuszył wszystkie dźwięki. Jeszcze jeden kontrakt wykonany po mistrzowsku. Łatwo zarobione sto tysięcy dolarów.

Blake wrzuca pistolet do plecaka, zbiera sześć łusek z piasku, z westchnieniem patrzy na zastrzelonego ochroniarza. Kolejna firma, która zatrudnia parkingowych, szkoli ich przez dwa miesiące i wysyła tych amatorów w prawdziwy świat. Jeśli biedny typek dobrze wykonał swoją robotę, zapewne przesłał swoim szefom imię Dana, jego zdjęcie zrobione z daleka, nazwę firmy Oracle, którą Blake kiedyś przelotnie wymienił, a oni zapewne go uspokoili, zidentyfikowawszy niejakiego Dana Mitchella, wicedyrektora do spraw logistyki w Oracle New Jersey, blondyna z długimi włosami dość podobnego do Blake’a, który to Blake musiał przejrzeć dziesiątki schematów organizacyjnych, zanim wśród tysięcy twarzy znalazł wiarygodnego sobowtóra.

Po chwili Blake podejmuje bieg. Padający coraz gęściej deszcz rozmywa jego ślady. Wynajęta toyota stoi dwieście metrów dalej, ma takie same tablice rejestracyjne jak identyczny samochód znaleziony tydzień wcześniej na ulicy w Brooklynie. Pięć godzin później Blake wejdzie na pokład samolotu do Londynu, po czym Eurostarem pojedzie do Paryża pod nowym nazwiskiem. Jeśli jego lot powrotny będzie spokojniejszy niż lot z Paryża do Nowego Jorku, tym lepiej.

Blake stał się zawodowcem, już nigdy więcej nie zachciało mu się sikać w trakcie wykonywania zlecenia.

*

Niedziela, 27 czerwca 2021, 11:43

Dzielnica Łacińska, Paryż

Zapytajcie Blake’a, to w tym barze na rogu rue de Seine można wypić najlepszą kawę w dzielnicy Saint-Germain. Dobra kawa, naprawdę dobra zdaniem Blake’a, to cud powstały w wyniku znakomitej współpracy między świetnym, cienko zmielonym ziarnem, w tym wypadku świeżo palonej kawy z Nikaragui, a filtrowaną i zmiękczoną wodą z ekspresu, w tym wypadku codziennie czyszczonej maszyny marki Cimbali.

Od czasu kiedy Blake otworzył swoją pierwszą restaurację wegetariańską na rue de Buci, niedaleko stacji metra Odéon, nabrał pewnych zwyczajów. Jeśli człowiek ma się pogrążać w rozpaczy, lepiej to robić na tarasie paryskiej kafejki. W dzielnicy jest znany jako Jo – od Jonathana lub Josepha, lub Joshuy. Nawet pracownicy nazywają go Jo, a jego nazwisko nie pojawia się nigdzie z wyjątkiem listy udziałowców holdingu będącego właścicielem spółki wpisanej do rejestru handlowego. Blake od zawsze żywił niemal religijny kult sekretu, czy też może dyskrecji, i wszystko codziennie mówi mu, że ma rację.

Tutaj Blake opuszcza gardę. Robi zakupy, odbiera dwójkę dzieci ze szkoły, a nawet, od kiedy w każdej z czterech restauracji zatrudnił menedżera, wychodzi z Florą do kina lub teatru. Prowadzi zwyczajne życie, w którym człowiek też odnosi rany, ale po prostu dlatego, że odprowadzając Mathilde na lekcję jazdy konnej, może niechcący walnąć łukiem brwiowym w drzwi boksu.

Między jego dwiema tożsamościami nieprzepuszczalność jest całkowita. Jo i Flora spłacają kredyt za piękne mieszkanie dwa kroki od ogrodu Luksemburskiego, poza tym w ładnej kamienicy na rue La Fayette, nieopodal Dworca Północnego, dwanaście lat temu Blake kupił za gotówkę dwupokojowe mieszkanie, którego drzwi i okna są opancerzone jak ściany sejfu. Oficjalny lokator płaci czynsz, a jego nazwisko zmienia się co roku, tym łatwiej, że żaden oficjalny lokator nie istnieje. Nigdy dość ostrożności.

Blake pije więc kawę, bez cukru i bez niepokoju. Czyta książkę, którą mu poleciła Flora; nie przyznał się żonie, że w marcu rozpoznał jej autora w samolocie z Paryża do Nowego Jorku. Jest południe, Flora odprowadziła Quentina i Mathilde do swoich rodziców. Blake nie je obiadu, bo właśnie tego ranka umówił się na piętnastą: chodzi o otrzymane poprzedniego wieczoru zlecenie. Prosta, dobrze płatna sprawa, wygląda na to, że klient się bardzo śpieszy. Musi tylko wstąpić do mieszkania przy rue La Fayette, żeby się przebrać, jak zwykle. Trzydzieści metrów dalej przygląda mu się jakiś mężczyzna z twarzą ukrytą w kapturze.

Victor Miesel

Victorowi Mieselowi nie brak wdzięku. Jego niegdyś kanciasta twarz z wiekiem złagodniała, a gęste włosy, rzymski nos i matowa skóra przywodzą na myśl Kafkę, pełnego wigoru Kafkę, któremu udało się dożyć czterdziestki. Jego ciało jest smukłe i szczupłe, choć siedzący tryb życia związany z uprawianym zawodem dodał mu kilka kilogramów.

Gdyż Victor pisze. Niestety, mimo że jego dwie powieści, *Góry przyjdą do nas* i *Niedoszłe klęski*, zostały przychylnie odebrane przez krytyków i chociaż otrzymał nagrodę literacką – szalenie paryską, ale jedną z tych, których czerwona banderola nie wywołuje szturmu czytelników na księgarnie – sprzedaż jego książek nigdy nie przekroczyła kilku tysięcy egzemplarzy. Sam siebie przekonał, że nic nie jest mniej tragiczne, a rozczarowanie to przeciwieństwo porażki.

W wieku czterdziestu trzech lat, z których piętnaście spędził na pisaniu, ma poczucie, że mały światek literatury to groteskowy pociąg, w którym oszuści bez biletu rozsiadają się hałaśliwie w wagonach pierwszej klasy przy cichym współudziale tępych kontrolerów, a na peronie zostają skromni geniusze, ginący gatunek, do którego Miesel nie należy – przynajmniej we własnym mniemaniu. A jednak nie zgorzkniał, w końcu przestał się tym przejmować, zgadza się na siedzenie na targach książki, żeby w cztery godziny podpisać cztery egzemplarze; jeśli jakiś równie nieudany kolega po fachu zasiądzie przy jego stoliku, przyjemnie sobie gawędzą. Miesel, który może się wydawać nieobecny i pełen rezerwy, ma mimo wszystko reputację człowieka obdarzonego poczuciem humoru. Lecz czy człowiek obdarzony poczuciem humoru, zasługujący na to miano, nie jest nim zawsze „mimo wszystko”?

Miesel zarabia na tłumaczeniach. Z angielskiego, rosyjskiego i polskiego, w którym babka mówiła do niego, gdy był dzieckiem. Przełożył Nikołaja Leskowa, Włodzimierza Odojewskiego, autorów z dziewiętnastego i dwudziestego wieku, których dzisiaj nikt już nie czyta. Czasami robi byle co, na przykład – na zamówienie jakiegoś festiwalu – adaptację *Czekając na Godota* w języku klingońskim, którym posługują się

okrutni przybysze z odległych galaktyk w *Star Treku*. Żeby zachować dobrą opinię u swojego bankiera, Victor tłumaczy również anglosaskie bestsellerowe czytadła, które nadają literaturze status sztuki niskiej dla nieletnich. Jego zawód otworzył mu drzwi do znanych, a nawet potężnych wydawców, mimo że jego własne rękopisy nie przekroczyły progu ich gabinetów.

Miesel ma także maleńką obsesję: w kieszeni jego dżinsów zawsze tkwi najbardziej popularny klocek lego, dwa razy cztery wypustki w jaskrawoczerwonym kolorze. Pochodzi z muru zamku obronnego, który wraz z ojcem budowali w pokoju dziecinnym. Po wypadku na placu budowy makieta pozostała niedokończona obok jego łóżka. Chłopiec często siadywał po cichu, przyglądając się blankom, mostom zwodzonym, figurkom, donżonowi. Samodzielne dokończenie budowy zamku oznaczałoby zgodę na śmierć, podobnie jak jego zburzenie. Pewnego dnia wyjął cegiełkę z muru, wsunął ją do kieszeni i rozebrał zamek. Było to trzydzieści cztery lata temu. Dwukrotnie zgubił klocek i dwukrotnie odzyskał identyczny. Najpierw w bólu, później bez żadnych emocji. W zeszłym roku, po śmierci matki, włożył klocek do jej trumny i natychmiast zastąpił go nowym. Ten mały czerwony prostopadłościan nie jest jego ojcem, lecz tylko wspomnieniem po wspomnieniu, sztandarem synostwa i wierności.

Miesel nie ma dzieci. W sprawach uczuciowych z niewzruszonym entuzjazmem skacze od porażki do porażki. Zbyt często zdystansowany, nie jest przekonujący, i nigdy nie spotkał kobiety, z którą chciałby spędzić dłuższy kawałek życia. A może swoje partnerki wybiera w taki sposób, by mieć pewność, że nigdy mu się to nie uda.

To kłamstwo: na tę kobietę natknął się cztery lata temu w Arles, na konferencji poświęconej sztuce przekładu; podczas spotkania, na którym objaśniał, jak oddać humor u Gonczarowa, siedziała w pierwszym rzędzie. Starał się nie patrzeć tylko na nią. Ponieważ jakiś wydawca zatrzymał go – A gdyby pan dla nas przetłumaczył rosyjską feministkę, Lubow Gurewicz? Co pan na to? Świetny pomysł, prawda? – Victor nie zdołał się ulotnić. Dwie godziny później, w cierpliwym ogonku do deserów, stała za nim i się uśmiechała. Z miłością sprawa jest taka, że serce wie od razu i głośno krzyczy. Oczywiście trudno osobie, którą się kocha, tak z marszu złożyć deklarację. Nie zrozumiałaby. Więc żeby ukryć, że już jesteś jej zakładnikiem, wdajesz się w rozmowę.

Doszedłszy wreszcie do ostatniej gabloty z ciastem czekoladowym, Victor odwrócił się i do niej zagadał. Trochę się jąkając, zapytał, jak przetłumaczyć „krem angielski” na angielski, skoro *French cream* to *chantilly*. No niestety, lepszego zagajenia nie znalazł. Grzecznie się zaśmiała i odpowiedziała *Ascot cream*, ochrypłym głosem, który jemu wydał się magiczny, po czym wróciła do stolika, gdzie siedziała z przyjaciółkami. Dopiero po pewnym czasie do niego dotarło, że Ascot, podobnie jak Chantilly, to hipodrom, tyle że angielski.

Wymienili spojrzenia, które chciał uznać za porozumiewawcze, ostentacyjnie udał się do baru w nadziei, że ona do niego dołączy, ale siedziała pogrążona w dyskusji. Czując się idiotycznie jak nastolatek, wrócił do hotelu. Nie znalazł jej na zdjęciach osób, które zabierały głos na konferencji, ale nie wątpił, że jeszcze ją spotka, więc przez całe przedpołudnie pod najróżniejszymi pretekstami krążył po salach, gdzie odbywały się zajęcia. Nadaremnie. Na wieczorze pożegnalnym zamykającym konferencję też się nie pojawiła. Wyparowała. Podczas ostatniego śniadania w hotelu opisał ją przyjacielowi z komitetu organizacyjnego, ale określenia „nieduża”, „brunetka” i „fascynująca” nigdy jeszcze nikogo nie sportretowały.

Przez dwa kolejne lata Victor wracał na konferencję i – powiedzmy sobie szczerze – robił to tylko po to, żeby ją spotkać. Od tego czasu – poważne wykroczenie zawodowe – do swoich przekładów wciska krótkie fragmenty o hipodromie w Ascot lub kremie angielskim. Po raz pierwszy dokonał tego nagannego czynu w tekście otwierającym zbiór artykułów Lubow Gurewicz pod tytułem *Почему нужно дать женщинам все права и свободу?* (Dlaczego kobietom należy przyznać wszelkie prawa i wolność?), do którego wrzucił zdanie: „Wolność to nie krem angielski na ciastku czekoladowym, wolność to prawo”. Było to dyskretne, a kto wie? W końcu interesowała się Gonczarowem. Nic z tego. Nawet jeśli przeczytała książkę, nie zauważyła wrzutki, wydawca też nie, ani zresztą żaden z czytelników. Victor pozwolił, by życie przepłynęło bokiem, i stracił wszelką nadzieję.

Na początku roku francusko-amerykańska organizacja finansowana przez wydział kultury ambasady Francji przyznaje mu nagrodę za tłumaczenie jednego z thrillerów, które opłacają jego rachunki. Na początku marca wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych odebrać nagrodę, samolot

wpada w monstrualne turbulencje. Przez nieskończenie długi czas burza szarpie nim na wszystkie strony. Kapitan wygłasza uspokajające komunikaty, ale nikt w kabinie nie wątpi, Miesel w jeszcze mniejszym stopniu niż pozostali, że spadną do morza i rozbiją się o twarde lustro wody. Przez kilka długich minut stawia opór, wczepia się w fotel, napina mięśnie, żeby nie odczuwać każdego wstrząsu. Jego wzrok unika iluminatora, za którym widać noc i padający grad. Kilka rzędów przed sobą, niedaleko śpiącego blondyna w kapturze, którego chyba nic nie jest w stanie obudzić, widzi tę kobietę. Gdyby ją zauważył, wchodząc na pokład, pewnie by nie potrafił oderwać od niej wzroku. Choć nie jest do niej bardzo podobna, niesłychanie mu przypomina zaginioną z Arles. Sądząc po jej kruchości, po delikatności rysów, po gładkiej skórze i smukłej sylwetce, można by ją wziąć za młodą dziewczynę, ale drobniutkie zmarszczki wokół oczu wskazują, że ma koło trzydziestki. Szylkretowa oprawka okularów delikatnie odciska się jej na nosie. Czasami uśmiecha się do swojego sąsiada, mężczyzny starszego od niej, może ojca, wstrząsy samolotu zdają się ich bawić, chyba że udawanie luzu ich uspokaja.

Samolot znowu wpada w dziurę powietrzną i nagle coś się w Victorze załamuje, pisarz zamyka oczy i pozwala sobą huśtać na wszystkie strony, nie próbując powstrzymać swojego ciała. Jest jak mysz w laboratorium, która poddana silnemu stresowi przestaje walczyć i godzi się na śmierć.

Po długim czasie samolot wymyka się burzy, lecz Miesel nadal siedzi wyczerpany, przytłoczony strasznym uczuciem nierzeczywistości. Życie wokół niego budzi się na nowo, ludzie śmieją się, płaczą, ale on ogląda to wszystko jak przez zamgloną szybę. Kapitan zabrania, by ktokolwiek odpinał pasy przed lądowaniem, ale Miesel, wyprany z wszelkiej energii, i tak nie byłby zdolny podnieść się z fotela. Zaraz po otwarciu drzwi pasażerowie pośpiesznie wysiadają, pragnąc jak najszybciej uciec, samolot pustoszeje, a Miesel nadal siedzi w fotelu obok iluminatora. Stewardesa stuka go w ramię, on zgadza się wstać. Znowu, z jeszcze większą intensywnością, myśli o tamtej młodej kobiecie. Czuje, że tylko ona mogłaby go wyrwać z otchłani niebytu, szuka jej wzrokiem, ale ona jest już poza zasięgiem jego spojrzenia, wśród pasażerów czekających na odprawę też jej nie widzi.

Szef referatu do spraw książek, który przyjechał po niego na lotnisko, okazuje troskę temu milczącemu, zdezorientowanemu tłumaczowi.

– Jest pan pewien, że wszystko w porządku, panie Miesel?

– Tak. Wydaje mi się, że omal nie zginęliśmy. Ale czuję się dobrze.

Jego jednostajny ton niepokoi faceta z konsulatu. Aż do hotelu nie zamieniają ani słowa. Kiedy następnego dnia późnym popołudniem mężczyzna przychodzi po Miesela, zdaje sobie sprawę, że tłumacz nie wyszedł z pokoju ani nawet nie jadł. Nalega, żeby Miesel wziął prysznic i się ubrał. Przyjęcie odbywa się w księgarni Albertine na Piątej Alei, naprzeciwko Central Parku. We właściwej chwili, na widok zapraszającego gestu attaché kulturalnego, Miesel wyjmuje z kieszeni podziękowania, które napisał w Paryżu, beznamiętnym głosem stwierdza, że rola tłumacza polega na „uwolnieniu poprzez transpozycję czystego języka zaklętego w dziele", i wypowiada z naciskiem wszystkie dobre rzeczy, jakich nie myśli o amerykańskiej autorce, wysokiej, źle umalowanej blondynce, która się obok niego uśmiecha. Po czym nagle Miesel milknie. W atmosferze pełnej skrępowania pisarka bierze mikrofon i gorąco mu dziękuje, dodając, że jej saga fantasy zostanie uzupełniona o dwa tomy. Nadchodzi pora koktajlu; Miesel zdaje się nieobecny.

„Cholera, biorąc pod uwagę koszt takiej imprezy, mógłby się zdobyć na jakiś wysiłek", narzeka na boku radca kulturalny. Radca do spraw książek próbuje bronić Miesela, który następnego dnia rano wraca samolotem do domu.

Przyleciawszy do Paryża, zaczyna pisać jakby pod dyktando, a niepoddająca się kontroli mechanika tego pisania pogrąża go w otchłani niepokoju. Książka będzie nosić tytuł *Anomalia* i będzie jego siódmym dziełem.

„Przez całe życie nie uczyniłem ani jednego gestu. Wiem, że to gesty mnie stworzyły, wszelkie ruchy umykały mojej kontroli. Moje ciało zadowoliło się poruszaniem między liniami, które nie ja wyrysowałem. Sugerowanie, że jesteśmy panami przestrzeni, to jakieś zuchwalstwo, my tylko poruszamy się po linii najmniejszego oporu. Granica granic. Żaden wzlot nie otworzy naszego nieba".

W ciągu kilku tygodni grafoman Victor Miesel zapełnia setkę stron w podobnym duchu, oscylując między liryzmem a metafizyką. „Ostryga, która wypuszcza perłę, wie, że świadomy jest tylko ból, a nawet przyjemność zaznawania bólu. […] Świeżość poduszki zawsze mnie odsyła do próżnej temperatury mojej krwi. Jeśli drżę z zimna, to dlatego, że moje futro samotności nie jest w stanie ogrzać świata".

W ostatnich dniach już w ogóle nie rusza się z domu. Końcowy akapit wysłany do wydawnictwa pokazuje, jak bardzo to doświadczenie odrealnienia graniczy z czymś, czego nie da się przezwyciężyć: „Nigdy nie wiedziałem, w czym świat byłby inny, gdybym nie istniał, ani w kierunku jakich wybrzeży bym go przesunął, gdybym żył bardziej intensywnie, nie wiem też, w jaki sposób moje zniknięcie mogłoby zmienić jego bieg. I oto idę drogą, której nieobecne kamienie prowadzą mnie donikąd. Staję się punktem, w którym życie i śmierć łączą się tak, że zaczynają stanowić jedność, a maska żyjącego uspokaja się w twarzy zmarłego. Dziś rano, przy pięknej pogodzie, widzę samego siebie, jestem taki jak wszyscy. Nie kończę swojej egzystencji, daję życie nieśmiertelności. Na próżno, w końcu piszę ostatnie zdanie, którego celem nie jest odroczenie wyroku”.

Po napisaniu tych słów i wysłaniu pliku do wydawcy Victor Miesel, ogarnięty silnym niepokojem, którego nie potrafi nazwać, przechodzi przez balustradę balkonu i spada. Lub z niego skacze. Nie zostawia żadnego listu, ale jego tekst prowadzi go do tego ostatecznego gestu.

„Nie kończę swojej egzystencji, daję życie nieśmiertelności”.

Jest dwudziesty drugi kwietnia dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku, południe.

Lucie

Poniedziałek, 28 czerwca 2021
Ménilmontant, Paryż

W porannym mroku mężczyzna o kanciastej twarzy otwiera po cichu drzwi pokoju, jego zmęczony wzrok pada na ledwie rysujące się łóżko, na którym śpi kobieta. Ujęcie trwa trzy sekundy, ale Lucie Bogaert nie jest z niego zadowolona. Zbyt jasne, zbyt rozproszone, zbyt statyczne. Operator musiał się chyba zdrzemnąć. Lucie notuje, że przy efektach specjalnych trzeba będzie grać korekcją gamma, poprawić kontrast, zamazać obraz zbyt widoczny na drugim planie. Odrobinę zmienia kadr twarzy Vincenta Cassela, robi lekkie zbliżenie, spowalnia ujęcie o kilka klatek, żeby nadać mu rytm. Zajmuje jej to minutę. Zrobione. Teraz jest zdecydowanie lepiej. Właśnie ta jej dbałość o szczegóły i jej filmowa intuicja zrobiły z niej ulubioną montażystkę wielu reżyserów.

Jest wcześnie, piąta rano, Louis śpi. Za dwie godziny go obudzi, *to wake, woke, woken*, przygotuje śniadanie, *to eat, ate, eaten*, poćwiczy razem z nim angielskie czasowniki nieregularne, które chłopak przerabia w drugiej gimnazjalnej. Ale na razie Lucie szybko przemontowuje nakręconą we wnętrzach scenę z udziałem Maïwenn, którą mają razem przejrzeć przed południem. Z bolącym karkiem i piekącymi oczami wstaje z łóżka. Wielkie lustro nad kominkiem odbija sylwetkę drobnej, szczupłej kobiety o delikatnych kształtach młodej dziewczyny, jasnej skórze, subtelnych rysach twarzy i ciemnych, krótko obciętych włosach.
Na wąskim, prostym nosie ma duże szylkretowe okulary, które nadają jej wygląd studentki. Podchodzi do okna w salonie. Zawsze kiedy czuje, że pustka ją przytłacza, opiera czoło o tę zimną szybę. Ménilmontant śpi, ale miasto ją zasysa. Chciałaby porzucić swoje ciało i zlać się z tym, co na zewnątrz.

Przygłuszone brzdęknięcie informuje ją o nadejściu maila. Czyta imię nadawcy, André, i wzdycha. Jest zła, nie tyle dlatego, że on nalega, ile

dlatego, że wiedząc, iż nie powinien, nie potrafi się pohamować. Jak może być tak inteligentny, a zarazem tak wrażliwy? Lecz miłość to niemożność powstrzymania serca przed zdeptaniem inteligencji.

Poznała Andrégo trzy lata wcześniej, podczas wieczoru u przyjaciół filmowców. Przyszła późno i jakiś mężczyzna, który właśnie wychodził, jednak postanowił zostać. Kpiono sobie z niego No oczywiście, przyszła śliczna Lucie i André przestał spieszyć się do domu… A więc to jest André Vannier z firmy Vannier & Edelman, architekt, o którym jej mówiono. Wysoki, szczupły mężczyzna wyglądał na pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze mógł być starszy. Miał długie dłonie, oczy smutne i wesołe zarazem, w których zachowała się jego niezniszczalna młodość. Od razu wyczuła, że gdy tylko zaczyna mówić, zniewala go, i poczuła, że chce go zniewolić.

Niedługo później się umówili. Dyskretnie się do niej zalecał, a ona zrozumiała, że on mniej się obawia śmieszności niż tego, że mógłby ją krępować. Początkowo dała mu delikatnie kosza. Nadal jednak regularnie się spotykali, za każdym razem był bardzo miły, zabawny, troskliwy. Domyślała się, że nie jest dumny ze swojego kawalerskiego stanu, za każdym razem omijał ten temat, a ona podejrzewała, że w jego życiu była cała chmara kochanek i bardzo niewiele magii.

Pewnego wiosennego wieczoru on ją zaprasza do siebie na kolację. Jest zdziwiona eklektyzmem jego przyjaciół: malarka uprawiająca sztukę konceptualną, angielski chirurg przejazdem w Paryżu, dziennikarka z „Le Monde”, bibliotekarz nadużywający alkoholu, a nawet niejaki Armand Mélois, człowiek wyrafinowany i szarmancki, który – o czym Lucie dowiaduje się podczas kolacji – kieruje francuskim kontrwywiadem. Duże mieszkanie w Haussmannowskiej kamienicy, urządzone prostymi drewnianymi meblami w stylu industrialnym, zawalone książkami, powieściami, dalekie od nagich, zimnych wnętrz, jakie się zazwyczaj przypisuje architektom. A na etażerce gipsowa figurka Myszki Miki w żywych kolorach. Lucie chwyta figurkę palcami i ze zdziwieniem obraca ją na wszystkie strony. Podchodzi André.

– Ohydna, prawda?

Lucie się uśmiecha.

– Kupiłem ją, żeby mieć coś, co opiera się nawykom. Trudno przywyknąć do brzydoty. Takie jest życie. Brzydkie, ale to życie.

Przez cały wieczór spojrzenie Lucie wraca zafascynowane do tej koszmarnej Myszki Miki. I nagle, nie wiedzieć czemu, mysz Walta Disneya

do niej przemawia, oznajmiając, że z tym mężczyzną szczęście jest możliwe.

Lucie przedstawia mu Louisa. André nie jest wyrachowany: od razu odczuwa sympatię do tego żywego, zabawnego chłopaka, prawie nastolatka, i nie usiłuje go przerobić na swojego sprzymierzeńca. Lecz nie jest głupi: w walce o serce Lucie nie potrzeba mu wrogów.

Pewnego dnia po obiedzie, kiedy się żegnają, Lucie schodzi jedną nogą na jezdnię, żeby przejść przez ulicę, a André gwałtownie odciąga ją za rękę do tyłu. Przed jej nosem przejeżdża pędząca ciężarówka. Ramię ją boli, ale naprawdę omal nie zginęła. Krew odpływa z twarzy Andrégo. Stoją przez chwilę obok siebie, dźwięki ulicy wydają się wyjątkowo ostre. On szybko oddycha, ona także, on ją przytula i na jednym oddechu mówi:

– Zadałem ci ból, przepraszam, przestraszyłem się, myślałem, że… Tak bardzo cię kocham. – Cofa się przerażony tym zdaniem, które mu się bezwiednie wymsknęło, jeszcze raz mamrocze „przepraszam” i odchodzi.

Ona patrzy za nim i po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że André chodzi szybko, wyprostowany, że nadal jest taki młody. Wstrząśnięta kontaktuje się z nim dopiero po dwóch tygodniach, a kiedy się spotykają, on już nie wraca do tamtych słów.

Ale powiedział to. Kocham cię. Lucie ma się na baczności przed takimi deklaracjami. Jest zbyt wcześnie, żeby je usłyszeć. Kiedyś kochała innego mężczyznę, który nadużywał tego kłamliwego czasownika, a potem ją upokorzył, skrzywdził, po czym zniknął, wrócił i znowu zniknął. Chciałaby powiedzieć Andrému, że jest zmęczona tymi wszystkimi mężczyznami, którzy pragną jej miękkiej skóry, szczupłych nóg, bladych warg, tego, co nazywają jej urodą, tej obietnicy szczęścia, a którzy niczego poza tym w niej nie widzą. Zmęczona tymi, którzy na nią polują i marzą, by ją zawiesić na ścianie w charakterze trofeum. Zasługuje na więcej niż to impulsywne pożądanie, nie chce już być niczyją zabawką. Chciałaby mu powiedzieć, że właśnie dlatego w końcu do niego przyszła, właśnie dlatego tu jest. Dla tego czasu, który jej dał, dla łagodności, którą w nim wyczuwa, i dla jego szacunku. Chciałaby przestać go utrzymywać na pozycji starego, cichego zakochanego mężczyzny, chciałaby okazać stanowczość lub całkiem mu się poddać, zwolnić uchwyt. Lecz tylko wstydzi się swojego nieprzejednania, czasem okrucieństwa, z jakim opiera się rosnącej namiętności, którą do niego odczuwa.

Mija zima i po kolejnych czterech miesiącach, na zakończenie kolacji w małej koreańskiej restauracji „U Kima” w dzielnicy Le Marais, gdzie często przychodzą, on znowu mówi: „Wiesz, Lucie, zależy mi na tobie, ale mam świadomość wszystkiego, co nas dzieli, co stoi nam na przeszkodzie. Jeśli jednak pewnego dnia uznasz, że chcesz, bym był twoim partnerem, na tak długo, jak zechcesz, to ty będziesz musiała zrobić pierwszy krok…”. W tym momencie patrzy na nią wzrokiem, który nie ma wieku, ona jest zmieszana, uśmiecha się i choć wie, że powinna dać sobie jeszcze trochę czasu, boi się, że znuży go to próżne oczekiwanie. Postanawia chwycić Kairosa, greckiego bożka szczęśliwego zbiegu okoliczności, za rudą grzywę. Całe jestestwo każe jej usiąść obok niego na kanapie i czule go pocałować. Żadna brytyjska komedia romantyczna nie odważyłaby się na piękniejszą pierwszą scenę. Lucie niczego nie żałuje.

Od tej niezwykłej chwili ona i André już się nie rozstają.

Dwa tygodnie później, jeszcze w lutym, André miał wyjechać do Nowego Jorku na plac budowy Silver Ringu; w tym czasie ona kończyła montaż ostatniego filmu von Trotty i nie miała żadnych planów przed pracą z Maïwenn za ponad miesiąc. Zaproponował jej, żeby pojechali razem: będą mieć czas, pójdą się przywitać z kaczkami w Central Parku, odwiedzą Klee w Guggenheimie, a nawet obejrzą jakąś komedię muzyczną na Broadwayu. Zgodziła się bez namysłu, pod warunkiem że on ją zabierze na swój plac budowy. To był jej sposób, by pokazać, że chce „wziąć udział”. Po powrocie do domu radośnie i z dużym wyprzedzeniem spakowała walizkę, Jakie książki mam ze sobą zabrać, Coetzeego, jasne, no i tom Romaina Gary’ego w wydaniu La Pléiade, nic ciężkiego, i tę czarną sukienkę, tak, dobrze w niej wyglądam, tamta spódnica jest za krótka, ale włożę rajstopy, w lutym jest cholernie zimno, cieszyła się tą na nowo odkrytą frywolnością. Louis zgodził się na tymczasową opiekę babci.

W czasie lotu wpadli w turbulencje, było to dość przerażające. Podczas gdy samolot w każdej chwili mógł się rozpaść, a lęk sprawiał, że niemal straciła samokontrolę, André bez przerwy do niej mówił, nie przestając się uśmiechać. Polubiła Nowy Jork, który znała znacznie gorzej od niego. Mieli zostać tydzień, skończyło się na dwóch. U zbyt drogiego fryzjera w East Village obcięła na krótko swoje ciemne włosy. „Nigdy wcześniej bym się nie ośmieliła, wiesz? Rozpoczynam nowe życie”. Zabrzmiało to oczywiście jak okropny banał, była więc wdzięczna, że André nie zwrócił

na to uwagi. Czuła, że on ją uspokaja i że mogą, no tak, mogą być w sobie zakochani.

Później wracają do Paryża i powoli wszystko zaczyna się psuć. Stopniowo, wobec egzaltacji Andrégo, jego ramion, które chcą ją brać w objęcia, jego ciągłych pocałunków, jego przyjaciół, którym „absolutnie chce ją przedstawić” niczym łup z wygranej bitwy, Lucie się wycofuje. Dlaczego koty łapiące myszy nie pozwalają im żyć? Nie była gotowa na takie zawłaszczanie, wolałaby mniej nakazów, powolniejsze i spokojniejsze zaangażowanie. Zachłanność jego męskich ramion budzi w niej lęk, ich napastliwa żądza nie pozwala się narodzić jej własnym pragnieniom. On nie chce zrozumieć, a jego wrażliwość, którą tak dobrze ukrywał, staje się namacalna, i nie, ona nie chce go uspokajać, nie, nie ma zamiaru poddawać się jego despotycznemu apetytowi, nie musi zadowalać jego zranionego narcyzmu, nawet jeśli wynika on z wieku, nie będzie więcej znosić jego wzroku szczeniaka ze schroniska, który skowyczy Weź mnie, weź mnie. Dlaczego on nie widzi, że swoimi ramionami, w swoim łóżku zastawia na nią sidła? Dlaczego ona ma się czuć winna tego, że mu odmawia, kiedy ostatnią rzeczą, jakiej pragnie, jest mieć jakiekolwiek obowiązki?

Na początku czerwca spotykają się na ostatniej kolacji, na której André pragnie ją zdobyć na nowo, kiedy już wszystko się rozpadło, i nalega, by znowu poszli na kolację do Kima, jakby nieco przestarzały wystrój restauracji, ni to zen, ni to Gangnam Style, mógł na niej wywrzeć magiczne wrażenie, i gada, gada, siedząc nad stygnącym beoseot cream pasta, słuchając tylko siebie, poddając się swojemu niepohamowanemu zamiłowaniu do słów, a każde okrągłe zdanie sprawia, że to pożegnanie staje się coraz brzydsze. Ona na niego patrzy, on ją bierze za rękę, ona mu pozwala, ale jedyne, na co ma ochotę, to znaleźć się jak najdalej stąd, jej serce ogarnia chłód, uśmiecha się bez złości do tego czarującego podstarzałego faceta, dlaczego on nie widzi, że ona już odeszła? Może nie miała w sobie dość energii lub po prostu miłości – Boże, jak ona nie cierpi tego słowa. André mimo wszystko odegrał swoją rolę kojącej maści, przez tyle czasu, ile było potrzeba do zabliźnienia się rany, czegoś w rodzaju balsamu o zjełczałym zapachu, trudnym do wytrzymania, kiedy rana już się zagoiła… Ale nie, ona się myli, dlaczego odczytywać ich ładny początek przez pryzmat goryczy końca? To nie ona się nim zabawiła, to on i tylko on nie potrafił stanąć na wysokości ich nadziei.

Nalega, by zapłacili rachunek na spółkę, aby mu na wszelkie możliwe sposoby pokazać, że teraz jest on i ona, że nie ma już żadnego my.
On podaje jej niewielką książeczkę: to *Anomalia* Victøra Miesela. Tytuł coś jej mówi.

– Masz, spodoba ci się.

Otwiera książkę w przypadkowym miejscu i trafia na zdania: „Nadzieja każe nam czekać w przedpokoju szczęścia. Otrzymajmy to, na co mieliśmy nadzieję, a wejdziemy do przedpokoju nieszczęścia”. Mój Boże, metafory, kiepski początek. I trochę dalej: „Uwodzenie zawsze było umiejętnością pospolitą, zerwanie to wielka sztuka”. Jest więc artystką. Niech będzie, że to wielka sztuka.

Przyjmuje prezent i wychodzi.

Było to trzy tygodnie temu, długo przed wyjazdem Andrégo do Mumbaju na to cholerne otwarcie Soyara czy Suyara Tower, której elegancję tak jej zachwalał, podczas gdy jej nie interesują już żadne jego konstrukcje.

Mail, który do niej wczoraj wysłał, nadal wyświetla się niebieskimi wytłuszczonymi literami.

W końcu go otwiera. Wszystkie zdania wydają się jej przegadane, puste, żałosne. Żadne jej nie wzrusza, a z pewnością nie ma tu niczego, co mogłoby ją dotknąć. „Chciałbym przejść z Tobą najdłuższą możliwą drogę, a nawet najdłuższą z możliwych dróg”. Same banały. „Nigdy się nie dowiem, czy kiedyś zaczęłabyś kochać mój wzrok, zakochany i spragniony, którym na Ciebie patrzę”. Wznosi oczy do nieba. I na zakończenie to patetyczne zaprzeczenie: „Nie oczekuję żadnej odpowiedzi”.

Tak czy owak, Lucie nie ma zamiaru odpowiadać.

Nagle dzwoni telefon, numer zastrzeżony. Dlaczego on ma czelność dzwonić w poniedziałek rano, właściwie w środku nocy, podczas gdy Louis śpi w sąsiednim pokoju? Wściekła Lucie odbiera, żeby tylko telefon przestał dzwonić. Po drugiej stronie odzywa się kobiecy głos:

– Lucie Bogaert?

– Tak – odpowiada cicho Lucie.

– Komisarz Maupas z policji.

– Ale… To chyba pomyłka.

– Urodziła się pani dwudziestego drugiego stycznia osiemdziesiątego dziewiątego roku w Montreuil?

– Tak.

– Dobrze. Zaraz u pani będziemy. Prosimy nas wpuścić.

– Ale dlaczego? Obudzicie mojego syna.

– Wszystko wyjaśnimy. Mamy nakaz aresztowania, wsuwam go pod drzwi. Proszę otworzyć.

David

29 maja 2021
Trzecia Aleja, Nowy Jork

Fikusowi chce się pić. Jego wyschnięte brązowe liście zwijają się, część gałęzi już obumarła, w swojej plastikowej doniczce wygląda jak wcielenie rozpaczy, o ile słowa „wcielenie” można użyć w stosunku do rośliny. Jeśli nie zostanie wkrótce podlany, myśli David, umrze. Logicznie rzecz biorąc, na ciągłej osi czasu można znaleźć punkt bez powrotu, moment nieuchronnej zmiany, po którym nic i nikt nie zdoła fikusa uratować. W czwartek o siedemnastej trzydzieści pięć ktoś go podleje i drzewko odżyje, ale w czwartek o siedemnastej trzydzieści sześć ktokolwiek przyjdzie z butelką wody, usłyszy Nie, kochaniutki, to miłe, pół minuty temu, nie powiem, być może, ale teraz, co ty sobie myślisz, jedyna komórka, która mogłaby uruchomić cały mechanizm, ostatnia dzielna eukariotka, która potrafiłaby obudzić sąsiadki i krzyknąć No, dziewczyny, nie poddajemy się, reagujemy, odżywamy, nie zdychamy, no więc ta ostatnia z ostatnich komórek właśnie od nas odeszła, zbyt późno, kochany, przychodzisz z tą swoją żałosną butelką, *bye bye*. Tak, gdzieś na osi czasu.

– David?

Ciepły męski głos wyrywa Davida z roślinno-egzystencjalnego snu. David wstaje i obejmuje wysokiego pięćdziesięciolatka, tylko trochę od niego starszego, ale całkiem siwego. Mężczyzna jest do niego podobny, jak to bywa z kimś, z kim dzielimy spory ułamek DNA.

– Cześć, Paul.

– W porządku, David? Jody nie przyjechała z tobą?

– Przyjedzie, jak tylko będzie mogła. Ma zajęcia w Instytucie Goethego i nie chciałem, żeby musiała je przekładać.

– Rozumiem.

David rusza za bratem do jego gabinetu. Empirowe francuskie biurko, dębowa biblioteka, kryształowe secesyjne kinkiety, ciemnoczerwone

welurowe zasłony, a przez okno wspaniały widok na Lexington Avenue ze znajdującym się dokładnie naprzeciwko, na rogu Trzeciej Alei, wejściem do klubu, w którym w piątki grali w squasha. Pomieszczenie dość dobrze ukrywa, czym jest w rzeczywistości. Gabinetem jednego z najlepszych onkologów.

– Czego się napijesz, David? Kawy, herbaty?

– Kawy.

Paul wsuwa kapsułkę do ekspresu, stawia pod wylotem elegancką włoską filiżankę, jeszcze przez kilka sekund z powodzeniem unika wzroku brata. Domyśla się, że David tyle razy usłyszał z jego ust własne imię, że zrozumiał. W filmach wojennych, kiedy żołnierz sika krwią, a sierżant mówi Będzie dobrze, Jim, wyjdziesz z tego, Jim, to nigdy nie jest dobry znak. Życzliwa retoryka, włoskie espresso z aksamitną pianką, ciągłe odsuwanie chwili rozpoczęcia rozmowy, wszystko to jest zapowiedzią najgorszego.

– Masz.

David kiwa głową, machinalnie bierze filiżankę i stawia na biurku.

– Wal. Jestem gotów.

– Dobra. Pamiętasz, David, wczoraj podczas ultrasonografii endoskopowej zrobiliśmy biopsję… Dostałem wyniki. – Paul odsuwa filiżankę, wyciąga z koperty zdjęcia, rozkłada je na biurku przed bratem. – Tego się obawiałem. Guz przy ujściu trzustki, na wprost jelita cienkiego, o, tu, jest złośliwy. Nowotworowy. Przy czym nie tylko zaatakował naczynia krwionośne i sąsiednie węzły chłonne, ale są już przerzuty do wątroby i jelita cienkiego. Z klinicznego punktu widzenia to stadium czwarte.

– Stadium czwarte. Czyli?

– Stan jest zbyt zaawansowany, nie da się zrobić pankreatektomii dystalnej, czyli usunąć trzustki i śledziony.

David przyjmuje cios. Z trudem oddycha. Paul przygotował szklankę wody, którą mu podaje. Brat podnosi na niego wzrok. Paul namówił go na badanie, bo zauważył na twardówce charakterystyczne chorobliwe zażółcenie. David bierze głęboki wdech i pyta:

– Rokowania?

– Ponieważ nie da się już operować, zrobimy chemio- i radioterapię, żeby zmniejszyć rozmiary guza.

– Rokowania, Paul? – powtarza David.

– Jak by ci tu powiedzieć… Paskudna sprawa.

– Czyli? Jakie mam szanse?

– Dwadzieścia procent szansy na przeżycie w perspektywie pięciu lat, tak wynika z rachunku prawdopodobieństwa. Ale to nic nie znaczy. Spróbujemy to przeskoczyć. Umówiłem cię na wizytę u Saula, żebyś usłyszał drugą diagnozę. Jest najlepszy. Przyjmie cię w trybie pilnym, jutro, już mu przekazałem wyniki biopsji i rezonansu.

– Nie trzeba, Paul. Wierzę ci. Zrobimy tak, jak mówisz. Kiedy zaczynamy?

– Im szybciej, tym lepiej. Dostaniesz zwolnienie na co najmniej trzy miesiące. Poinformuj firmę. Masz dobre ubezpieczenie zdrowotne?

– Chyba tak. Nigdy nie sprawdzałem. Ale pewnie dobre.

David wstaje, robi parę kroków. Dygocze ze złości, ale czy naprawdę ze złości? Całe jego ciało odmawia zachowania niewzruszonego spokoju. Boże, dlaczego człowiek zawsze wraca do ostatnich tygodni, dlaczego nie potrafi opanować chęci, by mierzyć skalę własnego zaślepienia? Wszystkie te dni przeżyte w poczuciu beztroski, w szczęściu niewiedzy, spędzone na jedzeniu, opowiadaniu dowcipów, chodzeniu z dzieciakami do kina, kochaniu się z Jody, graniu w squasha z Paulem, podczas gdy, być może, wystarczyłoby zrobić tomografię trzy, cztery miesiące temu, żeby postawić diagnozę i, być może, zostałby uratowany. David zastanawia się, czy coś w nim się domyślało i czy to coś wolało nie wiedzieć.

– Kiedy to się zaczęło?

– Nie wiem, David. Trudno powiedzieć. Guz może tam tkwić od roku albo od dwóch miesięcy. Nikt nie wie. Rak trzustki u każdego przebiega inaczej.

– Nie można było czegoś zrobić dwa miesiące temu? Po tym piekielnym locie z Paryża do Nowego Jorku, kiedy grad zmasakrował samolot, już wtedy byłem trochę zmęczony, pamiętasz? I sikałem na ciemno. Nie miałem wtedy czasu się zbadać.

– Naprawdę nie wiem. Jednego jestem pewien: trzeba się skoncentrować na tym, co można zrobić teraz, a można jeszcze dużo.

– Są jakieś nowe terapie? Leki?

– Tak, spróbujemy wszystkiego, co istnieje, a także, jeśli się zgodzisz, molekuł eksperymentalnych, to są absolutnie rewolucyjne leki, których nie ma jeszcze na rynku, daję ci słowo.

Paul kłamie, bo tak jest lepiej niż No skąd, David, nie ma niczego nowego, jak mówiłem, to naprawdę paskudna sprawa, nic nie możemy na

to poradzić, nie wynaleziono żadnych cudownych leków, nawet nie wiadomo dlaczego, w zależności od pacjenta, jeden protokół działa lepiej niż drugi.

– Ten rak jest bolesny, prawda?

– Przysięgam ci, że zrobimy wszystko, żeby zmniejszyć cierpienie, przez całą terapię. Oczywiście będą skutki uboczne. Nie ma siły. Coś za coś.

Skutki uboczne. Rewelacja. Tak, braciszku, będziesz rzygać jak kot, wydalać wszystkimi otworami, stracisz włosy, brwi i ze dwadzieścia kilo, a potem co? Wszystko po to, żeby zyskać może dwa, może trzy miesiące życia, dwadzieścia procent szansy na przeżycie w perspektywie pięciu lat, dwadzieścia procent, tak, ale nie w twoim stadium, braciszku, ty masz jedną szansę na dziesięć, nawet mniej, kurwa, jakie to niesprawiedliwe, wredne… Paul przysuwa fotel i siada obok Davida, który siedzi nieruchomo, osłupiały, zgaszony, Paul kładzie dłoń na ramieniu już nieobecnego brata, ma nadzieję, że ten gest oddali ogarniającą go zimną panikę, chciałby, żeby ta jedna dłoń na ramieniu pochłonęła i zniszczyła mrok, bo co zrobić, to obłęd, ale lata praktyki i setki utraconych pacjentów nigdy nie przeszkadzały w pojawieniu się magicznej myśli, nawet w najbardziej racjonalnym mózgu świata, a teraz jeszcze wracają do niego, ale dlaczego właśnie teraz? wybuchy śmiechu podczas gier w kręgle w Peorii, kiedy David rzucał kompletnie byle jak, a jednak trafiał, pieprzony farciarz, i zapach różowych pianek marshmallow opiekanych nad gazem u ciotki Luny, i słodkie owocowe perfumy tamtej blondyneczki, Deborah Spencer, w której obaj kochali się na zabój, a która w końcu poszła do łóżka z tym debilem, Tonim Dinozaurem, dlaczego zresztą tak go nazywano, i mowa Davida na jego pierwszym ślubie z Fioną, ich małżeństwo okazało się prawdziwą katastrofą, jego idiotyczna, zabawna, a przy tym cudowna mowa, cudowna, bo była tak idiotyczna i zabawna, i przyjście na świat jego syna, również Davida, i mały David pogrążony we śnie w ramionach swojego wujka Davida płaczącego z macierzyńskich emocji, i wszystko, co szlag trafi, wszystko, co rak wciągnie w swój czarny wir, i nagle, nieoczekiwanie, pojawiają się łzy nie do powstrzymania, do jasnej cholery, onkolog, który ryczy, do czego to podobne? Paul odwraca się, sięga po chusteczkę, hałaśliwie wyciera nos.

Promień słońca wpada do gabinetu. To nie najlepsza chwila, ale niech wpada, niech przyniesie Davidowi swoje złote światło; strumień życia,

ulotny cud, kiedy to pieprzone słońce sunie na zachód między dwoma wieżowcami na Trzeciej Alei o siedemnastej dwadzieścia jeden, cud trwający dokładnie dwanaście minut, zarówno w zimie, jak i w lecie. O siedemnastej trzydzieści trzy wszystko się skończy.

– Dobra, David. Nie mam już żadnych pacjentów. Poczekamy na Jody i wyjaśnię ci cały protokół.

Paul długo tłumaczy, David słucha, nie przerywając. Nazajutrz Paul będzie musiał wytłumaczyć jeszcze raz, bo brat niczego nie zapamięta. David myśli o twarzy Jody, o jej spojrzeniu przepełnionym nienazwaną rozpaczą, o oczach dzieciaków, kiedy trzeba będzie im powiedzieć, że tatuś jest bardzo chory, Grace, Benjamin, kochani, musicie oboje być bardzo dzielni, musicie dużo pomagać mamie i być bardzo grzeczni, dobrze? Myśli o swoim ubezpieczeniu zdrowotnym, jest znakomite, ale na pewno przeprowadzą dochodzenie i zarzucą mu ukrycie faktu, że przez dziesięć lat, od piętnastego do dwudziestego piątego roku życia, palił, myśli o bólu, którego nie da się uniknąć, o degrengoladzie ostatnich dni, o kremacji, nawet o muzyce, którą trzeba będzie puścić przyjaciołom, coś sympatycznego, postarasz się, Paul, rocka, bluesa, tylko nie żadne smętne requiem skomponowane przez nie wiadomo kogo, myśli o kosztach szkoły dzieciaków, o kredycie za mieszkanie, który spłacił przed terminem, co za debil, przecież w przypadku zgonu ubezpieczenie spłaca pełną kwotę, myśli o wszystkim, co ma nadejść teraz i jeszcze później, już po tym jak. A nawet myśli o różnych dziwnych rzeczach.

– Słuchaj, Paul… w twojej poczekalni…

– No co?

– Fikus. Trzeba go podlewać.

Jest siedemnasta trzydzieści trzy i słońce znika.

*

Czwartek, 24 czerwca 2021, 22 : 28

Mount Sinai Hospital, Nowy Jork

W poczekalni Paula fikus ostatecznie nie padł. Tyle że David już tam nie wrócił, nigdy już nie zobaczy słońca sunącego między dwoma wieżowcami, i w ogóle nie zobaczy słońca. Sala numer trzysta czterdzieści cztery

w Mount Sinai Hospital wychodzi na północ, a zresztą za kilka dni zapewne ją zwolni. W jego zapadniętych rysach twarzy rozgościła się śmierć.

Z bólem lekarze walczą, testując opracowany przez Francuzów nanolek, podawany oprócz morfiny, którego zaletą jest to, że nie wymaga ciągłego zwiększania dawek. Z rakiem przestali walczyć. Zbyt zjadliwy, zbyt inwazyjny, zbyt zaawansowany.

Ktoś puka do drzwi, ale nikt nie odpowiada. Jody śpi w fotelu obok nieprzytomnego Davida, wykończona kolejną bezsenną nocą. Dzieci są od trzech dni u Paula. Drzwi cicho się otwierają, wchodzi dwóch mężczyzn w czarnych garniturach ze złoconymi identyfikatorami. Jeden w milczeniu pochyla się nad Davidem, pobiera ślinę z kącika ust, wkłada wymazówkę do probówki i natychmiast wychodzi. Drugi wyciąga komórkę, robi zdjęcie zaintubowanego umierającego pacjenta, gdzieś je wysyła i siada na krześle, nie mogąc oderwać wzroku od wyniszczonej chorobą twarzy.

Wirówka

10 marca 2021
wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, wody międzynarodowe
42°8′50″N 65°25′9″W

Wszystkie spokojne loty są do siebie podobne, każdy niespokojny lot jest niespokojny na swój sposób. Jest szesnasta trzynaście, kiedy przed maszyną lotu AF006 Paryż–Nowy Jork, na południe od Nowej Szkocji, pojawia się gęsta bariera gigantycznego cumulonimbusa. Front chmur szybko się podnosi. Jest jeszcze w odległości kwadransa lotu, ale rozciąga się łukowato na setki kilometrów w kierunku północnym i południowym, unosząc się na wysokości prawie czterdziestu pięciu tysięcy stóp. Boeing 787, który leci na trzydziestu dziewięciu tysiącach i właśnie miał rozpocząć schodzenie w kierunku Nowego Jorku, nie zdołał przed chmurą uciec i w kokpicie zaczyna trząść. Drugi pilot porównuje mapy i wskazania radaru meteorologicznego. Szeroki front chmur nie był zapowiadany i Gid Favereaux jest już nie tyle zaskoczony, ile naprawdę zaczyna się obawiać.

Matowa szara ściana, mieniąca się na szczycie od promieni oślepiającego słońca, zbliża się do nich z szaleńczą prędkością, żarłocznie pochłaniając warstwę chmur, która ją żywi i wspiera. Kapitan Markle nastawia częstotliwość Bostonu, patrzy na wskazania przyrządów pokładowych, zwłaszcza radaru meteorologicznego, który wyświetla się na czerwono, lustrując teren na odległość stu dwudziestu mil morskich. Potrząsa głową i odstawia kawę, kiedy Boston zaczyna nadawać na ich częstotliwości.

– Do wszystkich samolotów w zasięgu Boston Control. Ze względu na ekstremalne warunki na Wschodnim Wybrzeżu wszystkie lotniska zostają zamknięte z wyjątkiem KJFK. Od pół godziny żadne samoloty nie startują ze Wschodniego Wybrzeża. Sytuacja rozwija się zbyt szybko, żebyśmy mogli wcześniej ostrzec którykolwiek samolot. KJFK pozostaje otwarte do lądowania podejściem Canarsie.

– Boston Control, dzień dobry, tu Air France 006, wysokość trzy dziewięć zero w kierunku Kennebunk. Przed nami wisi potwór. Prosimy o kurs trzy pięć zero na dystansie najbliższych osiemdziesięciu mil.

– Air France 006, tu Boston Control. Macie swobodę manewru. Skontaktujcie się z lotniskiem Kennedy na częstotliwości 125,7. *Bye bye*.

Markle się krzywi, patrzy, jak od północy do południa bezlitośnie gęstnieje horyzont. Nie ma co, jego przedostatni lot transatlantycki oferuje mu niezapomniane przeżycia. Łączy się z lotniskiem.

– Kennedy Approach, tu Air France 006, mamy dość paliwa, żeby ominąć front chmur i polecieć na południe do Waszyngtonu.

Kliknięcie, rozlega się kobiecy głos, brzmi poważnie.

– Przykro mi, 006. Brak zgody. Takie same warunki panują aż do Norfolku. W tej chwili na południu jest chyba jeszcze gorzej. Jak tylko dacie radę, zejdźcie na jeden osiem zero i wracajcie w kierunku Kennebunk. Utrzymujcie te same parametry.

Markle kiwa głową, wyłącza komunikację z wieżą, bierze mikrofon kabinowy i uspokajającym tonem zwraca się do pasażerów, najpierw po angielsku, później, całkiem nieźle, po francusku.

– Mówi kapitan, proszę natychmiast wrócić na swoje miejsca, zapiąć pasy i wyłączyć wszystkie urządzenia elektroniczne. Zbliżamy się do obszaru bardzo silnych turbulencji. Powtarzam, bardzo silnych turbulencji. Proszę umieścić torby i komputery pod siedzeniem z przodu lub w przewidzianych do tego schowkach. Proszę odłożyć wszystkie płyny i złożyć stoliki. Personel pokładowy proszę, by zadbał o bezpieczeństwo pasażerów i kabiny, a następnie udał się na swoje miejsca. Powtarzam, po sprawdzeniu bezpieczeństwa pasażerów proszę natychmiast wrócić na swoje miejsca.

Cumulonimbus jest coraz bliżej, to superkomórka burzowa, ale dalece nieklasyczna. Nie ma kształtu pojedynczego kowadła wznoszącego się do górnych partii atmosfery, tych kowadeł są dziesiątki, jakby dźwiganych czyjąś niewidoczną ręką, zlewających się w tropopauzie. Płynące po oceanie statki musiały się dostać w apokaliptyczną depresję. Przez dwadzieścia lat pracy na lotach długodystansowych Markle nigdy czegoś takiego nie widział. To co najmniej burza roku. Stratosferyczne kopuły wiszą na wysokości szesnastu kilometrów. Mógłby spróbować się wślizgnąć między dwie kolumny, ale tylko wpadłby na następną. Radar

meteorologiczny wyświetla długi ukośny czerwony pasek: ściana wody i lodu.

– Widzisz, jak szybko to drańst wo rośnie? – pyta zaniepokojony Gid. – Jak tylko dolecimy do jego boku, wpadniemy w koszmarny prąd zstępujący. Nigdy tego nie pokonamy.

Niepokój Gida jest uzasadniony, myśli Markle, nawet jeśli jego doświadczenie ogranicza się do roku na lotach transatlantyckich i trzech lat na długodystansowych. Ponownie włącza mikrofon i radosnym, uspokajającym tonem zwraca się do pasażerów.

– *Hello*, *folks*, tu znowu kapitan Markle, proszę pozostać na swoich miejscach z zapiętymi pasami i sprawdzić pasy siedzących obok państwa dzieci. Powtarzam, proszę wyłączyć wszystkie urządzenia elektroniczne. Możliwe, że w ciągu minuty wlecimy w dziurę powietrzną. Do personelu pokładowego: jeśli bezpieczeństwo w kabinie jest zapewnione, proszę o natychmiastowy powrót na miejsca… Czekam na potwierdzenie.

– Potwierdzam, wszyscy znajdują się w bezpiecznych pozycjach – rozlega się głos kierowniczki obsługi kabiny.

– Okej, może być dość widowiskowo, gwarantuję, że nigdy tego nie zapomnicie, ale obiecuję, że jeśli jesteście dobrze zapięci pasami, nikomu nic się nie stanie. To będzie jak rollercoaster dla tych, którzy lubią wesołe miastecz…

Nagle, jeszcze nie osiągnąwszy skraju ciepłego frontu, boeing wpada w dziurę powietrzną i zaczyna gwałtownie opadać. Chociaż drzwi do kokpitu są izolowane, Markle i Favereaux słyszą krzyki pasażerów.

Przez dziesięć niekończących się sekund samolot opada jak kamień, po czym wlatuje w cumulonimbusa w najgorszym możliwym miejscu, na południowym zachodzie kolumny, pod przerażającym kątem trzydziestu stopni zafundowanym przez automatycznego pilota, który teraz przejął sterowanie. Boeing natychmiast dostaje się w wirujące prądy chmury i równie szybko kokpit rozświetla się; jest noc, czarna jak smoła, i słychać potworny łoskot: setki olbrzymich brył gradu łomoczą o szyby, tu i ówdzie zostawiając odpryski na pancernym szkle. Trwa to kilka chwil, które zdają się ciągnąć bez końca, po czym, mimo podmuchów tornada, boeing wlatuje w ciepły prąd wznoszący i odzyskuje nieco siły nośnej; tym razem wszyscy mają wrażenie intensywnego wgniatania niczym na pętli rollercoastera.

Przypięty do fotela Markle podkręca na maksa dwa silniki General Electric, no bo w końcu co to za drańst wo, jakaś pieprzona

wewnątrztropikalna strefa konwergencji; na trasie Rio–Madryt, w pobliżu równika, dałoby się to zrozumieć, ale tutaj, na Północnym Atlantyku? No kurwa, to bez sensu, mamy najmocniejsze silniki, niesamowicie elastyczne skrzydła, no przecież nie przełamiemy się wpół jak jakiś model samolotu, to niemożliwe. Na symulatorze wychodziliśmy z takich opałów dziesiątki razy, z odmawiającymi posłuszeństwa silnikami, z dekompresją, z padniętymi komputerami, no kurwa, nie rozwalimy się przecież w świecie rzeczywistym. Markle nie myśli o swoich dzieciach ani o żonie, jeszcze o nich nie myśli, choć może piloci umierają, nie zdążywszy przewinąć filmu ze swojego życia, Markle kompletnie nie myśli o pasażerach, tylko próbuje uratować tego wielkiego, ciężkiego i nieruchawego boeinga, powtarza więc znane na pamięć gesty, raz za razem, zdając się na swój refleks i dwadzieścia lat doświadczenia. Sytuacja jest jednak porąbana.

Markle i Favereaux, powytrząsani, zmaltretowani, bladzi, skupiają się na przyrządach, walczą z burzą, później się okaże, że była najgwałtowniejszą i najbardziej nagłą w ciągu ostatniej dekady, wskaźnik lewej turbiny pokazuje piętnastoprocentową utratę mocy, ale silne pole elektryczne zakłóca elektronikę pulpitu nawigacyjnego. Ostatecznie samolot opiera się burzy, utrzymuje mniej więcej w poziomie i wreszcie stabilizuje; i choć grad nie słabnie, choć przednia szyba jest cała porysowana, nie ma powodów do niepokoju, gdyż środkowa warstwa szkła pozostała nietknięta.

Kiedy tylko wstrząsy tracą odrobinę na sile, Markle wygłasza komunikat do pasażerów. Mimo ogłuszającego hałasu, który króluje w kokpicie, stara się nie krzyczeć.

– *Sorry, folks*, za te turbulencje. Jesteśmy zmuszeni, kontynuując nasz lot do Nowego Jorku, przebić się przez cumulonimbusa i zostać w tej wirówce przez co najmniej…

Nagle oślepiające słońce wraca do kokpitu, boeing gwałtownie przyśpiesza, ponownie zapada cisza i wszystkie perturbacje zostają z tyłu.

Markle w osłupieniu sprawdza wskaźniki. Samolot przemieszcza się równym lotem, z miarowym pomrukiem, ale wszystkie przyrządy są rozregulowane. Pomimo szaleńczego lotu w dół przez dobre pięć minut wysokościomierz znowu pokazuje trzydzieści dziewięć tysięcy stóp, radar meteorologiczny nie sygnalizuje żadnych zakłóceń, a kurs pozorny wynosi dwa sześć zero. Markle znowu włącza system łączności z kabiną pasażerską.

– Cóż, jak zapewne państwo wraz ze mną zauważyli, właśnie wyszliśmy z chmury bez żadnego szwanku. Prosimy pozostać na swoich miejscach do następnego komunikatu i nie włączać urządzeń elektronicznych. Personel pokładowy może odpiąć pasy, dziękuję. Proszę o raport z kabiny. – Markle wyłącza mikrofon i przez transponder nadaje sygnał alarmowy 7700. Wkłada hełmofon i łączy się z wieżą lotniska Kennedy'ego. – *Mayday*, *mayday*, *mayday*, Kennedy Approach, tu Air France 006. W wyniku turbulencji w warstwie chmur i poważnego zalodzenia nie ma co prawda rannych, ale nasze przyrządy nie działają, ani wysokościomierz, ani prędkościomierz, ani radar, a przednia szyba jest mocno uszkodzona.

Z wieży rozlega się tym razem męski głos, wyraźnie zdziwiony.

– Sygnał *mayday* otrzymany, Air France 006. Możecie potwierdzić kod transpondera 7700?

– Nowy Jork, Air France 006 potwierdza, transponder 7700.

Głos, w którym słychać głębokie niezrozumienie, powtarza:

– Air France, tu Kennedy Approach, potwierdźcie transponder 7700. Air France 006?

– Potwierdzam, Air France 006, *mayday*. Potwierdzam transponder 7700, przeszliśmy przez grubą chmurę gradową, przednia szyba jest popękana, kopuła anteny radarowej jest z pewnością zniszczona.

Rozmowa zostaje przerwana na kilka długich chwil. Markle obraca się w kierunku oniemiałego Favereaux. Trzy razy podał kod transpondera, a wieża wciąż ich nie zidentyfikowała. Nagle połączenie zostaje wznowione. Tym razem rozlega się głos kobiecy, ale mniej śpiewny niż poprzedni. I również mniej uprzejmy.

– Air France 006, *mayday*, od Kennedy Approach. Tutaj Air Traffic Control, nazwisko kapitana proszę.

Markle rozdziawia usta. Przez całą karierę zawodową żaden kontroler nigdy go nie pytał o nazwisko.

– Air France 006, *mayday*, od Kennedy Approach. Powtarzam: kto kieruje samolotem?

Sophia Kleffman

Piątek, 25 czerwca 2021
Howard Beach, stan Nowy Jork

To Liam odnajduje żabkę Betty w sobotę po południu, za kaloryferem obok kuchennego zlewu, kompletnie wysuszoną. Jest lekka jak piórko, niemal przezroczysta, wygląda jak zmięta, zgnieciona kalka, której użyto do naszkicowania rzekotki drzewnej, z wyraźnym konturem łapek i błon pławnych. Liam mówi do swojej młodszej siostrzyczki Ta twoja Betty zdechła, całkiem zdechła, i to go naprawdę bawi, zaczyna tańczyć z uniesionymi ramionami, Betty zdechła, Betty zdechła, a Sophia wybucha płaczem.

Trzy tygodnie wcześniej Betty uciekła z wiwarium, w którym musiała się śmiertelnie nudzić mimo ślicznych kępek wilgotnego mchu, lśniących roślin i okrągłych szarych kamyków wybranych przez Sophię, a także łupiny kokosa służącej jako basen, no i przede wszystkim mimo żywych czarnych muszek, którymi wieczorem, po powrocie ze szkoły, dziewczynka karmiła żabkę. Sophia umieściła wiwarium na niskim stoliku obok łóżka i co wieczór wstawała, zawijała się w kołdrę i szeptem opowiadała swój dzień żabce siedzącej nieruchomo wśród traw. Chciała, żeby Betty żyła bezpiecznie i szczęśliwie, ale przede wszystkim bezpiecznie, niezagrożona przez żadne drapieżniki, tego słowa Sophia nauczyła się niedawno i bardzo jej się podoba, może dlatego, że brzmi odrobinę niepokojąco. Mimo wszystko żabka jednak uciekła. Pewnie skakała w kółko w poszukiwaniu ciepła i wilgoci, aż spadła piętro niżej, na letni metal grzejnika. Była głodna i spragniona, a jej skóra popękała jak ziemia w ogródku, kiedy przez dłuższy czas nie padało; zastygła w śmierci Betty zamieniła się w ektoplazmę żaby.

Sophia boi się jej dotknąć, Liam też, nawet jeśli zgrywa bohatera i krąży wokół zwłok, wznosząc okrzyki. Matka mówi Przestańcie, uspokójcie się, obudzicie tatę, ale ojciec schodzi już na dół w T-shircie i wrzeszczy Co to

za bajzel, Avril, nie możesz powiedzieć swoim bachorom, żeby były cicho, choćby na czas mojego urlopu, a w ogóle to nie miałaś iść na zakupy? Porucznik Clark Kleffman widzi martwą Betty i wciąż płaczącą córkę i wybucha śmiechem No i co, Sophio, ta twoja żaba wygląda jak chiński pierożek!

Clark podnosi żabę za łapkę i obojętnie odkłada na głęboki talerz.

Kleffmanowie wspólnie postanawiają, że pochowają żabę, i choć nie mają pojęcia, jakiego była wyznania, Avril decyduje, że była baptystką jak oni; co prawda nie została ochrzczona z wody jak prawdziwy wierzący, ale większość czasu spędzała w wodzie. Tak jest prościej. *Born again frog* pójdzie do żabiego raju. W końcu Clark wrzuci ją do muszli klozetowej, tak też jest prościej.

Betty była prezentem na szóste urodziny Sophii. Przy niej Sophia dużo się nauczyła o żabach. Na przykład, że istnieją od trzystu milionów lat, że żyły w czasach dinozaurów, że występują w tysiącach gatunków, a atrazyna, składnik środków owadobójczych, stanowi dla nich zagrożenie, gdyż ich skóra jest przepuszczalna, a przecież żaby „są pożyteczne, bo zjadają owady". Że są płazami jak salamandry i ropuchy. Zresztą Betty jest ropuchą, *Anaxyrus debilis*, Sophia starannie zapisała jej nazwę na kawałku brystolu, który przykleiła do wiwarium, może jest samczykiem, sprzedawca nie był pewien. Przykro mi – westchnął Andy, przynajmniej tak Sophia przeczytała na jego identyfikatorze – naprawdę mi przykro, ale ropucha mierzy zaledwie cal i nie mogę zidentyfikować jej organów rozrodczych, proszę jej nadać imię, które będzie pasować do obu płci, typu Morgan lub Madison, jednak Sophia nazwała ją Betty. Kiedy Sophia podchodzi do wiwarium, Betty się chowa w swojej jamce lub pod kamykami. Dźwięk odkurzacza ją przeraża. Podobnie jak dźwięk samolotów startujących z La Guardii i przelatujących nad Howard Beach. Trudno ją w ogóle zobaczyć, tak bardzo wszystkiego się boi. To na pewno laska, śmieje się Clark. Nie mów takich rzeczy do Liama i Sophii, wzdycha Avril.

Tak więc Clark Kleffman kładzie Betty na głębokim talerzu, a Sophia krzyczy:

– Betty się poruszyła, mamo! Poruszyła się!

– Co? Nie, Sophio, po prostu tata przechylił talerz.

– Poruszyła się. Popatrz, to dlatego, że w talerzu zostało trochę wody! To ją obudziło. Mamo, mamo, proszę, dolej wody!

Avril wzrusza ramionami, ale bierze szklankę, nabiera wody z kranu i polewa nią Betty. Zwierzątko porusza jedną łapką, potem drugą, aż w końcu przytomnieje, wsysa całą wodę jak gąbka i zaczyna się kręcić po talerzu, nawet jego skóra odzyskuje utraconą zieloną barwę.

– Niesamowite – mówi osłupiały Clark Kleffman.

– Zachowała się jak aksolotle podczas suszy, pamiętasz, mamo, aksolotle, widziałyśmy je, zrobiła dokładnie to samo, zapadła w letarg i poczekała na porę deszczową.

– Niesamowite – powtarza Clark. – W życiu czegoś takiego nie widziałem, ta pieprzona żaba była na sto procent zdechła, a teraz lata w kółko jak dziwka w rui. Niesamowite.

– Clark, proszę cię, nie używaj takich słów przy dzieciach – mówi Avril.

– Jestem u siebie, do jasnej cholery, i będę mówić, co mi się podoba! Czym ja dla was jestem, maszynką do płacenia rat, która może się dać zabić w jakimś kraju kompletnych debili, tak? Mam tego po dziurki w nosie, Avril, po dziurki w nosie, dotarło?

Avril opuszcza wzrok, Sophia i Liam sztywnieją. Wokół złości Clarka tężeje powietrze.

Clark zaciska pięści i milknie, albo tak, albo wszystko rozwali. Kurwa, w Afganistanie dziesięć razy omal nie zginął i tak mu się dziękuje. Dziesięć razy, jeśli nie więcej. Wszyscy zawsze się z nich nabijali, niech zdechną, nie są synami polityków jak te gnojki, które już podczas wojny wietnamskiej dekowały się w Gwardii Narodowej. W zeszłym roku, żeby zastąpić te trumny na kółkach, jakimi są humvee, regiment dostał potężne oshkoshe, *bad boys* z charakterem, których pancerna karoseria ma podobno zatrzymywać pociski 13 milimetrów. Ale nie, przy pociskach przeciwpancernych te wszystkie pojazdy to zwykła dykta pomalowana piaskową farbą.

Dwa tygodnie przed zmartwychwstaniem żabki Betty, na trasie między bazą lotniczą w Bagram a Kabulem, jeden z oshkoshy dostał serią z zastavy, podstawowej broni półautomatycznej w Syrii, przynajmniej tak to brzmiało. Kula przebiła lewą tylną szybę, choć szkło miało być pancerne, i wylądowała w klatce piersiowej Thompsona, który nagle zorientował się, że kule są przeznaczone do ciała, i zaczął wyć jak opętany. Thompson był najemnikiem z paramilitarnej firmy Academi, zwykłym dupkiem, bardziej głupim niż porąbanym, który stracił swoją gównianą pracę w filii General Motors, kiedy fabryka przeniosła się do kraju, gdzie inny dupek

produkował takie same świece po trzydzieści centów za godzinę. Jedyne, na czym Thompsonowi zależało, to jego wymarzony domek w Montanie, dlatego zapewniał ochronę osobistą inżynierom z Albermarle Corp.: od czterech miesięcy poszukiwali litu, ale nie ośmielali się oddalić od hotelu Kabul Serena, od czterech miesięcy starali się wyprzedzić Chińczyków z Ganfeng Lithium w podpisaniu kontraktu na eksploatację złóż.
Na nieszczęście Thompsona pojazd firmy Academi wrócił do Kabulu bez niego. Musiał wysupłać dwieście dolarów, żeby go podwieziono oshkoshem, ledwo dwie godziny wybojów, gruzu i blachy falistej po nędznym przedmieściu, spustoszonym przez dziesięć lat wojny.

Podczas gdy sierżant Jack zajmował się Thompsonem, któremu oczy stanęły w słup, a z ust trysnęła krew, Clark wślizgnął się do obrotowej wieżyczki i puścił serię w kierunku, skąd padły strzały, ciskając najgorszymi wyzwiskami. Pociski leciały setkami w stronę dwóch chałup z suszonej gliny na łysym wzgórzu, dwóch nędznych chałup rozpadających się pod strzałami.

Oshkosh zawrócił i ruszył w kierunku Bagramu, gdzie czekał na nich blok operacyjny. Izba chorych była przepełniona: poprzedniego dnia afgański pomocnik ze służby sprzątającej wysadził się w powietrze niedaleko stołówki za pomocą pasa wypełnionego materiałami wybuchowymi, z okrzykiem *Allahu akbar* na ustach, dwie ofiary śmiertelne i dziesięciu rannych, bo – jak opowiadano – kilku żołnierzy nachlanych budweiserem wysikało się na Koran.

Może ta historia była prawdziwa: w Guantanamo rzucano plasterkami szynki w kierunku klatek. Łotry zawsze znajdą sobie bezpieczną przystań w patriotyzmie. W każdym razie nie trzeba było szukać łóżka dla Thompsona, kiedy go przywieźli, już nie żył, a kabina była zalana krwią. I choćbyśmy lali wodę na Thompsona, z pewnością nie przywróciłoby go to do życia. No więc sorry, ale Clark miał w dupie, kompletnie w dupie, czy wymawia przy dzieciach słowa takie jak „laski” lub „dziwki w rui”, kiedyś muszą się nauczyć, na jakim gównianym świecie żyją.

– Wykańczają mnie te wasze historie – mówi Clark. – Idź na te pieprzone zakupy i zabierz ze sobą małego. Liam, nie będziesz grać na tej swojej kretyńskiej konsoli, tylko pomożesz mamie w niesieniu zakupów. Chodź, Sophio, zaniesiemy żabę do wiwarium.

Sophia patrzy na matkę, która w milczeniu bierze kluczyki do samochodu i marudzącego Liama za rękę, po czym idzie za ojcem, który

wchodzi po schodach z całkiem ożywioną Betty na talerzu.

W wiwarium stoi mała wieża Eiffla przyklejona do kamienia, bo cztery miesiące wcześniej, z okazji rocznicy ślubu, Kleffmanowie pojechali do Paris, France. Wynajęli dwupokojowe mieszkanie w dzielnicy Belleville, a dzieci spały na rozkładanym łóżku w salonie. Zwiedzili katedrę Notre Dame, Łuk Triumfalny, połazili po Montmartrze i Polach Elizejskich. Sophia uparła się, żeby zobaczyć „płazy". Avril uległa i zaprowadziła ją do Jardin des Plantes, gdzie jej córka po raz pierwszy widziała aksolotla, to niezwykłe zwierzę, któremu potrafi odrosnąć oko, a nawet część mózgu.

Potem Sophia, Liam i matka wrócili prosto do Nowego Jorku lotem rejsowym, podczas którego przez ostatnie pół godziny tak trzęsło, że dzieci nie przestawały wrzeszczeć. Clark nie wrócił z nimi, bo dostał nowe zadanie i musiał się przenieść z Paryża do Warszawy, a zaraz potem z Warszawy do Bagdadu. Tym razem na pokładzie boeinga C17 miał przewieźć dwa abramsy i bombę paliwowo-powietrzną MOAB, „matkę wszystkich bomb", dziesięć ton, dziesięć metrów, prawdziwy potwór. Clark przebywał na misji przez dziewięć tygodni, po czym wrócił do Howard Beach, wciąż mając na sobie ciepły metaliczny zapach krwi Thompsona.

Inteligencja Sophii jest przedmiotem dumy Avril, a przecież ma sobie za złe zazdrość o własną córkę, o jej żywiołowość, ciekawość świata. W wieku Sophii Avril nie odstępowała swojej matki na krok i kolorowała zwierzątka, głównie źrebaki. Kiedy wiele lat później wraz z siostrami organizowała przeprowadzkę matki, która traciła rozum, odnalazła ich całe setki. To było szaleństwo: źrebaki purpurowe i kobaltowe, źrebaki zielone i pomarańczowe, we wszystkich kolorach tęczy, ale zawsze źrebaki. Nie pamiętała o tym. Nie pamiętała zresztą niczego z tamtych czasów. Bardzo wcześnie wyprowadziła się od rodziców, by poślubić tego wysokiego blondyna, tak delikatnego i troskliwego, że napisał dla niej piękny wiersz na wyrwanej z zeszytu kartce, którą jej podał w milczeniu, zażenowany własną śmiałością.

Swing the bells,
Play hide and seek,
I kissed April on her cheek

Hej, rozhuśtajcie dzwony,
Graliśmy w berka,
aż przyszedł zmrok,
I dałem Avril w policzek cmok

Tak, w tamtych czasach Clark był bardzo troskliwy. Ponieważ nie skończył studiów, kusiło go, by zostać agentem nieruchomości, potem instruktorem jazdy, ale szybko puszczały mu nerwy, jeśli klientka się wahała lub kierowca był początkujący, nie potrafił utrzymać żadnej pracy. Armia narzuciła mu dyscyplinę i przywróciła dumę. W wieku dwudziestu dwóch lat temu młodemu chłopcu, który wyglądał na osiemnaście, ogolono głowę, dano czarny beret, a przede wszystkim przyznano premię w wysokości piętnastu tysięcy dolarów. Za te pieniądze i gwarancję regularnego żołdu Avril zdołała wynegocjować pożyczkę i kupić za półdarmo, podczas załamania na rynku nieruchomości, dom w Howard Beach, którego zrujnowani właściciele zostali wyeksmitowani; wyprowadzając się, ze złości zniszczyli wszystko, co mogli, umywalki, zlew, kuchenkę, a nawet ściankę działową w sypialni. Za kilka lat, kiedy na Antarktydzie lodowiec Thwaites, kawał lodu grubości dwóch kilometrów i rozmiarów Florydy, oderwie się i zacznie topnieć, dom stanie w wodzie. Ale o tym Clark i ona nie mogli jeszcze wiedzieć, więc wszystko naprawili, a Avril pomimo wielkiego brzucha sama odmalowała całość.

April tender, April shady,	Avril czuła i marudna,
O my sweet and cruel lady,	Moja słodka i okrutna
April blooming with pastel colours	Avril pastelowymi barwami kwitnąca

Z biegiem czasu Clark zyskał pewność siebie, stał się nawet despotyczny. Avril nie rozpoznawała już tego miłego chłopca, który dla niej pisał wiersze. Treningi zmieniły go, uczyniły muskularnym i twardym. A kiedy się kochali, ten kiedyś nieśmiały młody człowiek o kobiecym ciele stawał się brutalny i egoistyczny. Wtedy właśnie zaczęła się go bać. Kiedy Clark ukończył szkolenie i zdał egzamin końcowy, Liam był już na świecie, a Sophia w drodze.

April caught in the icy storm,	Avril przez mroźną burzę złapana,
April soft, so sleepy warm	Avril mięciutka, spaniem rozgrzana

Wiele lat później Avril czuła i marudna przypadkiem otworzyła książkę leżącą u siostry i rozdziawiła usta jak karp wyrzucony na brzeg. Jego wiersz, ten piękny wiersz napisany tylko dla niej, *Fall for April*, okazał się

wierszem zapomnianego angielskiego poety, a ona jak idiotka do dzisiaj przechowywała w portmonetce złożony na cztery kawałek papieru, który dostała podczas pierwszej randki. Clark uczył się tego wiersza w szkole i po prostu starannie go przepisał. Wróciła z dziećmi do domu i całą noc przepłakała ze złości i smutku wobec tego ostatecznego upodlenia obrazu przeszłości, zdeptanego wspomnienia Clarka, który z niezgrabnością nastolatka trzyma w dłoni wyrwaną z zeszytu kartkę.

April, I fall for you. Avril, zakochałem się w tobie.

*

Clark podnosi kratkę wiwarium, przechyla talerz, żaba wypada, podskakuje na kępie mchu i natychmiast nurkuje w orzechu kokosowym, który jej służy za staw.

– Tatusiu, trzeba nakarmić Betty. Musi być głodna.

– Daj jej odpocząć, kochanie, a ty idź wziąć kąpiel i popluskać się w wannie jak Betty.

Sophia nie odpowiada. Słyszy, jak na dole zamykają się drzwi, słyszy cichnące kroki matki i Liama, trzaśnięcie, ruszający samochód. Clark odkręca krany, sprawdza temperaturę wody, wrzuca kilka kryształków perfumowanej soli, zdejmuje buty. Sophia się guzdrze. Clark marszczy brwi.

– Pośpiesz się, Sofi, myk do wody, nie mamy tyle czasu, co w Paryżu…

Rozlega się dzwonek do drzwi i ojciec milknie. Ponownie słychać dzwonek, grzebanie w zamku, Clark wznosi wzrok do góry.

Kobiecy głos:

– Panie Kleffman? Pani Kleffman? Agentka Chapman, FBI.

– Idę na dół, Sofi. Wskakuj do kąpieli, zanurz się w pianie i zakręć wodę, jak wanna będzie do połowy pełna, dobrze?

Clark wychodzi z łazienki, Sophia słyszy, jak na parterze jej ojciec podnosi głos, jakiś mężczyzna odpowiada mu stanowczym tonem, po chwili słyszy jeszcze jednego mężczyznę. Kłótnia trwa, ktoś puka do drzwi łazienki.

– Mogę wejść, Sophio? – pyta kobiecy głos.

– Tak, proszę pani – odpowiada dziewczynka.

Wchodzi kobieta, uśmiecha się, jest czarnoskóra, włosy ma gładkie, obcięte na krótko jak mama, myśli Sophia, ale wygląda na mniej zmęczoną. Agentka FBI przyklęka, gładzi ją po policzku z zawodową delikatnością: neurobiolodzy udowodnili, że dotyk jest podstawowym sposobem, by uspokoić dziecko i dać mu poczucie bezpieczeństwa.

Po chwili agentka podaje jej ręcznik.

– Dzień dobry, Sophio, nazywam się Heather. Oficer Heather Chapman. Wytrzyj się i ubierz, a ja poczekam na zewnątrz, dobrze? Wiesz, gdzie pojechała mama?

– Na zakupy z Liamem.

Kobieta wychodzi z łazienki i wyciąga komórkę.

– Sophia Kleffman jest ze mną. Ustalcie, gdzie jest w tej chwili Avril Kleffman, zapewne w najbliższym sklepie Macy’s, czarny chevrolet trax, macie numery rejestracyjne. Pojechała na zakupy z chłopcem, Liamem.

Dziewczynka jest ubrana, kobieta czeka na nią przy schodach, bierze ją za rękę. Krzyki na dole ucichły, ojca już tam nie ma.

– Chodź, Sophio, poszukamy mamy i twojego brata Liama, pojedziemy razem na przejażdżkę samochodem.

– A potem wrócimy do domu? Bo muszę nakarmić Betty.

– Betty?

– To moja żabka, proszę pani. Myśleliśmy, że nie żyje, a ona tylko wyschła. Jak aksolotle.

Kobieta wyjęła komórkę, ale teraz ją chowa.

– Nie martw się żabką. Nią też się zajmiemy. Wszystko będzie dobrze. Mów do mnie Heather. Dobrze, Sophio?

– Tak, proszę pani.

Joanna

Piątek, 25 czerwca 2021
Filadelfia

– Joanno – mówi Sean Prior – pani mózg jest gotycką katedrą.

Joanna Wasserman wytrzymuje wzrok Seana Priora, ukrywając konsternację. Naprawdę? Katedrą? Gotycką? Może to przynajmniej gotyk płomienisty, myśli adwokatka. Dlaczego nie Tadż Mahal, piramidy lub Caesars Palace w Las Vegas? Zakłopotana znajduje jednak odpowiedź.

– To lepsze niż mózg mężczyzny.

– Słucham?

– Simone de Beauvoir. Ojciec zwykł jej powtarzać, że ma „mózg mężczyzny".

Dyrektor generalny Valdeo chichocze porozumiewawczo, jakby był najlepszym kumplem Simone, jej ojca i psa. Joanna śmieje się w duchu. W najlepszym razie Prior ma niejasne pojęcie, kim jest ta cholerna Simone, ale szef giganta farmaceutycznego wartego trzydzieści miliardów dolarów nie może okazać najmniejszej słabości. Gotycka katedra… Żałosne.

Joanna przyjechała do centrali Valdeo w Filadelfii z młodym adwokatem, swoim wspólnikiem, który porządkuje całą dokumentację i ją taszczy. Firma farmaceutyczna od siedmiu lat jest klientem kancelarii Denton & Lovell, powierza jej przede wszystkim sprawy podatków i zamówień publicznych, ona sama pracuje dla nich od trzech miesięcy, a od dwóch miesięcy Prior jest jej bezpośrednim rozmówcą. Już na pierwszym spotkaniu zapytał ją, tą powolną mową z Teksasu, którą kultywuje, z uśmiechem wielkiego mięsożercy, któremu żaden drapieżnik nie zagraża:

– Proszę mi powiedzieć, pani mecenas, czy pani wie, czemu właśnie panią wybrałem spośród tych wszystkich palantów pracujących u Dentona & Lovella?

– Proszę pozwolić mi zgadnąć, panie Prior. Być może dlatego, że kończąc Stanford, byłam pierwsza na roku, może dlatego, że jestem młodą

kobietą, i na pewno dlatego, że jestem czarna. A także dlatego, że wygrywam wszystkie procesy ze starymi białasami, z którymi studiował pan na Harvardzie.

Prior wybuchnął śmiechem.

– Tak, pani mecenas, a również dlatego, że nikt poza panią nie ośmieliłby się udzielić takiej odpowiedzi.

– A ja, panie Prior, przyjęłam pana jako klienta jedynie dlatego, że potrafi pan ze mną wytrzymać.

Na co Prior dodał, zawsze bowiem musi mieć ostatnie słowo:

– No i proszę nie zapominać, że jestem absolwentem Carnegie Mellon.

Remis. Od czasu tamtej słownej potyczki Joanna Wasserman i Sean Prior udają najlepszych przyjaciół pod słońcem. Rozmawiają ze sobą jak równy z równym. Prior postawił to sobie za punkt honoru, to jest jego chwila względnej tolerancji dla różnorodności społecznej i rasowej, w ramach której dziedzic wielomiliardowej fortuny szczyci się, a nawet szczytuje na myśl, że bez cienia pogardy potrafi dyskutować z nadzwyczaj uzdolnioną młodziutką Afroamerykanką z Houston, stypendystką, która skorzystała na akcji afirmatywnej, córką elektryka i krawcowej – zebrał wszelkie możliwe informacje na jej temat.

Pomimo wszystkiego, co ich dzieli – trzydziestu trzech lat, dwóch miliardów dolarów w opcjach na akcje i śnieżnobiałej sztucznej szczęki – w rozmowach oboje nadużywają imion, co zabarwia ich wymiany zdań wyrafinowaną domieszką zjadliwej hipokryzji. Gdyby byli Latynosami, byliby ze sobą na ty. Jako burżuj chcący uchodzić za przyjaciela własnego ogrodnika Prior sam siebie przekonał do tej fikcji przyjaźni, ale Joanna nie jest aż tak naiwna. W chichocie Priora wyczuwa ów ledwie dostrzegalny ślad Południa, którego nie udało mu się całkowicie wyrugować, te drobne gesty i niuanse, naznaczające wszelkie relacje rasowe, tę spontaniczną postawę, która bogatej białej kobiecie o starannie ułożonych włosach pozwala obdarzyć swojego czarnego szofera najbardziej promiennym uśmiechem, pełnym przygniatającej życzliwości, świadczącym o jej absolutnym przekonaniu co do naturalnej niższości tego potomka niewolników, zatrutym uśmiechem, który nie zmienił się ani na jotę od czasu *Przeminęło z wiatrem*, a który Joanna od najwcześniejszego dzieciństwa widywała na upudrowanych twarzach białych klientek swojej matki, krawcowej.

Pewnego dnia pod koniec dwudziestego wieku, kiedy po wyjściu z budynku gimnazjum mała Joanna czekała na szkolny autobus, zatrzymała się przed nią czarna limuzyna, przyciemniona tylna szyba opuściła się i koleżanka z klasy zaproponowała, że ją podwiezie, a na jej twarzy malował się uśmiech szczerej radości, że jeszcze kilka minut spędzi w towarzystwie Joanny.

– Tak, Joanno, wsiądź, proszę – dodała jej matka. – Pojedziemy trochę dłuższą drogą, żeby cię odwieźć do domu, to żaden kłopot.

„Żaden kłopot”. Joanna zrozumiała: zirytowana matka ustąpiła naleganiom córki. Dziewczynka wsiadła do wielkiej niemieckiej limuzyny i wślizgnęła się na tylne siedzenie obok koleżanki. Chcąc okazać uprzejmość, kobieta za kierownicą podjęła rozmowę.

– Co chcesz robić w życiu, Joanno? Chyba nie chcesz być krawcową jak twoja matka?

Joanna nie odpowiedziała. Kiedy wróciła do domu, z oczami pełnymi łez rzuciła się w ramiona matki, uścisnęła ją i wyjęła zeszyty z tornistra. Arogancja tego jednego zdania stworzyła najwdzięczniejszą z córek i najpracowitszą z gimnazjalistek.

Dwadzieścia lat później Joanna wie, skąd pochodzi i dokąd zmierza. A przede wszystkim wie, że w zbliżającym się procesie dotyczącym heptachloranu, przy którego produkcji pracują głównie kobiety, prawie wszystkie kolorowe, czarna adwokatka, równie zadziorna jak one, może przesunąć granice i powstrzymać agresywność swoich przeciwników. Prior na pewno na to liczy. Joanna nawet się domyśliła, że tak bardzo nalegał, by została jego adwokatką, iż dzięki niemu została wynajęta przez D&L pomimo odstraszających wymagań zarobkowych, które postawiła; natychmiast przydzielono jej jednego jedynego klienta: Valdeo. Mało tego, kancelaria zrobiła rzecz niezwykle rzadką: natychmiast awansowała ją na partnera.

Duże okna gabinetu Priora, położonego na ostatnim piętrze wieżowca z lat trzydziestych, wychodzą na Delaware River. W obecności gościa Prior nie potrafi się pohamować przed krążeniem po gabinecie, przyjmując dumną pozę właściciela i udając, że się przygląda rzece z założonymi rękami i uniesionym podbródkiem à la Mussolini. Za każdym razem adwokatka pozwala mu na te długie sekundy spędzone w pozie rzekomo medytacyjnej, zwłaszcza że w biurze są dwie osoby z kancelarii, a każda minuta jest warta sto dolarów. Któregoś dnia zwróciła mu na to uwagę.

Prior sięgnął do zakamarków pamięci i wyciągnął z nich czarująco cyniczne zdanie: gdyby pieniądze nie były tak przeszacowane, nie nadawalibyśmy im takiej wartości… Sformułowanie nie jest jego autorstwa, ale Prior lubi cytować. W świecie menedżerów, w którym wszelka kultura literacka jest wprost niestosowna, uczynił z niej potężny instrument symbolicznej dominacji. A kiedy pojawiło się zagrożenie procesem karnym dotyczącym heptachloranu, tego środka owadobójczego rzuconego na rynek bez zatwierdzenia wszystkich badań, kiedy zarząd zaczął okazywać oznaki niepokoju, Prior obrócił w pył zasadę ostrożności, rzucając: Drodzy koledzy, wciąż myślę o tym przepięknym wierszu Ralpha Waldo Emersona, który się kończy następującymi słowami: „Nie idź tam, gdzie może prowadzić ścieżka, zamiast tego idź tam, gdzie nie ma ścieżki, i zostaw swój ślad”. A więc tak, w niekończącej się walce o wyżywienie ludzkości zostawimy swój ślad.

Heptachloran… Joanna przebywa w gabinecie Priora właśnie z powodu tej aktywnej molekuły, która sporej części owadów nie pozwala wyjść poza stadium larwy. Valdeo dokonało jej syntezy w pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku, od tego czasu patent wygasł i inne firmy zajęły się jej produkcją. Jak się jednak okazało, molekuła jest silnie rakotwórcza, nawet w małych dawkach, a także zakłóca gospodarkę hormonalną. Teraz, kiedy kancelaria Austin Baker zgłosiła pozew zbiorowy, Valdeo może zostać skazane na setki milionów z tytułu odszkodowań.

– Pomówmy o naszej sprawie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, Sean. W tej chwili mamy sześćdziesięciu pięciu chorych, którzy oskarżają Valdeo o nieostrożność, co może nas bardzo drogo kosztować. – Joanna bardzo lubi słowo „nieostrożność”, które zakłada brak złej woli. I nie ma nic przeciwko używaniu pierwszej osoby liczby mnogiej, która pokazuje, do jakiego stopnia jej firma czuje się związana z interesami swojego klienta. Mówi dalej: – Niech mi pan powie, Sean, czy adwokaci Austin Baker mogą przedstawić dowody, że Valdeo było świadome zagrożeń związanych z tą molekułą i ukryło to przed osobami, które miały z nią bezpośredni kontakt?

– Nie wiem, w jaki sposób mieliby tego dokonać.

– Jeśli na rozprawie ktoś panu zada podobne pytanie, może pan odpowiedzieć cokolwiek z wyjątkiem „Nie wiem, w jaki sposób”. Tak zadane pytanie jest przewrotne i ja przeciw niemu zaprotestuję. Proszę najpierw powtórzyć, że molekuła jest nieszkodliwa dla zdrowia.

– Oczywiście, że jest nieszkodliwa. Nasze ówczesne testy terapeutyczne przeczą niezależnym badaniom, które przedstawia Austin Baker.

– Świetnie. Proszę to jednak powtórzyć. To będą eksperci przeciw ekspertom, Sean. Naszym problemem jest wasz dawny inżynier, Francis Goldhagen. Według niego Valdeo postanowiło zignorować jego analizy, które udowadniały szkodliwość heptachloranu.

– Mieliśmy zastrzeżenia co do zastosowanego protokołu, więc pominęliśmy jego wnioski. Poza tym przeprowadziliśmy dochodzenie dotyczące jego życia prywatnego. Ustaliliśmy, że facet jest zdolny do kłamstw, w każdym razie wobec własnej żony.

Adwokatka wzdycha. Wygranie procesu przy zastosowaniu takich metod może w perspektywie średnioterminowej zniszczyć wizerunek kancelarii. Jego przegranie w perspektywie krótkoterminowej również nie stanowi dobrej opcji.

– Nie chcę go w ten sposób dyskredytować. Valdeo nie wyszłoby z tego z podniesionym czołem, podobnie jak wymiar sprawiedliwości.

– Wie pani, Joanno, sprawiedliwość jest jak miłość matki, zasadniczo wszyscy są za… Skoro rozmawiamy o rodzinie, jak się miewa pani siostra?

On wie, zdaje sobie sprawę adwokatka. Oczywiście. Prior, który sprawdził jej słabe strony, wie, że w lutym u jej młodszej siostry zdiagnozowano pierwotne stwardniające zapalenie dróg żółciowych. Wie również, że Ellen, jako młoda studentka, wzięła podstawowe ubezpieczenie zdrowotne, a później z przerażeniem pojęła, że to ubezpieczenie nie pokrywa leczenia chorób rzadkich, takich jak PSC. Prior sądzi, że Joanna przyjęła dobrze płatne stanowisko w kancelarii Denton & Lovell tylko ze względu na Ellen. Bez przeszczepu wątroby za dwieście tysięcy dolarów Ellen już by nie żyła, a jeszcze trzeba będzie wyłożyć co najmniej sto tysięcy rocznie, żeby ją utrzymać przy życiu przez jakieś dziesięć, może piętnaście lat, mając nadzieję, że jej delikatny organizm oprze się postępującej chorobie, zanim, być może, zostanie wynaleziona jakaś terapia. Prior się myli. Pensja miała oczywiście znaczenie, ale Joanna przede wszystkim pragnęła tej wysokiej pozycji, tej góry pieniędzy, z której szczytu mogła się przyglądać zasięgowi swojego odwetu.

Dyrektor generalny Valdeo mówi dalej poważnym tonem, w którym stara się zawrzeć wszelką skruchę, do jakiej jest zdolny.

– To straszne, co ją spotkało. Całym sercem jestem z wami.

– Jestem… wzruszona.

– Joanno, jeśli pani siostra potrzebuje czegokolwiek, zrobimy wszystko, by jej pomóc. Klinika, leki, nowatorskie terapie.

– Dziękuję, Sean. Najpierw przeszczep musi się przyjąć. Ale będę pamiętać o pańskiej propozycji. Bardzo proszę, wróćmy do pozwu zbiorowego dotyczącego heptachloranu. Poproszę mojego kolegę, mecenasa Spencera, by przedstawił panu streszczenie naszego projektu obrony.

Gdy młody adwokat kończy swoją prezentację, Sean sygnalizuje lekkim skinieniem brody, że zgadza się na strategię obrony Dentona & Lovella. Ściska im dłonie, dając w ten sposób znak, że dla niego spotkanie jest zakończone. Joanna zbiera się do wyjścia, ale Prior ją zatrzymuje.

– Chciałbym złożyć pani propozycję, Joanno. Co pani powie na wzięcie udziału w spotkaniu Dolder Clubu jutro wieczorem. Zna pani Dolder Club, prawda?

Joanna kiwa głową. Zna. To bardzo ekskluzywny klub, jeszcze bardziej sekretny niż grupa Bilderberg, na której się wzoruje. Lecz o ile Bilderberg co roku organizuje zamknięte spotkanie z udziałem setki osobistości ze świata biznesu i polityki, o tyle Dolder spotyka się w gronie zaledwie dwudziestu szefów wielkich firm, należących do almanachu gotajskiego Big Pharmy: od pięćdziesięciu lat nikt nie wie, kiedy te spotkania się odbywają ani co się na nich mówi. Możliwe, że negocjuje się ceny leków, zawiązuje przyjacielskie układy, postanawia o długoterminowych kierunkach rozwoju. Zwolennicy teorii spiskowych to uwielbiają. Prior się uśmiecha.

– Przedstawię panią jako moją osobistą doradczynię, co zresztą jest zgodne z prawdą. Tym razem nasze doroczne spotkanie odbywa się w Stanach Zjednoczonych, więc to mnie, Amerykaninowi, przypadnie zaszczyt wygłoszenia przemówienia otwierającego. Temat panią zainteresuje: „Koniec śmierci”. Julius Braun, tak, ten noblista z dwa tysiące dwudziestego, przedstawi swoje prace na temat filogenetyki embriona, potem będzie jeszcze dwóch mówców, a to, co powiedzą, wprawi panią w osłupienie. Przepraszam, że wspominam o tym tak późno, zna pani paranoję naszej branży. Spotkanie odbędzie się na Manhattanie, w salonie van Gogha w Surrey, na Upper East Side. Czy może pani przyjść o dwudziestej?

Joanna zastanawia się, jak mu powiedzieć, że Tak, to wielki zaszczyt, Sean, ale niestety dowiaduję się zbyt późno i obawiam się, że nie będę

mogła… Instynktownie, prymitywnym ochronnym gestem kładzie rękę na brzuchu. Gdyż jednej rzeczy Prior nie wie: Joanna jest w ciąży.

Było to dokładnie siedem tygodni temu; między jedzonym naprędce sashimi a spotkaniem partnerów zrobiła test w toalecie Dentona & Lovella. Kiedy na pasku pojawiły się dwa wąskie czerwone prążki, serce omal nie wyskoczyło jej z radości.

Mężczyzna, którego Joanna kocha, jest ilustratorem prasowym. Pod koniec października zeszłego roku lider neonazistowskiego ugrupowania złożył przeciw niemu pozew za rysunek, który uznał za obraźliwy; Joanna reprezentowała w sądzie gazetę i wygrała przez nokaut. Sprawa „Keller kontra Wasserman" weszła do orzecznictwa: napisanie na rysunku czy gdziekolwiek indziej, że biały supremacjonista nie ma szarych komórek, nie jest obelgą, lecz wyrażeniem opinii, a nawet diagnozą. Sprawa była łatwa. Tego samego wieczoru Aby Wasserman zaprosił ją na kolację do Tomb's, restauracji zbyt drogiej na jego kieszeń, a pod koniec spotkania, wobec oczywistej prawdy serca, zapytał ją, strasznie się jąkając, jakie ma plany na najbliższe stulecia. Powstrzymał się przed powiedzeniem, że został stworzony, by ją kochać i za nią podążać, choć naprawdę tak myślał. Joanna również nie miała wątpliwości. Podarował jej pióro, Proszę, Joanno, to Waterman, dość podobne do mojego niemieckiego nazwiska, mojego… nazwiska, które chciałbym, byś nosiła, ale wiesz, równie dobrze mogę przyjąć twoje. Joanna wzięła pióro, odkręciła nasadkę i na białym bawełnianym obrusie napisała po prostu „Joanna Woods-Wasserman", starając się nie zachowywać zbyt rzewnie. Szef restauracji pozwolił im zabrać obrus.

Od razu chcieli mieć dziecko i robili wszystko, by to osiągnąć, często, długo i w różnych miejscach. Lekarz nie miał wątpliwości: to po powrocie Joanny z Europy na początku marca, tym koszmarnym lotem, podczas którego postanowiła, że jeśli przeżyje, wyjdzie za Aby'ego za mąż, a przed ślubem na początku kwietnia ich gamety zawarły znajomość i zdecydowały się połączyć. Nigdy dość podziękowań dla białych supremacjonistów. A Żyd Aby, zdrobnienie od Abrahama, zasugerował, by – jeśli urodzi się chłopiec – nazwać go Adolf. Damy mu tak na drugie, powiedziała Joanna ze śmiechem. I od razu zaczęła sobie wyrzucać, że ma w sobie tyle radości, podczas gdy jej siostra jest bliska agonii. Lecz kilkugramowe szczęście w niej rosło i ogarniało całe jej życie.

Prior nie ustępuje.

– Joanno? Dolder?

Jutro wieczorem? Trudna sprawa: miała zamiar świętować z rodzicami koniec pierwszego trymestru… Z drugiej strony, spotkanie i taniec z diabłem także mogą być interesujące.

Adwokatka nie ma czasu na podjęcie decyzji, gdyż na biurku Priora dzwoni ciężki czarny telefon, antyk z bakelitu. Prior podnosi słuchawkę i rzuca poirytowany:

– Prosiłem, żeby mi nie przeszkadzano… Dobrze… Powiem jej. – Obraca się ku niej z zaintrygowanym uśmiechem. – Pewnie to panią zdziwi, Joanno, ale ktoś na panią czeka za tymi drzwiami. Dwoje oficerów z FBI. Liczę jednak na pani obecność jutro, o ile oczywiście zgodzą się panią uwolnić.

Sprawa Miesela

Dwudziesty drugi kwietnia, kiedy Victor Miesel skacze z balkonu, przypada w czwartek.

Obiad Clémence Balmer u Rostanda został przesunięty na później, a ona sama szykuje się na spacer w położonym nieopodal ogrodzie Luksemburskim, kiedy mail od Miesela włącza cichy sygnał dźwiękowy na jej komputerze. Clémence lubi Victora: to utalentowany autor, który może sprawiać wrażenie, że improwizuje, choć w rzeczywistości wszystko, co pisze, poprzedzone jest solidną refleksją. Jego książki zawsze mają świetną konstrukcję, są łatwe w czytaniu, a zarazem starannie napisane, nigdy takie same, Miesel daje Balmer powody do radości z wykonywanego przez nią zawodu. Sława wciąż nie nadeszła, to prawda, ale może kiedyś czytelnicy… Wystarczy tylko przecierpieć, żeby wygrać. Tak czy owak, Miesel ma to w nosie. Jego ostatnia powieść, *Niedoszłe klęski*, znalazła się na listach nagród Médicis, Goncourtów i Renaudot, by po dwóch tygodniach, przy drugiej selekcji zniknąć; zadzwoniła do niego, zirytowana i zasmucona, żeby go pocieszyć, ale po paru sekundach to on zaczął pocieszać ją, pytając, czy następnego dnia jest wolna, miał dwa zaproszenia do teatru Odéon. Cóż, wszystko po nim spływa jak woda po gęsi.

Clémence, wiedziona odruchem wydawczyni, przenosi załączony dokument do czytnika. Lecz po chwili, zaintrygowana tytułem, *Anomalia*, twardszym i ostrzejszym od poprzednich, nie widząc żadnej wiadomości wprowadzającej, otwiera plik i nie może wyjść ze zdumienia.

Clémence Balmer czyta szybko, to jej zawód, więc po godzinie kończy. *Anomalia* nie przypomina niczego, co Victor napisał wcześniej. Nie jest to powieść ani wyznanie, nie jest to również seria niepowiązanych ze sobą błyskotliwych zdań czy złotych myśli. To dziwna książka o pulsującym rytmie, od której nie sposób się oderwać, Clémence rozpoznaje wszystko to, co miało wpływ na Miesela, od Jankélévitcha po Camusa, Gonczarowa i wielu innych. Ponury tekst, bez dystansu, w którym nawet szyderstwo jest podszyte bólem: „Boże, jakże głupota jest nasączona duchem religii. Każda pewność zadaje śmiertelny cios inteligencji. Aby ze śmierci uczynić jeszcze

jedną niemiłą przygodę, wierzący musieli stracić rozum. Skoro zwątpienie zrobiło ze mnie samouka życia, tym bardziej będę się cieszyć każdą chwilą. Nigdy nie daję się ponieść mistycznym emocjom, nawet wobec wspaniałego migotania chmury. Tonąc, próbuję pływać, przecież nie będę się modlić do Archimedesa. A w dniu, w którym pójdę na dno, moje oczy otworzą się na otchłanie, gdzie nie ma teorematów”.

Odczuwając nagły niepokój, Clémence Balmer postanawia od razu zadzwonić do Miesela. Najpierw na komórkę, potem na stacjonarny. Słuchawkę podnosi policjant. Dowiedziawszy się, co uczynił Miesel, Clémence jest zdruzgotana, ścina ją z nóg. Gdy odpowiada na pytania oficera, ogarnia ją głęboki smutek i ponura złość. Kiedy po raz ostatni widziała Victora? Na początku marca, świętując nagrodę za przekład, poszli na kolację do Lippa, on jak zwykle zjadł andouillette, ona sałatę po parysku, pili pic-saint-loup, niczego nie zauważyła, w żadnym zdaniu swojego przyjaciela nie odszyfrowała jakiejkolwiek wskazówki. Po raz drugi czyta *Anomalię*, tym razem uwzględniając nadchodzącą katastrofę. Dostrzega, że podpisał powieść jako Victør Miesel, z ø, które jest niczym innym jak symbolem pustego zbioru. Tragiczną kokieterią.

Clémence kontaktuje się, z kim może. Rodzice Miesela nie żyją, on sam nie ma rodzeństwa. Jest Ilena Leskow, młoda lektorka rosyjskiego na orientalistyce, która go rzuciła po roku burzliwego związku, a przy okazji prawnuczka Nikołaja Leskowa, którego Victor tłumaczył. Ilena parokrotnie powtarza „*Боже мой!*”, „Co za tragedia!”, „Jak to możliwe?” – jest w tym przekonująca – i szybko odkłada słuchawkę. Clémence przypomina sobie zdanie Miesela, które przed chwilą przeczytała: „Nikt nie żyje dość długo, żeby się przekonać, jak bardzo nikt nikogo nie obchodzi”.

Wydawczyni bierze sprawy w swoje ręce, dzwoni do przyjaciół, organizuje pogrzeb, oczywiście świecki, zamawia nekrolog w „Le Monde”.

Wydawnictwo L’Oranger,
Clémence Balmer z zespołem
ze smutkiem zawiadamiają
o odejściu Victora Miesela,
pisarza, poety, tłumacza
i przyjaciela

Redaguje długi komunikat dla agencji France-Presse, przypominając najbardziej prestiżowe przekłady oraz książki, które znalazły uznanie

krytyków. Dodaje, że wkrótce ukaże się wyjątkowy rękopis skreślony przez Miesela, zanim popełnił swój gest ostateczny. Cytuje trzy fragmenty *Anomalii*, po czym, chociaż nigdy nie pije, nalewa sobie odrobinę whisky, którą powolutku sączy, szkocki single malt, który Victor tak lubił.

Następnego dnia rano, na spotkaniu „komitetu w ograniczonym składzie” – co stanowi nieco kpiące sformułowanie, zważywszy, że wszyscy pracownicy są na nim obecni, nawet dwoje stażystów – z przekonaniem czyta początek tekstu. Dwaj dyrektorzy serii wyrażają aprobatę, dyrektor handlowy nalega, żeby rzecz wydać jak najszybciej, nie ośmielając się wypowiedzieć nekrofilskiej oczywistości: krytyka i czytelnicy będą uwielbiać historię książki oddanej do wydawnictwa tuż przed wielkim skokiem. Ma w głowie przykład sprzed trzynastu lat, jak ten autor się nazywał? A może zmienić tytuł, żeby bardziej przypominał tragiczny koniec? – sugeruje kierownik do spraw kontaktów z księgarniami. Nie, nic z tego, odpowiada sucho Clémence Balmer. To może banderola lub obwoluta? Też nie. Lub przynajmniej pisać Victor zamiast Victør? Biorąc pod uwagę pozycjonowanie, byłoby to chyba bardziej praktyczne, nie? Nie.

Korektę zrobiono w weekend, skład w poniedziałek, egzemplarze próbne natychmiast wysłano do prasy, a pod koniec tygodnia materiał przekazano drukarni, która uruchomiła maszyny w tym samym dniu, w którym Miesela skremowano na cmentarzu Père-Lachaise. Jeszcze nie rozsypano jego popiołów, kiedy książka poszła do dystrybutora. To rekord, żadnemu wydawnictwu się to nie udało od czasu biografii Lady Di. W pierwszą środę maja sterty *Anomalii* piętrzą się we wszystkich księgarniach. Clémence Balmer podjęła decyzję o nakładzie, dziesięć tysięcy egzemplarzy, żeby książce z prostą niebieską banderolą noszącą napis MIESEL dać wszelkie szanse.

Sukces jest natychmiastowy. Dział kultury „Libération” poświęca jej obiecaną rozkładówkę, „Le Monde des livres”, który przemilczał jego dotychczasowe książki, odkupuje swoje winy długim pochwalnym nekrologiem, w którym można przeczytać, że „należy pogratulować wydawnictwu L’Oranger, iż wydało teksty Miesela”, „La Grande Librairie” dokopuje się do wszystkich istniejących nagrań filmowych z Mieselem, aby sporządzić jego portret, zaś kanał France Culture poświęca mu trzy programy: sprawa Miesela rusza. Clémence pośpiesznie dodrukowuje *Niedoszłe klęski*, a nawet powieść sprzed pięciu lat, *Góry przyjdą do nas*, której ostatnim egzemplarzom, zalegającym w magazynie, groził przemiał.

Odbywają się liczne spotkania, niektóre z nich Clémence zgadza się poprowadzić. Aktorzy czytają fragmenty książki w księgarniach, w paryskim Maison de la Poésie odbywa się „Noc Miesela”, gdzie przed wypełnioną po brzegi salą pewien słynny aktor o niskim głosie, którym *Anomalia* „wstrząsnęła”, przez cztery godziny czyta cały tekst. Wśród publiczności siedzi zapłakana Ilena. Wydanie książki w maju nie jest idealne dla udziału w przyznawanych jesienią nagrodach literackich, ale Miesel – o czym po cichu mówi się wśród członków jury – jest „nie do pominięcia”. Zaczyna się głośno wspominać o nagrodzie Médicis.

Również w maju zostaje założone Towarzystwo Przyjaciół Victøra Miesela, zbieranina jego kolegów i wielbicieli, którzy oczywiście ani go nie znali, ani nawet nie czytali. Victør Miesel ma w tej chwili niewiarygodną liczbę „najlepszych przyjaciół” – od pana T., dandysa o wysokim głosie, zawsze w czarnej kusej marynareczce, po Salerno – Silvio? Livio? – jego „bardzo starego kumpla”, o którym Clémence Balmer nigdy nie słyszała. Wkrótce Towarzystwo zmienia nazwę na Avimi, później na Anomalistów. Ilena jest jego członkinią, a dzięki swojemu znakomitemu opisowi ich mało chwalebnej historii miłosnej panna Leskow stopniowo zyskuje tragiczny i dostojny status oficjalnej wdowy.

Clémence Balmer z pewnym dystansem i niesmakiem patrzy na to wszystko. Trzeba powiedzieć, że sukces po pięćdziesiątce to trochę musztarda po obiedzie. Pośmiertna sława Miesela smuci przyjaciółkę jeszcze bardziej niż jego niezasłużona niewidoczność smuciła niegdyś wydawczynię. Co napisał Victor? „Wszelka sława jest tylko hochsztaplerstwem, z wyjątkiem być może sławy biegacza. Każdego jednak, kto okazuje jej pogardę, podejrzewam o szał na myśl, że musiał z niej zrezygnować”.

Slimboy

Piątek, 25 czerwca 2021
Eko Atlantic, Lagos, Nigeria

Włoskiemu konsulowi w Lagos plączą się nogi przy każdym kroku, który przybliża go do ptifurków. Ani Nigeria, ani alkohol mu nie służą. Ugo Darchini chwieje się i potyka, a kiedy parę kropel szampana wylewa się z jego kieliszka na podłogę z egzotycznego drewna w tej nieproporcjonalnie dużej sali bankietowej hotelu Eko Atlantic, przeprasza chrapliwym głosem pijaka.

Darchini zbliża się do francuskiej pani konsul stojącej obok bufetu, niczym tonący do koła ratunkowego. Jej cytrynowożółtą suknię uważa za hipnotyczną, swoimi złotymi esami-floresami przypominającą bandzioch króla Ubu. Od czasu gdy na nigeryjskich przyjęciach tradycyjne kolorowe dashiki i boubou plemienia Joruba zostały zastąpione przez kostiumy od Versace i smokingi od Armaniego, człowiek musi się bardzo postarać, jeśli nie chce pozostać niezauważony. Trzej Nigeryjczycy, którzy dyskutowali z panią konsul, na widok Włocha oddalają się, jakby był trędowaty. Koliste wzory na sukni przyciągają wzrok Darchiniego, budząc w nim lekkie mdłości.

– *Buona sera*, Hélène. Pani strój jest cudownie tapafizycz… patafizyczny. Przepraszam, a przecież wypiłem tylko dwa kieliszki.

– Dobry wieczór, Ugo, co u pana słychać? Myślałam, że po tym, co się stało, wrócił pan do Włoch. Wiem, że pańska córka wraz z matką wyjechały do Sieny.

Ugo Darchini wykrzywia usta w uśmiechu, nie, Hélène Charrier nie może zrozumieć, nie może sobie wyobrazić tych dni, które spędził, negocjując z naćpanymi metamfetaminą porywaczami, by oddali jego czternastoletnią córkę, kiedy nie ośmielał się myśleć o tym, co przeżywa Renata, kiedy bał się, czy któryś z tych obłąkanych facetów nie obetnie jej palca lub ucha, żeby szybciej otrzymać siedemdziesiąt tysięcy dolarów, bo

tyle żądali. Przekazał pieniądze „bezpiecznemu konsultantowi”, Taiwo, typkowi mocno podejrzanemu, ale poleconemu przez wicedyrektora działu poszukiwań naftowych w koncernie ENI. Dwa lata wcześniej odegrał już rolę pośrednika, kiedy porwano syna wicedyrektora. Wymiana z *area boys* odbyła się pod ochroną przewieszonych przez ramię kałaszy po obu stronach, w małej uliczce w dzielnicy Apapa, niedaleko portu, naprzeciwko kościoła ewangelickiego, na którym miga napis *Pray as you go*. Wówczas okup wynosił jedynie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wszystko drożeje.

A przecież każdy, od ambasadora w Abudży po telefonistkę w konsulacie, go ostrzegał, Niech pan uważa na córkę, panie konsulu, kiedy idzie do liceum międzynarodowego, tutaj ludzie żyją za jednego dolara dziennie, więc kidnaping to biznes taki sam jak każdy inny, a nawet lepszy od innych. Lecz stanowisko w Lagos było koniecznym etapem, jeśli za rok lub dwa chciał pracować w Atenach. Maria uparła się, że będzie mu towarzyszyć, żeby Renata poznała Afrykę. Tylko raz, jeden raz zabrakło mu odwagi, by zakazać córce wyjścia bez zbrojnej eskorty poza teren domu. Jeden raz.

– Dobrze, że wróciły do Włoch – wzdycha francuska pani konsul. – Zaręczam panu, że w Lagos z dnia na dzień jest coraz gorzej. Dostawy prądu trwają co najwyżej pół godziny, po czym następują wielogodzinne przerwy. Nie wiem, jak ludzie przechowują jedzenie bez lodówek. Gdybyśmy nie mieli agregatu prądotwórczego, nie moglibyśmy pracować w konsulacie, a bez zbiornika nie mielibyśmy wody. I wszystko tak wygląda, Ugo. *Tutto*.

Tak, wszystko tak wygląda. Ugo to doskonale wie. Po raz pierwszy zobaczył Lagos przez okno samolotu, miasto pokryte brunatną chmurą zanieczyszczeń, całe kilometry przyklejonych do siebie ruder, miliony dachów z zardzewiałej blachy, anarchiczna siekanina, i ten gigantyczny korek w czarno-żółtych kolorach stonki ziemniaczanej, tysiące mikrobusów, tak niebezpiecznych, że próbuje się ich zakazać, ale na próżno. Każdego lata w porze ulewnych deszczów ulice zmieniają się w cuchnące bajoro i Lagos wszystkim przypomina, że jego nazwa oznacza po portugalsku „jeziora”. Od dziesięcioleci miasto jest pozostawione samo sobie, skorumpowane do tego stopnia, że zagraniczne przedsiębiorstwa robót publicznych odmawiają podpisywania kontraktów z jego władzami. Nawet rządzący machnęli ręką i przez pięć lat żaden prezydent Nigerii nie przyjechał do Lagos.

Ugo codziennie słyszy jakieś tragiczne historie. O nastolatce, która by dostać się do jedynego kranu z wodą pitną, przechodzi przez drogę szybkiego ruchu, zostaje potrącona, a dziesięć samochodów przejeżdża po jej ciele i się nie zatrzymuje. O mężczyźnie, który podczas ataku epilepsji pada na ziemię – to było wczoraj, kucharka Naruma widziała to na własne oczy – a przechodnie zostawiają go w drgawkach, toczącego pianę z ust, może nawet martwego. O staruszku ze slumsów w dzielnicy Oshodi, który rzuca się pod gąsienice buldożera, by uratować trzy ubrania, a buldożer nawet na chwilę nie przystaje.

Jeśli uważasz się za twardziela, przyjedź do Lagos, to zobaczysz.

Pani konsul odstawia kieliszek i przywołuje młodą, wysoką czarnoskórą kobietę o obfitych kształtach, w purpurowym dashiki, która podchodzi i entuzjastycznie ją całuje.

– O, Hélène! Szukam dyrektorki Fashion Week Lagos, ale nie wiem, gdzie może być…

– Swahila, pozwól, że ci przedstawię Ugo Darchiniego, mojego włoskiego kolegę. Swahila Odiaka od roku jest naszą attaché kulturalną.

Kobieta uśmiecha się i ściska miękką dłoń, którą podaje jej konsul. Przy wejściu do sali strzelają flesze, rozlegają się okrzyki.

– Och, to Slimboy! – wykrzykuje attaché kulturalna. – Za dwie godziny ma koncert na Victoria Island. Oczywiście znasz Slimboya, Hélène.

Nie, Hélène go nie zna. Attaché kulturalna ze śmiechem nuci:

– *Money not worth it worth it*… Nigdy nie wchodzisz na YouTube’a, Hélène? Trzy lub cztery miesiące temu był znany tylko lokalnie, ale teraz to czyste szaleństwo, jego piosenka *Yaba Girls* w ciągu kilku tygodni miała ponad miliard odsłon. Eksplozja medialna, jak ten Koreańczyk dziesięć lat temu, pamiętasz? Zresztą… Slimboy? Panie konsulu?

Ugo uprzejmie zaprzecza.

– Przykro mi, nigdy o nim nie słyszałem. Mnie interesuje raczej Verdi lub Puccini, w ostateczności Paolo Conte.

Tym razem to Swahila w akcie drobnego odwetu udaje niewiedzę.

– *Yaba Girls* to piosenka w rytmie hip-hopu i R’n’B, no powiedzmy, taki afropop. Napisana w hołdzie dla jego matki, która miała sklepik w Yabie, w dystrykcie mody. – Gestem każe im iść za sobą. – Chodźcie ze mną. Podejdziemy do niego, zaraz będzie miał konferencję prasową. W marcu zeszłego roku ministerstwo wsparło go przy organizacji jednego z paryskich koncertów.

Konsul Włoch i pani konsul Francji idą za attaché kulturalną, która podniecona toruje sobie drogę w gęstniejącym tłumie, aż do muzyka i jego towarzyszki, do jazgotliwego pisku fanów i paparazzich.

– Slimboy! Slimboy! Prosimy do zdjęcia! Pocałuj Suomi!

Cesarz afrykańskiej muzyki pop, ulegając namowom fotografów, klęka w blasku fleszy i całuje młodą aktorkę, jest równie wysoki, jak jego nowa narzeczona niska. Długo, posłusznie i życzliwie pozują. Może na tym polega szczęście.

Femi Ahmed Kaduna, alias Slimboy, wciąż nie może dojść do siebie. Trzy miesiące temu był znany jedynie w Little Lagos, czyli Peckham na południu Londynu, ewentualnie w Westchase na przedmieściu Houston; ani przeróbki kultowych piosenek Feli Kuti, ani koncerty w Paryżu i Nowym Jorku nie przyniosły mu sukcesu.

To w ostatniej godzinie lotu z Paryża do Nowego Jorku, gdy po zużyciu stosu torebek na wymioty myślał, że nie wyjdzie z tego wszystkiego cało, Slimboy wpadł na pomysł piosenki *Yaba Girls*. Piosenki, która w prostych słowach miała opowiadać o jego przywiązaniu do dzielnicy, gdzie spędził dzieciństwo, o dziewczynach od „igieł i nożyczek”, piosenki wyrażającej wdzięczność małego Femiego wobec matki, która na targu sprzedawała naszyjniki, codziennie się za niego modliła i niedawno zmarła, miała to być piosenka łagodna, zaskakująca i melodyjna.

Podczas lotu do Lagos postanowił, że przynajmniej raz w jego klipie nie będzie samochodów o potężnych silnikach i łodzi motorowych, że nie zobaczymy w nim pięknych półnagich dziewcząt, które tańczą na plaży lub podrygują z nim na łóżku w luksusowej willi, że nie będzie obnosił się ze złotymi łańcuchami na szyi ani z uśmiechem liczył dolarów. Nie, tak robili wszyscy, a on miał ochotę na coś innego, chciał pokazać godność zwykłych ludzi, zmęczonych robotnic, sprzedawczyń, krawców, ciężko pracujących prasowaczy, śmiejących się i tańczących przy czterdziestu stopniach w cieniu; jedynym akcentem kolorystycznym będą pasy afrykańskich woskowanych tkanin wyprodukowanych w Holandii. A on, Slimboy, cały na biało, będzie spacerować po brudnych ulicach miasteczek, śpiewając po angielsku i w języku joruba, witając się z tymi i owymi, pełen szacunku, nawet pokory, jak kłaniający się chłopczyk, którym był w czasach swojego szczęśliwego dzieciństwa. On, Slimboy, złamie kody afrykańskiego rapu, nie będzie nadużywać automatycznych podkładów, pogłosu, delayów i innych do szczętu zużytych efektów, pojawi się łagodnie kołyszący

saksofon w kontrapunkcie do linii melodycznej. Slimboy nawet znalazł muzyka, starego, łysiejącego, chudego jak szkielet białasa, wirtuoza z Quebecu, który od czasu do czasu grywał z kanadyjskim raperem Drakiem i mógł symbolizować stary świat przekazujący pałeczkę nowemu.

W dwa dni nakręcili klip na ulicach Yaby, od razu wrzucili do sieci i piosenka objechała cały świat. Powstały już cztery remiksy *Yaba Girls*, w tym jeden zrobiony przez Franksa, Slimboy okazał się największą niespodzianką festiwalu Coachella, śpiewał razem z Beyoncé i Eminemem, został zaproszony do programu Oprah Winfrey. Tak, może na tym polega szczęście.

W maju, po powrocie z tournée po Anglii, kupił żółte lamborghini i ogromne mieszkanie na ostatnim piętrze wieżowca Eko Atlantic, którego kamień węgielny nie został jeszcze położony; natury nie da się oszukać. Tak czy owak, o tym właśnie śnią młodzi Nigeryjczycy, pragną, by ktoś im sprzedał marzenia, chcą pić szampana w sportowych autach, zwiedzać penthouse'y z widokiem na morze, chcą słyszeć, że chociaż co rano budzą się w baraku z przerdzewiałej blachy wśród porzuconych opon i zdechłych szczurów, to jednak bogactwo i sława czekają tuż za rogiem, fakt, uda się jednemu na milion, ale co ich to obchodzi, przecież padnie właśnie na nich.

Włoski konsul, francuska pani konsul i attaché kulturalna zdołali dotrzeć do estrady, na której stoi Slimboy. Źle słyszą pytania, ale stojący przed mikrofonem piosenkarz zdaje się namyślać i odpowiada:

– Chcę wierzyć, że Eko Atlantic to szansa dla Lagos i Nigerii, a wszyscy okoliczni mieszkańcy skorzystają na budowie tego najbardziej ambitnego miasta Afryki.

Pani konsul potrząsa głową i wzdycha: ta absurdalna teoria skapywania ma jeszcze przed sobą wiele pięknych dni. Obraca się w stronę Darchiniego.

– No właśnie, Ugo, co pan sądzi o tej ohydzie? Inaugurujemy budynek za budynkiem, opychając się kawą i ciasteczkami?

Włoski konsul wydyma usta. Tak, Eko Atlantic, ta sztuczna wyspa wyrwana oceanowi, to prawdziwy koszmar. Na razie to tylko olbrzymia pusta działka, ale dwieście tysięcy najbogatszych ludzi w Lagos zamieszka w tych lśniących drapaczach chmur, by przed przemocą metropolii chronili ich uzbrojeni strażnicy na mostach. W tej twierdzy będą mieć własną elektrownię, własną oczyszczalnię ścieków, własne restauracje, własne

hotele, własne baseny i własną marinę, przy której zacumują własne jachty…

– Mówią, że to będzie afrykański Dubaj – dodaje Hélène Charrier. – Nawet podnieśli działkę o kilka metrów w obawie przed zalaniem. Z okien tych luksusowych budynków będzie widać Lagos i jego czterdzieści milionów tonących mieszkańców, od Kuramo Beach po slumsy Makoko, ten rynsztok pod otwartym niebem… Przepraszam, Ugo, ale moim zdaniem to jest straszne. A wie pan, co jest najgorsze? Że tak będzie wyglądać świat jutra. Rzuciliśmy ręcznik, poddaliśmy się, każdy usiłuje dać sobie radę na własną rękę, jednak nikt się nie uratuje. To nie Lagos oddala się od cywilizacji, to my wszyscy zbliżamy się do Lagos.

– Przesadza pani, Hélène.

– Chciałabym, Ugo.

Nagle w sali, gdzie odbywa się konferencja prasowa, wszyscy milkną. Jakiś dziennikarz zadał pytanie Slimboyowi.

– Eze Onyedika z „Puncha”. Slimboy, podobno zaśpiewasz nową piosenkę z Doctorem Fakiem? Czy jest to piosenka wspierająca homoseksualizm? Czy jesteś homoseksualistą?

Zapada cisza ciężka jak głaz. Jeśli cała Afryka jest piekłem homoseksualistów, Nigeria jest jego dziewiątym kręgiem. Według prawa grozi im czternaście lat więzienia, policja ich ściga i wyciąga od nich pieniądze, ludność ich odrzuca ze wstrętem i niechęcią, karmiona nienawiścią i plotkami rozsiewanymi przez ewangelickich biskupów i pastorów na południu, a na północy przez stosujących prawa szariatu muzułmanów. Nie ma dnia, by jakiś młody człowiek nie został zamordowany lub zlinczowany, nie ma dnia, by jakiś piosenkarz, aktor lub sportowiec nie musiał, z przerażeniem w głosie, zarzekać się, że nie jest gejem. A trzy miesiące temu dystyngowany Doctor Fake co prawda nie ośmielił się przyznać, że woli mężczyzn, ale złamał tabu swoim przebojem o dość niewinnych, choć dwuznacznych słowach *Be Yourself*.

– Dużo pytań naraz – odpowiada Slimboy. – Tak, zaśpiewam piosenkę z Doctorem Fakiem, nosi tytuł *True Men Tell the Truth*. Ale to nic nie znaczy, to nie jest piosenka „wspierająca homoseksualizm”. Kiedy śpiewam *My Nollywood Girl*, śpiewam o miłości, nie o „wspieraniu heteroseksualizmu”. Czujesz różnicę? Mam zresztą ekstra newsa: właśnie się dowiedziałem, że niedługo mam nagranie w Londynie z Eltonem Johnem. Pojutrze przylatuje po mnie jego prywatny samolot.

Dziennikarz nie odpuszcza:

– Jesteś gejem, Slimboy?

– Chcesz się umówić na randkę?

Dziennikarze wybuchają śmiechem, Slimboy idzie za ciosem.

– Dlaczego nie zadasz tego pytania Suomi?

Młoda kobieta grzecznie się uśmiecha i całuje Slimboya w usta z zachłannością równie sztuczną co radosną. Przy oklaskach dziennikarzy pocałunek nie trwa długo. Slimboy z galanterią go kończy i dodaje:

– Ale kiedy czytam, że mieszkańcy jakiejś wioski ukamienowali dwóch szesnastolatków, bo miejscowy kaznodzieja ogłosił, że się całowali, stwierdzam, że w naszym kraju coś się powinno zmienić. W tej sprawie Suomi i ja w pełni się zgadzamy. Nie można nikogo zmusić, by był tym, kim nie jest. Potrzebna jest tolerancja, potrzebna jest miłość. Jak można wierzyć, że będziemy szczęśliwsi, czyniąc innym zło?

Podnosi się ogólna wrzawa, padają kolejne pytania. Slimboy obraca się w stronę zaniepokojonego menedżera, który skraca konferencję. Gdyby jednak piosenkarz posłuchał siebie, opowiedziałby o losie Toma, swojego pierwszego kochanka, z którym był związany w wieku piętnastu lat, spalonego żywcem przez rozszalały motłoch na jego oczach, podczas gdy on sam uciekał boso w środku nocy, nieprzytomny, przerażony, z twarzą zalaną krwią, biegł przez Ibadan, a za nim wrogi tłum, o swoich następnych związkach, zawsze już niebezpiecznych i przelotnych, o rozpaczy gejów z Nigerii i z całej Afryki, którzy uciekli, by schronić się w zimnych krajach białego człowieka, gdzie przynajmniej mają prawo oddychać. Będzie śpiewać z Doctorem Fakiem *True Men Tell the Truth*, ale cóż to za szczyt ironii, kłamstwa, co za zdrada! Slimboy dobrze wie, że aby nadal mieszkać w Lagos, musiał sobie wymyślić nowe życie, wejść w porozumienie z Suomi, wschodzącą gwiazdą Nollywood, uroczą Suomi, która tak kocha kobiety, jak on kocha mężczyzn.

Nagle Hélène Charrier dostrzega wysokiego czarnoskórego mężczyznę w ciemnym garniturze. Trzymając się dyskretnie na uboczu, obserwuje on młodego piosenkarza. Hélène obraca się w stronę włoskiego konsula i wskazuje mężczyznę podbródkiem.

– Ugo? Widzi pan tego faceta, który stuka w komórkę i robi zdjęcia? Przedstawiam panu attaché handlowego Wielkiej Brytanii, Johna Graya. Nie dałabym sobie ręki uciąć, że to jego prawdziwe nazwisko, jestem natomiast pewna, że pracuje w brytyjskich tajnych służbach. I nie on jeden.

Jest tu jeszcze dwóch innych ze służby bezpieczeństwa konsulatu. A przede wszystkim pół tuzina dziwnych typków, których nigdy nie widziałam. Mówię panu, że to MI6.

– Ma pani dobre oko, Hélène. Czy nie pracuje pani przypadkiem we francuskich służbach?

– Ależ skąd, Ugo, oczywiście, że nie. Najlepszy dowód: gdybym w nich pracowała, przecież i tak bym temu zaprzeczyła.

– Jasne. Hélène, czy zna pani historię amerykańskiego szpiega na misji w Związku Radzieckim, to nas nie odmładza, który chce się ujawnić? I idzie na Łubiankę.

– Na co?

– Na Łubiankę… To siedziba KGB w Moskwie… No więc przychodzi i mówi: „Jestem szpiegiem, chcę się ujawnić". „Dla kogo pan pracuje?" – pyta facet na recepcji. „Dla Stanów Zjednoczonych". „To zapraszam do biura numer dwa". Amerykański szpieg idzie do biura numer dwa i mówi: „Jestem amerykańskim szpiegiem i chcę się ujawnić". „Czy ma pan broń?" „Tak, mam broń". „To proszę się udać do biura numer trzy". Facet idzie do biura numer trzy. „Jestem amerykańskim szpiegiem, mam broń i chcę się ujawnić". „Czy jest pan na misji?" „Tak, jestem na misji". Amerykański agent zaczyna się wkurzać. „Proszę pójść do biura numer cztery". Facet idzie do biura numer cztery i mówi: „Jestem amerykańskim szpiegiem, mam broń, jestem na misji i chcę się ujawnić". „Naprawdę jest pan na misji?" „Tak". „To niech pan idzie wykonać tę swoją cholerną misję! I da święty spokój ludziom, którzy tu ciężko pracują!" – Ugo śmieje się z własnego dowcipu.

– Dobry żart – mówi Hélène, która go oczywiście znała, bo wszyscy sobie tę historyjkę opowiadają „na basenie", w siedzibie francuskiego kontrwywiadu. Przed nominacją na stanowisko konsula w Lagos była oczami Dyrekcji Generalnej do spraw bezpieczeństwa terytorium Kenii i Republiki Południowej Afryki.

Tajniacy nie ruszyli się o krok, nie spuszczają oczu ze Slimboya.

– To nam nie wyjaśnia, co oni tu robią ani od kiedy Intelligence Service interesuje się afrykańskim rapem i R'n'B.

Adrian i Meredith

Czwartek, 24 czerwca 2021
Fine Hall, Uniwersytet Princeton, New Jersey

Przed wydziałem matematyki w Princeton, eleganckim budynkiem ze szkła i czerwonawej cegły w nieco już przestarzałym stylu modernistycznym, studenci rozstawili stoły na koziołkach, rozłożyli biały spiczasty namiot i rozpalili barbecue. Przy stercie kiełbasek odbywa się feta na cześć zdobytego przez Tanizakiego Medalu Fieldsa, a specjalista od rachunku prawdopodobieństwa Adrian Miller świetnie zdaje sobie sprawę, że gapi się na swoją koleżankę Meredith Harper na przemian ze spiętym uśmiechem, to znów z idiotycznie sentymentalnym wyrazem twarzy. Kiedy Adrian zobaczył Meredith po raz pierwszy, wydała mu się wręcz brzydka. Takie wrażenie bywa przelotne, co każdy pisarz może potwierdzić. Dwa miesiące minęły od przyjazdu brytyjskiej topolożki, a teraz Meredith ze swoimi zbyt chudymi nogami, zbyt ulizanymi ciemnymi włosami, zbyt długim nosem i zbyt czarnymi oczami, ta zawsze zdystansowana Meredith szaleńczo go pociąga.

Aby nabrać śmiałości i do niej podejść, Adrian wypił jedno piwo, potem drugie. Na trzeźwo może sprawiać złudne wrażenie – Meredith powiedziała mu kiedyś, bez żadnej złośliwości, że przypomina jej Ryana Goslinga w nieco gorszym, łysiejącym wydaniu – ale w tej chwili wygląda po prostu jak facet, który się nachlał. Swoje szanse na sukces ocenia na dwadzieścia siedem procent. Mogłyby one osiągnąć czterdzieści procent, gdyby tak nie cuchnął alkoholem, ale z drugiej strony stan upojenia o mniej więcej sześćdziesiąt procent zmniejszy jego cierpienie w przypadku odmowy. Jako specjalista od rachunku prawdopodobieństwa uznał, że przy takich szansach na dostanie kosza lepiej być zalanym.

Większość swojego życia Adrian spędził na obliczaniu prawdopodobieństwa, od czasu do czasu słuchając Bacha i Beach Boysów. Nie założył rodziny, żadne dziecko nie nosi jego nazwiska, chyba że jakieś

niejasne twierdzenia matematyczne uznamy za jego progeniturę. Meredith to jego pierwsza emocja miłosna od dawna, a nawet – jak w tej chwili myśli z pewną emfazą – od zawsze. Stoi sama pod rozłożystą akacją, pełna wdzięku w długiej bawełnianej czarnej sukni. Adrian stara się do niej podejść w miarę prostym krokiem.

– Piłem – oznajmia bez ogródek.

– Potwierdzam – mówi Meredith, która faktycznie zauważyła jego niezbyt pewny chód.

– I śmierdzę piwem, przepraszam.

– Nie mam do pana pretensji, Adrianie, ja też trochę wypiłam. – Pokazuje pustą butelkę, którą trzyma w ręce, pochyla się rozkosznie niepewnym ruchem i chucha mu w twarz ciepłym oddechem z nutą chmielu. – Niech pan powącha, Adrianie, to zapach irytacji i nudy.

Meredith nudzi się w Princeton. Londynka nie lubi tego prowincjonalnego miasta, gdzie japońska restauracja – ta, która jest otwarta „do późna" – włącza migoczące światełka już o wpół do dziesiątej, sygnalizując, że wkrótce się zamyka, ani tego campusu, który ze swoimi średniowiecznymi donżonami i dzwonnicami z dziewiętnastego wieku stara się upodobnić do Hogwartu, nie potrafi przywyknąć do tych studentów, którym się zdaje, że wyskoczyli prosto z uda Jowisza i z racji, że ich rodzice wyłożyli sześćdziesiąt tysięcy dolarów na czesne, mailują do niej o dowolnej porze z banalnymi pytaniami dotyczącymi twierdzenia o symplektycznym wielbłądzie Gromowa, na które domagają się natychmiastowej odpowiedzi, chociaż, do jasnej cholery, mogliby poszukać w Wikipedii, gdzie odnośny artykuł jest bardzo dobrze zredagowany, nie cierpi tych wykładowców, którzy patrzą na nią z góry, jako że jej macierzysty uniwersytet, St. Andrews, nie może się równać z Princeton, bo przecież oni nauczają na Princeton, CBDU. Adrian jest inny i gdyby był mniejszą ofermą, już dawno by się zorientował, że ona go lubi. Jak na specjalistę od rachunku prawdopodobieństwa Adrian jest marzycielem, ma zielone oczy, przez które można by go wziąć za teoretyka liczb, chociaż włosy nosi długie jak teoretyk gier, okulary – małe, stalowe, à la Trocki, takie jakie lubią logicy, i stare podarte T-shirty algebraika – ten, z którym się teraz obnosi, jest wyjątkowo porozciągany i żałosny. Meredith domyśla się, że Adrian jest geniuszem. Gdyby był kiepski, dawno by znalazł robotę w finansach. Jest błyskotliwy, ale nieśmiały, a kiedy mamrocze „Meredith,

chciałem panią prosić… Yyy… Pracuje pani nad przestrzeniami lokalnie symetrycznymi i…”, ona mu przerywa:

– Nie, Adrianie, absolutnie nie. Obecnie pracuję nad tym, żeby się porządnie upić. Jestem zachwycona, że Tanizaki i ten macho Brenner ze Stanfordu dostali Fieldsa za problem wzajemnych powiązań między topologią a geometrią algebraiczną, czyli z dziedziny, w której podpisywaliśmy wspólnie wszystkie artykuły, o ile nie pisałam ich samodzielnie. Poza tym mieszkam w Trenton, w parszywym bungalowie, gdzie woda raz jest zimna, a raz letnia, moja hybrydowa toyota stoi rozkraczona od sześciu dni, podobno coś z akumulatorem, a rok temu zerwałam z mężczyzną mojego życia, przynajmniej tak mi się wydawało, więc – chwileczkę, niech policzę – od czterech miesięcy z nikim nie spałam. Zaraz, mamy koniec czerwca? W takim razie od sześciu.
Od sześciu miesięcy… I nawet nie było to takie straszne. A u pana, Adrianie, wszystko w porządku? Dom, samochód, seks?

Rozmowa ledwo się zaczęła, a już przybrała obrót nieco zbijający Adriana z tropu. Stara się artykułować w sposób zrozumiały:

– Yyy… Mój samochód nie jest zepsuty, mam ciepłą wodę i…

– To dlaczego ciągle wygląda pan jak smutny cocker spaniel, który zaraz się utopi we własnej misce? Chyba skończę to piwo i wezmę następne.

– Jeśli chce pani szybciej stracić przytomność, Meredith, w sali Turinga, w szafie za filcowymi tablicami, stoi butelka tequili.

– Świetny pomysł.

Meredith odstawia pustą butelkę, zygzakiem rusza przez trawnik do drzwi wejściowych i z trudem je otwiera. Adrian idzie za nią trochę niespokojny, próbując nie patrzeć – nie za bardzo patrzeć – na jej pośladki, kiedy ona wchodzi szybko po schodach. Zatrzymuje się przed drzwiami sali i opiera o ścianę.

– Jestem Brytyjką i ostrzegam, Adrianie, jeśli spróbuje mnie pan zgwałcić, nie będę się opierać, tylko pomyślę o królowej.

– Za dużo pani wypiła, Meredith.

– A pan za mało. – Meredith przekręca gałkę w drzwiach i wchodzi chwiejnie do sali, omal się nie wywracając jak długa, po czym siada na krześle, bo ją mdli. Rozgląda się wokół siebie. – No i gdzie ta tequila?

– Nie wiem, czy to będzie rozsądne…

– Proszę usiąść koło mnie. I nie opowiadać o procesach stochastycznych, nie ma pan nawet pojęcia, jak mało mnie to obchodzi.

Adrian posłusznie siada i patrzy na nią zakłopotany.

– Ojejku, Adrianie, proszę mnie pocałować. Przecież pan o tym marzy, a zresztą w tej chwili jest mi wszystko jedno, jak pan całuje.

– Ja… Meredith, zapewniam panią… Bardzo mi się pani podoba, ale…

– No dobrze, to nie jest bardzo romantyczne, ale co tam? Kiedyś będziemy się z tego śmiać razem z naszymi dziećmi. Proszę mnie pocałować albo zacznę płakać. Lub krzyczeć. O, właśnie. Pomocy!

– Meredith, proszę… – mówi Adrian, nagle bardzo zaniepokojony. – Niech pani tak nie żartuje.

– Złapałam pana. Spokojnie, żartuję. Dlaczego wy, mężczyźni, kompletnie się gubicie, kiedy kobieta przejmuje inicjatywę?

Meredith nagle przyciąga go do siebie i kładzie usta na jego wargach, które smakują truskawkami, Meredith zamyka oczy i tak siedzą przytuleni przez dłuższą chwilę, nie ośmielając się na pocałunek, kiedy wewnętrzna kieszeń marynarki Adriana zaczyna wibrować i głośno dzwonić. Adrian odsuwa się od Meredith, równie oszołomionej jak on, wyciąga szarego metalicznego smartfona i przygląda mu się w osłupieniu.

– To pańska żona? – pyta Meredith, choć kompletnie jej to w tej chwili nie obchodzi.

– Nie jestem żonaty.

Po trzech dzwonkach smartfon milknie na pięć sekund, po czym znowu zaczyna dzwonić i wibrować. Tym razem dzwoniący przeczekuje tylko jeden dzwonek i się rozłącza. Adrian nie może oderwać wzroku od ekranu. Teraz, naprawdę?

– Jeśli to nie pańska żona, to na pewno ktoś bardzo natarczywy.

– Jasna cholera. Przepraszam, ale muszę za wszelką cenę… Meredith, muszę…

Wybiega z sali, rusza korytarzem, po dziesięciu sekundach telefon znowu dzwoni. Trzy dzwonki, jeden, trzy. To ich umówiony kod; Adrian odbiera. W słuchawce rozlega się męski głos, zarazem pewny siebie i pozbawiony jakiejkolwiek melodii, wojskowy.

– Profesor Adrian Miller?

– Yyy… Tak – odpowiada z wahaniem.

– Toto, mam wrażenie…

Głos czeka przez ładnych kilka chwil, po czym Miller odpowiada beznamiętnie:

– …że nie jesteśmy już w Kansas.

„Toto, mam wrażenie… że nie jesteśmy już w Kansas”. Idiotyzm. Może mieć pretensję tylko do siebie, do dzieciaka o sztubackim poczuciu humoru, którym był dwadzieścia lat temu, a który wybrał tę cudaczną kwestię z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, nie przypuszczając, że pewnego dnia będzie musiał ją dokończyć, żeby potwierdzić swoją tożsamość. Również od dwudziestu lat ma smartfona, którego regularnie mu wymieniają, a który za tysiąc dolarów miesięcznie musi być na stałe włączony, zawsze przy nim, by w każdych okolicznościach – naprawdę w każdych, jak tym razem – Adrian mógł odebrać i być w pełnej gotowości. Dotychczas nigdy nie zadzwonił.

– Adrian! – krzyczy Meredith. – Proszę wrócić mnie całować, nawet jeśli to pańska żona!

– Niech pan będzie gotowy, profesorze Miller – kontynuuje głos. – W ciągu minuty pod Fine Hall podjedzie samochód policyjny, który pana zabierze do punktu kontaktowego.

– Pod Fine Hall? Wie pan, gdzie jestem?

– Oczywiście, profesorze. GPS lokalizuje pana z dokładnością do trzech metrów. Kiedy będzie pan w drodze, zadzwonimy ponownie i skontaktujemy pana z centrum operacyjnym.

– Adrian! – wrzeszczy Meredith z sali Turinga. – Wkurza mnie pan, wszyscy mnie wkurzacie!

Adrian biegnie do drzwi, Meredith nie ruszyła się z miejsca, nadal siedzi na krześle z potarganymi włosami i wygląda na wściekłą.

– Przepraszam, Meredith. To bardzo ważne… Później wszystko wyjaśnię.

Adrian zbiega po schodach, Meredith coś krzyczy o wrednych specjalistach od rachunku prawdopodobieństwa, o piekle, do którego łaskawie go zaprasza, ale Adrian jest już w holu.

*

Aby zrozumieć, dlaczego dwudziestego czwartego czerwca dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku Adrian Miller musi odebrać antracytowego pancernego smartfona, trzeba się cofnąć do dziesiątego września dwa tysiące pierwszego, kiedy to będąc najmłodszym stażystą po doktoracie w ekipie specjalistów od rachunku prawdopodobieństwa Roberta Pozziego, Adrian obchodzi swoje dwudzieste urodziny w Massachusetts Institute of

Technology. Następnego dnia świat usłyszy o pierwszym przypadku choroby wściekłych krów w Japonii, pojawią się deklaracje polityczne po samobójczym zamachu na Ahmada Szaha Masuda przeprowadzonym przez dwóch tunezyjskich członków Al-Kaidy oraz obwieszczenie o powrocie Michaela Jordana do Washington Wizards. Lecz przede wszystkim będzie to pierwszy dzień pracy Bena Slineya, który objął stanowisko dyrektora operacyjnego Federal Aviation Administration (FAA). Dwie godziny po powitalnej kawie z pączkami nowy dyrektor podjął bezprecedensową decyzję o uziemieniu czterech tysięcy dwustu samolotów. Bywają takie dni.

Jedenastego września o ósmej czternaście jeden z kontrolerów lotów w Bostonie niepokoi się, widząc, że transponder samolotu American Airlines II jest odcięty. Sześć minut później stewardesa pokładowa dzwoni na jedyny dostępny numer, czyli rezerwacje American Airlines. Informuje o uprowadzeniu samolotu i kilku morderstwach w kabinie. O ósmej dwadzieścia pięć sprawdzono jej tożsamość i kierownik biura przekazuje informację do Air Traffic Control. Ben Sliney i kontrolerzy lotów odkrywają na radarze, że AAII kieruje się na południe, do Nowego Jorku. W sytuacji uprowadzenia samolotu – możemy zapomnieć o podręczniku, który nakazywał, by pilot, w danym przypadku zasztyletowany, wprowadził na transponderze kod 7500 – reguła każe powiadomić dowództwo lotnictwa cywilnego. W dowództwie koordynator do spraw uprowadzeń powinien się skontaktować z właściwą służbą w Pentagonie, która przekazuje informację do biura Sekretarza Obrony, a on informuje ministra, którego decyzja wędruje tą samą drogą w drugą stronę. Na koniec kierownictwo krajowego centrum dowodzenia wojskowego może poderwać myśliwce, by przejąć samolot. Ponieważ od zakończenia zimnej wojny liczba baz lotniczych gotowych do interwencji zmniejszyła się z dwudziestu sześciu do siedmiu, jedyne dostępne bazy na Wschodnim Wybrzeżu to Otis w pobliżu Bostonu i Langley przy siedzibie CIA pod Waszyngtonem.

Wszystko to zajmuje tyle czasu, że jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku kierownik kontroli lotów z Bostonu osobiście dzwoni do bazy wojskowej w Otis. Ponieważ to nie jest jego rola, Otis żąda, by się zwrócił do regionalnego dowództwa wojskowego na północnym wschodzie, w Rome w stanie Nowy Jork. Zadzwoniwszy, kontroler ponownie dowiaduje się, że nie przestrzega procedury. Jednak pułkownik Robert Marr, który uwierzył w słowa faceta z Bostonu, również bez

pozwolenia Departamentu Obrony prosi bazę w Otis, by podjęła przygotowania do poderwania myśliwców.

Na długo przed oficjalnymi wnioskami Komisji 9/11 Pentagon wie, że tamtego dnia wszystko w łańcuchu decyzyjnym zawiodło. Powołuje grupę roboczą, której zadaniem będzie zaproponowanie nowych procedur w sytuacjach kryzysowych. Grupa ta zajmuje się wszystkim, co dotyczy formalizacji na wydziale matematyki stosowanej w Massachusetts Institute of Technology. I tu pojawia się nazwisko Adriana Millera.

Adrian jest wówczas młodym specjalistą od rachunku prawdopodobieństwa w ekipie Pozziego, szefa matematyki stosowanej na MIT. W wieku dwudziestu lat obronił pracę doktorską, w której jest mowa o łańcuchach Markowa, notacji Kendalla… Aby przyśpieszyć swoją karierę, interesuje się teorią kolejek. Lubi zwłaszcza prawo Little'a mówiące o tym, że średnia liczba obiektów w stabilnym systemie jest równa iloczynowi średniego czasu przebywania w systemie oraz średniego tempa ich przybywania. Ale zostawmy to.

Ponieważ wszyscy w laboratorium są bardzo zajęci, a kontrakty z Departamentem Obrony potwornie irytują Pozziego, to Adrianowi w ramach otrzęsin przypada zaszczyt modelowania punktów blokujących oraz wymyślenia, w jaki sposób zmniejszyć liczbę etapów i skrócić terminy interwencji. Adrian prosi Tinę Wang, bardzo inteligentną doktorantkę Pozziego, żeby mu pomogła w teorii grafów, która go trochę przerasta. Pracują do późna, jedzą szybko i byle co, mało śpią, klną na Departament Obrony, a kiedy czują się wykończeni, wsiadają do starej hondy Adriana i jadą na nocną partyjkę bowlingu do klubu Lucky Strike Social Boston, który jest zawsze otwarty. Pewnej nocy, po kłótni na temat hipotezy ergodycznej i rozkładu stacjonarnego, wdają się w przygodę bardziej seksualną niż erotyczną. W każdym razie zostanie im dobre wspomnienie.

W pierwszej kolejności Adrian i Tina robią listę wszystkich zmiennych mogących wpływać na ruch lotniczy, przyznają im wartości statystyczne, wyliczają wszystko, co może spowodować katastrofę – lub choćby zakłócić ruch – i wykraczają poza oczekiwania Pentagonu. Ich model uwzględnia absolutnie wszystko: łańcuch wydarzeń, sposób komunikacji, nieporozumienia językowe, różnice jednostek miary – stopy? metry? – błędy pilotażu, awarie mechaniczne, problemy techniczne, pogodę, sabotaż, uprowadzenie, piractwo informatyczne, błędy w naprowadzaniu, niewłaściwą konserwację i wiele innych elementów… Badacze definiują

trzydzieści siedem podstawowych protokołów, a dla każdego z nich od siedmiu do dwudziestu możliwych dróg postępowania, czyli w sumie prawie pięćset sytuacji podstawowych oraz tyle samo rozwiązań. Kiedy w grudniu dwa tysiące pierwszego Richardowi Reidowi udaje się przejść przez kontrolę bezpieczeństwa z ładunkami ukrytymi w podeszwach butów, mamy do czynienia z protokołem 12A; wypadek podczas lotu Birmingham–Malaga, kiedy szyba kokpitu eksploduje, to jeden z przykładów protokołu 7K; airbus, który zszedł z pasa lądowania w Halifaksie z powodu śniegu, to protokół 4F; wulkan na Islandii, który pluje popiołem i uniemożliwia startowanie – 13E; depresyjny pilot Germanwings, który rozbija samolot o zbocze góry – 25D.

Po pięciu miesiącach pracy redagują swoje zalecenia w formie tajnego memorandum liczącego jakieś tysiąc pięćset stron, zatytułowanego po prostu *Cywilny ruch lotniczy: diagnoza kryzysów, optymalizacja łańcucha decyzyjnego oraz protokoły odpowiedzi/bezpieczeństwa*. Chociaż w sumie mają czterdzieści jeden lat (a może właśnie dlatego), podpisują raport jako „Prof. T. Wang & Dr Adrian Miller & *alii*, Wydział Matematyki Stosowanej, Wydział Teorii Grafów, Wydział Rachunku Prawdopodobieństwa, Massachusetts Institute of Technology”. W podpisie Wang & Miller & *alii* – Alii to imię chomika mieszkającego w laboratorium. Jak dzieci.

Nic im nie umyka; gdyby Pentagon zażądał przedstawienia wszystkich możliwych odpowiedzi w postaci orła lub reszki, podaliby trzy: orzeł, reszka oraz nadzwyczaj rzadki przypadek, kiedy moneta staje sztorcem. Jednak dziesięć dni po oddaniu raportu, w kwietniu dwa tysiące drugiego, Departament Obrony odsyła go do nich z nagryzmolonym czerwonym flamastrem pytaniem: „A co jeśli zdarzy się sytuacja wychodząca poza wszystkie opisane?”.

Tina wznosi oczy do góry: przyjmijmy hipotezę, że rzucona moneta zawiśnie w powietrzu.

W ciągu pięciu dni dodają ostatni protokół odpowiadający „sytuacji wychodzącej poza wszystkie opisane”. Podczas gdy we wszystkich pozostałych przypadkach Tina i Adrian zalecają, by jedna osoba, cywilna lub wojskowa, nadzorowała realizację protokołu, tutaj matematyczka decyduje, że „ze względu na irracjonalny charakter wydarzeń uzasadniających niniejszy protokół” jego nadzór zostanie powierzony parze naukowców. Po czym wpisuje nazwisko własne i Adriana Millera. Zaleca,

by zostali wyposażeni w pancerne telefony komórkowe przeznaczone wyłącznie na potrzeby tego protokołu, które mają zawsze nosić ze sobą bez prawa ich wyłączania. A ponieważ Adrian Miller ma nabożny stosunek do książki Douglasa Adamsa *Autostopem przez Galaktykę* i do zawartego w niej „wielkiego pytania o życie, wszechświat i całą resztę", pytania, na które Głęboka Myśl, drugi największy komputer wszech czasów, odpowiada po siedmiu i pół milionach lat obliczeń: „czterdzieści dwa", protokół ten będzie nosić numer 42.

Żeby sprawa wyglądała poważnie lub dla zabawy, a może dlatego, że sprawy poważne go bawią, Adrian dodaje zdanie będące kodem inicjalizacji:

1. Operator: Toto, mam wrażenie…
2. Szefowie protokołu: …że nie jesteśmy już w Kansas.

Kiedy Adrian wychodzi z laboratorium, tuż przy barbecue, na którym radośnie skwierczą kiełbaski, czeka na niego policyjne auto. Oficer wita go, jakby był czterogwiazdkowym generałem, a spojrzenia wszystkich kolegów kierują się na Adriana, który niezręcznie pozdrawia oficera i wsiada na tylne siedzenie, nie omieszkawszy uderzyć się o ramę dachu. Samochód rusza z włączoną syreną i migającym kogutem. Adrian oddala się od seksu z Meredith w nieznanym kierunku.

Pewnie ktoś gdzieś w odległej galaktyce rzucił monetą, która faktycznie zawisła w powietrzu.

Żart

wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych
wody międzynarodowe
41°25′27″N 65°49′23″W

Markle sprawdza mikrofon, ale panuje w nim martwa cisza. Lotnisko Kennedy’ego zerwało komunikację. Słychać jakieś kliknięcie, znowu długa cisza, po czym rozlega się inny, niższy głos.

– Air France 006, *mayday*, nazywam się Luther Davis, dowódca operacji specjalnych Federal Aviation Administration… Proszę się zidentyfikować. Proszę wprowadzić kod transpondera 1234.

Markle się krzywi, Gid wpisuje podany kod. Nie codziennie mają okazję rozmawiać z dowódcą operacji specjalnych FAA… Znowu cisza. Po chwili głos wraca.

– Dziękuję, tutaj Luther Davis z FAA. Proszę o podanie daty i miejsca urodzenia. Kapitanie Markle?

Markle wzdycha i odpowiada:

– Dwunasty stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego, Peoria, Illinois.

– Może pan podać nazwiska i imiona wszystkich członków załogi?

– Kennedy, nie wiem, czy macie świadomość, że staram się wylądować uszkodzonym boeingiem 787…

Znowu długa cisza, znowu zerwana komunikacja, po czym rozlega się inny głos, tym razem kobiecy.

– Air France 006? Kathryn Bloomfield, NORAD. Słyszycie mnie?

NORAD, obrona powietrzna, naprawdę? Markle marszczy brwi.

– Tu Air France 006, co mogę dla was zrobić, NORAD?

– Ze względów bezpieczeństwa musicie wyłączyć wi-fi na pokładzie.

Markle nie dyskutuje, tylko spełnia polecenie. Głos mówi dalej:

– Dziękuję. Proszę, żeby wszyscy pasażerowie wyłączyli laptopy i wszystkie urządzenia elektroniczne.

– Od dawna wszystko wyłączone, NORAD, przechodziliśmy przez turbulencje i…

– Świetnie. Pierwszy oficerze Favereaux, w najbliższych minutach pan i personel pokładowy zbierzecie wszystkie, powtarzam, wszystkie urządzenia pozwalające na komunikację ze światem zewnętrznym: tablety, telefony, pagery medyczne, konsole gier, komputery i tak dalej. Proszę nie zapomnieć o okularach rzeczywistości rozszerzonej i smartwatchach. Żadnych wyjątków. Kapitanie Markle, stanęliśmy wobec bardzo poważnego zagrożenia ze strony piractwa zewnętrznego, którego celem jest system nawigacyjny, a urządzenia elektroniczne mogą służyć jako przekaźniki… Możecie zresztą podać te informacje pasażerom, jeśli uważacie, że to konieczne, by współpracowali.

– Ale to wywoła niepokój…

– Trudno. Proszę im powiedzieć, że wszystkie urządzenia zostaną zwrócone w ciągu godziny, gdy tylko wylądujecie w Nowym Jorku. Oficerze Favereaux, w razie oporu proszę wspomnieć o bezpieczeństwie samolotu, o groźbie interferencji z przyrządami pokładowymi. Ma pan wszelkie uprawnienia do odebrania pasażerom urządzeń elektronicznych. Działamy zgodnie z precyzyjnymi wytycznymi protokołu.

– Ale… te urządzenia… jak mamy je przechować? – pyta nagle zaniepokojony Favereaux. – Wszystkie laptopy są do siebie podobne, jak będziemy je identyfikować?

– Użyjcie torebek na wymioty, zapiszcie flamastrem numery siedzeń, dacie sobie radę. Uspokójcie pasażerów, że po lądowaniu wszystko odzyskają.

Drugi pilot niewyraźnie potakuje. Wstaje, by przekazać instrukcje personelowi pokładowemu, podczas gdy Markle tłumaczy przez mikrofon, jakie są polecenia, niczego nie pomijając. W kabinie drugi pilot spodziewa się fali protestów, ale czy to z powodu wspomnienia o turbulencjach, zapowiadanych gróźb piractwa elektronicznego, czy też bezspornego autorytetu w głosie kapitana, miażdżąca większość pasażerów wyraża zgodę. Niektórzy, co bardziej oporni, zostają przez swoich sąsiadów zmuszeni do posłuszeństwa. Cała operacja, która mogła się okazać delikatna, zajmuje zaledwie kilka minut. Otrzymawszy potwierdzenie, że wszystkie urządzenia komunikacyjne są zgromadzone w kokpicie, oficer NORAD-u mówi dalej:

– Nasze polecenie dotyczy również personelu pokładowego. Panów także. Wasze komórki i komputery. Kapitanie Markle, ma pan pełnię władzy na pokładzie. Pański rozkaz…

– Jestem kapitanem samolotu, proszę pani z NORAD-u! – irytuje się Markle. – To oczywiste, że mam pełnię władzy na pokładzie, ale to pani…

– Kapitanie Markle, ta sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Razem realizujemy protokół 42.

Markle siedzi w osłupieniu. Nigdy nie słyszał o protokole 42.

– Air France 006, twój nowy kierunek to McGuire Air Force Base, New Jersey. Powtarzam, McGuire Air Force Base, New Jersey.

Fort McGuire… Tam właśnie w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym niemiecki sterowiec Hindenburg stanął w ogniu podczas cumowania i uległ całkowitemu zniszczeniu. Markle wykonuje powolny skręt w kierunku południowo-wschodnim i decyduje się na obwieszczenie w kabinie, że *sorry, folks,* ale z powodu poważnych awarii lot został przekierowany do New Jersey. Tym razem wielu pasażerów protestuje, niektórzy gwiżdżą, zwłaszcza że – szczyt szyderstwa – w promieniach zachodzącego słońca lśniące drapacze chmur Manhattanu zdają się z nich drwić. Markle mógłby zabawić pasażerów, opowiadając o katastrofie Hindenburga, ale coś mu mówi, że nie jest to właściwy moment.

W telefonie pokładowym znowu rozlega się Nowy Jork:

– Tu ponownie Kennedy Approach. Kapitanie Markle, łączę z krajowym centrum dowodzenia wojskowego w Pentagonie.

Markle nie ma czasu na odpowiedź, gdyż od razu rozlega się męski głos, nosowy, rozwlekły, bardzo jankeski, bardzo z New Hampshire.

– Kapitanie Markle, tu generał Patrick Silveria, National Military Command Center. Mówię w imieniu sekretarza obrony. Za trzy minuty dołączą do was dwa myśliwce z Navy. Właśnie wystartowały z USS Harry S. Truman i będą was eskortować aż do wód wewnętrznych. W razie próby ucieczki lub niepodporządkowania się ich poleceniom mają rozkaz was zestrzelić.

To już za wiele. Markle wybucha śmiechem. W końcu zrozumiał.

– Kapitanie Markle? Tu generał Silveria z NMCC. Jest pan tam?

Markle nie może się powstrzymać, aż płacze ze śmiechu. Niezły dowcip. Kurwa, ale banda durnych kontrolerów z JFK, co za stado idiotów, omal wszystkiego nie łyknął jak pelikan, NORAD, protokół 42, a teraz Pentagon… Wraca do telefonu pokładowego.

– Cześć, porąbany generale Silveria! To wszystko, co się panu udało wykombinować? Szczerze mówiąc, prawie uwierzyłem, ale historyjka z zestrzeleniem samolotu to o jeden krok za daleko. Pańskim zdaniem to właściwa chwila, biorąc pod uwagę burzę, przez którą właśnie przeszliśmy? Poza tym pomylił się pan, mój ostatni lot jest pojutrze, nie dzisiaj. Ale przyznaję: jako prezent na pożegnanie to lepsze niż ciasto marchewkowe w stylu pocałuj-mnie-w-dupę.

– Air France 006? Tu generał Silveria z Pentagonu. Przekierowuję połączenie do lotniskowca USS Harry S. Truman.

– A ja jestem *captain Speaking*! To ty, Frankie? Ale masz, kurwa, jankeski akcent… Jesteście naprawdę… Przez te wasze dowcipasy pozbieraliśmy wszystkie laptopy w kabinie. Chcieliście, żebyśmy zostali rozszarpani przez pasażerów, o to chodziło?

Kolejny głos rozbrzmiewa w telefonie pokładowym, wyższy, dla odmiany z teksańskim akcentem.

– Air France 006? Tu admirał John Butler z lotniskowca USS Harry S. Truman.

Ironiczny uśmiech nie schodzi z ust Markle’a.

– Cześć, domniemany Johnie Butlerze. Dość tego, Frankie, możesz przestać się wygłupiać z akcentami. To już przestało być śmieszne.

– Kapitanie Markle? Tu admirał Butler. Jesteście teraz pod ochroną naszych dwóch myśliwców F/A-18 Hornet. Jeden wisi wam na ogonie, w pozycji do przejęcia. Proszę spojrzeć na prawą burtę.

Markle wznosi oczy do sufitu, ale obraca głowę. Kilka metrów od zakończenia prawego skrzydła leci hornet wyposażony w dziesięć pocisków powietrze–powietrze. Siedzący w kokpicie pilot daje mu znak ręką.

– Proszę teraz wykonywać wszystkie polecenia.

André

Niedziela, 27 czerwca 2021
Mumbaj, Indie

„*Fotografei você na minha Rolleiflex*…” W rozległym holu Grand Hyatt Mumbai cicho rozbrzmiewa ckliwa bossa nova Stana Getza, Jobima i João Gilberto. Piosenka ma tyle samo lat co facet, który wychodzi z windy, przygarbiony i posapujący. Kiedy w ostrym neonowym świetle kabiny zobaczył w lustrze swoje sześćdziesiąt lat, odwrócił wzrok.

Tej nocy André Vannier nie spał. Jet lag, z którego się nie otrząsnął, smutek, natłok czarnych myśli. Zanim wyszedł z pokoju, napisał do Lucie bardzo długi mail, którego na szczęście nie wysłał. Byłoby to jak komiczna butelka wrzucona do morza po tym, kiedy znużonym głosem oświadczyła mu przez telefon – z Paryża, w którym jeszcze była noc – że „zaczęła nowy rozdział”. Napisał do niej, choć wiedział, że jest to niepotrzebne, a przede wszystkim przeciwskuteczne. Lecz kiedy baterie w pilocie padają, człowiek naciska coraz mocniej. Ludzka rzecz.

Architekt wychodzi z międzynarodowego hotelu – jest tu wszystko, czego nie cierpi: złe proporcje, nieeleganckie materiały, pompatyczna i przytłaczająca skala – zostawia za sobą arktyczną klimatyzację i skacze w ogień tropikalnego indyjskiego lata. Hałas z miejsca go ogłusza, duszne powietrze nie zasługuje na swoje miano. Mumbaj cuchnie przypalonymi oponami i tracącymi dech dieslami. Na zatłoczonej Pipeline Road macha na rikszę, o zieleni już cokolwiek przykurzonej, a ta zatrzymuje się przed nim i wyje dziesięcioma klaksonami. André podaje adres budowy w dzielnicy Kamathipura, proponuje hojną stawkę i składa się w scyzoryk, żeby wcisnąć swoje długie, nadal smukłe ciało do malutkiego wnętrza trójkołówki. Riksza pośpiesznie rusza, ponownie trąbi i wtapia się w gęsty ruch, jadąc sobie tylko znaną trasą.

– Dlaczego zawsze jeździsz rikszą? – zapytał go poprzedniego dnia Nielsen. – Taksówki są o wiele mniej stresujące.

Tak, ale Nielsen ze swoimi długimi blond włosami, nieskazitelnymi garniturami od Hugo Bossa skrojonymi idealnie na jego figurę sportowca i zaledwie dwoma latami w firmie, Nielsen świeżutko po szkole – ach, ten jego tekst „gdy zobaczyłem pański projekt Grand Missisipi Center, zamarzyłem o pracy u Vanniera & Edelmana” – Nielsen jeszcze nie wie, że te minuty spędzone w duchocie to luksus Vanniera. To, czego szuka i co czasami znajduje na rozpadającym się siedzeniu trójkołówki, to swoje dwadzieścia lat w Sri Lance, gdzie był z tamtą zgrabną dziewczyną z Neapolu, której imienia nie może sobie przypomnieć, z jej ciężkimi piersiami i olśniewającym uśmiechem, Giulia? Tak, Giulia, omal nie zapomniał.

Riksza sunie w kierunku budowy Sūryayā Tower w śmierdzącym, hałaśliwym strumieniu pojazdów, ostro przyśpieszając i trąbiąc, a André wciąż się dziwi, że na błotnikach samochodów nie ma śladów zadrapań, a lusterka nie są pourywane. Przynajmniej raz kierowcą nie jest jeden z tych zmęczonych nastolatków, którzy w kilku kupują rower trójkołowy, by pracować na trzy zmiany, choć nie mają bladego pojęcia o kodeksie drogowym i zdają się całkowicie na nawigację Waze. Tym razem jest to krępy facet w nieokreślonym wieku, w dużych ciemnych okularach Aviator, który z agresywną płynnością wślizguje się między ciężarówki i samochody, śmiało przekracza ciągłą linię, nie bojąc się setek samochodów prujących prosto na niego. Jego niezmącona niczym jazda w sercu tej rwącej rzeki zakrawa na cud, przezroczysty plastikowy Budda przyklejony do kierownicy musi mieć w tym swój udział.

Sūryayā Tower to jeden z bardziej ambitnych projektów wygranych przez pracownię Vannier & Edelman, demonstracja ich know-how oraz estetyki: osiemdziesięciometrowy budynek ze szkła i bambusa, w strategicznych punktach wzmocniony długimi stalowymi prętami. Północna fasada kondensuje spływającą wodę i nawadnia ścianę roślinności po wschodniej stronie, a zbudowana z kolumn światła i paneli słonecznych ściana południowo-zachodnia – gdyż *sūryayā* oznacza światło – zaopatruje budynek w elektryczność. To symboliczny pomost między dzielnicą muzeów a dzielnicą wyższych uczelni, tutaj będą się mieścić start-upy poszukujące wizerunku, wszystkie piętra są już zarezerwowane. Żadne esy-floresy nie zakłócają prostoty wieżowca: to perfekcja osiągnięta dzięki nieustannemu odejmowaniu. Nawet chińscy konkurenci musieli się poddać.

Niestety jeden z indyjskich podwykonawców oszukał na jakości betonu użytego do fundamentów, biedny Nielsen zorientował się zbyt późno i budowa opóźniła się o dwa tygodnie. André Vannier korzysta ze swojej dwudniowej wizyty, by grozić, negocjować, zawierać umowy, nawet w niedzielę, zanim tego samego popołudnia odleci do Nowego Jorku i Ringu.

„Zaczęłam nowy rozdział”: André nienawidzi wszystkich słów, które Lucie wybrała z niezawodnym instynktem, martwa przeszłość, odgrzewany kotlet, domyśla się, co oznacza ten „nowy rozdział”, który być może już się ucieleśnia. Lucie celowo okazała okrucieństwo, gdyż chciała, żeby spraw między nimi nie dało się już naprawić, wolała sprowadzić to, co przeżyli przez trzy miesiące, do krótkiego i banalnego romansu – do przespania się ze starszym mężczyzną, jeszcze nadającym się do konsumpcji, pomimo starej skóry i równie starego imienia, jakiego nikt nie nadaje już dziecku. Prawdopodobnie zadręcza się podsumowaniem bardziej bezlitosnym niż to, jakiego dokonałaby ta mniej surowa Lucie.

Zna ją od trzech lat. Było to na kolacji u Blumów. Nudził się, już miał wychodzić, kiedy pojawiła się bardzo młoda kobieta, Przepraszam za spóźnienie, musiałam ustawić światła w scenie pewnej fabuły. Lucie była montażystką. Pomimo prób zachowania dyskrecji André nie mógł oderwać od niej wzroku, tak bardzo była „w jego typie”. Urzekła go intensywność jej głosu: nigdy go nie podnosiła, każde zdanie brzmiało w sposób zrównoważony i przemyślany, potrafiła postawić na swoim, a kiedy skupiona rozwijała swoją myśl, na jej skroni pulsowała maleńka żyłka. Później dowiedział się, że mając dwadzieścia lat, urodziła synka Louisa, którego wychowywała całkiem sama. To odpowiedzialność samotnej matki, myślał André, musiała ją pozbawić wszelkiej frywolności.

Tak, powiedzieć, że Lucie wstrząsnęła nim, to nic nie powiedzieć. Dwadzieścia lat wcześniej zaproponowałby jej dziecko. Różnica wieku czyniła jednak takie plany mało wiarygodnymi. Jego córka Jeanne wkrótce będzie mieć tyle lat co Lucie. Niedawno w żartach zapytał pewną kobietę: „Czy zechce pani być wdową po mnie?”. Domniemana wdowa się nie roześmiała. Dlaczego jego partnerki są teraz takie młode? Przyjaciele starzeją się wraz z nim, ale nie kobiety, które kocha. Ucieka, boi się. Może zjeść kolację z nadchodzącą śmiercią, ale nie ma ochoty z nią sypiać.

Spotykali się przez dwa lata. Nie był w stanie zrezygnować z tych spotkań. Pewnego cudownego dnia pocałowała go i ten cud trwał przez

kilka miesięcy.

Architekt układa listę tego, co w sposobie bycia młodej kobiety najbardziej nim wstrząsnęło, i dochodzi do wniosku, że wszystko sprowadza się do ciała. Od czasu, gdy widzi śmierć na horyzoncie, czyli od bardzo dawna, pożądanie stawia w centrum tego, co nazywa miłością. Lucie ewidentnie umieszcza je gdzieś na peryferiach.

Kiedy Lucie wracała wykończona po długich godzinach pracy przy montażu, a on z uśmiechem wstawał i brał ją w ramiona, w każdym z jej gestów odczytywał rezerwę, która być może była tylko zmęczeniem; kiedy szli do łóżka, bał się, że jeden zbyt natarczywy gest sprawi, iż ona ucieknie; jego noce mijały z dala od niej, odpędzała go od czegoś, co nazywała swoją „przestrzenią życiową", a co jej pokoleniu ewidentnie nie kojarzyło się już z nazistowskim *Lebensraumem*. Zasypiała, a on już za nią tęsknił. Pogrążał się wówczas w melancholii, bojąc się, że zacznie chrapać i zwiększy jej dyskomfort lub, co gorsza, zapadnie w sen, a ona obudzi się i odkryje, że u jej boku leży brzydki starzec, któremu niełądnie pachnie z półotwartych ust.

Rano, gdy tylko zadzwonił jej budzik, Lucie zrywała się z łóżka, nigdy go nie całując, a on bez okularów przyglądał się w półmroku wczesnego poranka, jak to jakże pożądane ciało wychodzi z sypialni do łazienki. Słuchał długo lejącej się wody, wyobrażał ją sobie nagą, z zamkniętymi oczami stojącą pod ciepłą strugą, a coś w jego piersi zaciskało się z bólu, lub może z upokorzenia.

Gdyby miał trzydzieści lat i wciąż jędrną, nieśmiertelną skórę, która nie boi się zmarszczek ani śmierci, wciąż czarne i gęste włosy, czy Lucie także by uciekała od pięknego kochanka pod poranny prysznic? Gdyby był przystojnym Nielsenem, o właśnie, Nielsenem, czemu nie, i drży, niejasno wyobrażając sobie majestatycznego Nielsena dosiadającego jego słodkiej Lucie. Ma swoją odpowiedź, która go kamienuje.

Czasami jednak Lucie kładła na nim dłoń, sprawdzała sztywność tego kawałka mięsa i siadała na nim okrakiem. Zanurzał się w niej głęboko, a ponieważ w tej pozycji nie mógł jej pocałować, próbował ją do siebie przyciągnąć, lecz ona od razu się prostowała i szybko dochodziła. Całe jej smukłe, spocone ciało mówiło mu, że powinien szczytować natychmiast. André starał się jak najszybciej osiągnąć wyzwalającą rozkosz, biorąc Lucie z dziką brutalnością. Lecz taki rytm i tempo nie leżały w jego naturze.

Jego pożądanie, smutek i niepokój sprawiły, że André stopniowo tracił roztropność i po wielokroć niezręcznie nalegał, ale czy istnieje zręczne naleganie? Zanegowany w swoim jestestwie, sfrustrowany w swoim ciele, nie umiał znaleźć innego środka ciężkości. Jak długo jeszcze będzie mężczyzną? Wiek z tą nieszczęsną szóstką na początku osłabiał go. Skoro już dziś Lucie nie pragnęła go z absolutną szczerością, nadchodzące lata nie uczynią go bardziej pociągającym.

Riksza bez wahania wjeżdża na plac budowy, jadąc zygzakiem przez porozrzucane deski i rozbryzgując błoto, aż do dużego modułowego budynku ozdobionego literami V&E, w którym się mieści pracownia. André idzie na pierwsze piętro, gdzie w dużej sali czeka na niego Nielsen. Lucie z Nielsenem? Nie, już w to nie wierzy.

– Inżynierowie z Singh Sunset Construction już tu są – oznajmia młody architekt.

– Niech poczekają. Daj mi kilka minut.

André nalewa sobie czarną kawę, siada naprzeciwko okna i omiata wzrokiem plac budowy Sūryayā Tower. Jest dziesiąta, zebranie było umówione na dziewiątą. Nic nie zostało pozostawione przypadkowi: ani jego nieprzyzwoite spóźnienie, ani sandały, sprane dżinsy i biała bawełniana koszula ze stójką à la Nehru, ani płócienny plecak. Jego wizyta na placu budowy była przewidziana od dawna, choć ustalili z Nielsenem, że im powiedzą, iż tylko z ich powodu przyjechał do Indii.

Grupka inżynierów z Singh Sunset Construction siedzi wokół swojego szefa. Sześć czarnych, ciasno skrojonych garniturów, sześć krawatów, sześć spiętych twarzy. Kiedy André wchodzi do pomieszczenia, wszyscy wstają. Architekt bez wahania idzie w kierunku Singha, którego nigdy nie widział, ale Nielsen przysłał mu jego zdjęcie. Ma gładkie szpakowate włosy, pięćdziesiąt lat, suchą i muskularną sylwetkę, żywe spojrzenie. Zanim Singh zdążył się ukłonić, krzyżując ramiona na piersi w tradycyjnym indyjskim powitaniu, Vannier energicznie chwyta go za rękę. Nawet akcent Maurice’a Chevaliera, który przybiera, jest wykalkulowany.

– *Good morning, Mr Singh.*

– *Very honored, Mr Vannier, very honored.*

– Mr Singh, mamy dwie godziny na rozwiązanie problemu. Dziś wieczorem wracam do Nowego Jorku. To poważna sprawa. Bardzo

poważna. Sam pan rozumie. Przede wszystkim chciałbym, żebyśmy obejrzeli plac budowy.

– *Mr Vannier, we think that…*

Nie czekając, Vannier odwraca się i wychodzi. Wszyscy idą za nim. Vannier idzie szybkim krokiem, za nim Nielsen i gęsiego inżynierowie. Nielsen obraca się w stronę szefa i mówi po cichu:

– Dzisiaj rano dostaliśmy wyniki z laboratorium dotyczące próbek betonu z mikropali. Jeśli chodzi o wytrzymałość na ściskanie, jesteśmy daleko od wymaganych norm C 100/115. Mamy raczej C 90 albo nawet mniej. Możemy sobie z tym poradzić, wstawiając dodatkowe mikropale, a o tych zapominając.

Vannier kiwa głową. Nielsen to jego tajna broń w Indiach. Przyjechał do Mumbaju miesiąc temu i od miesiąca organizuje każdy dzień swoim dobrym technicznym angielskim, umawia trudne spotkania z dostawcami na placu budowy, od miesiąca ten chłopak o wyglądzie przygłupiego australijskiego surfera słucha wszystkiego, co się wokół niego mówi w hindi, którym włada znakomicie; to język jego dzieciństwa, które spędził w stanie Goa, w kąpieliskowej miejscowości nad Oceanem Indyjskim, gdzie jego matka nadal prowadzi *guesthouse*. Znajomość tego języka była decydująca – czy on się domyśla? – dla jego przyjęcia do firmy Vannier & Edelman, dwa tygodnie po tym, jak pracownia wygrała przetarg na budowę Sūryayā Tower.

Doszedłszy do podstawy słupa, Vannier otwiera plecak, wyciąga komputer, tuner satelitarny i laserowy dalmierz. Podłącza, sprawdza dane, manipuluje dalmierzem pięć, dziesięć razy, coś oblicza, znowu go kieruje na wierzchołek jednego z mikropali, potem drugiego, podczas gdy faceci z Singh Sunset spływają potem w palącym słońcu. Przeciąga sprawę, starannie i bez pośpiechu pakuje się z powrotem, po czym wszyscy wracają do głównego budynku.

Vannier siada i gestem zaprasza pozostałych, by poszli za jego przykładem. Po kilku sekundach mówi po angielsku, nagle bez cienia akcentu:

– Panie Singh, został popełniony błąd, który już przyniósł konsekwencje. Trzeba to poprawić teraz, zanim będzie za późno. Architektura to zabawa, dość złożona, ale zabawa. O tym jednak nie będziemy rozmawiać. Natomiast konstrukcja nie jest zabawą, tylko wspólną pracą… Rozumie pan? Wspólną…

Singh kiwa głową.

O dwunastej Vannier osiąga wszystko, co chciał osiągnąć. Singh Sunset Construction zgadza się na nowy harmonogram, a niskie kary, jakie na niego nakłada Vannier & Edelman, mają na celu jedynie pokrycie kosztów ekspertyzy i adwokata. Nie zmienia się koni podczas przeprawy przez rzekę. Nowe wiercenia rozpoczną się po południu, nowy beton zostanie wstrzyknięty pod ciśnieniem nocą, kiedy na dworze jest najchłodniej. Biorąc pod uwagę, że sytuacja jest pilna, Vannier wymaga normy nie C 115, ale X S2, która zapewnia odporność na zasoloną wodę. Przy tym upale beton wyschnie w ciągu siedmiu dni i za trzy tygodnie będzie się można oprzeć na nowych palach.

Ponieważ inżynierowie z Singh Sunset zaczynają się spierać nad nowym harmonogramem, Vannier kłania się po hindusku, po czym wychodzi z Nielsenem.

Opuszczają plac budowy, u ulicznego sprzedawcy kupują dwa schłodzone kingfishery i ruszają w stronę nabrzeża. Przed odlotem samolotu do Nowego Jorku Vannier ma jeszcze trzy godziny. Nagle Nielsen pyta troskliwie: „Ale, ale, André, jak się miewa Lucie? Skończyła już ten film von Trotty?”.

Vannier się uśmiecha. A raczej krzywi. Potem wdaje się w dygresje, starannie unikając odpowiedzi, orientuje się, że ukrywa ich zerwanie, jakby przyznanie się Nielsenowi miało je uczynić jeszcze bardziej ostatecznym. Jest upokorzony i po raz pierwszy w życiu czuje się stary, wstydzi się niesprawiedliwości, jaka go spotkała.

Lucie odeszła, a architekt powtarza sobie w duchu jej słowa: „zaczęłam nowy rozdział”. *Sic transit*. André w końcu odgadł: żal za kobietą, której już nie ma, będzie mniej bolesny niż ciągłe pożądanie tej, która śpi obok, w obojętnym i ciepłym półmroku, oddalona od niego o lata świetlne.

W samolocie United Airlines do Nowego Jorku Vannier ponownie czyta krótki tekst, który ofiarował Lucie, *Anomalię* Victøra Miesela, autora, o którego istnieniu dwa miesiące temu nie miał pojęcia. Próbuje pracować, ale nie może się powstrzymać, by po raz dziesiąty nie zredagować na nowo swojego rozpaczliwego maila. Jest zdruzgotany. Nie przewidział tej szaleńczej degrengolady.

Fakt, że obnosił się ze swoim cierpieniem i je komunikował, tak bardzo irytował Lucie, że w końcu go zostawiła, a on nie potrafi tego zaakceptować. Wobec bólu porażki oskarża sam siebie, przeklina własną

niecierpliwość. Uważał się za dobrego kochanka, czułego i wprawnego, marzył, że ją zatrzyma za pomocą seksu, że stanie się dla niej synonimem najwyższej rozkoszy. Jak idiota – gdyż nic nie jest równie idiotyczne jak pożądanie, gdyby wierzyć Spinozie, ta esencja życia – André chciał nieustannie ciągnąć ją do łóżka, którego ona w końcu zaczęła unikać.

– Twoje pożądanie mnie dławi. Udało ci się zabić moje – powiedziała Lucie i poprosiła o „przerwę", która oczywiście okazała się zgoła czymś innym.

Miss Platon przeciwko doktorowi Spinozie. Spinoza przegrał. Szach-mat.

Tego wszystkiego André nie pisze, o nie, jego mail jest bez wątpienia żałosny. „Chciałbym przejść z Tobą najdłuższą możliwą drogę, a nawet najdłuższą z możliwych dróg". Nienawidzi tych słów, ale jednak je pisze i wysyła. Która godzina jest teraz w Paryżu? Już poniedziałek. Lucie jeszcze śpi.

Później pod wpływem melatoniny zapada w sen bez snów. Na JFK, kiedy zaspany przechodzi przez odprawę, oficer skanuje jego paszport, przygląda mu się uważnie i zatrzymuje na parę minut, aż podejdą do nich mężczyzna i kobieta. Oboje są młodzi, ubrani z szykownym luzem, on w czarnym garniturze, ona w szarym kostiumie, oboje wyglądają na tych, kim są w rzeczywistości: agentami FBI. Wyciągają zresztą niebieskawe legitymacje i pozłacane odznaki, na których sprawiedliwość o twarzy playmobila trzyma wagę i miecz.

– Pan André Vannier? – pyta kobieta.

Przytakuje, a ona pokazuje mu zdjęcie na ekranie telefonu.

– Zna pan tę osobę?

To Lucie. Lucie siedząca w małym pomieszczeniu oświetlonym żółtymi jarzeniówkami. Jest przestraszona, wręcz przerażona, widać to w jej postawie i wzroku. Coś nie gra na tym zdjęciu Lucie.

– Tak, znam ją. Oczywiście. To Lucie Bogaert, przyjaciółka. Czy coś jej się stało? Nie ma jej w Paryżu?

– Mamy jedynie rozkaz poprosić, żeby pan z nami poszedł, panie Vannier. Przyjmie pana przedstawiciel francuskiego konsulatu. Dołączy do nas tam, gdzie pojedziemy. Ma pan prawo odmówić, ale w takim razie zaczekamy na niego razem w strefie zatrzymań.

Vannier kiwa głową. Oczywiście, że nie odmawia.

Wychodzą z lotniska, idą w kierunku czarnej limuzyny; czeka na nich jakiś mężczyzna, który odbiera od niego walizkę i wkłada ją do bagażnika. Siadają z tyłu. Ledwo się rozlokowali, mężczyzna stuka w szybę z przyciemnionego szkła, która ich oddziela od kierowcy. Samochód rusza, André dopiero teraz dostrzega, że wszystkie szyby są nieprzezroczyste, całkowicie.

– Proszę wyłączyć komórkę i mi ją oddać – mówi kobieta. – Przepraszam. Taką mamy procedurę.

André posłusznie oddaje jej wyłączoną komórkę. On także się boi. I o Lucie, i o siebie.

Pierwsze godziny

Czwartek, 24 czerwca 2021
McGuire Air Force Base, Trenton, New Jersey

Boeing 787 z uszkodzonym kadłubem stoi na końcu pasa numer dwa, niedaleko helikopterów Black Hawk i dużych szarych samolotów dwusilnikowych z napędem śmigłowym, należących do US Air Force. Trzy pojazdy opancerzone stoją obok samolotu dalekiego zasięgu, nad polem porośniętym żarnowcem i szałwią zapada ciepła, pachnąca morzem noc.

Obok magazynów jedna za drugą przejeżdżają wojskowe ciężarówki. W pośpieszny, ale zdyscyplinowany sposób setki żołnierzy rozkładają nie wiadomo co w hangarze, skąd usunięto wielki samolot cargo Lockheed C-5 Galaxy, który był tu akurat na przeglądzie. Przy olbrzymich rozsuwanych drzwiach widać trzy malutkie sylwetki. Zachowanie kobiety w nieudanej podróbce kostiumu Chanel i jednego z mężczyzn w ciemnym garniturze w stylu *Facetów w czerni* nie pozostawia żadnych wątpliwości: należą do służb. Drugi facet wygląda trochę nietypowo: ma długie przetłuszczone włosy, okrągłe okulary w stalowych oprawkach spadające mu z nosa, a na jego dziurawym T-shircie widnieje napis: *I ♡ zero, one, and Fibonacci*. Trochę śmierdzi potem i jedzie od niego piwem.

Chociaż Adrian Miller wypił dwie butelki wody, nadal kręci mu się w głowie. Jak tylko wysiadł z samochodu policyjnego, podeszło do niego dwoje agentów, przedstawili mu się, ale od razu zapomniał ich nazwisk, zarówno faceta z CIA, jak i kobiety z FBI. Podaje im bezwładną rękę, nawet nie udając, że ma w sobie choćby odrobinę energii.

Oficer ściska jego dłoń z pewną niechęcią, końcami palców, jakby ściskał oślizgłą płetwę nadpsutej błotnej ryby.

– Muszę przyznać, profesorze Miller, że nie przypuszczałem, że jest pan tak… tak młody.

Kobieta z FBI, Latynoska o delikatnych rysach twarzy i żywych oczach, koło trzydziestki, w milczeniu mierzy matematyka wzrokiem. Najpierw

uznaje, że jest podobny do Johna Cusacka w wersji biedniackiej, nieco sflaczałej, ale po chwili zmienia zdanie: nie, nawet nie. Odzywa się jednak z mieszaniną zdziwienia i szacunku:

– Znamy pański raport na pamięć, profesorze Miller. Znakomita praca. Wiele się spodziewamy po pańskim doświadczeniu. Sądzę, że doktor Brewster-Wang i pan mieliście już okazję zetknąć się z protokołem 42.

Adrian Miller niewyraźnie odpowiada, że nie. Ma tak niewiele wiadomości od Tiny Wang, że nawet nie wiedział o wejściu w jej życie jakiegoś Brewstera, i nie, nigdy nie zetknął się z protokołem 42. Według jego wiedzy żadne okoliczności przewidziane w protokołach „wydarzeń o ograniczonym prawdopodobieństwie" nie zakłóciły ruchu lotniczego: ani przybycie kosmitów, o którym jest mowa w trzech protokołach – „Spotkania trzeciego stopnia", „Wojna światów" i „Ukryte zamiary" – każdy z kilkunastoma wariantami, między innymi z Godzillą, żeby sprawić przyjemność Tinie; ani powietrzna inwazja zombie i wampirów czy jakaś piorunująca epidemia przenoszona drogą kropelkową jak gorączka krwotoczna w rodzaju eboli lub koronawirusa, o której mowa w pięciu kolejnych; co do hipotezy złośliwej sztucznej inteligencji przejmującej kontrolę nad ruchem lotniczym – działającej bądź w sposób samodzielny, protokół 29, bądź zdalnie sterowanej przez jakąś obcą potęgę, protokół 30 – dotychczas nic takiego nie nastąpiło, choć wydaje się to coraz bardziej prawdopodobne.

Ale protokół 42… Z protokołem 42 nie można się zetknąć. Miller wypija łyk wody i mówi:

– Wie pani… Przepraszam, zapomniałem państwa nazwisk.

– Starsza agentka Gloria Lopez. I mój kolega z CIA, Marcus Cox.

– Cóż, starsza agentko Glorio Lopez, mówiąc szczerze, protokół 42 jest… Jak by to powiedzieć… – Adrian Miller wypija kolejny łyk wody, nie potrafi znaleźć właściwych słów. Przecież nie może się przyznać, że to po prostu kiepski żart matematyków, który kosztował podatnika już pół miliona dolarów, licząc jedynie dwadzieścia lat wynagradzania przez państwo dwojga dowcipnisiów, żeby nosili przy sobie pancerne komórki, które nigdy nie powinny zadzwonić. Przygląda się boeingowi przypominającemu grube aluminiowe cygaro oświetlone potężnymi reflektorami. – Czy wiecie dokładnie, dlaczego tu jesteśmy? Co w tym samolocie jest tak szczególnego? Poza uszkodzonymi gradem przednią szybą i dziobem.

– Radiolokatorem – poprawia agent CIA. – Mówimy na to radiolokator.

Młoda kobieta przerywa im:

– Nie wiemy zbyt wiele, profesorze Miller. Zbliża się śmigłowiec z doktor Brewster-Wang na pokładzie. To ten czarny punkcik, tam na północy.

– Prosimy o podpis na dole tej kartki, profesorze Miller – dodaje agent Cox, otwierając kopertę. – To zobowiązanie do zachowania poufności: wszystkie informacje, które pan uzyska, mają klauzulę tajności. Jeśli odmówi pan podpisu, narazi się pan na sąd wojskowy za naruszenie bezpieczeństwa narodowego. A na mocy Kodeksu Stanów Zjednoczonych, rozdział 18, paragraf 79, złamanie zobowiązania po jego podpisaniu zostanie uznane za zdradę stanu. Dziękujemy za współpracę.

*

Przynajmniej od czasów Króla Artura i jego rycerzy brać wojskowa lubi się zbierać w kółku, zapewne dlatego, że koło świadczy o równości zasług, nie ukrywając faktycznych zależności w hierarchii. Baza McGuire jest więc wyposażona w duży okrągły stół stojący na środku podziemnej sali dowodzenia z surowym światłem i dużymi ekranami na ścianach: na kilku z nich widać uziemionego boeinga 787, filmowanego przez ustawione wokół niego kamery.

Tina i Adrian usiedli obok siebie, aby razem stawić czoło kilkunastu generałom – kobietom i mężczyznom z wszelkich możliwych agencji rządowych, przed którymi stoją pokryte pleksiglasem kartoniki z ich nazwiskami i zajmowanymi stanowiskami. Poza FBI i Departamentem Obrony przybyli przedstawiciele Spraw Zagranicznych, US Air Force, CIA, NSA, NORAD-u, FAA i innych agencji, o których Miller nigdy nie słyszał. Adrian i Tina również mają prawo do tytułów, imion i nazwisk umieszczonych nad napisem „Massachusetts Institute of Technology”, w którym żadne z nich już nie pracuje.

Tina Wang niezbyt się zmieniła, chociaż wygląda bardziej statecznie niż pisząca doktorat gotka, jaką niegdyś była. Zdążyła mu szepnąć, że już nie naucza, wyszła za mąż za Georga Brewstera, fizyka poznanego w kantynie na Uniwersytecie Columbia, oraz, z perfidnym uśmiechem, że z trudem by go rozpoznała, gdyż przestał wyglądać jak Christian Slater w *Imieniu róży*.

Teraz przypomina raczej łysiejącego Keanu Reevesa, ale tę uwagę Tina zachowuje dla siebie.

Silny głos przebija się przez ogólny gwar. Wysoki szczupły mężczyzna nie musi opowiadać o swoich wynikach na West Point, Colorado Springs ani o swoich dokonaniach wojennych w Himsie i Mogadiszu: jego ostrzyżone na jeża siwe włosy, ostre rysy, muskulatura i trzy czarne gwiazdki naszyte na kołnierzyku wystarczą za *curriculum vitae*. W tej sali wyłożonej grzecznymi boazeriami jego szaro-zielony mundur kamuflażowy nie na wiele mu się przydaje.

– Szanowni państwo, nazywam się Patrick Silveria, jestem generałem z National Military Command Center i przybyłem tutaj jako pełnomocny przedstawiciel Departamentu Obrony. Cała sytuacja musi pozostać tajna, prezydent nie zmienił swojego programu w Rio, ale jest o wszystkim informowany na bieżąco. Pozwólcie, że dokonam prezentacji: po mojej lewej stronie siedzi generał Buchanan, który kieruje bazą McGuire i przez kilka dni będzie naszym gospodarzem. Przypuszczam, że nikt z państwa nie zna profesora Millera i profesor Brewster-Wang, którzy siedzą po mojej prawej stronie: to matematycy, którym zawdzięczamy protokoły kryzysowe obowiązujące od 11 września.

Oboje kłaniają się niezgrabnie przy aprobującym szmerze głosów, a Silveria mówi dalej:

– Profesor Miller naucza w Princeton, a profesor Brewster-Wang jest konsultantką NASA i Google Corp. Będą mieć pełną swobodę w stosowaniu protokołu 42, a ja osobiście będę koordynatorem całej operacji. Zanim ktokolwiek zwróci mi uwagę, że CIA nie ma uprawnień do działania na terytorium kraju, pragnę podkreślić, że protokół wymaga współpracy wszystkich agencji.

Podczas gdy oficer rozdaje uczestnikom tablety i grube teczki z napisem *Classified Information*, Silveria po kolei przedstawia starszą agentkę FBI i wszystkich pozostałych, od agenta specjalnego CIA i dyrektora do spraw nadzoru cyfrowego w NSA, trzydziestolatka o irytującej twarzy geeka, który założył pewną sieć społecznościową, aż do drobnej kobiety o łagodnym i śpiewnym głosie, z krótkimi śnieżnobiałymi włosami, choć ma zaledwie czterdzieści lat: to Jamy Pudlowski z działu PsyOp w Special Operation Command, specjalistka do spraw operacji psychologicznych. Każdy z obecnych jest na swój sposób związany z zarządzaniem protokołem 42. Millerowi wraca pamięć: zaangażowane agencje rządowe, stopnie

wojskowe każdej z osób, a nawet porządek dnia tego zebrania… wszystko, o czym wraz z Tiną wspominali w swoim raporcie.

– W najbliższych godzinach nasza ekipa zostanie poważnie wzmocniona – ciągnie Silveria. – W tej chwili wiele osób o różnych specjalizacjach kieruje się do bazy, aby nam pomóc w stawieniu czoła sytuacji. Agentko specjalna Pudlowski, ilu agentów przysyła nam dział PsyOp FBI?

– Ponad stu. Inni działają w jednym z naszych budynków w Nowym Jorku.

– Dziękuję. Macie przed sobą wszystko, co do tej pory wiemy o zaistniałej sytuacji. Jesteśmy tutaj z powodu stojącego na pasie boeinga 787, który skontaktował się z lotniskiem Kennedy'ego dziś, dwudziestego czwartego czerwca, dokładnie o dziewiętnastej zero trzy. Zidentyfikował się jako lot Air France 006 na trasie Paryż–Nowy Jork. Poinformował nas o poważnych usterkach i w następnych minutach został przekierowany do tej bazy. Kapitan twierdzi, że nazywa się David Markle, a drugi pilot podał nazwisko Gideon Favereaux, otrzymaliście również pełną listę personelu pokładowego i listę pasażerów. Przekazuję teraz głos Brianowi Mitnickowi z NSA. Może parę słów o tabletach, Brian?

Podnosi się facet z National Security Agency. Na stojąco jeszcze bardziej przypomina chłopaczka, zwłaszcza że macha cienkim czarnym prostopadłościanem z entuzjazmem nastolatka.

– Dzień dobry wszystkim, macie przed sobą takie same tablety jak mój. Wasze są spersonalizowane i niezabezpieczone. Na stronie startowej jest plan boeinga 787. Jeśli klikniecie na dowolne siedzenie, wyskoczy nazwisko zajmującej je osoby, włącznie z personelem pokładowym. NSA aktualizuje tablety w czasie rzeczywistym, w miarę napływania danych o poszczególnych osobach podróżujących tym lotem. Kiedy tylko pojawi się link do nowej strony w postaci obrazu lub fragmentu tekstu, wyświetli się na niebiesko. Po kliknięciu wyskoczy odnośna strona. Żeby wrócić, wystarczy kliknąć strzałkę powrotu. To bardzo proste. A teraz proszę spojrzeć na ekrany kontrolne. – Przesuwając palcem, Mitnick pokazuje zdjęcia Markle'a i Favereaux, stewardów i stewardes.

Podczas gdy Mitnick bawi się swoją zabawką, Silveria ponownie zabiera głos.

– Protokół 42 został uruchomiony, gdyż ponad cztery godziny temu, zgodnie z rozkładem, o szesnastej trzydzieści pięć, na JFK wylądował inny

lot Air France 006. Obsługiwała go inna maszyna, z innym kapitanem i drugim pilotem za sterami. Natomiast boeing 787 należący do Air France, zarejestrowany jako lot Air France 006, uszkodzony dokładnie tak jak ten, również kierowany przez kapitana Markle'a i drugiego pilota Favereaux, z tym samym personelem pokładowym i tymi samymi pasażerami, inaczej mówiąc, dokładnie taki sam samolot jak ten, który tu widzicie, ta sama maszyna wylądowała na lotnisku JFK, ale dziesiątego marca o siedemnastej siedemnaście. Równo sto sześć dni temu.

Rozlega się ogólny harmider, któremu agent CIA kładzie kres uniesieniem ręki.

– Nie rozumiem. Ten sam samolot lądował dwa razy?

– Tak. Powtarzam: to jest ten sam samolot, co potwierdza jeden z pracowników działu utrzymania ruchu. Niecałe cztery miesiące temu naprawiał dokładnie tę maszynę. Według niego zniszczenia są niewielkie, jakby samolot dwa razy krócej przebywał w gradzie, lecz mechanik z pełnym przekonaniem rozpoznał niektóre zarysowania przedniej szyby, zniszczenia radiolokatora i tym podobne. Łączę bezpośrednio z pilotem.

W sali dowodzenia rozlega się cichy pogwizd mikrofonu.

– Dzień dobry, kapitanie Markle. Tu ponownie generał Patrick Silveria. Znajduję się w tej chwili w sztabie kryzysowym. Czy mogę prosić, by się pan jeszcze raz przedstawił? I podał nam swoją datę urodzenia.

W pomieszczeniu rozbrzmiewa zmęczony głos Markle'a.

– David Markle, urodzony dwunastego stycznia siedemdziesiątego trzeciego roku. Generale, pasażerowie są skrajnie zdenerwowani, chcą wysiąść.

– Za chwilę będziemy ich ewakuować. Ostatnie pytanie, kapitanie Markle: którego dzisiaj mamy i która jest godzina?

– Nasze przyrządy nie działają. Jest dziesiąty marca, mój zegarek pokazuje dwudziestą czterdzieści pięć.

Silveria kończy połączenie. Zegar świetlny pokazuje datę, dwudziesty czwarty czerwca, i godzinę, dwudziestą drugą trzydzieści cztery. Na największym ekranie pojawia się obraz zaintubowanego pacjenta na łóżku szpitalnym.

– Zdjęcie to zostało zrobione dziesięć minut temu przez agenta FBI w pokoju numer trzysta czterdzieści cztery w Mount Sinai Hospital. Ten mężczyzna również nazywa się David Markle. Był kapitanem lotu Air France 006 dziesiątego marca. Ten David Markle umiera na raka

trzustki zdiagnozowanego miesiąc temu. – Silveria odwraca się w kierunku Adriana Millera i Tiny Brewster-Wang, którzy siedzą w milczeniu. – Czy teraz rozumiecie, dlaczego uruchomiliśmy protokół 42? Co teraz, waszym zdaniem, powinniśmy zrobić?

II

Życie jest snem, jak mówią

(24 czerwca – 26 czerwca 2021)

Egzystencja poprzedza esencję, i to o całą długość.

Victør Miesel, *Anomalia*

Ta chwila, kiedy

Czwartek, 24 czerwca 2021
McGuire Air Force Base, Trenton, New Jersey

Między dwiema kolumnami uzbrojonych żołnierzy, ubranych w żółte kombinezony antyskażeniowe, pasażerowie kierują się gęsiego do hangaru. Przechodzą przez wykrywacz radioaktywności i śluzę antybakteryjną, po czym powoli, jeden za drugim, wchodzą pod olbrzymią kopułę; stojący szeregiem żołnierze zapisują kolejno ich nazwisko, imię i numer siedzenia. Niewielu pasażerów protestuje. Po zdenerwowaniu i złości przyszły zmęczenie i niepokój. Tylko jedna wściekła adwokatka ma w sobie dość energii, by rozdawać swoje wizytówki.

W hangarze żołnierze podłączyli prysznice i przenośne toalety, rozstawili setkę namiotów i długie stoły. Wydają ciepłe posiłki, niektórzy pasażerowie próbują odpoczywać na materacach pod namiotami, lecz pod stalową kopułą wszystkie dźwięki są bardzo głośne, słychać krzyki dzieci, wybuchają kłótnie. Dziesiątki żołnierzy pilnują porządku i kontrolują wszystkie osoby wchodzące i wychodzące; w północnym narożniku umieszczono ekipę medyczną wyposażoną w laboratorium pod sterylnym namiotem, kilkunastu pielęgniarzy pobiera od pasażerów próbki śliny; w kontenerach stojących we wschodnim narożniku rośnie liczba psychologów z PsyOp, którzy zaczynają przesłuchania w cztery oczy według kwestionariusza pośpiesznie opracowanego przez Millera i Wang. W ostatnich godzinach protokół 42 znacznie wzbogacono.

Po stronie zachodniej, pięć metrów nad podłogą, zainstalowano dużą metalową platformę. Ekipa Task Force przeniosła się do jednej z górnych sal; każdy z jej członków może przez szerokie okno obserwować głośny i chaotyczny tłum kłębiący się na dole. Na tabletach co chwila pojawiają się nowe informacje. NSA dokonała geolokalizacji większości pasażerów i członków załogi lotu Paryż–Nowy Jork z dziesiątego marca. Setka z nich już znalazła się w areszcie domowym pod nadzorem policji. Biolodzy

porównują ich DNA z DNA tych, którzy przebywają w hangarze: jest absolutnie identyczne. Samolot unieruchomiony w bazie McGuire to dokładna replika tego, który lądował prawie cztery miesiące temu.

Mitnick, geek z NSA, puszcza na ekranie podwójny obraz kabiny.

– Oto dwa nagrania wideo z kamery usytuowanej w pierwszej klasie: po lewej pierwszy samolot, ten z dziesiątego marca, po prawej ten, który wylądował dzisiaj. – Pauza. – Kody czasowe obu obrazów pokazują szesnastą dwadzieścia sześć i trzydzieści sekund… Oba obrazy są podobne. Jesteśmy w turbulencji. A teraz klatka po klatce…

Na ekranie jest szesnasta dwadzieścia sześć, trzydzieści cztery sekundy i dwadzieścia setnych, teraz nagrania przestają być identyczne, a podzielony na pół ekran jest jak gra „Znajdź różnicę”: po lewej okulary spadają z nosa jednej z pasażerek, a po prawej nadal na nim tkwią, po lewej jeden ze schowków na bagaże podręczne się otwiera, a po prawej pozostaje zamknięty. Ale przede wszystkim po lewej jest ciemno, natomiast na nagraniu po prawej światło słoneczne zalewa kabinę. Pierwszy samolot kontynuuje niespokojny lot w straszliwej burzy z dziesiątego marca, podczas gdy drugi pojawia się na spokojnym niebie dwudziestego czwartego czerwca o osiemnastej zero siedem.

Kakofonia jest tak silna, że Mitnick musi krzyczeć, by ktokolwiek go usłyszał.

– No więc tak – oznajmia podekscytowany. – Wszystko odbywa się właśnie w tej chwili, o szesnastej dwadzieścia sześć, trzydzieści cztery sekundy i dwadzieścia setnych… Dzieje się coś niewiarygodnego: wybraliśmy trzy kamery wewnętrzne boeinga 787, na przodzie, w środku i na tyle samolotu. Dzieli je od siebie dziesięć metrów. Przy prędkości dziewięciuset kilometrów na godzinę, czyli dwustu pięćdziesięciu metrów na sekundę, boeing pokonuje te dziesięć metrów w ciągu jednej dwudziestej piątej sekundy, natomiast – cud nad cudy – kamery łapią dwadzieścia pięć obrazów na sekundę. Rozumiecie? – Nie uzyskawszy odpowiedzi, Mitnick mówi dalej: – Dzielę ekran na trzy. Po lewej wideo z pierwszej kamery, w środku z drugiej, po prawej z trzeciej. A więc o szesnastej dwadzieścia sześć, trzydzieści cztery sekundy i dwadzieścia setnych na pierwszej kamerze słońce zalewa kabinę. To samo zjawisko występuje na drugiej, tyle że na następnym ujęciu, o szesnastej dwadzieścia sześć, trzydzieści cztery sekundy i dwadzieścia cztery setne. Natomiast na trzeciej kamerze, tej po

prawej, słońce pojawia się o szesnastej dwadzieścia sześć, trzydzieści cztery sekundy i dwadzieścia osiem setnych.

– I co to oznacza? – pyta Silveria.

Mitnick triumfuje.

– Między kamerami jest przesunięcie jednej dwudziestej piątej sekundy. Jakby nasz drugi samolot pojawiał się znikąd po przejściu przez niewidoczną pionową płaszczyznę. Przed płaszczyzną burza, po płaszczyźnie niebieskie niebo. Według naszych satelitów obserwacyjnych dziesiątego marca płaszczyzna ta znajdowała się dokładnie na pozycji 42°8′50″N 65°25′9″W, ale dzisiaj samolot pojawił się ponownie nieco bardziej na południowy zachód, a oba te punkty dzieli odległość około sześćdziesięciu kilometrów.

– Pańskie wnioski, Mitnick?

– Moje? Żadne, absolutnie żadne. Jeszcze jedna informacja, którą muszą przemielić nasi jajogłowi z Princeton – mówi, odwracając się do dwójki matematyków.

– Czy to zadziałało trochę jak fotokopia, skanowanie w jednym miejscu, a wydruk w drugim, jak kartka wyjęta z maszyny? – pyta Tina Wang.

Mitnick się zastanawia. Myśl wydała mu się zbyt absurdalna, by wypowiedzieć ją na głos.

Ponownie zapada cisza. Klimatyzatorów jeszcze nie zainstalowano, więc panuje wilgotny upał. Na komórkę jednego z gości z NSA przychodzi wiadomość, facet czyta i wzdycha.

– Prezydent Stanów Zjednoczonych żąda, by NSA sprawdziła, czy dziesiątego marca nie było u naszych wybrzeży atlantyckich żadnego okrętu rosyjskiego lub chińskiego przeprowadzającego eksperymenty z podróżowaniem w czasie…

Generała Silverię ogarnia przygnębienie pomieszane z irytacją. Opiera głowę o szybę, spoglądając na zalany surowym światłem hangar.

– Ale skąd się wziął ten samolot? – wzdycha. – Profesor Wang, na pewno ma pani jakąś teorię. Profesor bez teorii to jak pies bez pcheł.

– Przykro mi, ale na razie nie mam żadnej pchły.

– Liczymy na to, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wszystkich odnajdziemy, łącznie z cudzoziemcami, którzy po dziesiątym marca wrócili do swoich krajów. A na razie prosimy o wykrzesanie jakiegokolwiek wyjaśnienia.

– Musimy wzmocnić ekipę naukową – sugeruje Adrian. – Fizyka kwantowa, astrofizyka, biologia molekularna… Ekipa musi być na miejscu jutro o świcie.

– Za pół godziny – dodaje Tina Wang – damy panu listę naukowców. Do tego dwóch, trzech filozofów.

– Ach tak? A po co? – pyta Silveria.

– A dlaczego tylko naukowcy mają być budzeni w środku nocy?

Silveria wzrusza ramionami.

– Nie pomijajcie żadnego nazwiska, mam zielone światło na porwanie każdego noblisty przebywającego na terytorium kraju. Dokładne sformułowanie brzmi następująco: „poprosić o współpracę na wyraźne polecenie prezydenta Stanów Zjednoczonych”.

– Proszę nam znaleźć salę hipotez: duże pomieszczenie do pracy grupowej, z wydzielonymi powierzchniami, a także stołami, fotelami, kanapami, tablicami, kredą, rozumie pan…

– I jakimiś proszkami pobudzającymi.

– Dostaniecie tonę modafinilu. Mamy setki opakowań…

– Będziemy potrzebować specjalistki od ciągłości w przestrzeni i teorii grafów – rzuca Adrian.

– Dlaczego nie specjalisty? Ma pan na myśli kogoś konkretnego?

Owszem, Adrian ma kogoś na myśli.

– Profesor Harper z Princeton. Meredith Harper. Kilka godzin temu… dyskutowaliśmy na temat… toposów Grothendiecka w geometrii.

– Zaraz wyślę po nią pojazd wojskowy. Czy ona jest… godna zaufania, jeśli chodzi o bezpieczeństwo narodowe?

– Jak najbardziej. Zwłaszcza że jest Angielką. To jakiś problem?

Generał Silveria wygląda na nieprzekonanego.

– W tym cholernym samolocie i tak jest trzynaścioro Anglików. Dopóki nie jest Rosjanką, Chinką ani Francuzką… Tak czy owak, będziemy współpracować z brytyjskimi służbami.

– Potrzebny też będzie ekspres do kawy, prawdziwy, taki, co robi espresso – dodaje Adrian.

– Nie żądajcie rzeczy niemożliwych – krzywi się generał.

*

Tuż przed dwudziestą trzecią w północnym narożniku hangaru unosi się kłąb szarego dymu, najpierw w postaci zwykłej spirali, która szybko gęstnieje, zmieniając kolor na czarny. Słychać męski krzyk „Pożar!” i tłum ogarnia panika: pasażerowie rzucają się do zamkniętych drzwi, potrącają strzegących je wojskowych, do hangaru wbiegają ekipy do spraw bezpieczeństwa, żeby ich wspomóc.

Pożar zostaje szybko opanowany, ale Silveria chwyta za mikrofon.

– Mówi generał Patrick Silveria. Proszę nie ulegać panice. Zaraz zejdę i wszystko państwu wyjaśnię.

Z sali dobiega głośny harmider.

– Co pan im powie? – pyta Tina Wang, podczas gdy generał szykuje się, by zejść na dół. – Radzę ich nie informować, że gdzieś istnieją ich sobowtóry, a oni nie mają nic do roboty na Ziemi…

– Będę improwizować. Zresztą kto wie, co my właściwie robimy na tej cholernej planecie?

Podczas gdy Silveria z mikrofonem w ręku stawia czoło dwustu pasażerom, przekazując im jakieś kłamliwe wyjaśnienia, w których jest mowa o bezpieczeństwie narodowym, piractwie i zdrowiu publicznym, wojskowi oceniają straty: ogień wybuchł pod jednym z łóżek i od razu rozprzestrzenił się po całym namiocie. Musiało to być działanie celowe.

Trzydzieści metrów dalej wąskie metalowe drzwi prowadzące na dwór zostały wyważone łomem. W chwili ogólnej paniki strzegący ich żołnierze stracili czujność. Dziesięć minut później okazuje się, że siatka otaczająca bazę została zerwana na szerokości pięciu metrów przez jakiś pojazd. Był szary, jak wskazują ślady lakieru, ale na pobliskim parkingu, z którego zapewne został skradziony, stoi ponad trzysta takich pojazdów.

Jeden pasażer uciekł i znikł w ciemnościach nocy.

*

O dwudziestej czwartej lista specjalistów z różnych dziedzin jest gotowa: laureaci nagród Nobla, Abela i Medalu Fieldsa, faktyczni i potencjalni. Pół godziny później agenci FBI zaczynają dzwonić do drzwi, przerywając wszelkie nocne zajęcia, najczęściej sen. „Wyraźne polecenie prezydenta Stanów Zjednoczonych” i rozświetlające noc koguty wywołują stosowne wrażenie. Nie minęła pierwsza w nocy, kiedy rozpoczyna się balet

samochodów, śmigłowców i prywatnych samolotów przywożących naukowców do bazy McGuire.

Wśród nich jest także Meredith, którą łatwo rozpoznać po zapachu wódki i pasty do zębów. Najwyraźniej została wyciągnięta z łóżka, a kiedy Adrian zaczyna bezładnie przedstawiać jej sytuację, po jej złości nie ma już śladu. Słucha go ze zmarszczonymi brwiami, bez słowa spoglądając na tłum w dole. Adrian jest zaskoczony.

– Nie ma pani żadnych pytań?

– A ma pan jakieś odpowiedzi?

Adrian skonsternowany potrząsa głową i podaje jej pastylkę modafinilu. Żeby nie spać, chce dodać, ale ona już ją połknęła, bez słowa.

– Trzeba było mi powiedzieć, że jest pan agentem, Adrianie.

– To nie całkiem tak… Chodźmy, zaprowadzę panią do sterowni.

– Sraty-taty. Matematyk w Princeton, fantastyczna przykrywka dla szpiega…

Kiedy Adrian popycha drzwi, Meredith w osłupieniu spogląda na wnętrze.

– Ojej, Adrianie, ale czad – szepcze. – Zupełnie jak w *Doktorze Strangelove*.

Każda nowa informacja pojawiająca się na ekranach potwierdza niemożliwe. Samolot stojący na pasie jest absolutnie identyczny z tym, który wylądował dziesiątego marca. Maszyna została naprawiona, pasażerowie się postarzeli: tego wieczoru w Chicago obchodzone jest ukończenie szóstego miesiąca życia przez niemowlę, które w hangarze jest wrzeszczącym dwumiesięcznym noworodkiem. Podczas tych stu sześciu dni oddzielających oba lądowania spośród dwustu trzydziestu pasażerów i trzynastu członków załogi jedna kobieta urodziła dziecko, a dwaj mężczyźni zmarli. Genetycznie jednak są to ci sami ludzie. Silveria dokonuje bilansu w ramach komisji specjalnej, nie zwracając najmniejszej uwagi na matematyków.

– Przesłuchania?

– Wzbogacamy kwestionariusz opracowany przez profesor Wang i profesora Millera – odpowiada Jamy Pudlowski z Wydziału Operacji Psychologicznych. – Wprowadzamy do niego błędne szczegóły, by wywołać reakcje, które potwierdzą tożsamość poszczególnych osób. Po pierwsze, nazwiska pasażerów muszą pozostać tajne.

Facet z NSA znowu macha tabletem.

– Monitorujemy media społecznościowe ze szczególnym uwzględnieniem słów kluczowych, takich jak „boeing” czy „McGuire”. Kiedy wybuchnie kryzys, będziemy mogli zidentyfikować nadawców i ograniczyć rozpowszechnianie informacji. Nie jesteśmy jednak w Chinach ani w Iranie, nie możemy zablokować internetu. Do tej pory tylko na jednym profilu, należącym do żołnierza z bazy, pojawiła się wzmianka o tym samolocie, którą usunęliśmy. Bogu dzięki…

– Skoro mowa o Bogu… – wtrąca Pudlowski.

Słowo „Bóg” ma tę zaletę, że od razu zapada cisza. Kobieta z FBI kręci głową, a w jej siwych, starannie ułożonych włosach miga czarne pasemko.

– Cóż… Bóg może stanowić pewien problem. Zarówno w naszym kraju, jak i w wielu innych będzie się mówiło o działaniu Boga. Albo szatana. Nie możemy zahamować wybuchu przesądów, bezmyślnych czynów ludzi nawiedzonych. Podjęłam inicjatywę, by zwołać radę przywódców duchowych wszystkich wyznań. Doradcy prezydenta do spraw religijnych są ewangelikami, nie chcemy, by nam zarzucano, że ograniczyliśmy się tylko do nich. Tym samolotem lecieli chrześcijanie, muzułmanie, buddyści… Czas gra przeciwko nam, a ludzie pobożni z natury rzeczy są nieprzewidywalni.

– Ma pani *carte blanche*, Jamy – oznajmia generał. – Z budżetem wynoszącym dziewięć miliardów dolarów FBI na pewno zdoła coś osiągnąć.

– A co robimy z Francuzami, pozostałymi Europejczykami, Chińczykami i całą resztą? – pyta Mitnick. – Informujemy ambasadorów?

– Żeby powiedzieć, że nielegalnie przetrzymujemy obywateli ich krajów? Nic nie robimy. Czekamy na decyzję prezydenta. Coś jeszcze?

Siedzący w głębi sali Adrian podnosi nieśmiało rękę.

– Aby rozróżnić ludzi z pierwszego samolotu, tego, który wylądował w marcu, od ludzi z drugiego, potrzebujemy jakiegoś kodu: jeden i dwa? Alfa i beta? Albo kolorów: niebieski i zielony, niebieski i czerwony?

– Tom i Jerry? Flip i Flap? – podpowiada Meredith.

– Dobre pomysły, ale jednak nie – ucina Silveria. – Lepiej coś prostego: March dla tych, którzy wylądowali w marcu, June dla tych, którzy wylądowali w czerwcu.

*

Czas jest elementem kluczowym, Blake świetnie o tym wie. Piętnaście minut w hangarze wystarczyło, aby znaleźć lukę w systemie bezpieczeństwa i się wymknąć, kolejne siedem, by ruszyć do Nowego Jorku starą furgonetką Forda z serii F, pojazdem najmniej rzucającym się w oczy, który pożyczył z parkingu bazy. Musi pamiętać, by zawsze jeździć tylko z plecakiem. Oczywiście nie oddał personelowi pokładowemu kupionego w Paryżu telefonu na kartę i oczywiście zdołał uniknąć kontroli DNA. Do Nowego Jorku przyjeżdża o drugiej w nocy, wywala do śmieci australijski paszport, na którym podróżował z Paryża, porzuca furgonetkę w ciemnej uliczce, wytarłszy wszelkie ślady z kierownicy i siedzenia, po czym na wszelki wypadek ją podpala.

Jest upalna letnia noc. Blake ze zdumieniem patrzy na datę w gazecie, dwudziesty czwarty czerwca – przynajmniej temperatura się zgadza. W otwartej przez całą dobę kafejce internetowej na Manhattanie przegląda wiadomości z ostatnich miesięcy. Dowiaduje się, że dwudziestego pierwszego marca w Quogue został zamordowany niejaki Franck Stone, ewidentnie było to morderstwo na zlecenie. Chce wejść na swoje tajne konta bankowe, ale kody zostały zmienione. Na Facebooku odwiedza stronę swojej paryskiej restauracji, potem profil Flory. Na zdjęciu wrzuconym dwudziestego czerwca widzi mężczyznę tak podobnego do siebie, że można się pomylić; trzyma jego córkę na kolanach, na czole ma bandaż. Zdjęcie zostało podpisane przez Florę: „Kucyk, ten groźny drapieżnik”. Przygląda się własnemu czołu: żadnej blizny, żadnego krwiaka. Przez chwilę Blake rozważał amnezję jako najprostsze, choć trochę ułomne wyjaśnienie. To już przestało wchodzić w grę.

Pragmatyzm jak zwykle bierze górę. Musi wrócić na swoje terytorium: jedzie taksówką na JFK, za gotówkę kupuje bilet na pierwszy lot do Europy na nowym paszporcie. Nowy Jork–Bruksela startuje o szóstej piętnaście. W sobotę o dwudziestej pierwszej będzie z powrotem w Europie, a autobus do Paryża jeździ co godzinę. Blake ma ładnych parę godzin, żeby się przespać i jeśli nie zrozumieć, to przynajmniej pomyśleć.

Siedem przesłuchań

Fragmenty przesłuchania Davida Markle'a

Poufność: tajemnica państwowa dot. obronności kraju / Protokół nr: 42
Rozmowę przeprowadził: oficer Charles Woodworth, PsyOp, SOC
Data: 2021/06/25 / Godzina: 00 : 12 / Miejsce: McGuire Airbase, US Army
Nazwisko: Markle / Imiona: David Bernard / Kod: June
Data urodzenia: 12/01/1973 (48 lat) / Obywatelstwo: amerykańskie
Stanowisko w załodze: kapitan / Miejsce: CP1

OFICER CW: Dzień drugi, dwanaście minut po północy. Dzień dobry, kapitanie Markle, nazywam się Charles Woodworth, jestem oficerem Special Operation Command, US Army. Pan się nazywa David Bernard Markle, urodzony dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku w Chicago, Illinois. Za pańskim pozwoleniem cała nasza rozmowa będzie rejestrowana i monitorowana przez NSA.

DBM: W porządku. Urodziłem się w Peorii, nie w Chicago.

OFICER CW: Dziękuję za to sprostowanie. Zaczął pan karierę w Delta Airways w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku. W Air France zaczął pan pracować w marcu dwa tysiące trzeciego. Trzy lata latał pan na krótkich trasach airbusami A319, 320 i 321, potem na lotach długodystansowych airbusami A330 i 340, a obecnie lata pan boeingiem 787. Zgadza się?

DBM: Tak.

OFICER CW: Kapitanie Markle, czy możemy pomówić o pańskim ostatnim locie? Czy może pan opisać cumulonimbusa i wrócić do turbulencji?

DBM: Około szesnastej dwadzieścia, godzinę od Nowego Jorku, na południe od Nowej Szkocji, przeszliśmy przez cumulonimbusa niesygnalizowanego na mapie pogodowej, prawdziwego potwora z szerokim frontem. Sięgał piętnastu tysięcy, co jak na marzec jest dość

niespotykane. Spadliśmy o jakieś tysiąc metrów, minimum pod kątem dwudziestu pięciu stopni. Uderzyliśmy w ścianę gradu, przywróciliśmy poziom i po pięciu, sześciu minutach nagle wyszliśmy z cumulonimbusa na zupełnie czyste niebo.

OFICER CW: Czy w Peorii chodził pan do szkoły podstawowej?

DBM: Słucham?

OFICER CW: Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, kapitanie Markle. Czy pamięta pan nazwę szkoły?

DBM: Kellar Primary School. Czy będzie pan bez przerwy gapić się w tablet?

OFICER CW: Taki jest protokół: pytania celowo mają osobisty charakter. Pańskie odpowiedzi są na bieżąco potwierdzane. Czy pamięta pan nazwisko swojego nauczyciela?

DBM: To było ponad czterdzieści lat temu. Ale tak… pani Pratchett.

OFICER CW: Dziękuję, kapitanie. […] Czy w wolnych chwilach zajmuje się pan malarstwem, muzyką?

DBM: Nie.

OFICER CW: Czy wychodząc z chmury, czuł pan jakiś niepokój, dyskomfort?

DBM: Nie.

OFICER CW: Czy zdarza się panu słyszeć jakieś uporczywe dźwięki, przyjemne i melodyjne?

DBM: Nie.

OFICER CW: Czy miewa pan bóle głowy, migreny?

DBM: Nie.

OFICER CW: Podrażnienia oczu, katary?

DBM: Zdarza się. Co to za pytania?

OFICER CW: Zgodne z protokołem, kapitanie Markle. Czy odczuwa pan swędzenie, pieczenie na twarzy?

DBM: Nie.

OFICER CW: Czy rozpoznaje pan młodą kobietę na fotografii, którą właśnie dostałem, a którą widać na ekranie przed panem?

DBM: Chyba tak.

OFICER CW: Może mi pan podać jej nazwisko?

DBM: Wydaje mi się, że to pani Pratchett.

OFICER CW: To Pamela Pritchett, nie Pratchett, pięćdziesiąt lat temu. Teraz ma osiemdziesiąt cztery lata i nadal mieszka w Peorii.

DBM: Chciałbym porozmawiać z pańskim przełożonym. I zadzwonić do żony, musi się bardzo niepokoić.

OFICER CW: Wkrótce, kapitanie Markle. Czy robił pan niedawno badania lekarskie? […]

Koniec przesłuchania 2021/06/25 o godzinie 00 : 43

*

Fragmenty przesłuchania Andrégo Vanniera

Poufność: tajemnica państwowa dot. obronności kraju / Protokół nr: 42
Rozmowę przeprowadził: porucznik Terry Klein, PsyOp, SOC
Data: 2021/06/25 / Godzina: 07 : 10 / Miejsce: McGuire Airbase, US Army
Nazwisko: Vannier / Imiona: André Frédéric / Kod: June
Data urodzenia: 13/04/1958 (63 lata) / Obywatelstwo: francuskie
Lokalizacja pasażera: kabina 2, klasa ekonomiczna / Miejsce: K02

OFICER TK: Dzień drugi, siódma dziesięć. Dzień dobry, nazywam się Terry Klein, jestem oficerem Special Operation Command, US Army. Pan się nazywa André Vannier, urodzony trzynastego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku w Paryżu?

AFV: Tak.

OFICER TK: Panie Vannier, ze względów bezpieczeństwa nasza rozmowa jest rejestrowana.

AFV: Chciałbym zawiadomić swojego wspólnika. Prowadzimy budowę w Nowym Jorku. Muszę go poinformować, że zostałem zatrzymany.

OFICER TK: Chwilowo nie mogę niczego panu zagwarantować, panie Vannier.

AFV: Świetnie, w takim razie proszę się skontaktować z Quai d’Orsay.

OFICER TK: Ke co, panie Vannier?

AFV: Z francuskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych. I niech pan zapyta swojego szefa w Special Operation Command, na pewno zna Armanda Mélois.

OFICER TK: Przekażę pańską informację. Może pan opisać swoją podróż, zwłaszcza turbulencje? […]

Koniec przesłuchania 2021/06/25 o godzinie 07 : 25

*

Fragmenty przesłuchania Sophii Kleffman

Poufność: tajemnica państwowa dot. obronności kraju / Protokół nr: 42
Rozmowę przeprowadziła: porucznik Mary Tamas, PsyOp, SOC
Data: 2021/06/25 / Godzina: 08 : 45 / Miejsce: McGuire Airbase, US Army
Nazwisko: Kleffman / Imiona: Sophia Taylor / Kod: June
Data urodzenia: 13/05/2014 (7 lat) / Obywatelstwo: amerykańskie
Lokalizacja pasażera: kabina 1, klasa ekonomiczna / Miejsce: F3

OFICER MT: Jest za piętnaście dziewiąta rano, dzień drugi. Dzień dobry, Sophio, mam na imię Mary, jestem oficerem w służbach bezpieczeństwa. Dobrze się dzisiaj czujesz?

STK: Tak, proszę pani.

OFICER MT: Możesz mi mówić Mary. Udało ci się pospać? Jadłaś śniadanie?

STK: Tak.

OFICER MT: Trzeba jeść. Wczorajszy lot był bardzo męczący. Zadam ci kilka pytań i zapiszę twoje odpowiedzi na stojącym przede mną tablecie. No i będę nagrywać całą naszą rozmowę. W porządku, Sophio?

STK: Czy ja zrobiłam coś złego?

OFICER MT: Ależ skąd, Sophio, nie denerwuj się. Potem pójdziemy zobaczyć zabawki, które przyniesiono dla was dziś w nocy, bo wiesz, jest was prawie trzydzieścioro dzieci. I będziesz mogła oglądać kreskówki. Zgoda?

STK: Tak. Będę mogła pograć na iPadzie? Mam swój własny, ale mi go zabrali.

OFICER MT: Niedługo dostaniesz go z powrotem. Ile masz lat, Sophio?

STK: Sześć, za dwa miesiące skończę siedem.

OFICER MT: Och, to pięknie. Którego dokładnie się urodziłaś?

STK: Trzynastego maja.

OFICER MT: A trzynasty maja będzie za dwa miesiące?

STK: Tak.

OFICER MT: Jaki byś chciała dostać prezent?

STK: Jeszcze jedną żabkę. Żeby Betty nie była już sama.

OFICER MT: Kto to jest Betty?

STK: To moja żabka. Czeka na mnie w domu.

OFICER MT: Pokażę ci teraz zdjęcie zrobione przez twoją mamę, poznajesz swój dom?

STK: Tak…

OFICER MT: A możesz mi powiedzieć, kto jest na zdjęciu?

STK: To moi przyjaciele ze szkoły, Jenny, Andrew, no i Sarah…

OFICER MT: Tak, Sophio. Jak widzisz, notuję wszystko, co mówisz, bo to ważne. To urodziny, możesz policzyć świeczki na torcie?

STK: Tak… Siedem świeczek.

OFICER MT: Dziękuję, Sophio. W samolocie musiało ci być bardzo niedobrze, prawda?

STK: O tak, strasznie trzęsło.

OFICER MT: Czy czasami wydaje ci się, że słyszysz muzykę?

STK: Nie, proszę pani.

OFICER MT: Możesz mi mówić Mary. A czy czasem boli cię głowa?

STK: Nie, właściwie nie.

OFICER MT: A oczy też cię nigdy nie szczypią?

STK: Nie, nigdy.

OFICER MT: Tym lepiej. I nie swędzi cię twarz, zwłaszcza policzki lub czoło?

STK: Nie.

OFICER MT: Podróżowałaś z mamą i młodszym braciszkiem Liamem?

STK: To mój starszy brat.

OFICER MT: Ojej, przepraszam, pomyliłam się. A tatusia z wami nie było?

STK: Nie. Został w Europie.

OFICER MT: Spędziłaś miłe wakacje w Europie?

STK: Tak. Czy ja zrobiłam coś złego?

OFICER MT: Nie, Sophio, absolutnie nic. Twój tatuś pracuje w wojsku, prawda?

STK: Tak. On też nic złego nie zrobił?

OFICER MT: Nie, Sophio, skądże. No już, nie płacz. Weź chusteczkę. Nie ma się co niepokoić. Naprawdę. Mam poprosić twoją mamę, żeby tu przyszła porozmawiać z nami?

STK: Nie.

OFICER MT: Zobacz, przyniosłam papier i kolorowe pisaki. Lubisz rysować, Sophio? Narysujesz coś dla mnie?

STK: Co mam narysować?

OFICER MT: Co tylko chcesz, Sophio.

Przerwa w przesłuchaniu 2021/06/25 o godzinie 09 : 02
Przesłuchanie wznowiono 2021/06/25 o godzinie 09 : 09

OFICER MT: Bardzo dziękuję, Sophio. To bardzo ładny rysunek. Cały czarny. Widziałaś, że są też kolorowe pisaki?

STK: Tak.

OFICER MT: Kto to jest ten wysoki pan?

STK: To mój tata.

OFICER MT: A obok niego?

STK: To ja.

OFICER MT: Jesteś cała zabazgrana. Dlaczego?

STK: (*cisza*)

OFICER MT: To są twoje usta?

STK: (*potrząsa głową*)

OFICER MT: A mamy nie ma?

STK: Nie.

OFICER MT: Możesz mi jeszcze coś powiedzieć o swoim rysunku? Jeśli się zgodzisz, poproszę jeszcze jedną panią, żeby przyszła cię posłuchać. Zgadzasz się, Sophio?

STK: Tak. […]

Koniec przesłuchania 2021/06/25 o godzinie 09 : 19

*

Fragmenty przesłuchania Joanny Woods

Poufność: tajemnica państwowa dot. obronności kraju / Protokół nr: 42
Rozmowę przeprowadził: porucznik Damian Hepstein, PsyOp, SOC
Data: 2021/06/25 / Godzina: 07 : 23 / Miejsce: McGuire Airbase, US Army
Nazwisko: Woods / Imiona: Joanna Sarah / Kod: June
Data urodzenia: 04/06/1987 (34 lata) / Obywatelstwo: amerykańskie
Lokalizacja pasażera: kabina pierwszej klasy / Miejsce: D2

OFICER DH: Dzień drugi, siódma dwadzieścia trzy. Dzień dobry, pani Woods, nazywam się Damian Hepstein, jestem porucznikiem Special Operation Command, US Army. Za pani pozwoleniem nasza rozmowa jest rejestrowana.

JSW: No więc nie zgadzam się.

OFICER DH: Pani Woods, odmowa współpracy w kontekście bezpieczeństwa narodowego będzie uznana za podejrzaną. Nazywa się pani Joanna Woods, urodzona czwartego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku w Baltimore?

JSW: Poruczniku Hepstein, czwarta poprawka chroni mnie przed nieuzasadnionym zatrzymaniem. Chcę zadzwonić do mojej kancelarii adwokackiej.

OFICER DH: Mogę panią zapewnić, że sytuacja uzasadnia restrykcje dotyczące pani przemieszczania się.

JSW: Poruczniku Hepstein, żaden sędzia nie podpisał mojego nakazu aresztowania. Albo proszę mi ów nakaz pokazać. Tak nie wolno ludzi zatrzymywać, to wbrew ustawie Habeas Corpus.

OFICER DH: Rozumiem, pani Woods, w najbliższych godzinach otrzyma pani wszystkie wyjaśnienia.

JSW: Zbieram informacje w celu złożenia pozwu zbiorowego na szczeblu federalnym, może nawet międzynarodowym. Już czterdziestu siedmiu pasażerów zgodziło się, by moja kancelaria ich reprezentowała…

OFICER DH: Pani prawo. Czy mogę pani zadać kilka pytań?

JSW: Nie sądzę. Chciałabym się zobaczyć z pańskim przełożonym.

Koniec przesłuchania 2021/06/25 o godzinie 07 : 27

*

Fragmenty przesłuchania Lucie Bogaert

Poufność: tajemnica państwowa dot. obronności kraju / Protokół nr: 42
Rozmowę przeprowadziła: porucznik Francesca Caro, PsyOp, SOC
Data: 2021/06/25 / Godzina: 07 : 52 / Miejsce: McGuire Airbase, US Army
Nazwisko: Bogaert / Imiona: Lucie / Kod: June
Data urodzenia: 22/01/1989 (32 lata) / Obywatelstwo: francuskie
Lokalizacja pasażera: kabina 2, klasa ekonomiczna / Miejsce: K03

OFICER FC: Dzień drugi, godzina siódma pięćdziesiąt dwie. Dzień dobry, nazywam się Francesca Caro, jestem oficerem Special Operation Command, US Army. Pani Bogaert, czy potrzebuje pani tłumacza?

LB: Nie.

OFICER FC: Pani Bogaert, ze względów bezpieczeństwa nasza rozmowa jest rejestrowana. Czy pani rozumie moje słowa?

LB: Jak już wspomniałam, mówię po angielsku.

OFICER FC: Nazywa się pani Lucie Bogaert, urodzona dwudziestego drugiego stycznia osiemdziesiątego dziewiątego roku w Lyonie?

LB: Gdzie? Nie, nie w Lyonie. W Montreuil.

OFICER FC: Dziękuję za to sprostowanie. W jakim celu przyjechała pani do Ameryki, pani Bogaert?

LB: Ze względów osobistych… Proszę pani, mam dziesięcioletniego synka, muszę do niego zadzwonić. Nie zwrócono mi telefonu.

OFICER FC: Przykro mi. Niedługo będzie pani mogła się z nim skontaktować.

LB: Powinnam zadzwonić do niego wczoraj. Musi się bardzo niepokoić. Czy ma pani dzieci?

OFICER FC: Proszę się nie denerwować, pani Bogaert.

LB: Nikt nam nic nie mówi. Jesteśmy przetrzymywani od wielu godzin…

OFICER FC: Muszę pani zadać kilka pytań.

LB: Proszę mi obiecać, że zadzwoni pani do Louisa. To jego numer.

OFICER FC: Tak, pani Bogaert. Może mi pani opisać podróż, zwłaszcza od chwili, gdy zaczęły się turbulencje? […]

Koniec przesłuchania 2021/06/25 o godzinie 07 : 59

*

Fragmenty przesłuchania Victora Miesela

Poufność: tajemnica państwowa dot. obronności kraju / Protokół nr: 42
Rozmowę przeprowadził: oficer Fredric Kenneth White, PsyOp, SOC
Data: 2021/06/25 / Godzina: 08 : 20 / Miejsce: McGuire Airbase, US Army
Nazwisko: Miesel / Imiona: Victor Serge / Kod: June
Data urodzenia: 03/06/1977 (44 lata) / Obywatelstwo: francuskie
Lokalizacja pasażera: kabina 2, klasa ekonomiczna / Miejsce: L08

OFICER FKW: Dzień drugi, godzina ósma dwadzieścia. Dzień dobry, nazywam się Fredric Kenneth White, jestem oficerem Special Operation Command, US Army. Ze względów bezpieczeństwa i za pańskim pozwoleniem nasza rozmowa jest rejestrowana. Nazywa się pan Victor Serge Miesel, urodzony trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku w Lorient we Francji?

VSM: Urodziłem się w Lille, nie w Lorient.

OFICER FKW: Dziękuję za to sprostowanie.

VSM: Może mi pan wyjaśnić, co się tutaj dzieje?

OFICER FKW: Przykro mi, ale nie mogę. W jakim celu przyjechał pan do Ameryki?

VSM: Dostałem nagrodę za przekład powieści.

OFICER FKW: Jest pan tłumaczem? Z tego co widzę, jest pan pisarzem.

VSM: No cóż… Również piszę. Powieści, nowele. W każdym razie przekład jest dziełem, a tłumacze są autorami. Krótko mówiąc… Czemu zadaje mi pan te pytania?

OFICER FKW: Czy może pan opisać podróż, zwłaszcza turbulencje?

VSM: Samolot zaczął spadać, potwornie trzęsło, był straszny hałas, myśleliśmy, że zginiemy, i nagle wszystko się skończyło. To tyle.

OFICER FKW: Czy obecnie pracuje pan nad jakąś książką?

VSM: Ja… tłumaczę powieść fantasy amerykańskiej autorki, historię nastoletnich wampirów…

OFICER FKW: Ale czy pracuje pan nad bardziej osobistą książką o tytule *Anomalia*?

VSM: *Anomalia*? Nie. Skąd to pytanie?

OFICER FKW: Panie Miesel, czy zajmuje się pan malarstwem lub muzyką?

VSM: Nie.

OFICER FKW: Czy słyszy pan czasem jakieś uporczywe dźwięki, przyjemne i melodyjne?

VSM: Nie.

OFICER FKW: Czy miewa pan bóle głowy lub migreny?

VSM: Nie.

OFICER FKW: Podrażnienia oczu, katary?

VSM: Pan sobie ze mnie kpi! Co to jest, *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*?

OFICER FKW: Nie rozumiem, panie Miesel.

VSM: Dwadzieścia razy widziałem ten film Spielberga, znam go na pamięć. Zadaje mi pan dokładnie takie pytania, jakie François Truffaut zadaje Richardowi Dreyfussowi. Co za kretyn opracował ten kwestionariusz?

OFICER FKW: Nie wiem, o czym pan mówi. To protokół Departamentu Obrony stosowany w tego rodzaju sytuacjach.

VSM: Jakiego rodzaju sytuacjach? Myśli pan, że spotkałem kosmitów? A teraz zapyta pan, czy miewam podrażnienia lub oparzenia słoneczne na czole i policzkach?

OFICER FKW: Yyy… Tak… A więc, czy miewa pan uczucie swędzenia lub pieczenia na twarzy? […]

Koniec przesłuchania 2021/06/25 o godzinie 08 : 53

*

Fragmenty przesłuchania Femiego Ahmeda Kaduny zwanego Slimboyem

Poufność: tajemnica państwowa dot. obronności kraju / Protokół nr: 42
Rozmowę przeprowadził: Charles Woodworth, PsyOp, SOC
Data: 2021/06/25 / Godzina: 09 : 08 / Miejsce: McGuire Airbase, US Army
Nazwisko: Kaduna / Imiona: Femi Ahmed / Kod: June
Data urodzenia: 19/11/1995 (25 lat) / Obywatelstwo: nigeryjskie
Lokalizacja pasażera: kabina 2, klasa ekonomiczna / Miejsce: N04

OFICER CW: Dzień drugi, godzina dziewiąta osiem. Nazywam się Charles Woodworth, jestem oficerem Special Operation Command, US Army. A pan nazywa się Femi Ahmed Kaduna, urodzony dziewiętnastego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku w Ibadanie w Nigerii?

FAK: Tak. Ale w Lagos, nie w Ibadanie.

OFICER CW: W jakim celu przyjechał pan do Ameryki, panie Kaduna?

FAK: Wszyscy mówią do mnie Slimboy. Jestem liderem zespołu muzycznego. Pozostali muzycy przyjechali wczoraj. Gramy jutro w Nowym Jorku. Nie może mnie pan tak przetrzymywać.

OFICER CW: Rozumiem, panie Kaduna.

FAK: Slimboy…

OFICER CW: Którego gracie koncert?

FAK: Już mówiłem. Jutro. O dwudziestej drugiej w Mercury Lounge.

OFICER CW: Czyli którego?

FAK: Dwunastego marca…

OFICER CW: Puszczę panu piosenkę, *Yaba Girls*. Proszę założyć słuchawki.

Przerwa w przesłuchaniu 2021/06/25 o godzinie 09 : 15
Przesłuchanie wznowiono 2021/06/25 o godzinie 09 : 19

OFICER CW: Czy zna pan tę piosenkę?

FAK: Nie. Ale jest niezła. *Yaba Girls*? Yaba to dzielnica Lagos. To jakiś zespół nigeryjski? Dziwne, nic mi to nie mówi.

OFICER CW: Panie Kaduna, czy często słyszy pan przyjemne, melodyjne dźwięki?

FAK: Oczywiście, jestem muzykiem. […]

Koniec przesłuchania 2021/06/25 o godzinie 10 : 07

Kartezjusz 2.0

Piątek, 25 czerwca 2021
sala hipotez, McGuire Air Force Base

Zmęczeni ludzie stają się kłótliwi. Ludzie wycieńczeni są kłótliwi w znacznie mniejszym stopniu. Jest szósta rano, kiedy Adrian, Tina i dwudziestka najważniejszych ekspertów zasiadają w sali dowodzenia. O siódmej, w huku śmigłowców nadlatujących do bazy McGuire, ich liczba dochodzi do czterdziestu. W pomieszczeniu ustawiono kanapy, zainstalowano tablice interaktywne, żołnierz włącza ekspres do kawy.

Wystarczy minuta na przedstawienie sytuacji. Potem następuje dziesięć minut pytań, a Tina i Adrian tylko powtarzają to, co nieprawdopodobne: ludzie zgromadzeni w hangarze to ci sami, którzy lądowali sto sześć dni wcześniej na pokładzie tego samego samolotu. Dialog między Adrianem Millerem a Riccardo Bertonim, kandydatem do Nobla z dziedziny fizyki za prace nad czarną materią, dobrze podsumowuje sytuację.

– Czy pan sobie z nas kpi, profesorze Miller?

– Gdybym tylko mógł…

O dziewiątej rano, kiedy Tina Wang prowadzi spotkania interdyscyplinarne w sali hipotez, Adrian wraca do Task Force. Towarzyszą mu Meredith i wysoki szczupły facet o bujnych szpakowatych włosach i stalowoniebieskich oczach. Silveria wskazuje na ekran telekonferencji, na którym widać znane twarze.

– Profesorze Miller, mamy bezpośrednie połączenie z Rio, gdzie przebywają prezydent Stanów Zjednoczonych oraz sekretarz stanu i sekretarz bezpieczeństwa krajowego.

– To zjawisko jest absolutnie niezwykłe, panie prezydencie – zaczyna Adrian, odchrząknąwszy. – Jak mówił Arthur C. Clarke, każda wystarczająco zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii. Sformułowaliśmy dziesięć hipotez, z czego siedem to żarty, ale trzy

przykuły naszą uwagę, a jedna została przyjęta przez większość. Zacznijmy od najprostszej.

– Bardzo proszę – mówi Silveria.

– Tunel czasoprzestrzenny. Oddaję głos specjalistce od topologii, Meredith Harper.

Meredith bierze do ręki czarny ołówek i kartkę papieru, którą składa na pół. Ma wrażenie, jakby odgrywała scenkę nauczania w niskobudżetowym filmie science fiction, ale mniejsza z tym.

– Dziękuję, Adrianie. Załóżmy, że przestrzeń da się złożyć jak kartkę papieru… jednak w wymiarze, który nie jest dla nas dostępny, w żadnym z trzech nam znanych. Jeśli naszym wszechświatem rządzi teoria strun, stanowi on hiperprzestrzeń o dziesięciu, jedenastu lub dwudziestu sześciu wymiarach. W tym modelu każda cząstka elementarna to struna, która wibruje inaczej niż pozostałe, a jej wymiary są ciasno zwinięte. Czy to jest jasne?

Amerykański prezydent siedzi z otwartymi ustami, przypomina wielkiego okonia w blond peruce.

– No więc po złożeniu przestrzeni robimy w niej dziurkę… – Meredith Harper przebija kartkę ołówkiem i wkłada palec wskazujący w otwór. – … i z łatwością możemy przejść z naszej trójwymiarowej przestrzeni do zupełnie innego punktu. Nazywamy to mostem Einsteina-Rosena lub tunelem czasoprzestrzennym Lorentza o masie ujemnej…

– Rozumiem – mówi prezydent Stanów Zjednoczonych, marszcząc brwi.

– Zjawisko to jest zgodne z prawami klasycznej fizyki. Nie przekraczamy prędkości światła obowiązującej w naszej przestrzeni einsteinowskiej. Ale otwierając wejście do tunelu hiperprzestrzeni, możemy w ułamku sekundy przemieszczać się między galaktykami.

– To pomysł dość powszechnie pojawiający się w powieściach – dodaje Adrian, który uważa słowa Meredith za zbyt abstrakcyjne. – W *Diunie* Franka Herberta i w wielu innych. Użyto go na przykład w filmie *Interstellar* Nolana. Albo w *Star Treku*, proszę sobie przypomnieć statek kosmiczny USS Enterprise.

– *Star Trek*! Tak, widziałem! – woła nagle prezydent.

– Zazwyczaj, jak to się mówi – ciągnie Meredith – przejście przez czasoprzestrzeń zajmuje ułamek sekundy, nie ma powodu, by cokolwiek się duplikowało. A tutaj mamy dwa samoloty…

– Tak jakby USS Enterprise pojawił się w dwóch punktach przestrzeni – zapala się Miller – z dwoma kapitanami Kirkami, dwoma panami Spockami, dwoma…

– Dziękujemy, profesorze Miller – przerywa mu Silveria – zrozumieliśmy. A druga hipoteza?

– Nazywamy ją hipotezą fotokopiarki, rozmawialiśmy o tym z Brianem Mitnickiem z NSA.

Mitnick kiwa głową, ma wyraz twarzy wzorowego ucznia, dumnego, że o nim wspomniano.

– Jak państwo wiedzą – kontynuuje Miller – rewolucja bioprintingu już się zaczęła…

– Słucham? Proszę jaśniej! – żąda Silveria, przewidując irytację prezydenta i zgrywając naiwniaka.

– Drukujemy materię biologiczną w 3D. W ciągu godziny możemy dzisiaj wytworzyć ludzkie serce wielkości serca myszy. Przez dziesięć lat rozdzielczość się podwoiła, prędkość wydruku też, podobnie jak rozmiary reprodukowanych przedmiotów. Jeśli krzywa wykładnicza będzie rosnąć w każdej z tych dziedzin w podobnym tempie, nawet przy zachowawczych założeniach…

– Jestem zachowawczy – przerywa mu prezydent, a Miller zastanawia się przez chwilę, czy to ma być żart.

– Tak więc – mówi dalej matematyk – za mniej niż dwieście lat będziemy mogli w ułamku sekundy zeskanować i wydrukować przedmiot wielkości tego samolotu z dokładnością do jednego atomu. Ale mamy tu dwa problemy. Po pierwsze, gdzie była drukarka? Po drugie, skąd wzięto surowce do wytworzenia samolotu i pasażerów?

– No właśnie… – włącza się Meredith. – Hipoteza fotokopiarki zakłada istnienie oryginału i kopii. A z naszej biurowej fotokopiarki przede wszystkim wychodzą kopie.

– Rozumiem. Samolot „kopia” wylądowałby w marcu. – Silveria snuje na głos swoje domysły. – A teraz wylądowałby „oryginał”. Dlaczego w takim razie mielibyśmy inaczej traktować członków obu grup tylko dlatego, że pierwszy samolot…

– …wyszedł z fotokopiarki „wcześniej”… – dopowiada Meredith.

– Chciałbym jeszcze przywołać ostatnią hipotezę – przerywa jej Miller. – Została przyjęta przez najwięcej osób, ale zarazem wydaje się najbardziej szokująca.

Na ekranie prezydent potrząsa głową, marszczy brwi na dowód, że jest skoncentrowany, i pyta:

– Myśli pan o akcie boskim?

– Nie, panie prezydencie… O tym nikt nie wspominał – odpowiada zaskoczony Adrian.

Silveria ociera czoło.

– Prosimy o trzecią, Miller.

– Nazwaliśmy ją hipotezą Bostroma. W nawiązaniu do Nicka Bostroma, filozofa wykładającego na Oxfordzie, który na początku wieku zaproponował…

– To jakieś starocie – wzdycha prezydent.

– Na początku tego wieku – precyzuje Miller. – Konkretnie w dwa tysiące drugim roku. Oddaję głos Archowi Wesleyowi, logikowi z Uniwersytetu Columbia.

Wysoki facet z rozwichrzoną czupryną podchodzi do tablicy i pisze na niej równanie.

$$f_{sim} = (f_p f_i N_i) / \left((f_p f_i N_i) + 1\right)$$

Po chwili odwraca się w stronę ekranu z uśmiechem pełnym życzliwości i lekkim podnieceniem.

– Dzień dobry, panie prezydencie. Zanim wyjaśnię to równanie, chciałbym powiedzieć kilka słów o rzeczywistości. Każda rzeczywistość jest pewną konstrukcją, a nawet rekonstrukcją. Nasz mózg jest zamknięty w ciemności i ciszy czaszki, a dostęp do świata zewnętrznego ma jedynie poprzez czujniki, jakimi są nasze oczy, uszy, nos, skóra: wszystko, co postrzegamy, jest mu przekazywane za pośrednictwem kabli elektrycznych, czyli naszych synaps… komórek nerwowych, panie prezydencie.

– Dziękuję, zrozumiałem.

– Oczywiście. A mózg rekonstruuje rzeczywistość. Biorąc pod uwagę liczbę synaps, można założyć, że mózg przeprowadza dziesięć milionów miliardów operacji na sekundę. Mniej niż komputer, ale z większą liczbą połączeń. Za kilka lat nauczymy się symulować ludzki mózg i taki program będzie mieć pewną świadomość. Eric Drexler, specjalista od nanotechnologii, wymyślił system wielkości kostki cukru potrafiący reprodukować sto tysięcy ludzkich mózgów.

– Proszę przestać z tymi swoimi miliardami, bo nic z tego nie rozumiem – mówi prezydent. – Podobnie jak moi koledzy. Proszę kontynuować prezentację.

– Dobrze, panie prezydencie. Proszę sobie wyobrazić istoty wyższe, których inteligencja w stosunku do naszej jest taka, jak nasza w stosunku do inteligencji dżdżownicy… Może to będą nasi potomkowie. Wyobraźmy sobie również, że istoty te mają komputery tak potężne, że potrafią odtworzyć świat wirtualny, w którym precyzyjnie przywracają do życia swoich „przodków" i obserwują ich ewolucję w różnych kierunkach. Mając komputer wielkości malutkiego księżyca, moglibyśmy miliard razy dokonać symulacji dziejów ludzkości od czasu narodzin *Homo sapiens*. Mam na myśli symulację informatyczną…

– Jak w *Matriksie*? – pyta prezydent takim tonem, jakby nie za bardzo rozumiał.

– Nie, panie prezydencie – odpowiada Wesley. – W *Matriksie* to maszyny wykorzystują energię cielesną ludzi, zakutych w łańcuchy niewolników z krwi i kości. Każą im żyć w świecie wirtualnym. Według naszej hipotezy sytuacja jest odwrotna: nie jesteśmy rzeczywistymi istotami. Sądzimy, że jesteśmy ludźmi, podczas gdy faktycznie jesteśmy jedynie programami. Bardzo wyszukanymi, ale jednak programami. Jak agent Smith w *Matriksie*, panie prezydencie. Tyle że agent Smith wie, że jest programem.

– Czyli w tym momencie nie siedzę przy stole i nie piję kawy? – pyta Silveria. – To, co postrzegamy, czujemy, widzimy… to tylko symulacja? Wszystko jest fałszywe?

– Generale, to nie zmienia faktu, że siedzi pan przy stole i pije kawę – odpowiada Wesley. – Jedyne, co się zmienia, to materia, z której zrobiono kawę i stół. Nie byłoby to trudne: maksymalna szerokość ludzkiego pasma zmysłowego nie jest zbyt duża, tak więc symulacja wszystkich dźwięków, obrazów, zapachów i smaków kosztowałaby jakieś grosze. Nasze otoczenie dość łatwo można podrobić, wszystko zależy od wymaganej dokładności podróbki. „Symulowani ludzie" nie zauważyliby żadnych anomalii w swoim wirtualnym otoczeniu, mieliby swoje domy, samochody, psy, a nawet komputery, skoro o tym mowa.

– Jak w brytyjskim serialu *Black Mirror*, panie prezydencie – podpowiada Adrian Miller.

Prezydent marszczy brwi, a Wesley mówi dalej:

– Zresztą im lepszą mamy znajomość wszechświata, tym bardziej widzimy, że jest on oparty na prawach matematycznych.

– Z całym szacunkiem, profesorze – przerywa mu Silveria – czy nie można by wykazać eksperymentalnie, że opowiada pan głupstwa?

– Obawiam się, że nie. – Wesley się uśmiecha. – Jeśli sztuczna inteligencja, która nas symuluje, stwierdzi, że „symulowany człowiek" będzie obserwować świat mikroskopowy, powinna mu dostarczyć dostatecznie dużo „symulowanych" szczegółów. W przypadku błędu wystarczyłoby przeprogramować stan „wirtualnych mózgów", które by zauważyły jakąś anomalię. Lub po prostu cofnąć się o kilka sekund za pomocą funkcji w rodzaju *undo* i wykonać nową symulację w taki sposób, by uniknąć jakichkolwiek problemów…

– To, co pan opowiada, jest idiotyczne! – wybucha prezydent. – Nie jestem żadnym Super Mario i na pewno nie będę tłumaczyć naszym współobywatelom, że są programami w wirtualnym świecie.

– Rozumiem, panie prezydencie. Z drugiej jednak strony samolot, który się pojawia znikąd i jest dokładną kopią innego, z tymi samymi pasażerami, nawet z plamą keczupu na wykładzinie, też zdaje się nieprawdopodobny. Czy pozwoli pan, że wyjaśnię równanie, które napisałem?

– Proszę – odpowiada prezydent ze złością. – Tylko szybko.

– Przedstawię sprawę w ogólnym zarysie. Chciałbym wykazać, że jest dość prawdopodobne, iż należymy do owych symulowanych świadomości. Cywilizacja techniczna ma tylko trzy możliwe drogi rozwoju: może zniknąć przed osiągnięciem dojrzałości technologicznej, czego jesteśmy znakomitym przykładem z naszym zanieczyszczeniem środowiska, globalnym ociepleniem, szóstym wymieraniem gatunków i tak dalej. Osobiście sądzę, że symulowani czy nie, i tak znikniemy.

Prezydent wzrusza ramionami, ale Wesley mówi dalej:

– Nie o to zresztą chodzi. Załóżmy mimo wszystko, że jedna cywilizacja na tysiąc nie zniszczy sama siebie. Dojdzie do stadium posttechnicznego i uzyska niewyobrażalną moc obliczeniową. Załóżmy również, że wśród wszystkich cywilizacji, które przetrwały, jedna na tysiąc odczuje potrzebę symulowania „przodków" lub „konkurentów przodków". A więc taka cywilizacja techniczna, jedna na milion, będzie mogła symulować, powiedzmy, miliard „wirtualnych cywilizacji". Pod pojęciem „wirtualna cywilizacja" rozumiem setki wirtualnych tysiącleci, podczas których następują po sobie miliony wirtualnych pokoleń, które dają życie setkom

miliardów równie wirtualnych istot myślących. I tak na przykład podczas pięćdziesięciu tysięcy lat istnienia na Ziemi żyło mniej niż sto miliardów ludzi z Cro-Magnon. Aby symulować człowieka z Cro-Magnon, czyli nas, trzeba tylko dostatecznej mocy obliczeniowej. Czy to jest zrozumiałe? – Wesley nie patrzy na ekran, na którym prezydent wznosi oczy do nieba, tylko mówi dalej: – Najważniejsze jest jednak to, że cywilizacja wysoko techniczna może symulować tysiąc razy więcej „fałszywych cywilizacji”, niż istnieje „prawdziwych”. To oznacza, że jeśli weźmiemy jakiś przypadkowy „mózg, który myśli”, pański lub mój, istnieje dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć szans na tysiąc, że będzie to mózg wirtualny, i tylko jedna, że będzie on rzeczywisty. Inaczej mówiąc, maksyma „Myślę, więc jestem” z *Rozprawy o metodzie* Kartezjusza jest przestarzała. Powinna ona raczej brzmieć: „Myślę, więc prawie na pewno jestem programem”. To Kartezjusz 2.0, przyjmując formułę naszej specjalistki od topologii. Czy to jest zrozumiałe, panie prezydencie?

Prezydent nie odpowiada. Wesley przygląda się jego wściekłej, zaciętej minie i przechodzi do wniosków.

– Widzi pan, panie prezydencie, znałem tę hipotezę i aż do dziś prawdopodobieństwo, że nasze istnienie jest tylko programem na twardym dysku, oceniałem na jeden do dziesięciu. Przy tej „anomalii” jestem tego praktycznie pewien. To by zresztą wyjaśniało paradoks Fermiego: jeśli nigdy nie spotkaliśmy kosmitów, to tylko dlatego, że w naszej symulacji ich istnienie nie było zaprogramowane. Wydaje mi się wręcz, że jesteśmy poddawani swego rodzaju testowi. Idąc tym tropem, niewykluczone, że symulacja proponuje nam ten test właśnie dlatego, iż obecnie potrafimy przyjąć, że jesteśmy jedynie programami. W naszym interesie leży, by ten test zdać, a przynajmniej uczynić go interesującą przygodą.

– Dlaczego? – pyta Silveria.

– Gdyż jeśli go oblejemy, osoby odpowiedzialne za symulację mogą wszystko wyłączyć.

Stół nr 14

Piątek, 25 czerwca 2021, 8 : 30
hangar B, McGuire Air Force Base

Bliskie spotkania trzeciego stopnia, doprawdy? Wracając z przesłuchania, Victor waha się, czy się śmiać, czy płakać. Nie wie, jak będzie wyglądać następny dzień, stara się więc na zimno zarejestrować wszystko, co dzieje się w hangarze. Hangar to dziwne słowo. Niczego nieprzypominające. Wyjmuje zeszyt, pióro, próbuje nie słyszeć krzyków i hałasów, notuje: *Wyczerpanie nieprawdopodobnego miejsca*. Nie. Dlaczego miałby iść w cieniu Pereca? Dlaczego nie potrafi wyzwolić się od wpływów i autorytetów? Dlaczego gdy opuszcza go syndrom oszusta, staje się dzieciakiem marzącym o pasowaniu na rycerza?

Starannie pisze: *Tryb samolotowy*.

„Data: 11 marca 2021".

„W tym hangarze jest wiele rzeczy, na przykład: setka brunatnych namiotów, szpital polowy, rzędy długich stołów, zaimprowizowane boisko do koszykówki, dziesiątki prefabrykatów, publiczne toalety, ustawione w dwóch rzędach metalowe barierki, centrum »informacyjne«, w którym nie ma nikogo, kto mógłby informować, »przestrzeń ekumeniczna« z tabliczką w sześciu językach, cztery dystrybutory wody, i wiele innych rzeczy".

„Pogoda: za gorąco i zbyt wilgotno jak na tę porę roku".

„Wstępna lista rzeczy wyraźnie widocznych: po pierwsze, litery alfabetu od A do E na jednej ze ścian hangaru, H sygnalizujące *hospital*, czyli szpital, »Air France« (na chusteczkach w kieszonkach stewardów i stewardes), marki na ubraniach pasażerów, »US Air Force« na podłodze, *Danger* i *High Voltage* na skrzynkach elektrycznych. Slogany na ścianach: *Aim High*, *Fly-Fight-Win*, *Mors ab alto* i dewiza US Air Force, *Do something amazing*".

Victor pisze powoli, niemal mechanicznie. Zbyt dużo przeczytał i przetłumaczył, zbyt wiele widział bzdur kryjących się za pięknymi słówkami, by narzucać światu kolejną brednię. W nosie ma, że kwiecista proza tryska z samego „ruchu pióra po białej kartce", nie uważa się za „wszechmocnego wobec zdania", mowy nie ma, by „zamykał oczy, żeby je trzymać otwarte" lub by w tym miejscu bez duszy „ukrywał się przed światem, w ten sposób utrwalając własne zagubienie", zresztą nie ma zaufania do metafor. Pewnie tak zaczęła się wojna trojańska. Ma jednak świadomość, że wystarczy, by jedno jego zdanie było inteligentniejsze od niego, a ten cud uczyni go pisarzem.

Victor przygląda się tym wszystkim rozsypanym istnieniom, wszystkim niepokojom poruszającym się na tej nieproporcjonalnie dużej szalce Petriego, jaką jest hangar – swoją drogą, co za dziwne słowo – nie wiedząc, do czego się przywiązać. Poddaje się fascynacji życiem innych ludzi bardziej niż własnym. Chciałby wybrać któreś z nich, znaleźć właściwe słowa, by o nim opowiedzieć, i zdołać uwierzyć, że dość się do niego zbliżył, by go nie zdradzić. A potem przejść do następnego. I jeszcze następnego. Trzy osoby, siedem, dwadzieścia? Ile symultanicznych opowieści czytelnik zdołałby śledzić?

Przy jego stole numer czternaście oprócz kilku pasażerów siedzi kapitan samolotu. Zdaniem Victora mężczyzna jest podobny do jego ojca. Takie same szarozielone oczy, orli nos, zapadnięte skronie, które w końcu wygrają z gęstymi szpakowatymi włosami, taki sam krzepki tors. Pisarz instynktownie sięga do kieszeni i dotyka gładkiej powierzchni czerwonego klocka. W portfelu ma zdjęcie tego nieżyjącego ojca, wykradzione z albumu w czasach, gdy istniały jeszcze albumy, a nadmiar zdjęć nie stłamsił sztuki fotografii. Mężczyzna na zdjęciu ma dwadzieścia lat, uśmiech zdobywcy, prawe spojrzenie. Pewnego dnia powiedział ze śmiechem do syna: „W tamtych czasach byłem młody i sam nie wiem, w którym momencie wszystko zaczęło mi się wymykać z rąk". Tak, w świetle poranka kapitan Markle jest podobny do jego ojca, do którego Victor wcale podobny nie jest.

Jeszcze poprzedniego dnia jego mundur przyciągał najbardziej wystraszonych, których błękit Air France uspokajał, lub najbardziej poirytowanych, którzy szukali winnego. Teraz jednak nie budzi już wrogości. Widząc, że Markle jest równie oburzony jak pozostali, wszyscy zrozumieli, że nie cieszy się on jakimś szczególnym traktowaniem i nie ma

uprzywilejowanego dostępu do informacji. Aby to udowodnić, a może tylko dla zwykłej wygody, David Markle przebrał się w strój cywilny. Na ziemi nie jest już pierwszym po Bogu, ale zwykłym miłym facetem, któremu wszyscy współczują, generałem Dumouriezem porzuconym przez własne wojsko, tyle że w sympatyczniejszej wersji. Rano wraz z kilkunastoma pasażerami bez żadnych wyjaśnień musiał przejść serię badań lekarskich.

Przy stole numer czternaście siedzi też jakiś wysoki czarnoskóry mężczyzna o pięknych oczach, głębokich i melancholijnych. Jego krótko obcięte włosy mają geometryczny wzór godny bruku Alhambry. Zamiast *journey* mówi „Johnny”, zamiast *you are* – „yuwa”, zamiast *vision* – „vishon”: to nigeryjski gitarzysta i piosenkarz. Chociaż jutro wieczorem ma koncert na Brooklynie, zrozumiał, że nie ma po co obstawać przy swoim, więc również przestał protestować. Udało mu się jednak odzyskać dwunastostrunowego taylora, który został w schowku na bagaż kabinowy, a teraz gra, lub może komponuje miękko brzmiącą piosenkę.

I remember your eyes of yesterday

The way you smiled in a dazzling way

Dźwięk gitary jest pełny i soczysty, głos piosenkarza chrapliwy i ciepły. Do tego szczupłego chłopaka dobrze pasuje jego pseudonim sceniczny. Uśmiecha się do Victora.

– Od dawna nie śpiewałem akustycznie, bez efektów. – Chwyta akord i śpiewa dalej.

But beautiful men in uniforms forbid you…

– *Beautiful men in uniforms?* – pyta Victor, wskazując na żołnierzy, którzy pilnują drzwi.

– Tak. Taki będzie tytuł. – I cicho śpiewa dalej.

The way to the light way to the light way to the light.

Z końca stołu dochodzi szept: „Tylko nazwisko twoje jest mi wrogiem”, a Victor od razu rozpoznaje Szekspira. „Ty jesteś sobą – nie żadnym Montecchim”.

Julia Kapulet jest tutaj, to młoda dziewczyna, która powtarza swoją rolę: „Cóż jest Montecchi? To nie dłoń, nie stopa, nie twarz, nie ramię – nie

człowiecze ciało. O, zmień nazwisko, nazwij się inaczej! Cóż znaczy nazwa? To, co zwiemy różą, pod inną nazwą nie mniej by pachniało. Tak i Romeo, gdyby się nazywał inaczej, byłby wciąż tym samym cudem”.

Intensywnie odgrywa nawet wahanie i wie, że w razie potrzeby potrafi płakać. Przesłuchanie odbędzie się w przyszłym tygodniu, mówi do Victora. Na pewno pozwolą nam wyjść, jak już zakończą te wszystkie testy. Bo to są testy, prawda? Nie można tak przetrzymywać ludzi, to wolny kraj, ostatecznie obowiązują tu jakieś prawa.

„Owszem, obowiązują”, odpowiada młoda kobieta o delikatnych rysach twarzy, czarnej skórze, włosach ściągniętych do tyłu i spiętych srebrną klamrą. Adwokatka zgromadziła pięćdziesiąt podpisów pod pozwem zbiorowym dotyczącym bezprawnego zatrzymania, uznaniowego aresztu, nielegalnej konfiskaty dóbr, odmowy kontaktu z doradcą prawnym przez ponad czterdzieści osiem godzin i tak dalej, i tym podobne. Na ile zafakturować każdą minutę, która upływa jej poza kancelarią? Jak przeliczyć swój ból związany z niemożnością usłyszenia głosu Aby’ego, który musi szaleć z niepokoju? Czy wycenienie szkód poniesionych w wyniku zatrzymania na dwa tysiące dolarów za dzień od osoby nie będzie prezentem dla US Air Force i rządu?

Co to była za historia? Aha, przychodzi diabeł do adwokata i mówi: „Dzień dobry, jestem diabłem. Mam propozycję”. „Słucham”. „Uczynię pana najbogatszym adwokatem na świecie. A pan mi za to da swoją duszę, dusze swoich rodziców, dzieci i pięciorga najbliższych przyjaciół”. Adwokat patrzy na niego ze zdziwieniem i pyta: „W porządku. A gdzie jest haczyk?”.

Młoda kobieta się krzywi. Nie, ten podły facet z dowcipu to nie ona. Ale na tym świecie trzeba pukać do portfela. Ludzie tylko to rozumieją. Znowu pożycza od małej dziewczynki kartkę i kolorowy flamaster, znowu pisze list. Matka dziewczynki, młoda blondynka, się waha.

– Mój mąż pracuje dla wojska, nie chcę mu robić kłopotów.

– Przeciwnie, proszę pani. Przecież powiedziała pani, że mąż jest bohaterem wojennym, został ranny w akcji, prawda? Jest więc nietykalny, a podpisując pozew zbiorowy, uniemożliwia pani armii, by go zastraszała lub mu groziła. Byłoby to o krok za daleko dla wymiaru sprawiedliwości. W jedności siła. Nie mogą nas tu przetrzymywać tak długo. Ma pani ze sobą dwójkę dzieci, prawda? Straty psychiczne będą bardzo poważne, zwłaszcza dla nich.

– Straty psychiczne? – Rzuca spojrzenie na synka, który już nie domaga się tabletu, bo zasnął z głową na stole, i na córeczkę, która rysuje jakieś ponure, dziwne postacie o cienkich przerażających kończynach, po czym je zamazuje na czarno.

Przy stole numer czternaście, jak zauważył Victor, jest przede wszystkim ta dziewczyna. Trzydzieści lat, ciemne włosy, smukła jak topola – od razu jest na siebie wściekły za ten banał. Przypomina mu tamtą, spotkaną kilka lat temu na konferencji tłumaczy kobietę, która go urzekła i której nigdy nie odnalazł. Tęsknota to straszna łajdaczka. Pozwala wierzyć, że życie ma sens. Victor siada obok dziewczyny jak namagnesowany, cechą szczególną przyciągania jest zawsze chęć skrócenia dystansu.

Próbuje zamienić z nią parę słów. Ale ona jest taka jak inni, nie ma o niczym pojęcia, ziewa ze znużenia i wraca do książki. Nie jest sama: towarzyszy jej elegancki sześćdziesięciolatek, który z pewnością nie jest jej ojcem. Victor wyczytał to z jego uważnych, troskliwych gestów oraz ze spojrzenia, jakim go obdarzył, kiedy próbował nawiązać z nią rozmowę. Był w nim jakiś zwierzęcy niepokój, którego nie potrafił ukryć. Przedstawiają się sobie. Jest architektem. Victor zna jego nazwisko, ale nie projekty. Świat ze szkła i betonu go nudzi. Czasami w tłumaczonych przez niego tekstach pojawia się jakiś techniczny termin – architraw, gont – którego znaczenia musi poszukać, po czym zaraz je zapomina. Victor przygląda mu się i choć nie uważa go za brzydkiego, widzi, że z jego dłoni o cienkiej skórze, z pomarszczonego czoła wyziera już starzec. Zapewne ma tyle lat, na ile ona go ocenia. Co ona w nim widzi? Co on takiego może wiedzieć o kobiecym pożądaniu?

Mężczyzna wstaje, pyta dziewczynę, czy chce kawy, skoro armia zainstalowała dystrybutory. Ona potrząsa głową, a on oddala się bez pośpiechu. Victor odgaduje, że tak jest elegancko, daje jej odetchnąć. To zamknięcie jest wystarczająco dokuczliwe, by nie dusić jej swoją nadmierną obecnością.

O, dziewczyna przegląda książkę Coetzeego. Victor jej nie czytał.

– Dobre? – pyta Victor.

– Co? Coetzee? Tak – odpowiada dziewczyna – ale gorsze niż *Hańba*.

– Zgadzam się – mówi Victor. – To jego najlepsza książka, prawda?

– Arcydzieło – potwierdza dziewczyna i odwraca się od niego.

Victor rozumie, że ją nudzi, nie nalega, wraca do zeszytu i bez cienia ironii notuje słowo „hańba”.

E pur si muove

Sobota, 26 czerwca 2021, 9 : 30
sala kryzysowa, Biały Dom, Waszyngton

W podziemnej sali kryzysowej Białego Domu Jamy Pudlowski i jej ekipa zgromadzili kilkunastu facetów przekonanych, że Bogu dzięki wyznają jedyną właściwą religię: dwóch kardynałów, dwóch rabinów – ortodoksyjnego i liberalnego – prawosławnego księdza, pastora luterańskiego, baptystę, mormońskiego apostoła, trzech uczonych muzułmańskich – sunnitę, salafitę i szyitę – oraz buddyjskich mnichów wadżrajana i mahajana. Na stole stoi dużo kawy, choć Pudlowski jakimś cudem zdołała sobie uciąć czterdziestominutową drzemkę na pokładzie śmigłowca.

Szefowa Operacji Psychologicznych jest niespokojna. Prosta droga nienawidzi wybojów, a to, co niejasne, nie znosi tego, co niewyjaśnione. Nieruchomość Prawa uporczywie zderza się z walcującym kosmosem i postępem wiedzy. W jaki sposób znaleźć w Torze, Nowym Testamencie, Koranie i innych tekstach objawionych jakiekolwiek zdanie, wieloznaczną surę lub pokrętny werset przepowiadający bądź tłumaczący pojawienie się na niebie samolotu w najdrobniejszym szczególe identycznego z innym, który lądował trzy miesiące wcześniej?

Kiedy ludy Ameryki odkryły swoim kosztem Krzysztofa Kolumba i chmarę konkwistadorów, którzy przybyli za nim, Kościół katolicki musiał znaleźć w swoich tekstach uzasadnienie ich istnienia. Według słów świętego Pawła Ewangelia była głoszona „aż po krańce świata”, jakim jednak, do diabła, sposobem trzej synowie Noego, czyli Sem, Cham i Jafet, mogli zaludnić całą Ziemię, jakimi drogami przewędrowali, by ją zasiedlić aż do Indii Zachodnich? Czy ci nowi ludzie byli zaginionymi plemionami Izraela, o których mówi Czwarta Księga Ezdrasza, owa apokryficzna apokalipsa wspomniana przez Tertuliana? W końcu w Ewangelii według

świętego Jana znaleziono zdanie, które załatwiło sprawę: Jezus miał „inne owce, które nie są z tej owczarni”.

Po ojcu Jamy Pudlowski jest katoliczką, a po matce żydówką. W styczniu sześćdziesiątego roku aszkenazyjska uczona z Bostonu zakochała się na zabój w policjancie goju z Baltimore i od tej chwili nic już nie potoczyło się utartym szlakiem. Mała Jamy wychowywała się z dziadkami, którzy nie mieli sobie nic miłego do powiedzenia, niemieckimi Żydami ze strony matki i polskimi katolikami ze strony ojca, a ich nieustanne kłótnie nie pozostały bez wpływu na dociekliwość dziecka. Z wątpiącej Jamy stała się sceptyczką, by na koniec zniechęcić się do wszelkich religii. Ochrzczona w tajemnicy przez dziadków Pudlowski odmówiła pójścia do komunii, a w następnym roku obchodziła bat micwę. Do dzisiaj nie ma zresztą żadnych zdecydowanych poglądów politycznych, a głosuje na demokratów.

Podczas rozmowy, która miała jej otworzyć drzwi do PsyOp, kobieta odpowiedzialna za rekrutację zapytała Jamy o wyznanie, na co psycholożka odpowiedziała: „Jestem niewierząca”. Tamta nalegała: „Czyli jest pani ateistką”, bawiąc się piórem, jakby miała jakiś kwestionariusz do wypełnienia. Jamy Pudlowski wzruszyła ramionami: „Bóg mnie nie obchodzi, religia jest jak mostek dentystyczny: nie myślę o niej. Nie definiuję siebie poprzez fakt, że nie obchodzą mnie mostki dentystyczne i nie spotykam się z ludźmi, którzy dyskutują o tym, że mostki ich nie obchodzą”. Odpowiedź trafiła w punkt. Sześć lat później, nie mając jeszcze czterdziestki, kierowała działem Operacji Psychologicznych FBI, po czym objęła tę samą funkcję w SOC.

Jamy Pudlowski wyspecjalizowała się w zagadnieniach religijnych, a dzisiaj zna wszystkich ludzi obecnych na sali. Będąc jedyną kobietą w towarzystwie, Pudlowski zaczyna rzecz jasna od „Panie i panowie” z nadzieją, że ktoś dostrzeże ironię, ale nie, oczywiście, że nie, wskazuje więc na wielki ekran, na którym widać prezydenta w otoczeniu tych samych osób co wczoraj, ale również jego doradców duchowych.

– Panie prezydencie, w razie potrzeby proszę się nie wahać i mi przerwać. Dziękuję wszystkim za obecność. Nazywam się Jamy Pudlowski, jestem wyższym oficerem Special Operation Command US Army. Zostaliście tutaj zaproszeni, gdyż jesteście przedstawicielami przeważającej większości wyznań praktykowanych w naszym kraju. – Po czym Pudlowski przedstawia wszystkich duchownych, nie dając żadnemu z nich szansy, by

się poskarżył na tak wczesne zerwanie z łóżka, przewiezienie do Białego Domu i doprowadzenie do sali kryzysowej. – Zreferuję panom sytuację, formułując kilka prostych pytań. Nie oczekuję odpowiedzi etycznych, lecz teologicznych. Może wyjaśnię. Jak wiecie, niektóre laboratoria potrafią drukować materię organiczną w 3D i wytwarzać sztuczne przedmioty biologiczne, takie jak muskuły lub serca na bazie komórek macierzystych, bez ryzyka odrzutu. Natomiast…

Ortodoksyjny rabin przerywa:

– Tak, co do tego zgodziliśmy się wszyscy. Łącznie z naszymi przyjaciółmi katolikami i muzułmanami.

Kardynałowie kiwają głowami, salaficki imam potwierdza:

– Rada islamiczna fikhu zdecydowała, że islam godzi się na inżynierię genetyczną, pod warunkiem że ratuje ona życie.

– Dziękuję panom. Proszę panów o wyobrażenie sobie, że jesteśmy w stanie powielić człowieka w całości.

– Co znaczy w całości? – pyta luteranin.

– Odtworzyć go z idealną precyzją. Ten nowy osobnik ma taki sam kod genetyczny jak jego oryginał, ale rzecz idzie jeszcze dalej.

– Kopia doskonała, tak? – upewnia się mormoński apostoł.

– Tak. – Pudlowski się uśmiecha. – Kopia doskonała.

– Czy są to tylko spekulacje? – pyta jeden z buddystów ze wschodnią, ocierającą się o stereotyp łagodnością.

Szefowa Operacji Psychologicznych milczy przez dłuższą chwilę, chcąc zyskać na czasie.

– Nie, moje pytanie nie jest teoretyczne. Przesłuchaliśmy osobę, która okazała się nieodróżnialna od innej osoby i która uważa się właśnie za tamtą. Przeprowadziliśmy konfrontację. Wyniki są zdumiewające.

– Jak bracia bliźniacy?

– Nie… Obie osoby mają tę samą osobowość, te same wspomnienia. Do tego stopnia, że każda z nich z przekonaniem uważa, że to ona jest oryginałem. Ich mózgi są zakodowane w identyczny sposób na poziomie chemicznym, elektrycznym i atomowym.

Salę ogarnia poruszenie. Padają słowa o świętokradztwie i obrzydliwości, a także wiele innych, bardziej skatologicznych niż teologicznych.

– Kto jest autorem tej podłości? – podsumowuje baptysta.

– Nie wiemy – mówi Jamy Pudlowski. – Nie prosimy panów o opinię etyczną. Niemniej takie osoby istnieją.

– Czy to Google? – pyta z podnieceniem kardynał. – Czy one…

– Nie, Eminencjo, to nie jest Google.

– Ale przecież – ciągnie duchowny – Google przejął udziały w izraelskim przedsiębiorstwie zajmującym się drukiem w 3D i…

– Nie, Eminencjo, to nie oni. Moje pierwsze pytanie brzmi następująco: czy według Prawa taka istota jest stworzeniem bożym? – Pudlowski nie szuka słów, jej wahanie ma charakter retoryczny i służy wywołaniu dyskusji.

Następuje pewne zamieszanie, jako pierwszy do mikrofonu nachyla się salafita.

– Allach dał człowiekowi i zwierzętom zdolność prokreacji, a człowiekowi Allach dał rozum, by potrafił wymyślać przedmioty. Lecz Prorok, oby pokój i błogosławieństwo boże były z nim, mówił podczas Pielgrzymki: „O ludzie! Podaje się wam przykład, więc go posłuchajcie! Zaprawdę, ci, których wzywacie poza Bogiem, nie stworzą nigdy nawet muchy, chociażby się razem złączyli, by to uczynić”. A zdania te oznaczają, że człowiek nie może tworzyć życia, nawet życia muchy.

– Rozumiem, ale tutaj mamy do czynienia z czymś więcej niż muchą, drogi przyjacielu – poprawia go Jamy Pudlowski.

Sunnita wstaje i mówi:

– W hadisach Ṣaḥīḥa al-Bukhārīego padają słowa Abu Sa’ida al-Khudriego, niechaj Allach będzie z niego zadowolony, który stwierdza, że Prorok, oby pokój i błogosławieństwo boże były z nim, powiedział: „Nie ma istot stworzonych, których nie stworzył Allach”. I to jest najważniejsze.

– Tak więc waszym zdaniem istoty te zostały stworzone przez Boga.

– Nie będę powtarzać przykładu z muchą – podejmuje salafita. – Gdyby Allach nie chciał, by owa istota została stworzona, nie pozwoliłby na jej istnienie.

– Rozumiem – mówi Pudlowski. – Rozumiem… – Po czym milknie, na próżno czekając na komentarz ze strony katolików lub protestantów.

Ortodoksyjny rabin zastanawia się przez chwilę i rzuca:

– W Talmudzie istnieją jednak mity o stworzeniu. W Traktacie Sanhedrin błogosławiony Rawa stworzył człowieka przy użyciu magicznych mocy. Traktat nie wspomina jednak jakich…

– Przepraszam, ale kim jest Rawa? – pyta Pudlowski.

– To rabin czwartego pokolenia… Nieważne. Rawa wysyła człowieka, którego stworzył, do rabiego Zeiry, który mu zadaje pytanie, ale ponieważ człowiek ten nie odpowiada, rabi Zeira pojmuje, że nie został on stworzony przez Boga, tylko jest golemem, nakazuje mu więc ponownie obrócić się w pył.

– W innych wersjach – dodaje rabin liberalny – ów człowiek stworzony przez Rawę może mówić, ale nie może się rozmnażać. A dalej w Traktacie Sanhedrin jest mowa o tym, że Raw Chanina i Raw Oszaja stworzyli barana i go zjedli… To wszystko jest dość zagmatwane… Trzeba to odczytywać jak parabolę. Chodzi o to, by pokazać ludzką próżność i boską wszechmoc.

Szyita wzdycha.

– Powróćmy jednak do Koranu. Po arabsku użyte w tym miejscu słowo *khalaqa*, czyli „tworzyć”, oznacza „stworzyć coś z niczego”, co jedynie Allach, chyba wszyscy jesteśmy tutaj zgodni, może uczynić. Nawet rabi Rawa powstał z ziemi. W przypadku, o którym pani wspomina, ta… istota nie powstała z niczego, prawda?

– Oczywiście, że nie – odpowiada Pudlowski. – Jednak o procesie jej… wytwarzania nic nie wiemy.

Rabin liberalny korzysta z chwili ciszy.

– Trzeba przypomnieć nauczanie Majmonidesa: Bóg wyposażył człowieka w duszę, *nefesz*, ale skoro dał mu prawa i nakazy, to dlatego, że człowiek ma wolną wolę oraz skłonności do dobrego i do złego.

– Nie widzę związku między wolną wolą a tym, o czym rozmawiamy – irytuje się ortodoksyjny rabin. – Zostaliśmy poproszeni o zajęcie stanowiska teologicznego, a pan, jak zwykle nie na temat, opowiada nam o swoim Majmonidesie!

– Co pan gada! Nie opowiadam o swoim Majmonidesie!

– Bardzo panów proszę – wtrąca się Pudlowski. – Zrozumcie mnie: jeśli zadaję pytanie na temat stworzenia, to przede wszystkim dlatego, że nie chcę, by ktokolwiek mógł powiedzieć, iż ta istota jest dziełem szatana.

– Szatan niczego nie tworzy! – oburza się mędrzec salaficki.

– Oczywiście, że nie! – przytakuje ortodoksyjny rabin, a obaj protestanci kiwają głowami.

– Bóg stworzył szatana – mówi jeden z kardynałów, kreśląc ręką znak krzyża. – Stworzył go, by wodził ludzi na pokuszenie, a w Ogrodzie szatan przybrał postać węża, najsprytniejszego ze stworzeń bożych. Lecz sam szatan tworzyć nie potrafi.

– Ha – naiwnie dziwi się Pudlowski. – A przecież słyszałam nieraz o „istotach szatańskich”.

– To nadużycie językowe, popularna Wulgata – mówi z uśmiechem salafita, a siedzący na końcu stołu szyita śmieje się drwiąco i rzuca oburzony:

– Wulgata? Przecież to wasz teolog, Muhammad Al-Munajjid, nazwał Myszkę Miki „istotą szatańską”.

– Myszkę Miki? – obrusza się prezydent Stanów Zjednoczonych, który dotychczas milczał jak zaklęty.

– Al-Munajjid nie jest „naszym” teologiem, jak raczył go pan nazwać – wzdycha salafita. – To powszechnie szanowany uczony i tyle. Powiedział dokładnie „żołnierz szatana”, a jego słowa zostały przeinaczone przez niewiernych i apostatów tylko po to, by wyśmiać islam.

– Ale nałożył fatwę na Myszkę Miki – ciągnie ironicznie szyita. – Ponadto Al-Munajjid nie ma nic przeciwko niewolnictwu i stosunkom seksualnym z niewolnicami.

– Tak mówi idżma, czyli opinia muzułmańskich uczonych – denerwuje się salafita. – Muhammad Al-Munajjid tylko ją powtarza, a ja…

– Ha! Ale mówi też, że homoseksualistów można palić na stosie, prawda? – rzuca luteranin.

Rabin liberalny przewraca oczami.

– Hm. Czy mam panom przypomnieć, co Luter mówił o homoseksualistach?

– Panowie, panowie – przerywa zdecydowanie Pudlowski. – Oddalamy się od tematu. Pierwszą kwestię uważam za rozwiązaną: nie mamy do czynienia z istotą stworzoną przez szatana. Zgadzamy się?

– Wszystkie istoty zostały stworzone przez Boga, co do tego możemy się zgodzić – odpowiada ortodoksyjny rabin pojednawczym tonem.

Buddyjscy mnisi dotychczas milczeli, ale w końcu jeden z nich, poirytowany, zabiera głos:

– À propos tych „stworzeń bożych”, o których mówicie… Przysłuchiwaliśmy się waszemu sporowi, ale pochodzenie świata jest sprawą względną. To nieskończony cykl, w którym wszechświat faluje między różnymi stanami: stanem stwarzania będącym domeną Brahmy, chwilami stabilności, kiedy dominuje Wisznu, a fazami, w których Śiwa niszczy wszystko – raz szybko, raz powoli. A wtedy sekwencja może zacząć się od nowa. Dla nas pani pytanie nie ma najmniejszego sensu.

Wszystkie istoty czujące noszą w sobie obecność Buddy i mogą osiągnąć Przebudzenie. Żaden buddysta nie będzie krzyczeć o „stworzeniach szatana”. Witamy tę nową istotę. I zgodnie z naszą tradycją wysyłamy do niej przesłanie pokoju.

– Faktycznie piękne przesłanie pokoju – odpowiada sunnita. – Podczas gdy wasi współwyznawcy masakrują naszych braci Rohindżów w Birmie pod przywództwem tego fanatycznego mnicha Wirathu…

– Ale… To nie jest mój buddyzm… A przede wszystkim proszę mi powiedzieć, kto zniszczył posągi Buddy w Bamianie? A w Sri Lance kto…

Pudlowski łagodnie mu przerywa:

– Bardzo proszę… Wiem, że wszyscy jesteście pełni dobrej woli, ale przykro mi, nie zdołamy rozwiązać tutaj wszystkich problemów planety. Tak więc mamy do czynienia ze stworzeniem boskim lub z istotą odczuwającą obecność Buddy. Tyle ustaliliśmy. Mam jeszcze pytanie dotyczące pojęcia duszy.

– Duszy? – powtarza sunnita.

– Tak. Nie potrafiłabym go zdefiniować, ale jest to pojęcie podstawowe, prawda?

– Podstawowe, lecz złożone – mówi sunnita. – Czy mogę rozwinąć myśl?

– Mamy czas… – wzdycha Pudlowski.

Zebranie trwa dwie godziny, dwie długie godziny, pod koniec których nic nie zostaje rozstrzygnięte, tak więc znużona Jamy Pudlowski zarządza koniec. Ani tydzień, ani nawet miesiąc dalszych dyskusji nie przyniosłyby żadnego rozwiązania.

– Panowie, bardzo proszę. Czy możemy przyjąć jakieś wspólne ustalenia? Może nawet zredagować jakąś deklarację, o ile się da jednomyślną i oczywiście roboczą, która jednak ochroni naszą istotę przed jakimkolwiek czynem kryminalnym wynikającym ze złego odczytania świętych ksiąg?

– To najlepsze rozwiązanie – stwierdza jeden z buddystów.

– Oczywiście – przytakuje rabin liberalny. – Możemy nawiązać do pięknych słów Księgi Kapłańskiej (19,18), w której Bóg nakazuje nam kochać bliźniego jak siebie samego.

– Lub do Ewangelii według Jana (13,34) – dodaje pastor luterański – w której Jezus nakazuje swoim uczniom, by się społu miłowali.

Salafita pochyla głowę i oświadcza:

– „Czyńcie dobro”, powiedział Prorok, oby pokój i błogosławieństwo boże były z nim. „Allach kocha czyniących dobro”. A przyjmując te istoty i nie robiąc im krzywdy, nie czynimy żadnego zła.

– W porządku – mówi Jamy Pudlowski. – Dziękuję panom. Muszę dodać jeszcze jedno, o czym nie należy zapominać. Nie mamy do czynienia z jedną „powieloną” istotą, lecz z wieloma. Dokładnie rzecz biorąc, z dwustu czterdziestoma trzema.

– Z dwustu czterdziestoma trzema?

Jamy Pudlowski nie zostawia im czasu na reakcję.

– Przyjaciele, spotkajmy się jutro rano, otrzymacie wówczas wszystkie informacje. W każdym razie nie sądzę, by to cokolwiek zmieniało w samym sednie naszej debaty. Opracuję podsumowującą notatkę z tego zebrania i zaproponuję panom ekumeniczne rozwiązanie, które wykroczy poza różnice religijne.

Pudlowski długo dziękuje każdemu z uczestników i żegna się z nimi. Siedząc w śmigłowcu, którym wraca do bazy, dzwoni do Adriana Millera.

– No i? – pyta matematyk. – Jak poszło?

– Lepiej być nie mogło – wzdycha Pudlowski.

Telefon wibruje. SMS od prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Great job! – pisze prezydent.

Hangar

Sobota, 26 czerwca 2021
hangar B, McGuire Air Force Base

– O rany! Oni tańczą! – krzyczy stojący na platformie Silveria.

W północnym narożniku wydzielono pustą przestrzeń między stołami i proszę, pasażerowie tańczą. Nastolatki, dzieci, ale nie tylko, kręcą się w rytm nowego przeboju Eda Sheerana, *So Tired of Being Me*, coś między R’n’B a dancehallem, jednak Silveria nie jest żadnym ekspertem, a Pudlowski i Mitnick, którzy stoją obok niego, też nie mogą mu pomóc.

Od tak dawna nie tańczył. Dwa lata temu z córką, otwierając jej wesele? Może. Wtedy był walc do muzyki Louisa Armstronga, on w obcisłym garniturze, ona promieniująca radością w białej sukni ślubnej. Silveria wracał z Afganistanu, ze śmiechem wirował z Giną, a ona wirowała w ramionach ojca, a wraz z nią w jego głowie wirowały ohydne obrazy wojny. Nawet z zamkniętymi oczami, nawet po trzech piwach, nawet otulony słodkim zapachem owocowych perfum córki, Silveria żył w świecie, który był coraz mniej i mniej *wonderful*. Jednak tańcząc z nią walca, odpychał od siebie krew, pył, pustynię i pluł w twarz wszystkim piekielnym demonom.

– Kto im pozwolił puścić muzykę? – irytuje się Silveria.

– To chyba dobry pomysł – mówi Jamy Pudlowski. – Dzieciom wyświetlają filmy, zaraz zaczną roznosić gry planszowe, szachownice, karty. To powinno obniżyć napięcie.

– Dobra, niech tańczą.

Generał spogląda na zegar: dopiero druga po południu, a on czuje się tak zmęczony, jakby zapadała noc. Z platformy, na której stoi, hangar wygląda jak miasteczko białych prefabrykatów i namiotów w ochronnym piaskowym kolorze, prowizoryczna osada cuchnąca zjełczałym tłuszczem i płynem dezynfekującym. Wojskowa logistyka stara się dostosować to miejsce do niezdyscyplinowanych cywili. Żołnierze nie wiedzą prawie nic,

a jedyne polecenie, jakie otrzymali, to nie ujawniać daty. Większość z nich z determinacją pilnuje drzwi, ale niektórym pozwolono na zajęcie się dziećmi. Silveria potroił liczbę strażników, a widząc nerwowość swoich ludzi, broń palną kazał zastąpić paralizatorami.

Tak, Patrick Silveria jest zmęczony, pławi się jednak w rzadkim poczuciu spełnienia. Po raz pierwszy w życiu zadaje sobie pytania inne niż to, jakim cudem został generałem Silverią, odznaczonym Air Force Cross, Purple Heart i Legion of Merit. Jako dziecko chciał być lekarzem, by uratować umierającą matkę, jako nastolatek próbował sił w aktorstwie, w końcu zaczął studiować fizykę teoretyczną. Lecz wiatr wciąż wiał mu w oczy. Nie dostał stypendium na Uniwersytecie Lawrence'a, ojciec zachorował na białaczkę i zmarł, a piękna Myra porzuciła go dla jakiegoś trzydziestopięcioletniego starca. Z przekory podszedł do egzaminu wstępnego na West Point i go zdał. Jako jedyny na roku nie miał w rodzinie żadnego wojskowego. Od tej pory nieustannie zastanawiał się nad przeznaczeniem: a gdyby jako osiemnastolatek dostał tamtą rolę w komedii policyjnej na Broadwayu, a gdyby Hannah nie zaszła tak wcześnie w ciążę, a gdyby w dwa tysiące trzecim podczas kwietniowej ofensywy nie zdołał zestrzelić tego cholernego miga-25 nad Mosulem? Teraz znał już odpowiedź: ta przypadkowa droga życiowa służyła jedynie temu, by pewnego dnia stanął w otoczeniu noblistów na stalowej platformie w hangarze Lockheed Galaxy i trzymając dłonie na byle jak pomalowanej balustradzie, patrzył na tłum ludzi przybyłych znikąd.

– Zejdę do jaskini lwa – postanawia Silveria.

– Przed chwilą było jakieś zamieszanie – mówi Pudlowski. – Rozszarpią pana na strzępy…

– Może mam na to ochotę.

– Byłbym zapomniał – wtrąca Mitnick. – Wśród pasażerów jest adwokatka… Joanna Woods. Nie jestem prawnikiem, ale jej pisma wyglądają całkiem poważnie, nawet jeśli są… dość barwne.

– Barwne? – dziwi się Silveria.

– Redaguje pozwy kolorowymi mazakami, które rozdano dzieciom.

Generał wzdycha. Przychodzi mu do głowy kilkanaście dowcipów o adwokatach, w tym jeden przepyszny o różnicy między kleszczem a adwokatem, ale zachowuje go dla siebie. Nie rozładowałby atmosfery.

– Jeśli chce pan negocjować, mecenas Woods siedzi w pierwszym rzędzie przy stole numer czternaście, obok kapitana.

Widząc osłupiały wyraz twarzy Silverii, Mitnick dodaje:

– Generale, jeśli pan zerknie do tabletu, zobaczy pan, że na ścianach umieściliśmy setki kamer o wysokiej rozdzielczości i tyle samo mikrofonów kierunkowych. Na interfejsie mamy system rozpoznawania twarzy i analizy mowy we wszystkich językach z tłumaczeniem symultanicznym. Wystarczy kliknąć nazwisko pasażera, a wyświetla się wszystko, co on mówi. Stojące na stołach bukiety suszonych kwiatów są nafaszerowane elektroniką. Namioty też na podsłuchu.

– A w toaletach, jak już o tym mówimy?

– Rozważaliśmy to, ale ostatecznie zrezygnowaliśmy.

Na twarzy Mitnicka nie drgnął żaden mięsień. Silveria zastanawia się, czy facet szydzi, czy mówi poważnie.

– Skoro jest pan taki dobry, to pewnie ma pan zdjęcie faceta, który uciekł…

– Nie. Kamery i mikrofony zainstalowaliśmy dopiero wczoraj rano. Zdążył prysnąć wcześniej. Wiemy, że poleciał do Paryża pod przybranym nazwiskiem Michaël Weber. Przedtem podróżował na paszporcie australijskim, to jeden z krajów, które nie wprowadziły identyfikacji biometrycznej. W Australii mieszkają dziesiątki Michaëlów Weberów, ten nasz mieszka na Gold Coast, jest kierowcą autobusu szkolnego i nigdy nie wyjechał z miasta. Chcieliśmy pobrać odciski palców z siedzenia na pokładzie boeinga, ale to tkanina. Odzyskaliśmy tace z jedzeniem i sztućce. Po wyeliminowaniu DNA wszystkich pozostałych pasażerów pozostanie jeszcze DNA osób, które przygotowywały jedzenie. Załóżmy, że znajdziemy jego DNA, będziemy znać kolor jego skóry i oczu, rodzaj włosów, wiek, fizjonomię, stworzymy jego genetyczny portret pamięciowy i zaczniemy szukać w mediach społecznościowych. Nie oczekujmy jednak cudów.

– Zdjęcia z pokładu?

– Zarezerwował miejsce 30E, którego nie obejmują kamery kontrolne. Nie mamy żadnego ujęcia z jego twarzą nawet z chwili wchodzenia na pokład. Przesłuchaliśmy jego sąsiadów, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Zrobiliśmy jego portret pamięciowy. Okulary z grubymi oprawkami, długie włosy, wąsy, szczegóły, które przyciągają uwagę i odwracają ją od elementów zasadniczych. Przez cały lot miał na głowie kaptur.

– A kamery na lotnisku de Gaulle’a?

– To było w marcu, większość zapisów jest już skasowana. Na tych niewielu, które zostały, zupełnie niczego nie widać. Najwyraźniej mamy do

czynienia z profesjonalistą.

– A wyważenie drzwi w hangarze?

– Wyłamał je podczas paniki wywołanej pożarem, jaki zapewne sam rozniecił. Ani na klamce, ani na metalowym pręcie, którego użył, nie ma śladu odcisków palców. W południe w Nowym Jorku odnaleźliśmy skradzioną i podpaloną furgonetkę. Jak już mówiłem, to profesjonalista.

– Szukajcie dalej. Nawet mrówka pozostawia jakieś ślady.

– Skrzydlata mrówka niekoniecznie – krzywi się Mitnick.

Pytania Meredith

Sobota, 26 czerwca 2021, 7 : 30
McGuire Air Force Base

– Nie zgadzam się na bycie programem – psioczy Meredith. – Adrianie, jeśli ta hipoteza jest słuszna, żyjemy w alegorii jaskini, i to do entej potęgi. To nie do zniesienia: mogę przyjąć, że tylko ślizgamy się po powierzchni rzeczywistości, bez nadziei na osiągnięcie prawdziwej wiedzy. Ale świadomość, że nawet ta powierzchnia jest tylko złudzeniem, sprawia, że mam ochotę strzelić sobie w łeb.

– Nie wiem, czy „strzał w łeb” jest czynem adekwatnym dla jakiegokolwiek programu – uspokaja ją Adrian, podając jej trzecią kawę.

Meredith jest jednak wściekła, kompletnie wytrącona z równowagi, nawet jeśli to tylko efekt uboczny modafinilu, który przyjmuje co sześć godzin, żeby nie zasnąć. Zasypuje Adriana tysiącem pytań, na które nie oczekuje żadnej odpowiedzi. Na wszelkie możliwe tematy.

Czy fakt, że nie lubię kawy, jest wpisany w mój program? A mój wczorajszy kac, kiedy zmieniłam się w gąbkę nasączoną tequilą, czy on też był symulowany? Jeśli program pożąda, kocha i cierpi, jakie są algorytmy miłości, cierpienia i pożądania? Czy zostałam tak zaprogramowana, że wpadnę w złość, odkrywając, iż jestem programem? Czy mimo wszystko mam wolną wolę? Czy wszystko jest przewidziane, zaprogramowane, nieuniknione? Jaka dawka chaosu została zawarta w tej symulacji? Czy chaos w ogóle istnieje? Czy nie ma żadnego sposobu, żeby udowodnić, że nie, uff, w rzeczy samej nie tkwimy w żadnej symulacji?

Trudno opracować test, odpowie mi Adrian, na obalenie naszej hipotezy, gdyż symulacja nie jest głupia i dostarczy wynik udowadniający, że jest na odwrót. Tymczasem od trzydziestu godzin upierają się, by coś takiego wymyślić. Zwłaszcza astrofizycy starają się obserwować zachowanie promieni kosmicznych o największej energii. Przy zastosowaniu „rzeczywistych” praw fizyki ich symulację ze stuprocentową dokładnością

uważają za niemożliwą. Anomalie w zachowaniu promieni kosmicznych mogą dowodzić, że rzeczywistość nie jest rzeczywista. Na razie nic z tego nie wynika.

Adrian nie cierpi samej myśli o symulacji, uznał w końcu Karla Poppera za przewodnika po epistemologii, tego samego Poppera, dla którego żadna teoria nie ma charakteru naukowego, jeśli nie można jej obalić. Żeby jednak nie wiadomo jak obracał całe zagadnienie w głowie przy zachowaniu tych samych danych, najprostsze wyjaśnienie jest często tym właściwym. Najprostsze, ale najbardziej niewygodne: pojawienie się samolotu nie może być wynikiem błędu symulacji – przecież tak łatwo byłoby go „wymazać" i cofnąć wszystko o kilka sekund. Nie. To jest oczywiście test: jak zareagują miliardy wirtualnych istot na wieść o swojej wirtualności?

Meredith nie daje Adrianowi odpowiedzieć, ciągnie dalej.

Czy żyjemy w czasie, który jest tylko złudzeniem, w którym każde pozorne stulecie trwa zaledwie ułamek sekundy w operacjach gigantycznego komputera? Czym jest śmierć, jeśli nie zwykłym *end* zapisanym w jednym wierszu kodu?

Czy Hitler i Holokaust istnieją jedynie w naszej symulacji czy również w kilku innych, czy sześć milionów programów żydowskich zostało zamordowanych przez miliony programów nazistowskich? Czy gwałt jest męskim programem gwałcącym program żeński? Czy paranoiczne programy nie są tylko systemami odrobinę bardziej bystrymi od innych? Czy ta szalona hipoteza nie stanowi najbardziej dopracowanej formy teorii spiskowej w największym z możliwych spisków?

Cóż za perwersja, opracować programy symulujące idiotów, inne symulujące istoty zbyt inteligentne, które cierpią w otoczeniu tych pierwszych, jeszcze inne symulujące muzyków, artystów bądź pisarzy piszących książki, które są czytane przez jeszcze inne programy? A może zresztą nikt niczego nie czyta? Kto wymyślił programy Mojżesza, Homera, Mozarta, Einsteina i dlaczego powstało tyle programów tak niskiej jakości, które przechodzą przez całe swoje elektroniczne życie, nie wnosząc niczego lub prawie niczego do złożoności symulacji?

A może – denerwuje się Meredith – jesteśmy symulacjami świata człowieka z Cro-Magnon zrobionymi przez neandertalczyków, tę rasę *Homo sapiens*, która w przeciwieństwie do tego, co się powszechnie sądzi, pięćdziesiąt tysięcy lat temu naprawdę odniosła sukces? Do tego stopnia, że aż by się chciało zobaczyć, czego te nadzwyczaj agresywne afrykańskie

naczelne mogłyby dokonać, gdyby biedactwa nie wyginęły? No to się udało, teraz już wiemy, człowiek z Cro-Magnon był tak beznadziejnym tumanem, że zdewastował swoje wirtualne otoczenie, zniszczył lasy, zanieczyścił oceany, mnożył się bez najmniejszego sensu, zużył energię kopalną, na skutek czego prawie cały gatunek wyginie od wysokiej temperatury i głupoty za pięćdziesiąt symulowanych lat. Albo jeszcze lepiej, może jesteśmy elementami symulacji stworzonej przez potomków dinozaurów, których żaden meteoryt nie zniszczył, a one się teraz zabawiają obserwowaniem świata rządzonego przez ssaki? Albo żyjemy w szalbierstwie biologii węglowej zaprojektowanej wokół podwójnej helisy DNA, w świecie stworzonym przez kosmitów, których życie jest oparte na potrójnej helikoidzie i atomach siarki? A co jeśli faktycznie bylibyśmy istotami stanowiącymi efekt symulacji stworzonej przez inne, równie symulowane istoty w ramach jeszcze większej symulacji, i gdyby wszystkie światy symulowane mieściły się jeden w drugim jak drewniane matrioszki?

Skąd mamy wiedzieć, jak wyglądamy? Skoro w programie jestem białą kobietą, młodą, zbyt chudą brunetką z długimi włosami i czarnymi oczami, dlaczego symulacja nie miałaby się zabawić, tworząc tyle wersji mojej twarzy i ciała, ilu mam rozmówców?

Jeszcze jedno, Adrianie – Meredith aż się dławi ze złości – jeszcze jedna nie taka znowu absurdalna kwestia: czy fałszywe życie istnieje po naszej fałszywej śmierci? No bo w końcu co by ich to kosztowało, skoro są istotami o tyle od nas wyższymi, aż tak genialnymi, żeby do swojej symulacji dołożyć jakieś tandetne raje, by jakoś zadośćuczynić tym małym, grzecznym, pełnym zasług programom, które się poddawały dyktatowi każdej doksy? Dlaczego nie mieliby stworzyć oddzielnego raju dla dobrych programów muzułmańskich, które zawsze jadły halal i pobożnie obracały się w kierunku Mekki, by pięć razy dziennie zanosić modły do Allacha? Raju dla programów katolickich, które co tydzień chodzą się spowiadać na niedzielnej mszy? Raju dla programów uprawiających kult Tlaloka, azteckiego boga deszczu, tych biednych ofiar poświęcanych na szczytach piramid, które wracają na Ziemię zamienione w motyle?

A gdyby istniały tysiące piekieł dla haniebnych programów apostatów, niewiernych lub wolnomyślicieli, tysiące koszmarów, w których te umysły wyzwolone smażyłyby się bez chwili przerwy, znosząc wieczne, a zarazem wirtualne tortury, osaczone przez czerwone demony i pożerane przez monstra o krwiożerczych paszczach? Albo jeszcze lepiej, dlaczego ci

genialni dowcipnisie nie mieliby tak ułożyć spraw, żeby każdy program religijny modlił się do niewłaściwego Boga. No i po śmierci niespodzianka, hej, stary, byłeś baptystą, buddystą, żydem, muzułmaninem? Trzeba było być mormonem, baranie! No jazda, wszyscy do piekła!

Ostatecznie bogowie azteccy parokrotnie stworzyli świat i parokrotnie go zniszczyli: Nahui Ocelotl nakazał, aby ludzi pożarły jaguary, Nahui Ehecatl zamienił ich w małpy, Nahui Quiahuitl zalał ich morzem ognia, Nahui Atl utopił ich i zamienił w ryby.

Oto pytania, jakie sobie zadaje Meredith, a może jej program, który zapisał ich niezliczoną ilość na temat świata i azteckich bogów. Z całym szacunkiem dla monoteizmu, trzeba jednak stwierdzić, że zaburzenia w funkcjonowaniu świata znacznie łatwiej wytłumaczyć niekończącym się konfliktem między bogami.

Meredith nagle nabiera ochoty na kawę, której nie lubi, walczy z opornym ekspresem – co za łajdaki, w tej swojej symulacji zaprogramowali nawet awarie – a kiedy czarny pienisty płyn w końcu zaczyna spływać, obraca się w stronę milczącego Adriana.

Matematyk patrzy na nią, czując cielęcy zachwyt w sercu. Wszystko mu się w niej podoba: zaróżowione policzki, kiedy wpada w złość, kropla potu na czubku nosa, obszerne koszule na niesłychanie szczupłym ciele. Może jego uczucie do niej też zostało zaprogramowane? Mało go to obchodzi. Być może życie zaczyna się wtedy, kiedy wiemy, że go nie mamy.

Co by to zresztą w ich sytuacji zmieniło? Symulowani czy nie, ludzie żyją, czują, kochają, cierpią, tworzą i umierają, pozostawiając po sobie minimalny ślad w symulacji. Po co wiedzieć? Ignorancja jest zawsze lepsza od wiedzy. Ignorancja jest dobrą kumpelką, a prawda nigdy nie przynosi szczęścia. Lepiej być symulowanym i szczęśliwym.

Meredith wypija łyk gorzkiej kawy i się uśmiecha.

– Dziękuję, że mnie tutaj sprowadziłeś, Adrianie. Moja wściekłość jest proporcjonalna do intensywności tego, co teraz przeżywamy. Jestem przeszczęśliwa, będąc na tym pokładzie, a do tego z tobą. – Angielska topolożka wybucha śmiechem. W tej chwili nie ma dla niej znaczenia, czy jest przedmiotem symulacji i czy jej radość jest skutkiem ubocznym modafinilu. Zaczyna śpiewać na melodię *I Can’t Get No Satisfaction*:

I can be no no no no simulation

No no no

And I cry and I cry and I cry!

I can be no no no

Tańczy i wiruje w rytm melodii Stonesów, a ponieważ on stoi nieporadny, oniemiały i rozemocjonowany, Meredith chwyta go za rękę i ciągnie ku sobie:

– No chodź, Adrianie, nie stój jak słup soli! *I can be no no no!*

To niesamowite, myśli Adrian, niesamowite, jak ja kocham tę dziewczynę. Nagle przytula ją do siebie, oszołomiony czułością i pożądaniem, mocno ją obejmuje i już ma pocałować, gdy do pomieszczenia wchodzi generał Silveria.

– Profesorze Miller – mówi generał ani trochę nieskrępowany – na płycie czeka na pana śmigłowiec. Leci pan do Białego Domu. Prezydent na pana czeka.

Kilku prezydentów

Sobota, 26 czerwca 2021, 11 : 00
West Wing, Biały Dom, Waszyngton

Prezydent w gigantycznym podekscytowaniu krąży po Gabinecie Owalnym ze wzrokiem wbitym w promienie słoneczne na grubym białym dywanie. Obchodzi całe pomieszczenie w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara pod obojętnym spojrzeniem popiersia Winstona Churchilla; oprawiony w złocone ramy Waszyngton wiszący nad kominkiem zdaje się równie niezainteresowany sytuacją.

Cztery osoby czekają, siedząc w fotelach naprzeciwko prezydenckiego biurka: doradca specjalny, sekretarz stanu USA, doradczyni naukowa i wreszcie Adrian Miller, zafascynowany dostojnym orłem nad biurkiem Resolute, ubrany w czystą i pachnącą białą koszulę, którą zaraz po przyjściu dał mu szef protokołu, Przy okazji wypierzemy pański T-shirt, profesorze Miller.

– Nie mam ochoty dzwonić do Francuza – burczy prezydent, wracając na swoje miejsce.

– Przetrzymujemy sześćdziesięciu siedmiu obywateli francuskich – mówi doradca specjalny. – I był to lot Air France. Trzeba będzie do niego zadzwonić, panie pre…

– Mowy nie ma. Najpierw zadzwonię do Jinpinga. Ilu mamy Chińczyków?

– Około dwudziestu, panie prezydencie. Ale zaraz potem zadzwonimy do prezydenta Francji.

– Zobaczymy. Jennifer, połącz mnie z Chińczykiem. I po kilku minutach przekażę panu słuchawkę, profesorze Muller, dobrze? – Prezydent obraca się w stronę Adriana Millera, który trochę mu przypomina tego aktora z *Forresta Gumpa*, jak on się nazywa? W nieco młodszej wersji.

Adrian nie odpowiada. Dopadło go zmęczenie nieprzespanych nocy i cokolwiek oszołomiony myśli, To obłęd, zwykły obłęd, siedzę

w Gabinecie Owalnym z prezydentem Stanów Zjednoczonych, będę rozmawiać z prezydentem Chin i mam na sobie białą koszulę.

– Profesorze Muller, mówię do pana… – Tom Hanks, przypomina sobie prezydent. Jest podobny do Toma Hanksa.

– Tak, panie prezydencie – odpowiada Adrian. – Nazywam się Miller, panie prezydencie.

– Jak mówiłem, przekażę panu słuchawkę, wytłumaczy pan Jinpingowi.

– Czy profesor Miller ma odpowiadać na wszystkie pytania bez wyjątku? – pyta doradca specjalny.

Prezydent marszczy brwi i szuka odpowiedzi u sekretarza stanu, który kiwa głową.

– Niech pan mówi wszystko, co pan zechce, profesorze. I tak wiele nie wiemy.

– Panie prezydencie, prezydent Chin na linii – słychać kobiecy głos.

W odległości jedenastu tysięcy kilometrów w Zhongnanhai, w sali konferencyjnej West Building Compound czyjaś ręka podnosi słuchawkę.

– Dzień dobry, prezydencie Jinping – mówi prezydent. – Przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Jeszcze nie spałem, drogi prezydencie.

– Tym lepiej, tym lepiej. Dzwonię do pana w niezwykle ważnej sprawie. Zdarzyła się sytuacja niespotykana. Cały świat musi jej stawić czoło, dlatego właśnie w pierwszej kolejności dzwonię do pana. Towarzyszą mi moi doradcy naukowi. W każdej chwili są gotowi służyć mi pomocą. Otóż sytuacja przedstawia się następująco: dwa dni temu na naszym terytorium wylądował samolot Air France. Ten sam samolot lądował już trzy miesiące temu.

– Tak? To się zdarza dość często, że jeden i ten sam samolot ląduje kilka razy – mówi prezydent Chin, powstrzymując się od śmiechu. – Zwłaszcza w przypadku regularnych lotów.

– To nie takie proste. Przekazuję słuchawkę jednemu z moich najlepszych doradców naukowych, profesorowi Adrianowi Mullerowi z Uniwersytetu Princeton.

Adrian wstaje, bierze słuchawkę, którą podaje mu prezydent, mamrocze „Profesor Adrian Miller, panie prezydencie…”, po czym dokonuje wysiłku, by mówić jasno, zwięźle i wyczerpująco. Po drugiej stronie słychać kompletne niezrozumienie. „Samolot lądował dwa razy?”, pyta prezydent Chin i powtarza: „Dwa razy?”. Rozmowa ciągnie się przez jakiś czas,

Adrian odpowiada na pytania dotyczące cumulonimbusów, testów DNA, którym poddano pasażerów, warunków ich zatrzymania… Po wstępnym naświetleniu sytuacji wspomina o różnych hipotezach, próbuje wytłumaczyć to, co niewytłumaczalne. Wobec osłupienia rozmówcy musi parokrotnie powtarzać. Po kwadransie prezydent Chin żąda listy chińskich obywateli przetrzymywanych w bazie McGuire.

– Przecież już ją mają – podpowiada szeptem doradczyni naukowa. – Wiedzą, gdzie w każdej chwili przebywa każdy Chińczyk, tym bardziej ci, którzy w marcu wsiedli do samolotu Paryż–Nowy Jork…

– Pozwólmy naszym służbom zająć się wszystkimi pomniejszymi problemami – kończy prezydent Chin. – Proszę pozdrowić pana prezydenta i przekazać mu, że zadzwonię w ciągu godziny. – Przywódca Państwa Środka odkłada słuchawkę.

Adrian także, po czym siada. Prezydent Stanów Zjednoczonych siedzi nieruchomo, jakby zamroczony. Matematyk obserwuje tego prostego człowieka i pociesza się rozpaczliwą myślą, że sumą indywidualnych ciemności rzadko kiedy jest zbiorowa jasność.

– Na pewno zaczęli już aresztować „duplikaty” swoich obywateli – zastanawia się na głos sekretarz stanu.

– Skontaktowaliśmy się z prezydentem Macronem, panie prezydencie. Będzie na linii za minutę – mówi doradca specjalny.

– Nie umiem rozmawiać z Francuzami, a zwłaszcza z tym typkiem. Dobra. Jennifer, połącz mnie z tym aroganckim palantem.

Telefon wibruje, prezydent wypija szklankę wody, podnosi słuchawkę i uśmiecha się z przymusem.

– Mój drogi Emmanuelu, jakże mi miło. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku, u twojej uroczej żony także. Dzwonię do ciebie w niezwykle ważnej sprawie…

W odległości jedenastu tysięcy kilometrów Xi Jinping spogląda przez chwilę w noc, która spokojnie zapada nad Jeziorem Środkowym i nowym Zakazanym Miastem. Wzdłuż brzegu jeziora kazał zasadzić setki miłorzębów, by je kontemplować podczas medytacji. To prymitywne drzewo zawsze go fascynowało. Istniało miliony lat przed pojawieniem się dinozaurów i przeżyje ludzkość. Roślinna wersja *memento mori*. Po chwili Jinping siada przy stole konferencyjnym. Otacza go kilkunastu milczących wojskowych i cywili. Słuchali wyjaśnień Millera i od czasu do czasu coś

notowali. To najczarniejszy z „czarnych łabędzi”, tych nieprawdopodobnych zjawisk o trudnych do przewidzenia konsekwencjach.

Na ekranach w gabinecie chińskiego prezydenta pojawiają się ujęcia z nowych satelitów Yaogan 30-06, rozmieszczonych wokół całej kuli ziemskiej. Rozdzielczość jest znakomita: świetnie widać numery boeinga Air France, długi sznur ludzi między samolotem a hangarem, balet śmigłowców. I twarze wszystkich pasażerów. Od dwóch dni Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego zbiera o nich wszelkie możliwe informacje ze skutecznością niemal równą NSA.

– A więc tak – podsumowuje Xi Jinping. – Siedzą w gównie po uszy, jak my w kwietniu ze styczniowym lotem z Pekinu do Shenzhen. W bazie na Wschodnim Wybrzeżu przetrzymują dwieście czterdzieści trzy osoby. A ile było w airbusie?

– Trzysta dwadzieścia dwie, towarzyszu prezydencie – mówi jeden z generałów. – Większość z nich nadal przebywa w bazie w Huiyang.

– Czy nie powinniśmy zawiadomić Amerykanów o tym locie? – pyta jakaś kobieta ubrana po cywilnemu.

– Nie tak od razu. Może nawet nigdy. Nie żądali zwrotu piętnastu Amerykanów, którzy byli na pokładzie. Widocznie nikt za nimi nie tęskni.

– Czyli ich zdaniem też… – mówi inny wojskowy z czterema gwiazdkami na pagonach – hipoteza symulacji jest najbardziej prawdo…

– Tak, ich zdaniem też – ucina prezydent.

Prezydent miliarda czterystu piętnastu milionów stu pięćdziesięciu dwóch tysięcy sześciuset osiemdziesięciu dziewięciu programów.

Kiedy Adrian opuszcza Biały Dom, szef protokołu dogania go w korytarzu. Podaje mu czarną płócienną torbę z przyszytą amerykańską flagą.

– Pański T-shirt, profesorze Miller. Wypraliśmy go i pozwoliliśmy sobie… zacerować. Dodam, że musiałem poszukać hasła „Fibonacci” w internecie, żeby zrozumieć napis *I ♡ zero, one, and Fibonacci*. Bardzo zabawny, muszę przyznać. Oczywiście koszulę może pan zachować. W torbie ma pan jeszcze bluzę z kapturem z logo Białego Domu. Prezydent nalegał, żeby złożyć na niej osobistą dedykację dla pana.

Adrian nie ma czasu, żeby otworzyć usta, gdyż szef protokołu z kamienną twarzą dodaje:

– Niech się pan nie martwi, profesorze. Daliśmy mu wodny mazak, zejdzie w pierwszym praniu.

The people have the right to know

Artykuł w „New York Timesie”
z niedzieli 27 czerwca 2021

WBREW WSZELKIM DOWODOM SIŁY POWIETRZNE STANÓW ZJEDNOCZONYCH ZAPRZECZAJĄ, JAKOBY PRZETRZYMYWAŁY FRANCUSKI SAMOLOT LINIOWY WRAZ Z PASAŻERAMI W SWOJEJ BAZIE MCGUIRE

W czwartek wczesnym wieczorem boeing 787 należący do Air France został zmuszony do lądowania w bazie wojskowej McGuire w stanie New Jersey. Pasażerowie i załoga są przetrzymywani w dużym budynku, który przystosowano do tego celu. Mimo naszych licznych zapytań ani wojsko, ani linie lotnicze nie udzielają żadnych wyjaśnień dotyczących tego incydentu.

BAZA MCGUIRE, 26 CZERWCA. John i Judith Madderick, sześćdziesiąt pięć i sześćdziesiąt sześć lat, oboje na emeryturze, nie mogli uwierzyć własnym oczom. W czwartek wieczorem, kiedy para jadła kolację w swoim ogródku w Cookstown (New Jersey), samolot liniowy pod eskortą dwóch myśliwców lądował w bazie USAF McGuire, w odległości jednej mili. John i Judith są przyzwyczajeni do przelotów super herculesów i AWACS’ów, ale choć mieszkają tutaj od trzydziestu lat, nie przypominają sobie, by w bazie lądował jakikolwiek samolot cywilny. Inni świadkowie, w tym jeden wojskowy, potwierdzają, że chodzi o boeinga 787 należącego do linii Air France.

Andrew Wiley, rzecznik sił powietrznych, oświadczył, że nie ma na ten temat żadnych informacji, ale potwierdza, że baza McGuire jest całkowicie zamknięta, chroniona przez żołnierzy z grupy bojowej należącej do osiemdziesiątej szóstej brygady piechoty, którzy zostali tam skierowani w nocy z czwartku dwudziestego czwartego na piątek dwudziestego piątego czerwca. Nikt poza personelem nie ma prawa wstępu na teren bazy. Pojazdy opancerzone kontrolują wjazd i wyjazd czterech tysięcy wojskowych,

których pojazdy przejeżdżają od czasu do czasu przez dwa punkty kontrolne – przedtem było ich siedem – powodując korki na okolicznych drogach.

Według źródła pracującego na wieży kontrolnej Kennedy Airport boeing 787 miał awarię i znalazł się w amerykańskiej przestrzeni powietrznej, podając błędny kod lotu Air France z Paryża do Nowego Jorku. Na rozkaz NORAD-u samolot został przekierowany do bazy wojskowej na Wschodnim Wybrzeżu. Według cywilnych pracowników bazy McGuire, którzy pragną zachować anonimowość, ponad dwustu pasażerów wraz z załogą wysiadło i zostało skierowanych do dużego budynku, który przystosowano do ich przyjęcia. Od tej chwili można zaobserwować intensywny ruch pojazdów w okolicy. Boeing został umieszczony w drugim hangarze. Zdjęcia zrobione przed całą operacją wskazują, że jest to boeing 787-8. Niektóre z nich, wrzucone do mediów społecznościowych, szybko stały się niedostępne.

Natomiast linie lotnicze Air France głosem swojego dyrektora do spraw komunikacji François Bertranda poinformowały, że żaden ich samolot nie zaginął. Francuskie linie podały zresztą listę dwudziestu trzech boeingów 787, z których korzystają na paru trasach, z czego kilku pod banderą KLM, i wszystkie zostały zlokalizowane. Przypomnijmy, że ostatnio firma Boeing dostarczyła trzysta osiemdziesiąt siedem boeingów 787-8 do różnych krajów świata, a Air France jest jej drugim klientem europejskim. Konstruktor, który także zapewnia konserwację swoich samolotów, nie zgłasza braku ani jednej maszyny ze swojej floty. Ponadto żadne lotnisko na Wschodnim Wybrzeżu nie poinformowało o żadnym incydencie z udziałem samolotu cywilnego.

Widoczne na kilku zdjęciach kadłuba numery są jednak oznakowaniem samolotu kursującego tradycyjnie na trasie Paryż–Nowy Jork. Linie lotnicze przyznają, że jeden z jej boeingów, noszący ten właśnie numer, został unieruchomiony. „Ze względów bezpieczeństwa” władze amerykańskie zatrzymały go w sobotę rano i znajduje się on obecnie na lotnisku Kennedy’ego, gdzie jest poddawany różnego rodzaju testom. Maszyna doznała licznych uszkodzeń podczas turbulencji w wyniku „burzy dekady” w marcu tego roku. To zakłócenie pogodowe doprowadziło do poważnych awarii wielu samolotów i statków.

Szczegóły dotyczące samolotu zmuszonego do lądowania w bazie McGuire pozostają jednak owiane tajemnicą. Czy osoby, które nim leciały,

nadal są przetrzymywane na terenie bazy? Źródła zbliżone do władz wojskowych potwierdzają to. A przecież regulacje międzynarodowe dotyczące lotnictwa cywilnego zezwalają na przetrzymywanie cywili bez nakazu sądu zaledwie w kilku przypadkach, ściśle określonych przepisami krajowymi. Zaliczają się do nich terroryzm oraz, przede wszystkim, procedury medyczne, które mogą wymagać poddania załogi i pasażerów kwarantannie. Procedura ta może jednak zostać uruchomiona wyłącznie na rozkaz prezydenta, po uzyskaniu opinii Center for Disease Control (CDC). Zapytany o tę sprawę Kenneth Logan, dyrektor CDC, twierdzi, że jego agencja nie została poinformowana o jakimkolwiek problemie epidemiologicznym na terenie kraju.

Zdziwienie budzi także fakt, że ani zajęcie samolotu, do którego doszło dwa dni temu, ani zatrzymanie osób, które nim leciały, nie wywołały najmniejszej reakcji. Biały Dom za pośrednictwem nowej dyrektorki do spraw komunikacji Jenny White zapewnia, że żaden Amerykanin ani cudzoziemiec nie został zatrzymany w sposób uznaniowy. Chociaż podczas lotu Air France z Paryża do Nowego Jorku jedną trzecią pasażerów stanowili Francuzi, ambasada Francji zaprzecza, jakoby francuscy obywatele byli przetrzymywani w bazie McGuire wbrew swojej woli, i odmawia jakiegokolwiek komentarza.

Anja Stein
Dział śledczy

"All the News That's Fit to Print"

The New York Times

VOL. CLXVII ... No. 58,039 © 2018 The New York Times Company NEW YORK, MONDAY, JUNE 28, 2021

Mysterious Flight. Image of the Air France Boeing 777, taken on the morning of Saturday 26. The aircraft is still immobilized at McGuire Air Force Base. The military base is now closed and under Army surveillance.

Thick mystery surrounding the mobilization of scientists in the United States.

By PABLO LEVIN BECKER

ISLAMABAD, Pakistan — For a nation often in the news for all the wrong reasons — suicide bombings, horrific school massacres — Pakistan has reached a turning point that could possibly alter its dysfunctional trajectory.

Imran Khan, the cricket star and A-list celebrity whose political party won this past week's elections, could use his fame and

Against The Evidence, The USAF Denies Holding A French Airliner At The McGuire Base

John and Judith Madderick, 65 and 66, both retired, couldn't believe it. The couple was having dinner Friday night in their backyard in Cookstown, New Jersey, when an airliner, escorted by two fighters, landed at the USAF McGuire base a mile away. John and Judith are used to the comings and goings of the Super Hercules and AWACS, but they don't remember, in the thirty years they have lived here, that the base has hosted a single civilian aircraft.

Witnesses, including a member of the armed forces, confirmed

Early Friday evening, An Air France Boeing Was forced to land At Air Force Base In New Jersey.

that it was a Boeing 777 flying under the Air France flag. More than two hundred civilians were landed and installed in a large building set up for this purpose. The Boeing was then parked in a hangar, not without several shots being taken before his operation. Some, posted on social networks, quickly became inaccessible.

Andrew Wiley, spokesman for the Air Force, denies any withholding of information, but the McGuire base is now completely sealed off, under the supervision of soldiers from the 80th Infantry Brigade Combat Team, who arrived on the scene during the night of Friday 25 to Saturday 27. Any visit is prohibited to any unauthorized personnel. For its part, the airline Air France, through its communications director François Bertrand, claims "not to be aware" of the disappearance of one of its aircraft.

Saving the Amazon Rainforest At the Center Of Discussions Between Brazil And the United States

By IAN BERTI

Washington, DC. Brazil and the United States are "on the same wavelength" regarding the new fires in the Amazon, Brazilian Foreign Minister Ernesto Araujo said Friday after a meeting with Donald Trump at the White House. Jair Bolsonaro, for his part, said Friday that Europe has "no lesson to give" to Brazil on the fires raging in the rainforest.

The head of Brazilian diplomacy, Ernesto Araujo, and Eduardo Bolsonaro, the deputy son of the president and ambassador to Washington, went to the White House in search of support as Brazil has been under intense international pressure for a week. The two men spoke for about 30 minutes with the American president.

Ernesto Araujo welcomed the fact that the U.S. president is receiving officials without the rank of president or head of state. According to the Brazilian minister, "governments share the view that countries are sovereign over their territory" and that fires in the world's largest rainforest should not be "a pretext to promote the idea of an international committee to manage the Amazon.

The American president had congratulated Jair Bolsonaro on Saturday, considering that "he was working very hard" in the fight against the new fires in Amazonia, totally taking the opposite view from the other members of the G7. He expressed the "full support" of the United States to Brazil.

Jair Bolsonaro also announced in the evening on Twitter that he had had a "productive" telephone conversation with German Chancelle

*

Sobota, 26 czerwca 2021, 23 : 00
McGuire Air Force Base

Generał Silveria odkłada pilota na stół, a artykuł z „New York Timesa” nadal pozostaje widoczny na ekranie.

– Artykuł zostanie wrzucony do sieci za godzinę. Proszę mnie nie pytać, jak NSA tego dokonała, ale otrzymaliśmy go jako pierwsi. Minęły zaledwie dwa dni. Trudno było się spodziewać, że zniknięcie dużego boeinga i jego ponad dwustu pasażerów długo pozostanie niezauważone.

– Pogłoski bardzo szybko zaczynają krążyć w sieci. Na razie pojawiło się pięćset wpisów, ale liczba ta szybko rośnie – zauważa Brian Mitnick. – Po uzgodnieniu z Air France zniszczyliśmy w systemie rezerwacji oryginalną listę pasażerów lotu z dziesiątego marca, zastępując ją listą fikcyjną. Obecnie zmieniamy dane w większości internetowych porównywarek lotów. Niszczymy wszystkie ślady. Nawet jeśli na razie nie krążą żadne informacje dotyczące pasażerów naszego lotu, wciąż można znaleźć te dotyczące aresztowań na terytorium kraju.

– Technicznie rzecz biorąc, nie są to aresztowania, tylko „zatrzymania ze względów bezpieczeństwa narodowego” – poprawia Silveria.

– A tak swoją drogą, dokąd ci ludzie są przewożeni? – pyta Adrian.

– FBI i NSA przywożą ich tutaj ciemnymi dyskretnymi furgonetkami – rzuca generał zirytowanym tonem. – Jamy, Mitnick, pozwolę sobie zauważyć, że nie jest to zbyt sprytne rozwiązanie ze strony waszych agencji.

– Za pańskim pozwoleniem, panie generale, chciałbym coś dodać – odpowiada facet z NSA. – Zgromadzenie tych ludzi w jednym miejscu, w holu H, też nie było zbyt przemyślane. Niektórzy pasażerowie rozpoznali towarzyszy podróży. Teraz już wiedzą, że w marcu lecieli razem tym samym samolotem Air France… Wyobrażają sobie najgorsze, że to jakiś wirus, że jest wśród nich terrorysta.

– FBI przekazała sprawę grupie psychologów – mówi Jamy Pudlowski – zanim dojdzie do konfrontacji. Trzeba tych ludzi przygotować do spotkania z ich… sobowtórami.

– Jasne – wzdycha Silveria. – Nie możemy rozstrzelać dwustu czterdziestu trzech osób przebywających w hangarze. A szkoda, w pełni się z panem zgadzam, Mitnick, ale tak już jest.

Człowiek z NSA krzywi się i mówi dalej:

– CNN, CBS i Fox wysłały całe zastępy dziennikarzy z wozami transmisyjnymi, kanapkami i gorącą kawą. Dodam, że Elaine Quijano zaprosiła do studia CBS Evening News rabina i pastora jako gości na

zakończenie wieczornego dziennika. Ujawnili oni, że Biały Dom zgromadził przedstawicieli różnych religii, aby rozmawiać o „naturze duszy”, oraz że należy się spodziewać jakiegoś ważnego oświadczenia.

– To na pewno ten liberalny rabin – krzywi się Jamy Pudlowski. – Nie umiał się pohamować. Facet uwielbia studia telewizyjne. Ale to jeszcze nie wszystko. Mimo naszych próśb o absolutną dyskrecję NBC podała nie tylko, że wielu znanych naukowców zniknęło, ale również że znajdują się w tej chwili właśnie tutaj…

– Dziennikarz ma dwóch wrogów: cenzurę i informację – stwierdza sentencjonalnie Mitnick. – To dopiero początek…

– To nie jest początek, tylko koniec – przerywa mu Silveria. – Konfrontacje między pasażerami lotu marcowego i czerwcowego rozpoczną się, kiedy tylko będzie to możliwe. A jutro wieczorem, w niedzielę, najpóźniej w poniedziałek rano armia przekaże tych wszystkich ludzi w ręce FBI. Ma pani z tym jakiś problem, Jamy?

– Żadnego, panie generale. Nie znam problemów, które potrafią stawić opór brakowi rozwiązania.

III

Pieśń nicości

(po 26 czerwca 2021)

> Żaden autor nie pisze książki czytelnika, żaden czytelnik nie czyta książki autora. Co najwyżej ich punktem wspólnym może być ostatnia kropka.
>
> Victør Miesel, *Anomalia*

Bliskie spotkanie drugiego stopnia

Niedziela, 27 czerwca 2021
rue La Fayette, Paryż

Lekkie uszczypnięcie w policzek i Blake budzi się na krześle z zimnej stali, skrępowany, zakneblowany i nagi. Robota profesjonalisty: choć nie jest związany bardzo mocno, nie może ruszyć nawet palcem. Rozpoznaje surowe i funkcjonalne wnętrze, jest u siebie przy rue La Fayette. Rozpoznaje nawet, czym go związano: to bardzo wytrzymała płócienna taśma, którą kupił w kwietniu. Ledwo pamięta, jak wchodząc do mieszkania, poczuł ostre ukłucie na karku, po czym natychmiast stracił przytomność.

Ten pokój był kiedyś sypialnią: nadal stoi tu wąskie łóżko, a z pokoju jest wejście do łazienki z dużą emaliowaną wanną. Prezentowało się to całkiem designersko, choć zostało tak zaprojektowane ze względów czysto praktycznych. Nie może obrócić głowy, ale i bez tego jest w stanie zrozumieć, że cały pokój został wyłożony folią. Blake March – możemy go tak nazwać – zdaje sobie sprawę, co to oznacza. Na prawo od siebie widzi kilkadziesiąt błyszczących narzędzi chirurgicznych, jakich nie powstydziłby się sam Dexter: skalpele, lancety, noże, piły elektryczne, nożyczki, pilniki. Rozpoznaje je wszystkie. Niektóre nigdy nie były w użyciu, jak na przykład wiertło czaszkowe, które kiedyś sprawdził na kościach tukowych. Nie czuje przerażenia, ale to pewnie uspokajający skutek uboczny midazolamu, który mu wstrzyknięto.

Mija kilka długich sekund, zanim rozpozna człowieka w kombinezonie, który stoi naprzeciwko niego i zza przyłbicy obserwuje, jak on się budzi. Oczy Blake’a Marcha rozszerzają się z osłupienia. Osłupienie to zbyt słabe słowo.

Dwaj mężczyźni długo na siebie patrzą. Blake June przygląda się swojemu więźniowi. Od trzech dni zastanawia się, rozmyśla i nie znajduje wyjaśnienia. Poczucie absurdu nie wyklucza jednak zmysłu praktycznego,

zastawił więc pułapkę. Nie było innego wyjścia. Mucha nigdy nie umawia się z pająkiem na randkę.

Blake March nagle zaczyna się szarpać, stękać, jęczeć, próbuje coś powiedzieć zza plastra na ustach, ale Blake June nie zdejmuje knebla, tylko cichym głosem mówi mu do ucha:

– Nie będę wygłaszał przemówień. Nie rozumiesz, co się dzieje, ja też nie. To bez znaczenia. Ja jestem tobą, a ty jesteś mną. Trochę za dużo, nie może być nas dwóch. Chyba rozumiesz. – Blake June bierze ołówek i notatnik. Siada przed włączonym komputerem. – Wszystkie hasła do moich kont bankowych zostały zmienione. Oczywiście przez ciebie, bo robię to co trzy miesiące. Znasz metodę zapamiętywania kodów. Kiwnij głową na „tak”.

Blake March posłusznie kiwa głową. Myśli kłębią mu się pod czaszką, zastanawia się, czy to wszystko mu się nie śni, czy to nie jest jakiś niewiarygodnie realistyczny sen.

– Wejdę teraz na twoich oczach na swoje konta bankowe i będę ci dyktował cyfry i litery, a ty będziesz potwierdzał kiwnięciem głową. Przy pierwszej pomyłce wyrwę ci paznokieć, przy drugiej zmiażdżę paliczek. Nie wiem, kim jesteś, ale na pewno masz takie same wspomnienia jak ja. Pamiętasz kontrakt z Amiens sprzed dwóch lat? Kiwnij głową na „tak”.

March kiwa głową. Pamięta… Typowa albańska historia, tyle że albo klient nie miał odpowiednich znajomości, albo zbytnio się ich bał. Było to tak koszmarne, że omal nie odmówił wzięcia sprawy. Przewiercone kolana, połamane łokcie, odcięte język i penis, przebite bębenki w uszach i najlepsze na koniec, kwas na źrenicach. Aby oddać drugą połowę siedemdziesięciu tysięcy euro, człowiek nie mógł umrzeć.

June mówi dalej:

– Na moim miejscu zrobiłbyś to samo. Zwłaszcza że jesteś na moim miejscu.

March przygląda mu się, mrużąc oczy. Uśmiech Blake’a June’a nie jest okrutny. Raczej zażenowany. Nie lubił sprawy z Amiens. Co za dużo, to niezdrowo.

– Jeśli nie będzie żadnych pomyłek, a ja odzyskam konta, porozmawiamy o przyszłości, o tym, co jest możliwe do negocjacji między nami. Rozumiesz?

March kiwa głową, a June przypomina sobie zdanie Ala Capone: więcej można osiągnąć, będąc uzbrojonym i uprzejmym niż tylko uprzejmym.

– No dobrze, zaczynamy. Pierwszy bank. First Caribbean Investment Trust.

March kiwa głową. Zamyka oczy, koncentruje się, myśląc o sześciu różowych flamingach lecących nocą nad Alpami.

– Pierwszy znak. Litera? OK. Mała? Wielka. Przed L? Nie. Przed T? Okej. L, M, N, O, P… P? Znakomicie. – Blake zapisuje P. – Drugi znak. Litera? Mała? Nie. Cyfra. Tak. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć.

Ponowne kiwnięcie głową.

– Sześć. Tak?

Kiwnięcie głową. Po P Blake zapisuje 6.

Kwadrans później Blake June ma wszystkie hasła do kont, które znowu zmienia, ciągle według tej samej metody. Do każdego z trzech rachunków jedno łatwe do zapisania zdanie. W przypadku First Caribbean Investment Trust było to „Popatrz, sześć różowych ptaków!”. Wiele to nie znaczy, ale można zapisać jako „P6rp!” i wystarczy zapamiętać sześć różowych flamingów. Następny jest Latvijas International Bank: „Lecą po czarnym niebie z Wenecji do Paryża”. „LpcnzWdP”. I tak dalej.

Poznał również nowe identyfikatory i hasła do swojego profilu w darknecie, a nawet aktualny kod do komórki. Przeczytał otrzymane wiadomości, zobaczył w kalendarzu, że kilka razy on, czyli „Jo”, był na kolacji z niejakim Timothée, o którym na razie nic nie wie. Lecz June’a nie ciekawi to na tyle, by zdjąć plaster z ust Marcha. Nie obawia się, że ten mógłby zacząć wołać o pomoc, bo obaj dobrze wiedzą, że pokój jest dźwiękoszczelny od podłogi po sufit. Po prostu nie chce, by coś zasiało w nim najmniejszą wątpliwość, nie chce się wahać.

Kiedy March widzi, że June wstaje, nie potrzebuje wyjaśnień. Oczywiście, że zrobiłby to samo. Zamyka oczy, pragnąc tylko, żeby sprawa poszła szybko. June bez pośpiechu przechodzi za jego plecy i wstrzykuje mu w kark dawkę propofolu, po której March od razu traci przytomność. Żadnego zbędnego cierpienia, Blake nie żywi do siebie aż takiej nienawiści. Minutę później zastrzyk z kurary powoduje zatrzymanie akcji serca Marcha. Już Homer mawiał, że śmierć i sen to bracia bliźniacy.

Blake – teraz już bez żadnej dwuznaczności – przecina płócienną taśmę, podtrzymując trupa, by nie spadł na podłogę. Starannie składa ubrania, ostatecznie to jego rozmiar, wkłada ciało do wanny nogami do góry i głową do dołu, odkręca prysznic, przecina Marchowi gardło i pozwala mu się wykrwawić. Wkłada jego palce do kwasu, by zniszczyć odciski. Po czym

starannie, przy użyciu elektrycznej piły do kości, tnie ciało na kawałki, starając się nie zostawić ani jednego członka, takiego jak dłoń lub stopa, pozwalającego na identyfikację. Trochę brak mu doświadczenia.
Na plecach, na własnych plecach dostrzega pieprzyk o nieregularnym konturze, którego nigdy nie zauważył. Trzeba się pilnować. Odcinając penisa, własnego penisa, nie może się powstrzymać przed dreszczem obrzydzenia. W trzy godziny napełnił sto hermetycznych toreb do zamrażania. Zostaje tylko głowa.

Cholera. Plaster.

Blake omal nie zapomniał. Czy to kucyk go kopnął? Poczeka, aż Flora mu przypomni. Odkleja plaster na czole Marcha, rana już jest zabliźniona. Skalpelem nacina własną skórę, tak żeby przyszła blizna wyglądała wiarygodnie, dezynfekuje ranę i przykleja sobie plaster na czole. Po czym zanurza głowę Marcha w kwasie, który nalał do miski: skóra oddziela się od kości, wydzielając obłok oparów kwasu azotowego.

Jest dziewiętnasta. Blake skończy jutro. Czyści łazienkę, zwija tylko trochę zachlapane płachty folii i starannie je składa. Zbędna ostrożność: ostatecznie jeśli kiedykolwiek odkryją tę krew w jego mieszkaniu, będzie to jego własna krew. Układa torby w wannie. Ich objętość jest mniejsza, niż się spodziewał. Osiem walizeczek, dwa kursy.

Z telefonu na kartę wysyła esemesa do tajnego odbiorcy: „Osiem płacht, Total Clignancourt”. Odpowiedź przychodzi natychmiast: „OK. W środę o piętnastej”. Dzień −2, godzina −2: Francis będzie na niego czekać jutro, w poniedziałek, o trzynastej, ze swoją terenówką na stacji metra przy Porte de Clignancourt.

Blake wychodzi, zamykając drzwi na klucz. Wie, że Quentin i Mathilde trochę urośli, od kiedy ich widział. Życie po śmierci istnieje, zwłaszcza po śmierci innych ludzi.

*

Poniedziałek, 28 czerwca 2021, 21 : 55

Pałac Elizejski, Paryż

– Wszystko gotowe, Emmanuelu. Zostało pięć minut. Mamy wszystkie kanały informacyjne, live na Facebooku i na YouTubie. Wchodzimy

z minutą opóźnienia, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Prezydent uśmiecha się do swojej szefowej do spraw komunikacji.

– A w Waszyngtonie? Mowy nie ma, żeby ten facet ukradł mi show.

– Wejdzie na antenę po nas, na razie powtarza jeszcze swoje przemówienie.

– On się uczy swoich przemówień na pamięć? Wydawało mi się, że improwizuje. A Putin? Xi Jinping?

– Nie wiem.

– Panie prezydencie? – rozlega się męski głos.

Głowa państwa obraca się w stronę wicedyrektora kontrwywiadu, niedużego łysego człowieczka, który z niepokojem spogląda na swoją komórkę.

– To był Mélois? Kiedy wraca ze Stanów?

– To nie on, panie prezydencie – odpowiada wicedyrektor. – Samolot rządowy wystartował z bazy McGuire. Ale otrzymałem pewną informację.

– Tylko krótko, Grimal.

– Dziesięć dni temu służba utrzymania ruchu Airbusa zauważyła coś dziwnego. Podczas przeglądu innego airbusa należącego do China Airlines w Dubaju mechanicy zobaczyli część skrzydła mającą ten sam numer seryjny co w samolocie latającym na chińskich liniach wewnętrznych na trasie Pekin–Shenzhen. A jest to absolutnie niemożliwe. Początkowo producent podejrzewał, że to jakaś piracka kopia. Lecz w kwietniu na trasie Pekin–Shenzhen nasze satelity zarejestrowały pewną anomalię: nieznana maszyna została przekierowana do bazy wojskowej Huiyang. Według służb u Chińczyków również pojawił się samolot będący, jakby to powiedzieć, duplikatem… Rozłożyli go na części, które oddali do recyklingu.

– A pasażerowie? Załoga?

– Niczego więcej nie wiemy.

– Amerykanie nas nie powiadomili?

– Nie ma śladów, by cokolwiek o tym wiedzieli.

Obaj mężczyźni milkną, a tymczasem podchodzi do nich dyrektorka do spraw komunikacji.

– Emmanuelu? Dwadzieścia sekund.

Prezydent siada, makijażystka pudruje jego lekko błyszczące czoło.

– Dziesięć… – Dyrektorka w milczeniu kontynuuje odliczanie.

Prezydent kieruje wzrok na kamerę, przed sobą ma prompter.

– Francuzi i Francuzki, drodzy rodacy! Zwracam się do was o tak późnej porze, podobnie jak w tej chwili zwracają się do swoich narodów prezydent Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie, niemiecka kanclerz w Berlinie, prezydent Rosji w Moskwie i wielu innych przywódców na świecie. W czwartek miało miejsce dziwne zdarzenie. Pogłoski krążące w mediach społecznościowych i w prasie są częściowo zgodne z prawdą. Fakty są następujące: w czwartek na niebie przy wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych pojawił się samolot… – Prezydent Francji mówi i mówi, zanim – rzadkie zjawisko – po pięciu minutach zdecyduje się oddać głos swojemu doradcy naukowemu.

Aby nie przydawać większej ekscentryczności temu, co i tak niezrozumiałe, matematyk okiełznał swą aparycję szalonego naukowca: purpurowy fular zamienił na wąską apaszkę z beżowego jedwabiu, choć nie zrezygnował ze srebrnego pająka przypiętego do klapy marynarki. Przedstawia najróżniejsze hipotezy, dla większej jasności na ekranie pojawia się stosowna animacja, w końcu odsyła widzów do strony internetowej Pałacu, gdzie mogą znaleźć bardziej szczegółowe wyjaśnienia i wziąć udział w czacie online.

U Blake’a, zapewne tak samo jak w całej Francji, zapada cisza. Flora wykrzykuje, To jakiś obłęd! Kompletny obłęd!

Jo siedzi w milczeniu, lecz Flora nie oczekiwała żadnych komentarzy. Prezydent dziękuje doradcy i ponownie zabiera głos.

– Drodzy rodacy, w sierpniu czterdziestego piątego, po wybuchu w Hiroszimie, kiedy świat wszedł w erę nuklearną przynoszącą strach przed unicestwieniem, Albert Camus napisał: „Oto nowa udręka i wszystko wskazuje na to, że będzie ona definitywna. Bez wątpienia daje się ludzkości jej ostatnią szansę. Może to zresztą tylko pretekst do wydań nadzwyczajnych. Byłoby jednak właściwsze, by sprawa stała się przedmiotem kilku refleksji i wielkiego milczenia”. Ten piękny tekst powinien być dla nas źródłem inspiracji. Dlatego właśnie, Francuzi i Francuzki, podobnie jak dramat zeszłego roku, jak wielomiesięczna kwarantanna, do której zmusiła nas pandemia, najbliższe dni i tygodnie powinny być czasem namysłu, ale również poszukiwania spokoju. Naukowcy będą chcieli to zjawisko zinterpretować, zrozumieć i wytłumaczyć, gdyż taka jest ich rola, ale prawdziwe odpowiedzi każdy odnajdzie w sobie i tylko w sobie. Dziękuję państwu za uwagę. Niech żyje Republika, niech żyje Francja.

– To obłęd – powtarza Flora. – Wyobrażasz sobie, Jo, że mógłbyś zostać zduplikowany?

Mężczyzna patrzy na kobietę

Poniedziałek, 28 czerwca 2021
hangar B, McGuire Air Force Base

– Pan Vannier? – Jamy Pudlowski ponownie zwraca się do architekta, który stoi przed lustrem weneckim w sali dowodzenia.

Za nimi na platformie ustawiono dziesiątki bloków, prostopadłościanów ze stali i barwionego szkła, o małych przeszklonych drzwiach. Kilka metrów od nich kłębi się niewielki tłum, panuje zamieszanie i harmider.

– Panie Vannier, czy rozumie pan sytuację?

– Na tyle, na ile to możliwe, rozumiem.

– Czy pokazano panu wideo z obrazami z kamer w obu samolotach? Chwilę, kiedy nastąpiła dywergencja? Krótką animację nakręconą przez NSA, przedstawiającą możliwe hipotezy? Czy wyjaśniono panu obecność pańskiego sobowtóra w tym hangarze? Razem z dwustu czterdziestoma dwoma innymi sobowtórami, gwoli ścisłości.

W odpowiedzi André Vannier kładzie dłonie na balustradzie i spogląda na tłum w dole. Wyobrażał sobie, że od razu dostrzeże „siebie” wśród pozostałych osób, ale bezskutecznie szuka własnej sylwetki. Obawia się wręcz, że już siebie zobaczył, ale nie rozpoznał.

– Proszę za mną – mówi Jamy Pudlowski.

Prowadzi go do jednego z bloków, na którego skromne wyposażenie składają się owalny stół, cztery krzesła, kamera i wiszący na ścianie ekran. Przezroczyste panele oraz burgund i ochra na ścianach odbierają więzienny charakter miejscu, które w sumie nie jest niczym innym jak obszerną celą. Siadają, a Jamy bez pośpiechu klika na tablecie.

– Z tego, co widzę, pańska pracownia architektoniczna Vannier & Edelman startowała w konkursie na nową siedzibę FBI w Waszyngtonie. Szkoda, że z braku środków projekt został zarzucony.

– Faktycznie wzięliśmy udział w tym konkursie. Wszystko pani wie.

– Niestety nie. Nie wiedzieliśmy na przykład, że pan zna dyrektora francuskiego kontrwywiadu. Mając takie znajomości, nigdy by pan nie wygrał tego konkursu… Francja jest naszym sprzymierzeńcem, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Ważny jest sam udział – wzdycha Vannier. – Mélois i ja studiowaliśmy na tej samej uczelni, potem ja wybrałem architekturę, a on dyplomację.

Pudlowski przesuwa palec i na ekranie pojawia się ogólny widok sali.

– Filmujemy nielegalnie – stwierdza przepraszającym tonem – ale okoliczności są wyjątkowe.

Vannier patrzy na stojącą pośrodku pomieszczenia kamerę i rozumie, że wszystko jest rejestrowane. Pudlowski zażenowana kręci głową i woli mówić dalej:

– Kamery wysokiej rozdzielczości, mikrofony kierunkowe. NSA rozmieściła ich… niemało. Członkowie załogi i pasażerowie mogą wstawać i się przemieszczać, kamery są przypisane do poszczególnych osób i automatycznie je śledzą. – Jeszcze przez chwilę stuka w tablet i pojawia się obraz drugiego Andrégo, June'a.

Kolejne kliknięcie i ekran dzieli się na dwa, na drugiej połowie ukazuje się Lucie. Vannier patrzy w osłupieniu. Wiedzieć to jedno, ale przeżywać to drugie.

Lucie i „on" siedzą przy stole i rozmawiają. Ostatnie kliknięcie Pudlowski i teraz ich słyszymy, a tłumaczony symultanicznie dialog pojawia się na ekranie po angielsku. „Może kawy?", pyta André June, krzywiąc się. *A sea of coffee?* brzmi idiotyczny napis. „Morze" zamiast „Może", system nie jest jeszcze całkiem dopracowany, pociesza się w myślach André March.

– Opuszczę pana na chwilę, panie Vannier – mówi kobieta z FBI, po czym wstaje i zostawia go samego przed ekranem.

Olśniony i przerażony patrzy na tego drugiego Andrégo, na jego zmarszczki, oczy szare jak mleczne szafiry, zwiędłe policzki porośnięte siwą brodą, rzadkie włosy. Co rano André goli się przed lustrem, ale w końcu on i jego odbicie do siebie przywykli. Kamera jest bezlitosna, wysoka rozdzielczość pozbawiona życzliwości, a ujęciu brakuje taktu: na ekranie widać starego człowieka. Zużytego, pozbawionego wdzięku, zmęczonego. Szuka w tej twarzy oznak wiecznej młodości, którą według własnego mniemania ucieleśnia, ale ich nie znajduje. Wiek jest wszędzie, jak skorupa z błota. Ma nabrzmiałą twarz i jest gruby. Powinien się

odchudzić. Starość to nie tylko kochać kiedyś Stonesów, a z czasem przelać swoją sympatię na Beatlesów.

Obok tamtego mężczyzny siedzi anioł. Światło jest dla niego nadzwyczaj łaskawe. To Lucie z początku marca, Lucie wciąż długowłosa, o łagodnym spojrzeniu, Lucie jeszcze do niego należąca, której nie zdążył odstraszyć. Kiedy tamten bierze Lucie za rękę, on nie czuje zazdrości, jest zafascynowany. Patrzy, jak dawny André wstaje, idzie w kierunku automatów z kawą i instynktownie, uważając, że tamten jest zgarbiony i ociężały, prostuje się i zaciska pięści aż do bólu.

W tym oplecionym kamerami pomieszczeniu, w którym NSA może go obserwować – ale jest mu wszystko jedno – André myśli tylko o Lucie i o tamtym sobie, na pewno nie o jakichkolwiek sprawach praktycznych. Ani sekundy nie poświęca pracowni Vannier & Edelman, która przecież nie może zostać przemianowana na Vannier, Vannier & Edelman, ani o swojej córce Jeanne, która ma teraz dwóch ojców, zapewne o dwóch za dużo, ale to na pewno okaże się kiedyś korzystne, nie myśli o paryskim mieszkaniu, które będzie musiał dzielić, ani o domu w departamencie Drôme…

Nie, jeszcze o tym wszystkim nie myśli. Zatraca się w katastrofie, którą widać na ekranie. Chciałby oderwać od niej wzrok, lecz to jest jak trąba powietrzna. W tym ciasnym pomieszczeniu olbrzymi ciężar uciska mu klatkę piersiową, brakuje mu powietrza. Ci ludzie nie są żadną parą, to stary, zalękniony i nadskakujący człowiek, który dygocze z miłości do tej zdystansowanej młodej kobiety. Tamten André nadal jest pod wpływem pierwszego zauroczenia, rezerwę Lucie bierze za ostrożność, a jej chłód za wyraz mądrości. Lecz André March rozumie, że zawsze obawiał się ją wystraszyć, bał się, że ta cudowna jaskółka, która zgodziła się latać w towarzystwie starego kruka, w końcu od niego ucieknie. Cholera jasna, prawdziwa miłość nie powinna być kłębkiem lęku w sercu. Nigdy nie był przy niej pogodny, a jego niepokój zwiastował ich porażkę.

André, ten z hangaru, wraca, niosąc dwie kawy i uśmiecha się uśmiechem nieszczęśnika, lecz Lucie nie podnosi wzroku znad książki. Drugi André, siedzący przed ekranem, zna na pamięć ten dystans, tę jej nieobecność. No spójrz wreszcie na niego, zostaw, do diabła, tego cholernego Gary’ego w wydaniu La Pléiade i popatrz swoimi pięknymi oczami na tego wysokiego faceta o nieco antycznej urodzie, poświęć mu trochę uwagi. Cóż, nic z tego. Nie każdy ma szansę przyglądać się z daleka

własnemu upadkowi, litować się nad sobą, a jednocześnie się nad samym sobą nie użalać.

Jego usta wykrzywiają się w bolesnym grymasie. W sumie żal mu tamtego Andrégo z przeszłości. Wie, ile poniżenia i frustracji jeszcze go czeka. Wiek nigdy nie miał tu nic do rzeczy. Po prostu nie wolno kochać kogoś, kto kocha zbyt słabo. Dlaczego wszystko musi być tak skomplikowane?

Siedząc przed ekranem, André March oddala się od Lucie jak suchy liść odpadający od drzewa czy raczej jak drzewo porzucające suchy liść. Dziesięć okrutnych minut bacznej obserwacji jest warte dziesięciu miesięcy bolesnej żałoby. Tkwiąc na platformie, André, który nienawidzi siebie za to, że wciąż ją kocha, cieszy się, że kocha ją mniej.

W tłumie widać jakieś poruszenie. Kilku agentów po cywilnemu weszło do hangaru, więc każdy się do nich ciśnie i zarzuca ich pytaniami. Jeden z nich podchodzi do Vanniera i mówi mu coś do ucha. Tamten patrzy na niego nierozumiejącym wzrokiem i ściska dłoń Lucie, która się do niego uśmiecha. Po czym architekt wychodzi za facetem z Biura.

W przeszklonej sali pozbawiony złudzeń André przygląda się Andrému zmęczonemu, który się oddala. Dostrzega siedzącego na końcu stołu niedużego szczupłego bruneta, czterdziestolatka bez grama wdzięku, który maczkiem zapisuje coś w czarnym notesie, od czasu do czasu popatrując ukradkiem na Lucie. André March rozpoznaje w jego wzroku to szczególne zagubienie, skutek chwiejności wywołanej pożądaniem. Kolejny motyl zaplątany w sieć, niewinnie tkaną przez Lucie. Nagle André rozpoznaje faceta i popada w osłupienie. Victor Miesel. Przecież ten gość uchodzi za zmarłego! A więc on też leciał tamtym samolotem?

Zaraz, co on takiego napisał? Nadzieja to schody do szczęścia, a jego spełnienie to przedpokój nieszczęścia, czy coś w tym rodzaju. A więc Victor Miesel stoi na owych schodach z nadzieją, że przyciągnie uwagę Lucie. Może nawet zdanie to przyszło mu do głowy właśnie na myśl o Lucie? Victor wstaje i idzie w stronę automatu z kawą – skąd u nich wszystkich taka miłość do tej obrzydliwej cieczy – oddalając się od Lucie, która nawet nie obdarzyła go spojrzeniem. André ma sobie za złe, że czuje ulgę. Złość pozwala mu jednak dostrzec pogłębiającą się przepaść.

– Panie Vannier?

André wzdryga się i odwraca, Jamy Pudlowski stoi oparta plecami o drzwi. Od jak dawna go obserwuje? Obok niej stoi wysoki zgarbiony

facet koło pięćdziesiątki, jakby zakłopotany swoją niezgrabną posturą, typową dla tych, którym zbyt duże ciało zawadza. Mężczyzna podchodzi i już z daleka wyciąga do niego rękę.

– Jacques Liévin z konsulatu. Attaché handlowy.

Głos jest matowy, gest niepewny. André się uśmiecha: Liévin jest tak spocony ze strachu, że równie dobrze mógłby zrobić znak krzyża lub owinąć szyję wiankiem czosnku. Architekt rozumie, że facet przed chwilą rozmawiał z drugim Andrém, tym z samolotu, który musiał mu się wydać jakimś monstrum.

– Co za historia, nieprawdaż, panie attaché handlowy? – pyta żartobliwie André. – Czy pańskim zdaniem ja jestem oryginałem czy kopią?

– Ja… Za kilka minut w bazie McGuire wyląduje francuski samolot wojskowy. Francja przysyła kilkunastu… agentów, wśród których jest pan Mélois z kontrwywiadu we własnej osobie. Wszyscy Francuzi mają wrócić wraz z nim do kraju. Prosił, bym pana w jego imieniu pozdrowił.

– Znaczy nas, mnie i mnie?

– Czy jest pan gotów, panie Vannier? – przerywa Pudlowski, której ta zabawa wcale nie bawi. – Możemy teraz zorganizować spotkanie z pańskim „duplikatem”.

– Będę nalegać, byście zostawili nas samych. To prywatna rozmowa, nawet jeśli będzie się toczyć między mną a mną…

– Pański… Ten drugi prosił o to samo. Jest pan pierwszym Francuzem, który zostanie… skonfrontowany, a ja dostałem z ministerstwa wytyczne, by przez cały czas wam towarzyszyć – mówi z żalem Liévin. – Mam złożyć sprawozdanie…

– Sprawozdanie, w którym zda pan sprawę ze stanu naszych spraw, tak? – pyta drwiąco Vannier. Architekt wskazuje na kamery.

Kobieta z FBI jednym ruchem wyłącza zielone lampki kontrolne. Przynajmniej lampki zgasły, myśli André. Zauważa, że facet z konsulatu spogląda ukradkiem na kogoś po lewej: za przeszkloną ścianą stoi drugi André, zdezorientowany, po chwili gwałtownym ruchem otwiera drzwi i wchodzi.

Długo stoją bez słowa naprzeciwko siebie. Unikają nawzajem swojego wzroku. Sytuacja jest kłopotliwa: żaden z nich nie wygląda jak André z lustra. Nic nie jest swojskie, odwrócenie rysów twarzy czyni tego drugiego obcym, wręcz wrogim. Jeden z nich chce coś powiedzieć, ale ten drugi powstrzymuje go gestem. André March odwraca się w stronę Liévina

i Pudlowski, którzy wyglądają na skrępowanych. Pudlowski daje głową znak. Liévin z widoczną ulgą wychodzi z pomieszczenia. Drzwi się zamykają, a oni tylko na siebie patrzą. Oryginalność ubioru nigdy nie była mocną stroną Andrégo: obaj mają na sobie takie same dżinsy, jedne tylko trochę bardziej wytarte od drugich, taką samą szarą bluzę z kapturem, znoszoną i wygodną, w sam raz na długie podróże, takie same czarne solidne trampki. Nie, jednak nie takie same, stwierdza André June. Obaj André wciąż milczą. Nie mogą jednak długo wytrzymać tej ciszy. Przysłowie indyjskie mówi, że ci, którzy żebrzą w milczeniu, w milczeniu umierają z głodu.

– Nowe buty?

– Kupiłem dwa tygodnie temu.

Obaj są zaskoczeni swoim głosem. Wyższym i twardszym, niż każdy z nich sądził. Zawsze słyszeli siebie „od wewnątrz”. Podczas prelekcji lub wywiadów mówili wolniej, niższym głosem, pilnując się, by wyraźnie artykułować. Dopiero teraz odkrywają, jak brzmi ich prawdziwy głos.

– Jeanne? – pyta po chwili André June.

– Wszystko u niej w porządku. Oczywiście o niczym jeszcze nie wie.

– A Lucie? Lucie i ja?

– Rozstaliśmy się. – André March bierze się w garść: można kłamać, ale po co okłamywać samego siebie? Mówi dalej: – Rzuciła mnie. Zbyt mało pożądania z jej strony, zbyt wiele frustracji z mojej. Zapewne za wiele oczekiwań i za mało cierpliwości. Przeczuwałeś to, prawda?

– Przezorny zawsze ubezpieczony.

Przez chwilę, tylko przez chwilę w głowie Andrégo Marcha gości myśl, aby spróbować odzyskać Lucie z przeszłości, Lucie z marca, która jeszcze go nie porzuciła. Lecz na jego twarzy pojawia się grymas, który przechodzi w uśmiech. Spodobał się tej kobiecie, chociaż był mniej młody i mniej przystojny niż wszyscy ci, którzy się za nią uganiali, lecz nigdy nie rozumiał, na czym polegają jego atuty. Rywalizacja z samym sobą byłaby czymś nowym. Zresztą… od jednego Andrégo dzieli ją trzydzieści lat różnicy, ale dwóch to już prawdziwy dom starców. Ona musi od tego uciec, to oczywiste. Powinien życzyć szczęścia Andrému June’owi. Dodaje:

– Mam tylko jedną radę: bądź łagodny i troskliwy, ale próbuj udawać obojętność. I nie pragnij jej zbyt mocno. Już to zrozumiałeś, ale nie przyjąłeś do wiadomości. Pamiętam.

Tak rzadko ma się okazję wspierać samego siebie.

André June chciałby się czuć lekko, ale ma ściśnięty żołądek. Za godzinę spotka się z Lucie, jak ma jej wyznać, że ich los jest przesądzony? Lub jak to przed nią ukryć?

– A pracownia? – pyta André June, którego sam temat wprawia w zakłopotanie.

– Mieliśmy problem z betonem na budowie Sūryayā Tower. Ale sprawa jest już załatwiona. Jak pamiętasz, kilka miesięcy temu myślałem, żeby przejść na pół etatu, może nawet na emeryturę. Mam już trochę dość, sam przecież wiesz.

André March daje znak stojącemu za szybą attaché handlowemu, który udawał, że się wpatruje w metalową podłogę, ale natychmiast zauważa jego gest i wchodzi.

– Mówił mi pan, że Francja może jednemu z nas zaoferować nową tożsamość, prawda?

– Tak. Któremu?

– Mnie – odpowiada André March, po czym zwraca się do June'a: – To ty wrócisz do pracowni. Tak będzie lepiej. Spędziłem tam całe życie, w tym trzy miesiące, kiedy byliśmy razem. Czekanie na nią omal nie doprowadziło mnie do obłędu. Ponieważ, co szybko zrozumiesz, Lucie dużo pracuje. Musisz mieć jakieś zajęcie. Powiem ci, co się ostatnio działo na naszych budowach. A ja wyjadę do Drôme. Dobrze się tam czuję. Prawdę mówiąc… – March marszczy brwi i obraca się w kierunku attaché handlowego. – Przejdźmy do spraw praktycznych: w jaki sposób rząd załatwia sprawy materialne? Podobno rzecz dotyczy około siedemdziesięciu Francuzów. Przecież nie będą mieszkać razem ani dzielić się oszczędnościami. Można zapewne uznać, że nastąpiła jakaś… katastrofa naturalna? Wykorzystać… ubezpieczenia? Może do tekstów polis można wprowadzić pojęcie katastrofy wirtualnej. A co będzie, jeśli postanowię przejść na emeryturę? Czy odbiorę świadczenie emerytalne swojemu… duplikatowi? Biorąc pod uwagę hojność systemów emerytur dodatkowych, wątpię, żeby zechcieli podwoić wpłacone przeze mnie składki! Chyba że rząd zechce dopłacić.

Faceta z konsulatu sytuacja najwyraźniej przerasta. Patrzy na swoją komórkę niczym na deskę ratunkową.

– Właśnie mnie informują, że za minutę przybędzie pan Mélois.

– Na pewno uwielbia tego rodzaju problemy – śmieje się André June.

– Słuchaj, tamta chałupa, nad którą się zastanawiałem, stary budynek pocztowy w Montjoux, jest nadal na sprzedaż – mówi André March. – Kupię ją niezależnie od tego, czy uda się rozegrać pomysł „katastrofy wirtualnej”. Nasze domy będą stać w odległości dziesięciu kilometrów. Przyjaciele, którzy przyjeżdżali do nas na wakacje, będą się mogli podzielić, jedni u ciebie, drudzy u mnie. Przekonamy się, którego z nas wolą.

Świat Sophii

Poniedziałek, 28 czerwca 2021

Clyde Tolson Resort, aneks FBI, Nowy Jork

Wysoki, bardzo szczupły blondyn o niebieskich oczach, który świeżo ukończył szkolenie FBI, stoi wyprężony jak struna przed siedzącym na krześle czarnoskórym mężczyzną, czterdziestopięcioletnim, wysportowanym, nieco łysiejącym. Agent specjalny Walker zaledwie rzuca okiem na aspiranta Jonathana Wayne'a.

– Aspirancie Wayne. Jak tam pański staż? Proszę nie odpowiadać. Zgodnie z pańskimi dokumentami pochodzi pan z Alaski.

– Z Juneau, agencie specjalny Walker. Z małego miasteczka na wybrzeżu Pacyf…

– A szkolił się pan w Quantico.

– Tak jest, agencie specjalny Walker.

– Proszę mnie przestać nazywać agentem specjalnym Walkerem. Proszę do mnie mówić Julius…

– Tak jest, Juliusie.

– Może jednak niech pan dalej nazywa mnie agentem specjalnym Walkerem.

– Tak jest, agencie spe…

– Z tego, co widzę, razem z ojcem polował pan na grizzly. Czyli ma pan doświadczenie z dzikimi zwierzętami. Czy pracował pan już w terenie?

– Nie, agencie specjalny Walker.

Julius Walker odkłada teczkę, którą trzymał w rękach. Jest zaniepokojony. Obraca się w stronę starszej agentki Glorii Lopez, która stoi obok niego z kubeczkiem kawy w dłoni.

– Glorio – wzdycha Walker. – Powierzenie mu tego zadania jest nieostrożne.

– Juliusie, to okazja, by sprawdzić jego możliwości w terenie. Zresztą jego partnerką będzie aspirantka Anna Steinbeck. Pracuje od miesiąca

i wszyscy są zadowoleni.

– Dwoje aspirantów razem? Podczas gdy zadanie ma czwarty stopień alarmowy?

– Mamy tyle roboty, że nie dajemy rady.

Agent specjalny Walker obraca się ponownie w stronę stażysty i podaje mu czarną teczkę.

– Aspirancie Wayne, pańska misja polega na złapaniu dzikiego zwierzęcia, nie raniąc go…

Wysoki blondyn rozpina górny guzik koszuli i otwiera szeroko oczy.

– Ale… to jest żaba?

– Ropucha. Nazywa się Betty, popularne imię. Proszę nam ją dostarczyć razem z wiwarium.

– Ja…

– Co pan tu jeszcze robi, aspirancie Wayne?

– Ostatnia sprawa – dodaje Gloria Lopez. – Gdyby ropusze coś groziło, pańskim zadaniem jest oddać za nią życie.

Dwie godziny później aspiranci Wayne i Steinbeck wracają po wykonaniu zadania. Betty jest z nimi. W drodze ropucha oczywiście skorzystała z nagłego hamowania, przy którym drzwiczki wiwarium się uchyliły, by uciec i schować się w najbardziej niedostępnym miejscu, daleko od siedzenia kierowcy, a Anna Steinbeck dostała ataku śmiechu. Musiała zatrzymać się na pasie awaryjnym, a Wayne zgiął się wpół i zanurkował po zwierzątko, starając się go nie rozgnieść – wyczyn, którego dokonał za cenę niezliczonych *F words*.

Specjaliści od nauk kognitywnych jedno z pomieszczeń zamienili w miękką, cichą i kolorową przestrzeń, w której skopiowane dzieci mogą się spotkać i bawić.

Sophia March i Sophia June bawią się, leżąc na podłodze. Dzieci w ich wieku, uznali specjaliści, nie boją się nowości, a Ta Druga nie jest jeszcze wrogiem. Przycupnięta między nimi Betty nie jest już płazem, lecz obiektem przechodnim, który sympatycznie rechocze. Stojącą w wiwarium wieżę Eiffla wyposażono w bardzo czuły mikrofon. Dwie psychoterapeutki starają się być niewidoczne na tym podwieczorku: siedzą przy stole, chrupią muffinki z drobinkami czekolady i popijają sok pomarańczowy, udając, że nie zwracają najmniejszej uwagi na dziewczynki bliźniaczki.

A one porównują swoje wspomnienia, gusty, wiedzę, Pamiętasz urodziny Normy? Jakie lody lubisz najbardziej? Wiesz, co to jest *Anaxyrus debilis*?

Początkowo żadna nie potrafi tej drugiej na niczym złapać, lecz Sophia March szybko się orientuje, że tylko ona wie, co się działo w ostatnich miesiącach. Znalazła słaby punkt przeciwniczki, co bardzo ją cieszy. Ach, a więc nie pamiętasz, co Liam powiedział na moich urodzinach? Ani jaki prezent dostałam od mamy?

Triumfuje, a Sophia June jest pognębiona. Aż nagle znajduje celną ripostę i rzuca cichym, wyzywającym głosem:

– Tobie też tata kazał przysiąc, że nikomu nie powiesz, zwłaszcza mamie? – Sophia June szepcze coś jeszcze do ucha Sophii March.

Obie psychoterapeutki dziecięce, które czekały na tę chwilę, nieruchomieją, starając się nie patrzeć na dziewczynki. Ledwo słyszalne zdanie wypowiedziane przez Sophię June natychmiast zostało transkodowane i pojawiło się na ich tabletach w postaci napisów. O ile słowa są dziecięce, ich interpretacja nie pozostawia cienia wątpliwości.

Sophia March potrząsa głową, wstaje i krzyczy:

– Nie masz prawa o tym mówić!

– A właśnie że mam!

– To nieprawda, nieprawda!

– Co jest nieprawdą, Sophio? – pyta jedna z psychoterapeutek miękkim, naturalnym, uspokajającym tonem, a obie dziewczynki na dźwięk swojego imienia odwracają się w jej kierunku.

Sophia March wściekłym ruchem przewraca filiżankę i wrzeszczy do drugiej Sophii:

– Cicho bądź! Cicho bądź! Tata kazał nic nie mówić. To tajemnica.

Ta druga, przerażona, milknie i spuszcza wzrok. Zabawa się skończyła. Betty już nie rechocze.

– Chodźmy na spacer – mówi jedna z terapeutek, biorąc Sophię June za rękę. – Zobaczymy, czy mama ma ochotę do nas dołączyć.

*

Tajemnicą jest Paryż. Sophii tam się nie podobało.

Po pierwsze, niepokoiła się o Betty, która została w domu sama z kilkoma larwami, które jej włożono do wiwarium, żeby miała co jeść przez dziesięć dni. Kiedy Liam chciał popływać stateczkiem spacerowym

po Sekwanie, ojciec wolał zostać z Sophią w hotelu, bo na pewno „zrobi się jej niedobrze”. A kiedy mama zabrała Liama na pierwsze piętro wieży Eiffla, tata nie pozwolił, żeby z nimi poszła, bo jest „zmęczona”, a zresztą „ta wieża jest niższa od dowolnego naszego drapacza chmur”. Za każdym razem, kiedy prowadził ją do łazienki, kazał jej wchodzić do gorącej wody. Sophia nie lubi stać goła w wannie przy ojcu, który również rozbiera się do naga. Ojciec długo namydla jej ciało, niczego nie pomijając, Jestem czysta, tato, wystarczy, Tak, kochanie, ty też mnie namydl i nic nie mów mamie, to będzie nasza tajemnica. Sophia stara się nie patrzeć na ciało ojca, a jej ręce starają się zapomnieć o tym, czego powinna się nauczyć. Jej wzrok zatrzymuje się wszędzie, gdzie może, na chromowanych haczykach, na pojemniku z mydłem marsylskim, na złoconych kranach.

Później, w maju, kiedy ojciec wrócił z Iraku, Sophia March nadal nie lubiła łazienki. W Howard Beach też, zna każde pęknięcie farby na ścianach, każde mrugnięcie świetlówki na suficie, każdą nieregularność niebieskich kafelków. Nienawidzi zapachów, mydła, szamponu, wszystkich zapachów. Ale to tajemnica.

Slimboys

Poniedziałek, 28 czerwca 2021
Stratford Road, Kensington, Wielka Brytania

– Proszę się poczęstować maki, panie Kaduna – mówi człowiek z MI6, podając Slimboyowi Marchowi tacę z sushi. – To najlepszy japończyk w Kensington. Mają tu znacznie lepsze sushi niż w Ishimi na Victoria Island.

Lecz muzyk nie przestaje się wściekać. W Lagos zgodził się wsiąść do prywatnego samolotu z dwunastostrunowym taylorem i gibsonem hummingbirdem tylko dlatego, że zwiedziono go perspektywą zagrania w duecie z żywą legendą muzyki pop. Tymczasem kiedy już wylądował na angielskiej ziemi, przez całą drogę do wiktoriańskiego domu niedaleko Holland Park ten wielki czarnoskóry gość z oksfordzkim akcentem długo i mętnie coś mu opowiadał. Teraz była mowa o „rzadkiej chwili” i o „niesamowitym zjawisku”, ale ani słowa o Eltonie Johnie. Nie wszystko jest jednak stracone: na środku salonu stoi cudowny czerwony steinway.

– Przywiózł mnie pan do Londynu, gdzie nawet nie spotkam Eltona? Ćwiczyłem przez całą drogę.

To prawda: przez pięć godzin spędzonych w samolocie Slimboy pracował nad *Your Song*, przebojem, który musi zaśpiewać przynajmniej raz w życiu każdy piosenkarz i każda piosenkarka, od Billy’ego Paula po Lady Gagę. Utwór został pomyślany na klawisze, ale Slimboy wybrał wersję gitarową Roda Stewarta. Zaczął go grać na gibsonie protekcjonalnie i pogardliwie, nucąc jakże proste słowa: *And you can tell everybody this is your song*… Ale bardzo szybko zapomniał, że ta romantyczna piosenka, napisana przez jakiegoś białasa, ma już pięćdziesiąt lat i jest wyświechtana do bólu, jej słowa go urzekły, wzruszył się jak dziecko, przypomniał sobie, że Bernie Taupin miał zaledwie osiemnaście lat, kiedy ją skomponował, i zrozumiał, że każde jej słowo jest napisane właśnie dla niego, Slimboya, by mówił o swoich miłościach, których nie miał prawa przeżyć ani o nich

śpiewać, a kiedy falcon zaczął schodzić na lotnisko Heathrow, Slimboy grał z oczami mokrymi od łez i nic nie mógł na to poradzić.

– Znajdujemy się w zabezpieczonym budynku, ale proszę się nie martwić. Sir Elton John niedługo przyjdzie – wzdycha agent. – To oczywiste. Proszę mi wierzyć: w pomieszczeniach Intelligence Service nigdy nie ma fortepianów.

– Więc to naprawdę był jego prywatny samolot?

– Naturalnie. Zresztą siedzenia były z różowej skóry. A czy pan… Czy pan zrozumiał to, co panu tłumaczyłem? Czy jest pan gotów na konfrontację, panie Kaduna?

– Ostatni raz powtarzam, nie jestem żadnym panem Kaduną – irytuje się Slimboy. – A czy John Gray to pańskie prawdziwe nazwisko?

– Proszę mi mówić John – mówi człowiek z MI6, dając znak oficerowi, który pilnuje drzwi.

Kiedy pojawia się drugi Slimboy, pierwszy cofa się, a tamten staje jak wryty. Obaj mężczyźni długo się sobie przyglądają. Freud mówił o niepokojącej obcości, o narcystycznym sobowtórze, o lustrze wewnętrznym. Żadne z tych określeń tutaj nie pasuje. Obcość nie wzbudza w nich niepokoju, sobowtór nie urzeka, jest za chudy, za wysoki, nawet za młody, obaj odkrywają, że nie są w swoim typie. W końcu Slimboy June wchodzi do pomieszczenia i idzie w kierunku okna, przez które widać stare dęby na Edwardes Square; bierze jedno maki i wkłada je do ust, nie spuszczając wzroku ze swojego sobowtóra.

Slimboy March siada, też bierze maki, a po chwili małe kęsy ryżu znikają w ustach jednego i drugiego. Tego agent MI6 się nie spodziewał. Brytyjczyk sądził, że będą mieć wątpliwości, zechcą zadawać sobie pytania, by odkryć w tym drugim jakiś błąd, upewnić się, że nie jest to żadna mistyfikacja. Nic z tego. Niezwykłość sytuacji nie wprawia ich w zakłopotanie, jej nieprawdopodobieństwo nie budzi żadnego lęku. Pobudza natomiast apetyt.

Wkrótce nie ma już ani jednego kawałka sushi. Slimboy June bez słowa wskazuje na jasną bliznę na swoim nadgarstku. W jego spojrzeniu widać pytanie.

– Tom – odpowiada po prostu drugi, podwijając rękaw i pokazując taki sam błyszczący ślad. Powtarza: – Tom. Sam wiesz.

Tak, Slimboy June wie, jako jedyny: po zabójstwie Toma nie chciał już żyć i podciął sobie żyły. Uratowała go matka. Z geograficzną precyzją

pieczętuje ich pakt:

– To było w Ibadanie.

Obaj mężczyźni uśmiechają się smutno. Uśmiechem porozumiewawczym, ciepłym, braterskim. W końcu nie musieć kłamać, ukrywać się, wstydzić. Świat się nie zmienił, ale obaj czują się silniejsi. Slimboy March wstaje, idzie po dwie gitary, podaje dwunastostrunową June'owi, który mówi:

– Piosenka *Yaba Girls*… Słuchałem jej. Jest wspaniała. I… Czy ja naprawdę grałem z Drakiem? To znaczy ty…

– Z Drakiem, z Eminemem, z Beyoncé. W maju uczestniczyłem w Afrorepublik Festival w Londynie. A za dwa tygodnie gram główną rolę w nollywoodzkiej komedii romantycznej, *Wedding in Lagos*. No i podpisałem nowy kontrakt z Sony Music, moim sponsorem jest Coca-Cola, poza tym założyłem nową firmę, RealSlim Entertainment. To tyle.

Slimboy June uśmiecha się. Przypomina sobie dowcip: w dniu, w którym Amerykanie wylądują na Marsie, zobaczą tam dwóch facetów z Lagos podpisujących kontrakt.

– Zobacz – mówi dalej Slimboy March. Pociąga za suwak bluzy i na jego piersi pokazują się słowa: *100% human and valid*. To T-shirt Rexa Younga, dyskretny znak wsparcia dla społeczności LGBT i nielicznych heteroseksualistów, którzy mają odwagę stać po jej stronie.

Obaj mężczyźni wybuchają śmiechem. Wszystko dzięki *Yaba Girls*… Slimboy June nie jest zazdrosny o ten sukces i nawet się temu nie dziwi. Jest szczęśliwy, jakby właśnie dostał niespodziewany spadek. Tego facet z MI6 również się nie spodziewał.

– Ja też napisałem piosenkę. W hangarze, w którym nas trzymano. *Beautiful Men in Uniforms*. Taki jest tytuł.

– *Beautiful Men*? Tylko mi nie mów, że też jesteś gejem.

June chwyta akord i zaczyna śpiewać w tonacji dur, March wchodzi drugim głosem, improwizując akordy. Obaj piosenkarze uzupełniają się, wzbogacając wykonanie, żaden nie próbuje przebić drugiego. Razem wymyślają zakończenie, a March nagle rzuca z błyszczącymi oczami:

– Czekaj! Wystarczy powiedzieć, że jesteśmy bliźniakami. To będzie proste. W końcu obaj należymy do Jorubów.

Jorubowie, faktycznie. Przecież to oczywiste. Aszantowie boją się bliźniąt. Mandinka jeszcze bardziej. Podobno bliźnięta mają podwójny wzrok i czytają w myślach. Według Ndembu, Bantu i Lele należą one do

świata zwierzęcego. Fulanie przy narodzinach porzucają je na całą dobę z dala od wioski, by nie stanowiły zagrożenia dla wodzów i czarowników. Luba zabijają jedno z nich, bo uważają je za dzieci nieszczęścia. Cała Afryka wierzy, że bliźnięta rodzą się z mocy fetyszy, są znakiem niebios i złym okiem. U Jorubów przeciwnie: od stu lat nie zabija się dzieci boga piorunów, które od zawsze budziły trwogę. Z upływem czasu klątwa zmieniła się w cześć, w kult. Bowiem w plemieniu Joruba raz na dwadzieścia narodzin przychodzą na świat bliźnięta, co stanowi sytuację wyjątkową do tego stopnia, że wioska Igbo-Ora ogłosiła się światową stolicą bliźniąt, a imiona Taiwo (pierwszy) i Kehinde (drugi) stały się bardzo popularne. No tak, w sumie dlaczego Slimboy miałby nie mieć porzuconego i odnalezionego brata bliźniaka? Nikogo to nie zdziwi.

– Będą potrzebne fałszywe dane z urzędu stanu cywilnego – sugeruje June.

– To tylko kwestia kasy – odpowiada March.

Agent MI6 notuje, jakby mu składano zamówienie na pizzę.

– Nowa tożsamość dla którego?

– Oczywiście dla mnie – mówi Slimboy June.

– Załatwimy to. Wymyślimy jakąś historyjkę, dostanie pan tożsamość cyfrową. To akurat umiemy robić – oznajmia z naciskiem John Gray.

– Moglibyśmy dawać koncerty, pisać piosenki. Bliźniaki… Będziemy gwiazdami – uśmiecha się jeden ze Slimboyów. – Fajnie.

Drugi zbiera się do odpowiedzi, ale przed budynkiem staje cukierkoworóżowa limuzyna. Wysiada z niej mały człowieczek w żółtym jedwabnym garniturze i butelkowozielonym kapeluszu, na nosie ma ogromne okulary w oprawkach wysadzanych cyrkoniami.

*

„The Guardian”, wydanie z Lagos
z piątku 2 lipca 2021

OD SLIMBOYA DO SLIMMENÓW

Slimboy ma brata bliźniaka! O jego istnieniu słynny kompozytor światowego przeboju *Yaba Girls* dowiedział się w styczniu z listu, który mu

zostawiła zmarła matka. Zbyt biedna, by wychować dwoje dzieci, po narodzinach oddała jedno do sierocińca, a później nie zdołała go odnaleźć. Slimboy, który ma trzy młodsze siostry, ruszył tropem zaginionego brata, zlecając śledztwo Adawele Shehu, detektywowi z Lagos, specjaliście od poszukiwania zaginionych osób. „Nie było łatwo – mówi detektyw. – Dopiero po czterech miesiącach trafiłem na jego ślad. Trzeba przyznać, że pracę ułatwiła mi nagła sława mojego klienta, którego twarz znają wszyscy w Nigerii. Wystarczyło znaleźć kogoś łudząco do niego podobnego".

Femi Ahmed Kaduna ma więc brata Sama, równie błyskotliwego muzyka, który – kiedy nie pracował jako dostawca pizzy – grał i śpiewał na wieczorkach w Lagos. Zaginiony bliźniak mieszkał bowiem w Ojodu, niedaleko miasta. Wzruszające spotkanie obu braci miało ściśle prywatny charakter. Bliźniacy – naprawdę można ich pomylić! (patrz zdjęcie) – postanowili zagrać razem kilka koncertów pod nazwą SlimMen.

Zespołowi składamy podwójne życzenia powodzenia.

Same player dies again

Poniedziałek, 28 czerwca 2021
Mount Sinai Hospital, Nowy Jork

Farmakologia tak bardzo pragnie być nauką ścisłą: co osiem minut pompa wydaje głuchy sygnał dźwiękowy i wstrzykuje do kroplówki dwumiligramową dawkę morfiny. Dawka jest niewielka, ale skuteczna, David Markle nie odczuwa bólu. Wyczerpany śpi w sali opieki paliatywnej. Jego organizm jest już na skraju. Gdyby się obudził, wydałby ostatnie tchnienie.

Jody wróciła do domu, by odpocząć. Jutro Grace i Benjamin idą do szkoły. Na jej miejsce pojawił się wezwany Paul Markle. Jak napisała FBI, „sytuacja jest wyjątkowa". Kiedy przybył do Mount Sinai Hospital, powitała go oficer z Biura, która wszystko mu wyjaśniła. Potrząsnął głową i zmarszczył brwi, odmawiając przyjęcia „sytuacji" do wiadomości. Zaprowadzono go na piętro przekształcone w strefę pod ochroną wojska, z której ewakuowano cały personel z wyjątkiem jednej, związanej tajemnicą pielęgniarki. Paul czeka, przeglądając dokumentację medyczną przekazaną mu przez ekipę lekarzy pracującą zgodnie z protokołem 42. Nowe wyniki tomografii i rezonansu magnetycznego drugiego Davida Markle'a.

Paul czeka, ale na widok faceta, który otwiera drzwi i wchodzi w towarzystwie dwóch agentów, nawet nie rzuca *fuck*, nogi się pod nim uginają i musi usiąść.

David patrzy na swojego brata Paula i na drugiego Davida, który umiera na szpitalnym łóżku. Dźwięk pompy nie zakłóca panującej między nimi ciszy.

– Uprzedziliśmy pańską żonę – mówi do Davida facet z FBI. – Nasi agenci po nią pojechali. Przygotowujemy ją na…

– Pozwólcie jej spać – odpowiada David. – Tak jest w porządku.

Ten głos. Słysząc go ponownie, Paul jest wstrząśnięty. Wstaje, podchodzi do starszego brata, bierze go w ramiona. Czuje jego zapach sprzed choroby, i czuje jego ciało: zwarte, masywne, potężne. Tuli go, odsuwa się, znowu na niego patrzy.

– To ty. To naprawdę ty – mówi bez większego sensu.

– To naprawdę ja – odpowiada pilot. – Chodź, wyjdźmy.

Psycholodzy zastanawiają się, czy iść za nimi, ale David gestem nakazuje, by zostawili ich samych. Obaj bracia wychodzą z sali umierającego Davida, siadają na szpitalnej kozetce pokrytej szarym skajem, która ma do opowiedzenia więcej tragedii niż cudów. David zamyka oczy, kręci mu się w głowie.

– Co… Paul, co mi się stało? Podobno zdiagnozowano u mnie raka trzustki… w maju.

U Paula odruch lekarza bierze górę, ściska ramię brata.

– David… W zeszłą sobotę, pamiętasz badania? W hangarze. Właśnie mi przekazano wyniki.

David rozumie. Śmierć jest jeszcze trudniejsza do wytrzymania, jeśli wiemy, kiedy nadejdzie. David musi się przejść, wstaje, przez uchylone drzwi patrzy na leżące w łóżku ciało, tak wychudzone, tak słabe, odwraca oczy, ponownie siada na kozetce koloru kamienia nagrobnego. Szepcze, jakby się bał, że ktoś go usłyszy:

– Myślisz, że tym razem też mam tak mało czasu?

– To jest tak, jakby chemio- i radioterapię zacząć dwunastego lub trzynastego marca, a nie trzydziestego maja – mówi uspokajająco Paul, zaglądając do dokumentacji. – Cztery miesiące terapii zamiast jednego to ogromna różnica, biorąc pod uwagę agresywność tego raka.

Paul jeszcze raz tłumaczy starszemu bratu: źle umiejscowiony guz, przerzuty do wątroby, nacieki na jelicie cienkim, nie można operować, podobnie jak było z Davidem Marchem miesiąc temu. David June zadaje te same pytania, spiera się, Paul udziela tych samych odpowiedzi, tymi samymi słowami. Od czasu do czasu wymyka mu się „jak już ci mówiłem”. Nie potrafi przyjąć, że temu Davidowi niczego jeszcze nie mówił.

– Ile? – pyta znowu David. – Co najmniej trzy miesiące, prawda? Więcej?

– Spróbujemy innej terapii. Byłeś własnym królikiem doświadczalnym, przynajmniej wiemy, co nie działa. – Paul uśmiecha się smutno. Wiara w medycynę i protokoły lecznicze jest silniejsza od niego, dlatego właśnie

wybrał ten zwariowany zawód i jest w nim tak dobry. Czasami wierzy, że to zawód wybrał jego: nigdy nie traci nadziei, umie uśmierzyć obawy pacjentów, bo sam siebie równie dobrze okłamuje. Lecz znowu z trudem oddycha. Obok niego umiera człowiek i to jest David. Chciałby umieć równocześnie śmiać się i płakać. Jest zagubiony.

– A Jody? – znowu pyta David.

– Jest wykończona. Nie wyobrażasz sobie, co ona przeżywa.

Sformułowanie jest niezręczne, jeśli weźmie się pod uwagę, co czeka Davida, ale trudno. Telefon Paula wibruje. Paul rzuca okiem na ekranik, odbiera i mówi ściszonym głosem:

– Jody?

*

Maleńki ogródek japoński. Wysoki żywopłot z czarnych bambusów odgradza go od wiązów i brzóz niedużego angielskiego parku, strumyk spływa skromną kaskadą, wije się między jasnymi kamieniami aż do spokojnego stawu, w którym pływają karpie, żwirowa alejka prowadzi do drewnianego mostku biegnącego na wysepkę, gdzie mieszczą się tylko dwie kamienne ławki. Projektanci ogrodu chcieli, by tchnął pogodą i życiem, lecz ta wyrachowana błogość robi z niego miejsce ostatnich spacerów. Został założony w luksusowym ośrodku opieki paliatywnej, gdzie przebywają ci, którzy mają dobre ubezpieczenie i pragną wierzyć, że śmierć zen nie będzie tak do końca śmiercią.

Kiedy między bambusami pojawia się Jody w towarzystwie agenta FBI i Paula, David widzi, jak zamiera, jakby rażona piorunem bez błyskawicy i huku. Całe jej ciało sztywnieje i opiera się, by nie zrobić kroku w tył. Jej twarz wyszczuplała, wyschła, rysy stwardniały, oczy są podkrążone i zaczerwienione, emanuje z niej zmęczenie. W końcu, wsparta na ramieniu Paula, zbliża się bardzo powolnym krokiem. Idzie w kierunku ducha. Przechodzi przez mostek, siada na drugiej ławce, długo na niego patrzy, po czym opuszcza wzrok. Paul wyciąga uspokajająco rękę do brata i odchodzi.

Siedzą w milczeniu naprzeciwko siebie przez kilka długich minut. Wreszcie David mówi:

– Uwierz mi, wolałbym siedzieć na skwerze w towarzystwie wrzeszczących dzieciaków. Wszystko tylko nie ten idiotyzm. Psycholodzy chyba uważają, że to jest najlepsze miejsce. Szczerze mówiąc…

– Milcz.

Jody mówi bardzo cicho. David posłusznie milknie, słucha łagodnego szumu kaskady, ćwierkania wróbla, a przed jego oczami zielona woda stawu burzy się od gwałtownych ruchów karpi. Ten ogród nie jest może tak głupim pomysłem, jak się wydawało.

Nagle Jody mówi drżącym głosem:

– Nie chciałam, żeby dzieci widziały cię w szpitalu, od chwili kiedy zostałeś zaintubowany i leżałeś nieprzytomny na morfinie. Powiem im, że jesteś na rekonwalescencji.

Mówiąc o nim, absolutnie żywym, i o tamtym, który umiera, w obu przypadkach używa słowa „ty". To jej sposób na negowanie rzeczywistości, na przyjęcie nowej sytuacji. W nadchodzących dniach psycholodzy dostrzegą taką samą postawę u wszystkich.

David kiwa głową. Chciałby ją przytulić, lecz czuje, że ona nie jest gotowa, czuje jej strach i wstręt. Jody nie słyszy ani kaskady, ani ptaka. Jej wzrok jest wbity w biały żwir, nie potrafi spojrzeć na męża.

– Przykro mi – mówi. – Chciałabym cię pocałować, ale nie daję rady.

Gdy minęło zaskoczenie i padły wszystkie pytania, które w takiej sytuacji każdemu przychodzą do głowy, kolejne pytanie, jakie zadała Paulowi, brzmiało A rak? Kiedy Paul w końcu wyznał prawdę, kiedy zrozumiała, że dawny David, ten, który się pojawił znikąd, zapewne również umrze, poczuła, że krew z niej odpływa. Ma do siebie żal, że myśli Dlaczego wróciłeś, Davidzie, dlaczego? Czy to wszystko było tylko próbą generalną, miesiącem bólu, by się przygotować na jeszcze większy koszmar, jeszcze więcej płaczu, jeszcze więcej bezsilnej wściekłości? Chciałaby wierzyć, że Niebo daje jej drugą szansę, ale nie, to będzie tylko drugi ból, więc teraz czuje jedynie złość i obrzydzenie.

Zimnym tonem powtarza:

– Dla dzieci jesteś na rekonwalescencji. Tak będzie prościej.

Nie dodaje Nie chcę, żeby dzieci musiały pochować ojca po raz drugi.

– Spróbuję wyzdrowieć, Jody. Dla Grace, dla Benjamina, dla ciebie.

– Tak.

– I dla siebie. Mimo wszystko dla siebie też.

Jody podnosi wzrok. Chciałby wywołać jej uśmiech, lecz ona nie ma siły na nic. Zatapia się w jego spojrzeniu, żeby go odnaleźć, odpędzić ogarniającą ją rozpacz. David wyciąga do niej rękę, ona ją bierze, on ją ściska, ona odnajduje jego ciepło, jego sposób gładzenia kciukiem jej dłoni.

– To naprawdę ty – mówi z wahaniem.

To nie jest pytanie. Nigdy w to nie wątpiła. David nie odpowiada, patrzy na nią z zachłanną czułością, jakby chciał ją zatrzymać, jakby jego dni były już policzone.

Nie widzą Paula, który stoi przy wejściu do ogrodu i słucha pielęgniarki, Paula o oczach zasnutych smutkiem. Nie słyszą rozkazu, który wydaje oficer FBI.

Czas mija i rozbraja cierpienie.

Z wody wyskakuje karp i ponownie do niej wpada, a plusk sprawia, że oboje się wzdrygają.

Woods kontra Wasserman

Poniedziałek, 28 czerwca 2021
Carroll Street, Brooklyn

Jakim cudem ciało może w sobie pomieścić tyle łez? Obie Joanny płaczą i ta sama myśl przychodzi im do głowy w tej samej chwili. Tyle łez.

Siedzą w piątkę w wielkiej pracowni Aby'ego Wassermana, wśród szkiców i gwaszy: psycholodzy z FBI niezgrabnie przycupnięci na wysokich taboretach, Joanny w fotelu i na starej kanapie, a obok nich osłupiały Aby, który nie znajduje słów. Rysownik usiadł bezwiednie obok „swojej" Joanny i zobaczył niezmierzony smutek w oczach tej drugiej. Trzy miesiące temu trzymał tę kobietę w ramionach, kiedy wysiadła z samolotu Paryż–Nowy Jork. Powinien ją pocałować, pocieszyć. Ale nie. Skamieniał.

Długo siedzą nieruchomo i w milczeniu.

– Muszę wyjść – mówi nagle jedna Joanna i obie kobiety wstają, otwierają drzwi, wychodzą na duży balkon, z którego rozciąga się widok na ulicę, a Aby idzie za nimi.

Stoją teraz w słońcu, z zaczerwienionymi oczami, starając się złapać oddech. Joanna zawsze wierzyła w dobroczynny wpływ przebywania na świeżym powietrzu, nigdy nie wątpiła, że wiatr, niebo i chmury przynoszą odpowiedzi jak bocian dzieci. Kiedy była mała, a świat stawiał jej opór, w poszukiwaniu spokoju wychodziła do parku na rogu West i Providence. Biegła do utraty tchu asfaltowaną ścieżką, aż płuca zaczynały ją palić i musiała się wyciągnąć na plecach na krótko skoszonej trawie, ze skrzyżowanymi ramionami i bijącym sercem. Przy każdym oddechu świat w nią wchodził, a ona stopniowo odzyskiwała nad nim panowanie. Lecz połyskujące klony na Carroll Street nie proponują żadnego rozwiązania. Jedna Joanna wyciera nos, oddycha powoli, stara się uspokoić. Druga ociera oczy.

– Nie chcę kraść ci życia – mówi jedna, pociągając nosem.

– Ja także nie chcę.

– Ale nie chcę też tracić własnego.

Jedna Joanna odwraca się w kierunku młodego człowieka.

– Aby? Powiedz coś.

Aby się wzdryga. Jego wzrok błąka się od jednej Joanny do drugiej. Tylko dyskretnie zaokrąglony brzuch pozwala je odróżnić.

– Przykro mi. To mnie przerasta. Ja… sam nie wiem, co powiedzieć. – Spuszcza wzrok, wpatruje się w tatuaż na swoim nadgarstku: dwie palmy na wydmie.

W hołdzie dziadkowi i jego historii: jako dziecko zobaczył słowo OAZA na przedramieniu staruszka, zapytał, skąd się wziął ten tatuaż, a odpowiedź brzmiała No cóż, Aby, oaza oznacza wodę w sercu pustyni, miejsce, gdzie panuje spokój, a ludzie się ze sobą dzielą, dlatego właśnie kazałem to sobie wytatuować w wieku dwudziestu lat, gdyż oaza symbolizuje nadzieję na nowe życie po wojnie, to taki talizman, rozumiesz, Aby, *Glücksbringer*. Mały Aby powtórzył słowo *Glücksbringer*, a rysownika do dzisiaj fascynuje, że w niemieckim jedno słowo, *Glück*, oznacza zarówno szczęście, jak i szansę: może nieszczęście to po prostu perfidny brak fartu. W dniu, w którym Aby skończył jedenaście lat, dziadek powiedział, że nie, wytatuowane słowo to nie jest OAZA, jak sądził chłopak, czytając od tyłu, ale 4240, numer obozowy z Auschwitz. Nazajutrz po śmierci staruszka Aby kazał sobie wytatuować w tym samym miejscu oazę, której sekret zna tylko on i z której czerpie siłę. Lecz obie kobiety przyglądają mu się i tatuaż przestaje być schronieniem, choćby nie wiadomo jak długo się w niego wpatrywał.

– A więc pobraliśmy się? I mieszkamy tutaj? – pyta Joanna June. – Jak wyglądał nasz ślub?

Ani w pierwszej osobie liczby mnogiej, ani w słowie „nasz” nie ma premedytacji. W języku ustanawiają one jednak pewnego rodzaju równowagę między Joanną Woods a Joanną Wasserman, która nosi dziecko Aby’ego. Ta pierwsza nie jest żadnym przewrotnym intruzem, a tylko zapomnianą nieszczęśnicą.

Letni wiaterek szeleści w srebrnych liściach, hałas samochodów staje się mniej dokuczliwy. „Gdzieś jest kolebka wiatru, gdzieś są drzwi do głazu”. Joanna nie wie, dlaczego właśnie ten wiersz przyszedł jej do głowy.

– Nie mam pojęcia, co robić. Z prawnego punktu widzenia… – rzuca pierwsza.

Nie ma żadnego orzecznictwa, chce odpowiedzieć ta druga i natychmiast myśli Cholera, to cała ja, żeby od razu mi przychodziły do głowy zagadnienia prawne. Przypomina sobie proces Martina Guerre'a w szesnastym wieku we Francji. Uzurpator, Arnaud du Tilh, wraca do rodzinnej wioski Guerre'a, podszywając się pod niego, żyje z jego żoną i przekonuje wszystkich, którzy chcą zostać przekonani, że jest tym, za kogo się podaje. Gdy na skutek spektakularnego zwrotu wydarzeń Martin Guerre powraca, uzurpator kończy na szubienicy. Po co o tym mówić, myśli Joanna, skoro zgaduje, że w tej samej chwili tej drugiej przychodzi do głowy to samo. Szepcze:

– To bez związku.

Zapada cisza, dyskretne stuknięcie w szybę każe całej trójce odwrócić się w kierunku agentów FBI, którzy, z obawy lub onieśmielenia, nie decydują się wyjść na balkon.

– Zróbcie sobie kawy – rzuca Aby, żeby się ich pozbyć.

– A Ellen? – pyta Joanna June. – Co z jej chorobą?

– Wszystko w porządku, jest dzisiaj na terapii. Poza tym… Przyjęłam pracę w firmie Denton & Lovell. Zajmuję się Valdeo, procesem dotyczącym heptachloranu.

– Nie żartuj! Z tym łajdakiem Priorem? Ty… To ja się do tego przyczyniłam?

– On nie jest łajdakiem, za takiego się go tylko uważa, bo jest miliarderem.

Joanna June o tym wie. To absurdalna oczywistość. Zrobiłaby to samo, żeby zapłacić za leczenie, ale również dlatego, że to w końcu Denton & Lovell… Bez namysłu wyciąga rękę do Aby'ego, który ją ujmuje, też bez namysłu. Wobec tego gestu drugiej Joannie brakuje tchu, czuje ból w piersi. Jej siostra zawsze będzie siostrą, ale ma tylko jednego Aby'ego. Są miłości, które się dodają, i inne, które nigdy się nie podzielą.

– To okropne – mówi Aby, ją również biorąc za rękę. – Nie kocham was obu. Kocham tylko jedną kobietę, ma na imię Joanna. – Nie jest w stanie mówić dalej. Łzy, które lśniły w jego oczach, zaczynają płynąć po policzkach, a on nie potrafi ich powstrzymać. Tyle łez.

Jedno dziecko, dwie mamy

Wtorek, 29 czerwca 2021
rue Murillo, Paryż

Dwa dni wcześniej wydział PsyOp FBI przekazał służbom krajów sprzymierzonych swój pięciopunktowy protokół: przygotowanie, informacja, spotkanie, monitoring, ochrona. Regulamin niczego jednak nie załatwia: w dyskretnej paryskiej rezydencji, którą SDECE zachowała niezależnie od kolejnych zmian nazwy, w tym pomieszczeniu z zaciągniętymi kotarami, którego okna wychodzą na park Monceau, konfrontacja obu Lucie Bogaert natychmiast doprowadziła do agresji.

Wojna totalna. Od powrotu do Francji Lucie June zrozumiała, że nie da się tego uniknąć. Lucie March jest równie zdeterminowana. Jej syn, ich syn, mieszkanie, filmy w trakcie montażu, a nawet ubrania, tyle walk o żywotnym znaczeniu, tyle zbędnych bitew.

Psycholodzy mogli się tego spodziewać: od dziesięciu lat Lucie z synem żyją za zamkniętymi drzwiami, w szczelnym kokonie miłości i czułości, a młoda kobieta nigdy nie brała pod uwagę opieki dzielonej z ojcem dziecka, chłopakiem zbyt młodym na ojcostwo, który nigdy nie miał zamiaru wychowywać syna i dopiero kilka lat temu zaczął się nim interesować. I co, teraz Lucie miałaby negocjować z tą drugą i przyjąć bez walki nieznośną separację? Żadna z nich nie jest gotowa spłonąć na ołtarzu świętego „spokoju” dziecka, którym tak się upajają psycholodzy dziecięcy, niemający o niczym pojęcia. W miłości macierzyńskiej najczarniejszy egoizm toczy wściekłą walkę z najczystszą wielkodusznością.

– Louis nie jest gotowy – powtarza Lucie March.

– To mój syn – odpowiada Lucie June. – Tak samo jak twój.

Lucie March uparcie patrzy w podłogę. Odpowiada, nie podnosząc głowy:

– Trzeba myśleć o jego spokoju. Odpowiedź brzmi „nie”.

Nie? Jak to nie? Jakim prawem ktoś miałby jej odmawiać widywania własnego syna? Czy tamta nie rozumie, że ona też jest jego matką? Że nie jest mniej prawowita? Lucie June jest wściekła i nie potrafi rozsądnie myśleć. Oczywiście taka sama wściekłość sprawia, że policzki tamtej bledną, a jej głos drży.

– Nie zostanę w hotelu ani jednej nocy dłużej! – krzyczy Lucie June. – Mam mieszkanie. Czy możecie sobie wyobrazić, co ja przeżywam?

Lucie June wciąga głęboko powietrze i powtarza:

– Nie możesz u mnie mieszkać.

Jedna z psychoterapeutek powstrzymuje westchnienie. Tu jest potrzebny jakiś doradca matrymonialny, specjalista od rozwodów. Chce się wtrącić, ale Lucie June niechętnie dodaje:

– Nie przez cały czas.

– Sytuacja jest… niezwykła, pani Bogaert – próbuje interweniować młody człowiek z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, świeżo po Krajowej Szkole Administracji, z roku imienia Hannah Arendt. Mężczyzna został oddelegowany do komórki kryzysowej, a teraz gorzko żałuje swojego stanowiska w Departamencie Rolnictwa. Mamrocze: – Znajdziemy jakieś rozwiązanie…

– Nie jestem bardziej „nadmiarowa” niż ta pani, która mieszka w moim mieszkaniu z moim własnym synem. Czy państwo wiedzą, że od pięciu dni nie pozwolono mi nawet porozmawiać z Louisem?

Louis nie jest zresztą jedyną przyczyną jej wściekłości. U tej drugiej nienawidzi tego drżenia podbródka, kiedy ogarnia ją złość, tego drobniutkiego wykrzywienia kącików warg, tej upartej maniery powstrzymywania wybuchu pod maską dystansu, tego poprawiania okularów przez marszczenie nosa. Tyle oznak czytelnych na obu twarzach. No i ten nagły wstrząs na widok urody tamtej, która jest również jej urodą, na widok tego szczupłego, kruchego ciała, zbyt delikatnego, by u mężczyzn nie budziło potrzeby opieki, przemożnej chęci posiadania, a Lucie June, rozsierdzona, przyglądając się Lucie March, natychmiast myśli o Raphaëlu.

Lucie poznała go rok temu na zdjęciach. Był kamerzystą. Mimo niskiego wzrostu i nosa boksera Raphaël ma dużo wdzięku. Zrozumiała, że mu się podoba. Czasami do niego dzwoni: jeśli jest wolny, przychodzi do niego, zaraz po wejściu lekko całuje. Rozbiera się i kładzie na łóżku, chce, by ją wziął, zawsze od tyłu, ciągnął za włosy i trzymał za biodra; dochodzi, po czym wyrzuca go z siebie i robi mu dobrze ręką, a gdy tylko Raphaël

szczytuje, Lucie zostawia go, bierze szybki prysznic i wychodzi. Niczego więcej nie chce. Dla niej nie jest to żaden sekretny ogród, tylko zwykły ugór. Przed Raphaëlem byli inni. O tyle łatwiej jest nie kochać.

Kilka dni przed wyjazdem do Nowego Jorku z Andrém złożyła mu wizytę.

Tego dnia jak zwykle zdjęła płaszcz, zegarek i pierścionek z białego złota z szafirem, który dostała od Andrégo, rzuciła Mam pół godziny, nie więcej, a Raphaël wyczuł u niej tak nagłą potrzebę, że zmieszany nie zdołał jej zadowolić tak szybko, jak ona by tego pragnęła. Uklęknął między jej udami, chcąc ją czule wylizać, ale jak zwykle odepchnęła go, Nie, przestań, nie tak, i doprowadziła do pozycji na pieska, przy której on widzi tylko jej włosy, plecy i pupę. Kilka minut później poszła pod prysznic, a on powiedział Wiesz, Lucie, chciałbym się z tobą widywać nie tylko wtedy, kiedy masz wolną chwilę w kalendarzu, chciałbym pójść z tobą do restauracji, do teatru. Lucie popatrzyła na niego w milczeniu, wytarła się, włożyła majtki, skarpetki. Dodał A może byśmy wyjechali na parę dni, do Brugii, do Wenecji, dokąd zechcesz, tylko we dwoje. Ubrała się i zimno zapytała Tylko we dwoje? We dwoje? Naprawdę sądzisz, że mnie kochasz, bo ci przy mnie staje, albo że ja cię kocham, bo krzyczę Pieprz mnie, weź mnie, tak? My nie jesteśmy razem, Raphaëlu, to nie jest miłość, to jest nic, po prostu nic. To tylko chemia, zwykłe oszustwo. Nie rozumiesz, że to oszustwo?

Mężczyzna oniemiał, po czym wybuchnął Wynoś się, wynoś się! Lucie wzruszyła ramionami, zapięła zegarek, wsunęła pierścionek na palec serdeczny i wyszła. Zamknął za nią drzwi i podszedł do okna, by zobaczyć, jak ona oddala się ulicą, wsiada na skuter i znika. Tkwił tak złamany poniżeniem i żalem z powodu tej kobiety, którą wielokrotnie posiadł, ale która nigdy nie należała do niego. Nie wątpił, że za tydzień lub za miesiąc ona znowu zadzwoni, jak gdyby nigdy nic, jakby nic się nie stało. On jej otworzy i powie Myślałem, że już nie wrócisz. Ona spojrzy na niego ze zdziwieniem. I się rozbierze.

Lucie June sądziła, że nigdy nie będzie się wstydzić podobnej maskarady. Nieważne, co myśli Raphaël, co myśleli wszyscy przed nim, ale nagle, stojąc naprzeciwko tamtej kobiety o wzroku gada, która wie o wszystkim, nawet o plugawych scenach dominacji, które podniecają ją i przynoszą jej orgazm, Lucie June jest zmrożona niesmakiem. Jest naga, brzydka, pornograficzna. To już nie ugór, to wysypisko śmieci.

Przechodzi ją zimny dreszcz, zastanawia się, czy Lucie March też w tej właśnie chwili pomyślała o Raphaëlu, czy dalej się z nim widuje. Co za różnica? Lucie March podejmuje:

– Nie jestem zresztą pewna, czy Louis jest gotowy na spotkanie, jak by to powiedzieć, dwóch matek…

– To bardzo inteligentny chłopiec, bardzo dojrzały – wtrąca psychoterapeutka. – Wszystkie jego reakcje wskazują, że stawiłby czoło sytuacji. Ta decyzja powinna również należeć do niego.

Gdyż Louis już wie. Służby zażądały, by przybył razem z Lucie March, od ponad godziny rozmawia z psycholożką dziecięcą w sąsiednim pomieszczeniu. Zrozumiał: nie ma dwóch mam, lecz dwa razy jedną mamę. Kiedy psycholożka uznała, że przyszła pora, włączyła ekran, na którym widać rozmowę dwóch kobiet, bez głosu. Dziecko, szeroko otwierając oczy, powiedziało jedynie:

– Jakie to dziwne.

Terapeutka roześmiała się i przytaknęła. Owszem, to bardzo dziwne. Powtarza mu raz jeszcze, że to tajemnica, że trzeba jej dotrzymać, bo sytuacja nie jest bezpieczna. Louisa to jednak nie martwi.

– Każą mi wybrać jedną mamę z dwóch? Bo kiedy rodzice się rozstają, pyta się dzieci, z kim chcą mieszkać, z tatą czy z mamą. No ale tutaj jest trochę inaczej.

Louis ma rację, jest inaczej, notuje psycholożka, a przecież, dla dobra chłopca, trzeba będzie zawrzeć jakiś pakt, jeszcze lepiej przymierze, znaleźć ugodę, która nie poświęci żadnej z kobiet.

Louis nie umiałby tego sformułować ani nawet się do tego przed samym sobą przyznać, ale jego ulubiona mama to ta sprzed trzech miesięcy, która co wieczór dzwoniła do Andrégo, długo rozmawiała przez telefon i kilka wieczorów w tygodniu oddawała go pod opiekę babci. Dla Louisa, tak ważnego w życiu jego matki, nagłe pojawienie się tego dość zabawnego draba o siwych włosach było ulgą. Złamało rutynę, a Louisowi podobały się szczęście i śmiech matki, jej czasem marzycielski wzrok. Mniej wszechobecna matka miała swoje zalety, a kiedy rzuciła Andrégo, Louis odzyskał swoje centralne miejsce i bez szczególnej przyjemności wrócił do ich staromałżeńskich nawyków.

Zna Andrégo od trzech lat, co w jego skali czasu stanowi wieczność. Architekt co lato zapraszał ich do swojego domu na południu Francji. To właśnie tam pewnego wieczoru André przyniósł ze strychu starą

skrzynkę i nauczył go grać w Dungeons & Dragons, wymyślać nieistniejące światy i zamczyska, udawać różne postacie, walczyć z orkami i potworami. Podarował mu skrzynkę i rozmaite gry z kostkami, pokazał, jak obliczać prawdopodobieństwo kolejnych ruchów, jak wybrać najlepszą broń, najlepszą taktykę. Po kilku partiach Louis został elfickim czarodziejem trzeciego stopnia, a jego matka karlicą łuczniczką. André nauczył go także różnych łamigłówek.

– Mam zagadkę – mówi Louis.

– Słucham. – Psycholożka się uśmiecha.

– Biedni to mają, bogaci tego potrzebują, a jeśli człowiek to zje, umiera.

Psycholożka się poddaje.

– To jest nic.

– Nic?

– Nic. Biedni nie mają niczego, bogaci niczego nie potrzebują, a jeśli się niczego nie je, to się umiera.

– Dobra zagadka. Muszę zapamiętać.

Nagle Louis mówi:

– Żeby wiedzieć, z którą mamą chcę mieszkać, mógłbym rzucić kostką.

Psycholożka najpierw się uśmiecha. Mallarmé się nie mylił, rzut kośćmi nigdy nie zniesie bezładu. Poza tym tak bardzo podobał jej się *Kościarz* Luke'a Rhineharta, kultowa książka z lat siedemdziesiątych, w której znudzony i wiecznie niezadowolony psychiatra wszystkie swoje decyzje życiowe podejmuje, rzucając kośćmi. Podziwia inteligencję strategii, jaką obrał Louis, żeby uniknąć napięcia, spontaniczną ironię świadczącą o jego dojrzałości, kiedy nagle uderza ją oczywistość: Louis ma rację. Tak właśnie trzeba postępować: pozostając panem swojego życia, Louis nigdy nie będzie musiał nieść ciężaru żadnej decyzji.

– Jasne, to świetny pomysł, Louis – przyznaje psycholożka. Chce, żeby chłopiec sam opracował regułę. – Jak masz zamiar to zrobić?

– Na początku tygodnia rzucę kostką siedem razy, jeden rzut na każdy dzień tygodnia. Jeśli na poniedziałek przypadnie parzysta liczba oczek, wygra jedna, jeśli nieparzysta, wygra druga. I tak dzień po dniu.

– Czemu nie?

Szybki rachunek wskazuje, że ryzyko, by którakolwiek z nich była pozbawiona syna przez tydzień, wynosi jeden do stu, a przez dziesięć dni z rzędu – zaledwie jeden do tysiąca. Żadna z Lucie nie zostanie poświęcona i nie będzie się sprzeciwiać wyrokowi rzutu kostką. Jakoś się zorganizują.

– Może chodźmy się z nimi zobaczyć? – proponuje psycholożka.

Louis się zgadza i oboje wchodzą do pomieszczenia, gdzie czekają dwie Lucie. Gdy chłopiec staje w drzwiach, patrzy na nie, najpierw na jedną, potem na drugą, i ponownie mówi z uśmiechem Jakie to dziwne. Żadnej nie traktując w sposób uprzywilejowany, siada naprzeciwko nich i spokojnie tłumaczy swój pomysł.

Obie kobiety starają się powstrzymać kipiące w nich emocje, uśmiechają się do Louisa, każda próbuje zdobyć uśmiech chłopca. Gdyby Louis był psem, a któraś z nich miała kość, ukryłaby ją w zaciśniętej pięści, żeby go skusić. Ale też, zarówno jedna, jak i druga, bacznie mu się przypatrują, słuchają go, a w głębi duszy podziwiają tego niezaprzeczalnie cudownego syna.

Louis kończy i zapada cisza, lecz zanim wszyscy poczują się na dobre skrępowani, chłopiec ją przerywa:

– Pomyślałem o tym dzięki Dungeons & Dragons. – Uśmiecha się z dumą, jakby to wszystko wyjaśniało.

W tej samej chwili kobiety, nieco zrezygnowane, kiwają potakująco głowami. Niekiedy najgorsze rozwiązanie jest najlepsze.

– Mam zagadkę – mówi Louis. – Jesteśmy synami jednej matki, urodziliśmy się w tym samym roku i miesiącu, tego samego dnia i o tej samej godzinie. A jednak nie jesteśmy bliźniętami. Dlaczego?

Obie Lucie kręcą bezradnie głowami.

– Jesteśmy trojaczkami – śmieje się Louis.

Powrót Victora Miesela do przyszłości

Wtorek, 29 czerwca 2021
klif w Yport, Normandia

To tutaj. Żarnowce uginają się pod zachodnim wiatrem, albatrosy szybują po szarym niebie nad kanałem La Manche. Unosząca się znad morza mgła rozmywa kontury białych, stojących na dole domów w Yport. Victor leży w wysokiej trawie i spogląda na chmury. Obok niego ląduje mewa, a Victor chciałby, żeby podeszła jeszcze bliżej, chciałby musnąć jej pióra, zasmakować trochę jej żywotności, on, który jest już tylko zwątpieniem. Wstaje, idzie w kierunku brzegu urwiska, siada nad przepaścią i palcem dotyka białej kredy, stukrotnie zmytej przez deszcze.

Tak, to dokładnie tutaj pod koniec kwietnia rozsypano prochy tamtego Victora Miesela. Bohater jego pierwszej powieści, *Góry przyjdą do nas*, właśnie tutaj postanowił z własnej woli umrzeć, a Clémence Balmer przypomniała sobie o tym i wybrała to miejsce. To tutaj przeczytała słowa Koheleta, syna Dawida.

Marność nad marnościami, powiada Kohelet,
Hawel hawalim
ha-kol hawel, powiada Kohelet, wszystko marność.
Wszystkie rzeki płyną do morza,
a morze wcale nie wzbiera;
do miejsca, do którego rzeki płyną,
zdążają one bezustannie.
To, co było, jest tym, co będzie,
a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie:
więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem.

Potem wygłosiła mowę, powściągliwą i szczerą, o znaczeniu rytuałów, sztuczek wymyślanych przez żyjących, by znieść to, co nie do zniesienia.

Zaczęło padać, a ona ucieszyła się z tego uczciwego deszczu maskującego łzy, których się nie spodziewała. „Śmierć nigdy nie jest godna, Victorze, zawsze jest samotna. Można jednak mieć nadzieję, że ten ostateczny moment pożegnania posłuży przynajmniej tym, którzy pozostali. Jeśli stoicy mówią prawdę, jeśli między ludźmi nie ma ani miłości, ani czułości, ani przyjaźni, a ciało jest wszystkim, jeśli prawdą jest, że wszelkie doznania rodzą się same z siebie, w takim razie te ostatnie słowa nie są zbędne, Victorze”.

Zdania te Clémence mogłaby powtórzyć duchowi, którego widzi maszerującego niebezpiecznie blisko skraju urwiska. Krzyczy do niego, by nie zbliżał się do przepaści, ale wiatr ją zagłusza. Victor odwraca się, macha do niej ręką i podchodzi uśmiechnięty.

– Co za radość stwierdzić, kiedy przyjaciel umiera, że znowu nam się upiekło!

Clémence jest wstrząśnięta: jej Victor powrócił. Wcześnie rano przyleciał airbusem wynajętym przez armię, w towarzystwie pozostałych Francuzów z lotu 006, do bazy wojskowej Évreux-Fauville. Godzinami wyjaśniano im, co się stało. On został zwolniony jako pierwszy, nie przewidziano bowiem konfrontacji z drugim Victorem Mieselem. Dwa razy mniej pracy dla dwukrotnie mniejszej liczby psychologów, lecz ta osoba, którą mu przydzieliły „służby”, nie opuszcza go ani na krok. Ponieważ sytuacja nie została opisana w żadnym podręczniku, Joséphine Mikaleff może tylko improwizować.

– Miał pan rację, najpierw przychodząc tutaj, by pomedytować – mówi.

– Nie medytowałem, szanowna pani. Nie jestem w żałobie po samym sobie. Przez chwilę myślałem, że pobyt na klifie pomoże mi zrozumieć, ale tak się nie stało. Mam tylko wrażenie, że przez cztery dni byłem przetrzymywany, że wyjechałem z domu w zimie, a wróciłem w lecie. Chodźmy do miasta na obiad. Mam ochotę na andouillette. I na kieliszek haut-médoca. A nawet kilka.

Wsiadają do czarnego peugeota i powoli jadą w kierunku Étretat. Prowadzi facet ze Służby Ochrony Osobistej. Młoda psycholożka siedzi na miejscu pasażera, Victor i Clémence na tylnej kanapie. Samochód jedzie cicho, słychać tylko, jak psycholożka stuka w klawiaturę laptopa. Victor kontempluje krajobraz traw i kredowych skał, wydawczyni nie może oderwać wzroku od pisarza. Pogodziła się z tym, że już nigdy go nie zobaczy, i nie wie, co myśleć o niepokoju, jaki wzbudził w niej jego

powrót. Kiedy jeszcze raz przeczytała wszystkie jego książki, poczuła, że jest jej bliższy niż kiedykolwiek. Jego odejście wywołało w niej uczucie pustki.

W restauracji Victor wybiera okrągły stół, nalega, by zjedli wszyscy razem, włącznie z policjantem, nawet jeśli nie jest to zgodne z przepisami. Pisarz zamawia andouillette i butelkę Château La Paillette 2016, uśmiecha się do Clémence.

– Masz pojęcie, w zeszłym tygodniu jedliśmy kolację, a to był początek marca. Cieszysz się, że mnie widzisz?

Wydawczyni patrzy na niego zamyślona, ale wzrokiem błądzi gdzieś za nim. Tamten spacer w deszczu i błocie, urna w jej rękach. Wirujące białe prochy, szum wiatru, słowa Eklezjasty: „To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie: więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem”. Victor budzi ją z zadumy.

– Clémence? Cieszysz się, że mnie widzisz?

– Tak, Victorze, bardzo się cieszę. Przykro mi. Przeżyłam dwa straszne, a jednocześnie dziwne miesiące. A teraz to. Ta historia… – Clémence szuka słów.

Żydowski dowcip mówi, że Bóg często czyta Torę, by spróbować zrozumieć, co się dzieje w świecie, który stworzył. Kobieta mówi dalej:

– Dlaczego zawiadomiłeś tylko mnie i nikogo więcej?

– Ufam ci bardziej niż komukolwiek, wiem, że potrafisz zachować dyskrecję. Mówiłaś o tym komuś? Nie. Sama widzisz.

– To tylko krótkie odroczenie, nic więcej – odpowiada Clémence. – Wszyscy się dowiedzą, że chodziło o twój samolot.

– Niekoniecznie – wtrąca Mikaleff. – Lista pasażerów pozostanie utajniona, służby to gwarantują.

– Mógłbym zniknąć – mówi Victor. – Zacząć nowe życie pod innym nazwiskiem. Rząd zaproponował nam taką opcję.

– Po pierwsze, nie masz na to ochoty. I w twoim wypadku byłoby to niemożliwe. – Odpala tablet, wchodzi na stronę wydawnictwa, klika zakładkę „Nowości”, *Anomalia*, potem zakładkę „Prasa”. – Ponad sto artykułów, audycji, i wszędzie twoja twarz. W tym miesiącu na okładce „Lire”. Sześć tłumaczeń w toku, a kiedy ludzie dowiedzą się, że jesteś… Wyobrażasz sobie, jaki się zrobi raban… Tak więc zniknięcie… Chyba że sobie zrobisz operację plastyczną…

Rano w bazie Évreux Victor przeczytał *Anomalię*. Rozpoznaje swój styl, lecz nie odnajduje samego siebie. Nie lubi takich sformułowań i nie jest zafascynowany aforyzmami. Entuzjazm, jaki wywołała książka, jest dla niego kompletnie niezrozumiały.

– To przypomina Jankélévitcha pod wpływem LSD – uśmiecha się Victor. – Jakiegoś innego mnie. Przed wyjazdem do Nowego Jorku nie napisałem ani jednej linijki tej książki.

– Ja ciebie w niej odnajduję i bardzo mi się ona podoba – odpowiada Clémence. – W przeciwnym razie nie zdecydowałabym się na jej publikację. Musisz się z tym pogodzić, sprzedało się ponad dwieście tysięcy egzemplarzy…

– Powinienem był wcześniej spróbować LSD…

Clémence zamyka tablet, zdecydowanym gestem nalewa sobie kieliszek haut-médoca.

– Musimy ogłosić twoje „zmartwychwstanie”. Livio będzie uszczęśliwiony.

– Co takiego? Salerno?

– To główny animator klubu twoich pośmiertnych przyjaciół.

– Nie nazywałbym tego przyjaźnią… Owszem, mieliśmy wspólnych znajomych.

– Dużo się widywaliście przed twoim… twoją… W każdym razie wygłosił wspaniałą mowę w krematorium, z tym jego włoskim akcentem, cytując fragmenty twoich książek.

– Livio zawsze przepadał za pogrzebami. Pogrzebowa mowa pochwalna to jego ulubiona chwila, może obnosić się zarówno ze swoją skromnością, jak i wielkodusznością.

– Muszę się zgodzić, że wyglądał, jakby był w swoim żywiole. W każdym razie Ilena…

– Ilena? Rzuciła mnie sześć miesięcy temu. A właściwie dziewięć…

– Pogodziliście się… W ostatnich miesiącach. Ona twierdzi, że znowu byliście razem.

– Bardzo by mnie to zdziwiło.

W dniu kiedy Ilena go rzuciła, zeszłej jesieni u Weplera, popijając swoją nieśmiertelną „podwójną słabą kawę bez kofeiny ze śmietanką, tylko nie za dużo śmietanki”, uznała za stosowne, by mu powiedzieć, że od dawna ma kochanka, który „potrafi mnie wzruszać”. Victor był tak zaskoczony, że poprosił o powtórzenie zdania, co zrobiła ze złością, tym razem lepiej

artykułując: „potrafi mnie wy-ru-chać”. Wzruszył ramionami, parsknął śmiechem i rzucił: „Ale bzdury gadasz, Ilena, kompletne bzdury!”. Na co ona wstała i powiedziała: „Budzisz we mnie litość”, kładąc nacisk na słowo „litość” gwoli poruszenia nielicznej publiczności. Po czym wyszła, nie oglądając się za siebie, choć zdążyła się upewnić pełnym wyższości spojrzeniem, że nikt w kawiarni nie ma wątpliwości co do wstrętnego charakteru tego żałosnego typka. Patrzył, jak odchodzi sprężystym krokiem, a absurdalność całej sytuacji sprawiła, że ogarnęła go niepohamowana wesołość.

Faktycznie, bardzo by go zdziwiło, gdyby się pogodzili.

– Dobrze, że umarłem – wzdycha Miesel. – Krótko mówiąc, masz rację, wszyscy będą zachwyceni na mój widok.

– No ja na pewno jestem – mówi Clémence ze śmiechem. – Kiedy faceci z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pojawili się w wydawnictwie, wyjaśnili sytuację i przywieźli mnie tutaj, byłam przerażona. Myślałam, że spotkam… kosmitę. Faceta z pustym wzrokiem i lodowatym głosem jak w tym filmie *Porywacze ciał*.

– Przykro mi, Clémence, ale to tylko ja. Mam zresztą dwa pytania. Materialne. Potrzebuję działającej komórki. Moja karta SIM została zdezaktywowana. Mam wrażenie, że jestem odcięty od świata. Mam szczerą ochotę zadzwonić do „wdowy” po mnie… Usłyszeć jej radość.

– Wszystko pan dostanie, panie Miesel – wtrąca oficer ze Służby Ochrony Osobistej. – Tylko proszę uważać, do kogo pan dzwoni.

– I chciałbym wrócić do domu.

– Zarezerwowaliśmy dla pana pokój w Levallois, panie Miesel. W kamienicy należącej do kontrwywiadu, DGSI. Względy bezpieczeństwa. Jutro znajdziemy dla pana hotel w Paryżu.

– Poza tym… – rzuca z wahaniem Clémence. Lecz nie wie, od czego zacząć.

Mieszkanie opróżnione przez daleką rodzinę, która od razu podzieliła między siebie meble, zostało wystawione na sprzedaż „za niezbyt wysoką cenę ze względu na samobójstwo”, Towarzystwo Przyjaciół, jakże dynamiczne… Victor nie czuje oburzenia i nie komentuje. Clémence mówi dalej:

– Jeśli chodzi o twoją bibliotekę, zorganizowano u ciebie spotkanie i każdy brał, co chciał. Dużo zostało w kartonach, twoje książki Jarry’ego,

Dostojewskiego… Dzisiaj mało kto czyta. Twoi kuzyni wzięli wydania La Pléiade: są dekoracyjne i dobrze idą na eBayu.

– Rząd robi wszystko, co w jego mocy, żeby odzyskał pan swoją własność, panie Miesel – dodaje facet ze służb.

Clémence dręczy jedno pytanie. Psycholożka ją uprzedza:

– Victorze, rozmawialiśmy o tym w samolocie, ale… Co mogło doprowadzić „tamtego" Victora do samobójstwa?

Pisarz wygląda na rozbawionego.

– Nikt sam sobie nie zadaje śmierci, nie uczono was tego? Są tylko ludzie torturowani, którzy uciekają, zabijając swojego kata.

– Może to z powodu… Ileny Leskow? – nalega Joséphine Mikaleff. – Anagramem *Anomalii* jest *Amo Ilena L.* „Kocham Ilenę L."

Miesel wybucha śmiechem.

– Serio? Kto na to wpadł?

– Ilena to zasugerowała w jakimś wywiadzie.

– Dobrze, że istnieje łacina, można użyć słowa *amo*. Dobry język to martwy język, jak powiedziałby generał Sheridan. Żarty na bok. Przyczyny tego gestu kompletnie mi umykają. Nie mam skłonności samobójczych. Choć chętnie bym się zabił, zwłaszcza że później będzie już za późno.

– Ha! – wykrzykuje Clémence. Gorączkowo włącza tablet i triumfalnie pokazuje Victorowi jedno zdanie z *Anomalii*. – Właśnie zacytowałeś Victøra Miesela. – Wymawiając to imię, przeciąga ø i twardo toczy r.

– Jestem pod wpływem, Clémence, to jedyne wyjaśnienie.

Wydawczyni uśmiecha się, słysząc to mało zabawne zdanie. Otwiera torebkę i podaje Victorowi kopertę.

– Masz. To wszystko, co przy tobie znaleziono, kiedy wyskoczyłeś.

Victor rozdziera kopertę. W środku znajduje swoją komórkę, klucze i czerwony klocek lego. Szuka po własnych kieszeniach, znajduje bliźniaczy klocek i kładzie go obok. Zaintrygowany ogląda oba klocki, składa je. Pamięć znakomicie gnieździ się we wspomnieniach.

*

Środa, 30 czerwca 2021

salon w hotelu Lutetia, Paryż

Clémence zwołała konferencję prasową pod hasłem: PODWÓJNE ŻYCIE VICTØRA MIESELA, dodając na zaproszeniu fragment *Anomalii*: „Boję się, że zbyt wiele nadziei pokładam w niekompetencji mojego przyszłego biografa”.

Przyszły tłumy. Victor czeka w małym pokoju obok, razem z ekipą wydawnictwa l’Oranger. Wystrój sali go przeraża: wysokie podium, stół, dwa fotele, jeden dla Clémence, drugi dla niego, a naprzeciwko setka krzeseł, wszystkie zajęte. W głębi czeka kilkanaście kamer.

– Międzynarodowa prasa też przyszła – mówi Clémence. – Twoja książka wychodzi w przyszłym tygodniu praktycznie we wszystkich językach… Przekłady robiono na łapu-capu… Niektóre są dość dowolne.

– Przecież nie jestem George’em Clooneyem.

– Jesteś kimś więcej. Kimś między Romainem Garym a Jezusem Chrystusem. Samobójstwo i zmartwychwstanie.

Victor wzrusza ramionami. Clémence troskliwie otrzepuje mu marynarkę z kurzu. Victor uchyla drzwi, żeby spojrzeć na salę, w której siedzą przedstawiciele prasy.

– A mojej najdroższej Ileny nie ma? Wdowa została pewnie w domu i daje się ponieść wzruszeniu.

– Słucham? – pyta Clémence, marszcząc brwi.

– Nic takiego, najważniejsze, że ja rozumiem.

Wydawczyni spogląda na zegarek. Jest osiemnasta.

– Musimy już iść. Z powodu tych wszystkich kontroli przy wejściu jesteśmy spóźnieni. Wiele stacji chce otworzyć wieczorne wiadomości informacją o tobie.

– Więc te msze nadal się odbywają? BFM i internet nie zabiły wszystkiego?

– Dziesięć milionów osób ogląda. Idziemy. Czuję, że po tej połówce lexomilu jesteś wyluzowany. Może nawet za bardzo. Tylko się nie wydurniaj, błagam cię.

– Słowo harcerza – obiecuje Victor. Wynurza się zza kulis, przy dźwięku trzaskających fleszy wchodzi na podium, siada w fotelu, powstrzymując ziewnięcie. Faktycznie jest wyluzowany.

– Dzień dobry państwu – mówi Clémence Balmer, trzymając w ręku mikrofon. – Będę mówić krótko, gdyż czuję, że mają państwo wiele pytań…

Victor nie rozpoznaje żadnego z setki przybyłych dziennikarzy. Nie ma ryzyka, że dojdzie do rozmowy o literaturze, gazety przysłały reporterów, nie krytyków literackich. Jeśli któryś z nich przeczytał *Anomalię*, to wyłącznie z poczucia zawodowego obowiązku. Kiedy tylko Clémence kończy swoje zagajenie, podnosi się las rąk. Wydawczyni spokojnie opanowuje chaos i oddaje głos wysokiemu facetowi siedzącemu w pierwszym rzędzie.

– Jean Rigal, „Le Monde”. Panie Miesel, dla pana upłynął zaledwie tydzień od pańskiego wyjazdu z Paryża w marcu. W ciągu tych czterech miesięcy wiele się wydarzyło, zwłaszcza dla pana, napisanie książki oraz to, co trzeba nazwać pańską śmiercią. Jak pan odbiera tę niesamowitą sytuację?

– Przystosowuję się, jak mogę. Przeczytałem zarówno „swoją” książkę, jak i swoje nekrologi w różnych gazetach. Na sam ich widok ma się ochotę umrzeć.

– Czy uważa pan *Anomalię* za swoją książkę?

– Proszę zdefiniować „swoją”. – Victor podejrzewa, że Clémence w duchu przewraca oczami, więc bierze się w garść. – Przepraszam za tę woltę. W niektórych zdaniach na pewno mogę się odnaleźć. Co nie oznacza, że jest to książka napisana przeze mnie, który teraz do państwa mówię. Ale mam prawa autorskie, a to najważniejsze.

„Prosiłam, żebyś się nie wydurniał”. W westchnieniu Clémence, która teraz żałuje, że mu poradziła lek przeciwlękowy, niemal słychać te słowa.

– Czy pańskim zdaniem w książce znajduje się klucz do tego, co się stało na pokładzie samolotu?

– Tysiące ludzi go szukają. Jeśli w ogóle istnieje jakiś klucz, znajdą go przede mną. Zwłaszcza że, jak wiadomo, kiedy człowiek ma w ręku młotek, wszystko zaczyna przypominać gwoździe.

– Czy uważa pan, że wszyscy żyjemy w symulacji?

– Nie mam pojęcia. Parafrazując Woody’ego Allena, powiedziałbym, że jeśli tak jest, to mam nadzieję, iż programiści mają jakieś sensowne wyjaśnienie. Gdyż świat, który stworzyli, to jakiś horror. Chociaż z tego, co zrozumiałem, to my sami go tworzymy.

– Panie Miesel, jak pan zapewne wie, prawie wszyscy pasażerowie tego lotu odmawiają ujawnienia swojej tożsamości. Dlaczego pan zgodził się wyjść na światło dzienne?

– Nie uważam, żeby cokolwiek mi groziło. Jestem zresztą pod stałą ochroną policji. Oraz korzystam ze wsparcia psychologicznego. Pomyślano o wszystkim.

– Czy wyczuł pan moment, który jedni nazywają „dywergencją”, a inni zaczęli określać mianem „anomalii”?

– Oczywiście, jak wszyscy w samolocie. Turbulencje się skończyły, a słońce wróciło do kabiny. To ostatnie zdanie jest również definicją prozacu.

Sala się śmieje, Victor też, trochę przy tym odpływa, a Clémence rozpacza nad swoim show.

– Czy wie pan, dlaczego pański „sobowtór” popełnił samobójstwo?

– Zapewne chciał umrzeć. To główna przyczyna samobójstw.

– Jak dokładnie wyglądają pańskie relacje z Ileną Leskow?

– Obecnie nie ma żadnych. W najlepszym razie istnieją relacje przedśmiertne. – Victor promienieje, jest teraz żywą reklamą bromazepamu.

– Anne Vasseur, „Times Literary Magazine”. Czy pracuje pan nad nową książką, panie Miesel?

Victor patrzy na ostatni rząd, skąd dochodzi ten delikatny, lekko chrapliwy głos. Jego twarz się rozjaśnia. To tamta młoda kobieta, która na konferencji w Arles interesowała się humorem u Gonczarowa.

– Tak, jestem w trakcie pisania nowej książki.

Clémence patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Klasyczny temat – ciągnie Miesel. – Kobieta powraca do życia mężczyzny, choć on uważał ją za zaginioną. Będzie nosić tytuł *Ascot, czyli powrót kremu angielskiego*.

– Zaskakujący tytuł. – Kobieta się uśmiecha.

– Ostatnie pytanie – mówi Clémence Balmer, która domyśla się, że jej autor ma zupełnie co innego w głowie niż dbanie o właściwy przebieg konferencji prasowej.

– Andrea Hilfinger, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Jak by pan określił to, co wydarzyło się wczoraj wieczorem w Stanach Zjednoczonych?

– Mam to określić? Myślę, że Stany Zjednoczone Ameryki są już tylko nazwą. Zawsze istniały dwie Ameryki, które przestały się rozumieć. Ponieważ odnajduję się tylko w jednej z nich, ja również nie rozumiem tej drugiej.

Night show

Wtorek, 29 czerwca 2021
Ed Sullivan Theater, Nowy Jork

Główna makijażystka programu *Late Show with Stephen Colbert* z zachwytem przygląda się swojemu dziełu.

– Wygląda pani świetnie, Adriano. Korzystając z okazji, zmieniłam pani fryzurę.

– Stephen kończy swoje wprowadzenie – przerywa jej asystentka planu. – Proszę za mną. Kiedy dotknę pani ramienia, wchodzi pani na plan, okej? – Nie czekając na odpowiedź, asystentka wychodzi z garderoby.

Obie młode kobiety idą korytarzem w kierunku oświetlonego studia i czekają za czarną kotarą, aż zespół Stay Human skończy grać swój kawałek.

Siedzący za biurkiem na wprost publiczności Stephen Colbert, gwiazda CBS, przegląda notatki, a kiedy kamera na niego najeżdża, marszczy brwi.

– Dziś wieczorem mam zaszczyt gościć bardzo młodą aktorkę, której sława jest raczej względna (*okrzyki zawodu*). Nie bądźcie nieuprzejmi, nie przynoście mi wstydu (*śmiechy*). Panie i panowie, proszę powitać… Adrianę Becker. – Stephen Colbert podnosi dłoń, zapala się napis „Aplauz” i wybuchają oklaski.

Pojawia się szczupła młoda kobieta o wyglądzie nastolatki, w dżinsach, tenisówkach i ciemnoniebieskim swetrze z angory; ciemne kręcone włosy opadają jej na ramiona. Prowadzący podchodzi do niej i całuje ją w policzek, by dodać jej odwagi.

– Dzień dobry, Adriano. Bardzo się cieszę, że możemy cię u nas gościć.

– Dzień dobry, Stephenie, mnie też jest bardzo miło, że mogę tu być.

– Mam nadzieję, że jesteś pod wrażeniem. Pierwszy raz w telewizji?

– Tak.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. Pamiętam swoją pierwszą miłość i to, jak pierwszy raz poszliśmy na kolację do restauracji, było bardzo

romantycznie, zresztą do dzisiaj przechowuję rachunek (*śmiechy*). Adriano, masz dwadzieścia lat i jesteś aktorką. W maju mieliśmy okazję oglądać cię w *Romeo i Julii*. Kogo grałaś?

– Julię.

– Jasne, Julię. Gdzie była wystawiona sztuka?

– W Sandra Feinstein-Gamm Theater. – Nazwę teatru wymienia szeptem.

Z sali dobiegają okrutne parsknięcia. Młoda kobieta czerwieni się. Stephen Colbert unosi brwi, a ona dodaje:

– To jest w… Warwick na Rhode Island. Bardzo mały teatr…

– Nie ma powodu do wstydu, Adriano. Matt Damon debiutował jako statysta: był *pizzaiolo,* podawał klientowi margheritę i miał tylko jedną kwestię: „Pięć dolarów poproszę". Teraz wszystkim opowiada, że to była regina za siedem dolarów, ale on uwielbia się przechwalać (*śmiechy*). Przepraszam, Adriano. W jakiej sztuce będziesz teraz grać?

– W *Pożądaniu w cieniu wiązów,* pięcioaktówce Eugene'a O'Neilla. Gram młodą dziewczynę.

– Młodą dziewczynę? No to będzie problem, Adriano. Jeśli w sztuce występuje tylko jedna młoda dziewczyna. Jak sądzisz?

Adriana Becker wybucha śmiechem. Publiczność również, choć jeszcze nie rozumie, o co chodzi. Stephen Colbert uśmiecha się i rzuca w stronę kulis:

– A teraz, szanowna publiczności, proszę o burzę oklasków dla Adriany Becker! Tak, Adriany Becker!

Zza kotary wychodzi druga Adriana, identycznie ubrana, z wyjątkiem swetra, który tym razem jest czerwony. Osłupiała publiczność wstaje z miejsc, krzyczy, klaszcze, a Stephen Colbert podchodzi do młodej kobiety, całuje ją i prowadzi w kierunku kanapy, gdzie siedzi jej bliźniaczka. W reżyserce realizatorka zaciąga się elektronicznym papierosem, lekceważąc regulamin wewnętrzny i przepisy. Program jest świetny i w tym momencie kanał wygrywa zarówno z ABC, jak i z NBC. Stoi też za tym kilkanaście osób z działu społecznościowego, które tweetują, wrzucają zdjęcia na Instagram, puszczają na Facebooku transmisję live. Liczba lajków i udostępnień rośnie lawinowo.

Siedzą obok siebie, jedna z czerwonym, druga z niebieskim kosmykiem na czole, dyskretny, ale jakże istotny pomysł makijażystki. Oklaski przedłużają się, a Colbert wraca za biurko.

– Dzień dobry, Adriano.

– Dzień dobry, Stephenie – odpowiada nowo przybyła.

– Nie jesteście bliźniaczkami?

– Skądże znowu – odpowiadają obie kobiety równocześnie z takim samym uśmiechem i równie energicznie.

– Hej! Publiczność chyba zrozumiała (*śmiechy*). Od kilku godzin nie mówi się o niczym innym, tylko o was. Dla rozróżnienia będę was nazywać Adriana June i Adriana March. June i March to kryptonimy FBI, prawda?

– Tak.

– June na czerwono, March na niebiesko, tylko tak mogę was rozróżnić… Nie przeczcie, produkcja zainwestowała dzikie pieniądze w te dwa swetry i farbowanie waszych kosmyków.

– Okej. – Obie kobiety reagują identycznie i równocześnie ku zachwytowi publiczności.

Młoda Adriana, a właściwie młode Adriany robią furorę.

– Adriano June, ty nie grałaś Julii, prawda?

– Nie.

– Nie grałaś, bo premiera *Romea i Julii* odbyła się w maju. Kiedy lądowałaś pięć dni temu w bazie wojskowej McGuire, gdzie byłaś przetrzymywana z dwustu czterdziestoma dwiema innymi osobami, byłaś pewna, że jest marzec, prawda?

– Tak, Stephenie. Nie mogę podać dokładnej daty, FBI nam zabroniło. Ze względu na bezpieczeństwo wszystkich osób.

– Rozumiem. Chciałbym wiedzieć i sądzę, że publiczność też chciałaby zrozumieć, w jaki sposób się dowiedziałaś, że istniejesz „w dwóch osobach”? – Przygląda się bacznie obu kobietom. – Adriano March, wczesnym rankiem w niedzielę przyszło do ciebie FBI, właściwie do twoich rodziców w… – Colbert bez pośpiechu zagląda do notatek – w Edison, w stanie New Jersey. Rodzice musieli być przerażeni… Ty też…

– Tak, agenci FBI powiedzieli, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego. Mimo wszystko starali się nie wzbudzać paniki.

– Nie da się ukryć, że dwóch agentów FBI, którzy wpadają do ciebie o świcie, to widok w najmniejszym stopniu niebudzący paniki (*śmiechy*). A potem?

– Przewieziono mnie do bazy wojskowej śmigłowcem. I…

– Pierwszy raz leciałaś śmigłowcem?

– Tak.

– Straszny hałas. Jak pralka w fazie wirowania. Śmigła, wiatr i w ogóle. Nie znoszę śmigłowców. – Stephen Colbert żeruje na niecierpliwości widzów, ale doskonale wie, kiedy i gdzie się zatrzymać. – A po wylądowaniu w bazie?

– Zaprowadzono mnie do dużego budynku administracyjnego, którego pilnowali żołnierze, do sali ze stołem i kilkoma krzesłami, usiadłam, a obok mnie psycholożka i oficer FBI.

– Co ci powiedziano?

– Że mam się nie obawiać, że przeżyję niezwykły moment.

– I właśnie wtedy… – mówi Stephen Colbert.

– Weszłam ja – wtrąca Adriana June. – Też w towarzystwie psychologa.

– To musiał być dla was szok. Dla psychologów też… (*śmiechy*)

– Dopiero po kilku sekundach zrozumiałam, że naprzeciwko mnie stoi… stoję… ja – podejmuje kobieta w niebieskim swetrze. – W głowie mi się kręciło, zaczęłam się zastanawiać, kim jestem i czy naprawdę istnieję.

– A teraz ty, Adriano June, opowiedz, jak to było.

– Samolot wylądował trzy dni wcześniej…

– Według ciebie w marcu…

– Tak. Przeszliśmy przez turbulencje, samolot był uszkodzony. Przez jakiś czas zostałam bez kontaktu ze światem zewnętrznym, bez komórki, bez niczego…

– Nie mogłaś nawet grać w Candy Crush? (*śmiechy*) Czyli trzeciego dnia rano, w poniedziałek…

– Przyszli po mnie, powiedzieli mi to samo, niezwykły moment i tak dalej, i że spotkam kogoś, z kim spotkanie jest niemożliwe…

– A ty pomyślałaś, że o kogo chodzi?

– Wiem, że to absurdalne, ale sądziłam, że zobaczę babcię. Umarła w styczniu… (*pełne emocji okrzyki publiczności*)

– Przykro mi, Adriano. Najszczersze kondolencje.

– Weszłam do pomieszczenia… – Adriana June patrzy na Adrianę March, która się uśmiecha.

Publiczność znowu klaszcze. Nie chcąc tracić rytmu, Colbert mówi dalej:

– Mój Boże… Na waszym miejscu chyba dostałbym zawału. A może nawet dwóch zawałów (*śmiechy*). Nie byłaś przerażona? Adriano March?

– Oczywiście, że byłam. Na początku bałyśmy się do siebie odezwać, tylko odpowiadałyśmy na pytania psychologów i pani oficer FBI. Puścili

nam wideo… wyjaśniające. Na którym widać było kabinę w chwili… w momencie…

– Dywergencji czy też anomalii. – Stephen Colbert kończy zdanie, przeglądając notatki.

– Tak. Potem zaproponowano nam, żebyśmy zadawały sobie wzajemnie pytania, jakie tylko chcemy. FBI chciało pokazać każdej z nas, że ta druga nie jest… czy ja wiem, jakimś klonem. Że mamy takie same wspomnienia, takie samo życie.

– Takie samo życie do marca i tego lotu Paryż–Nowy Jork – precyzuje Stephen Colbert. – Adriano March, zadawałaś tamtej drugiej jakieś pytania, na które tylko ty znałaś odpowiedź, czy tak?

– Tak. Zapytałam o coś, co się zdarzyło w wieczór sylwestrowy, ale o czym wiem tylko ja – mówi nieśmiało Adriana March.

– O coś, o czym wiemy my dwie – dodaje Adriana June (*śmiechy*).

W zasadzie jest ich troje: one dwie i ich młodszy brat, do jego pokoju Adriana nigdy nie powinna była wchodzić bez pukania, aby dać mu czas na zamknięcie komputera.

– Macie niesamowite szczęście – Stephen Colbert się uśmiecha. – Ja tak się upiłem w wieczór sylwestrowy, że do czwartego stycznia w południe nie mam żadnych wspomnień (*śmiechy*). A czy teraz jesteście już przekonane, że… obie jesteście Adrianą?

– Absolutnie przekonane – odpowiadają równocześnie, budząc rozbawienie u zafascynowanej publiczności.

– Czasami tak sobie myślę, że uniknęliśmy prawdziwej katastrofy, przecież to się mogło wydarzyć na pokładzie Air Force One. Wyobrażacie sobie? Dwóch prezydentów? (*okrzyki i oklaski*) We dwóch w jeden dzień rozwaliliby Twittera. Przypuszczam, że przedstawiono wam jakieś hipotezy naukowe, te same, które od pewnego czasu krążą po całej prasie…

Obie kobiety przytakują, a prowadzący mówi dalej:

– Czy jest jakaś interpretacja, która wydaje się wam bardziej wiarygodna od pozostałych?

Potrząsają głowami.

– W każdym razie moim zdaniem nie jesteście żadnymi symulacjami. Niektórzy sądzą, że wszyscy, dwieście czterdzieści trzy osoby, są kosmitami. Że mają zamiar najechać Ziemię (*śmiechy*). Jakie są teraz wasze plany? Adriano June, ty oczywiście wróciłaś do rodziców, u których mieszkasz…

– Dostałam dawny pokój brata, który studiuje na Uniwersytecie Duke’a. Widziałam się z nim wczoraj wieczorem, kiedy FBI odwiozło nas do domu.

– Ma na imię Oscar, prawda? Jak zareagował? Adriano March?

– Co najmniej dziesięć razy powtórzył „to jakiś obłęd”. I zaproponował, żebyśmy się inaczej czesały.

Publiczność się śmieje, one też, a Stephen Colbert przenosi wzrok na kamerę.

– Oscar jest tu z nami. Waszym rodzicom też proponowaliśmy, żeby do nas dołączyli, ale odmówili. Jak wam się z nimi układa?

Obie kobiety patrzą na siebie. June odpowiada jako pierwsza.

– Matka się boi. Dzisiaj rano nie odważyła się mnie pocałować.

– Boi się nas obu – dodaje Adriana March. – Nie rozróżnia nas. Sądzi, że jedna z nas jest…

– „Fałszywa” – uzupełnia Adriana June.

– A ojciec?

Kobiety milkną. W produkcji żałują, że nie poinformowali Stephena Colberta o wszystkim: poprzedniego dnia, kiedy Adriany powróciły do Edison, wcześniej przyjechali agent FBI i psycholożka. Długo tłumaczyli rodzicom niewytłumaczalne. Matka w kółko powtarzała Ale jak to, na Boga, jest możliwe? A kiedy w końcu weszły, ojciec, który siedział załamany na kanapie, podniósł się z przerażeniem w oczach, bez słowa ruszył rakiem po schodach na górę i zamknął się w swoim pokoju. Trzeba było długo pertraktować przez drzwi, żeby się zgodził wyjść. Jego zachowanie do tego stopnia niepokoiło FBI, że Biuro wymogło, by jeden agent był stale na miejscu.

Colbert zdaje sobie sprawę, że lepiej unikać tego tematu. Zanim zrobi się niezręcznie, obraca się w stronę Adriany w czerwonym swetrze.

– Każdy miałby kłopot z przystosowaniem się do tak wyjątkowej sytuacji. Przy czym „wyjątkowa” nie jest tu właściwym słowem (*śmiechy*). Rodzice was kochają i na pewno będą szczęśliwi, mając dwie tak wspaniałe córki.

Publiczność reaguje na tę bajkę długimi oklaskami, aż Colbert musi przerwać owację.

– A jak się układa między wami?

– Dobrze – mówi Adriana June. Adriana March kiwa potakująco głową.

I nie jest to żadne kłamstwo. Obie kobiety nie czują się rywalkami. Mają całe życie przed sobą, przyszłość należy do nich, niczego jeszcze nie muszą

dzielić.

– Masz chłopaka, Adriano June? Spokojnie, nie jestem hiszpańską inkwizycją, nikt nie będzie mieć ci za złe, jeśli zachowasz to dla siebie.

– Nie, mogę odpowiedzieć. Jestem singielką.

– Cóż, Adriano, przyznanie się do tego na antenie nie było może najlepszym pomysłem (*śmiechy*). – Colbert obraca się w stronę Adriany niebieskiej. – A ty, Adriano March? Może od marca kogoś poznałaś?

– Tak, trzy miesiące temu.

– Dziękuję, że się tym z nami podzieliłaś, Adriano. Jak on ma na imię?

– Nolan.

Wśród publiczności rozlega się radosny szmer. W reżyserce zachwyt: miłość to produkt, który zawsze przyciąga.

– O ile wiem – mówi dalej Stephen Colbert – Nolan był jednym z twoich partnerów w *Romeo i Julii*. Ale chyba nie grał Romea?

– Nie, Merkucja.

– Ach, Merkucja! Najlepszego przyjaciela Romea. Czy Nolan-Merkucjo jest może wśród nas na tej sali?

Światło reflektora powoli omiata rzędy publiczności, dojeżdża do pierwszego i zatrzymuje się na wysokim, szczupłym ciemnowłosym chłopaku, który szeroko się uśmiecha i wstaje przy aplauzie publiczności.

– Panie i panowie, powitajcie Nolana Simmonsa. – Colbert wyciąga rękę i pomaga mu wejść na podium.

Oklaski nie milkną, co było do przewidzenia. Adriany uśmiechają się, witają go, Adriana March trochę się kryguje, Adriana June patrzy na Nolana ze zdziwieniem w oczach, co wzbudza powszechną wesołość. Spotkała Nolana za kulisami, ale udaje zaskoczenie, to jej sposób na przykucie uwagi. Ani jednej, ani drugiej nie było trudno przekonać do odegrania tej scenki, Nolana zresztą też. *Late Show with Stephen Colbert* to bardzo dobry program rozrywkowy, a one wybrały swój zawód nie po to, żeby unikać blasku fleszy i przywdziewać szaty fałszywej skromności. Wszyscy biorą udział w grze dla dobra spektaklu.

– Możesz pocałować swoją dziewczynę, Nolan. Tylko się nie pomyl (*śmiechy*).

Chłopak czule całuje Adrianę March w policzek i krótko ściska dłoń Adriany June. Stephen Colbert potrząsa głową.

– Spokojnie, chłopcze – mówi. – Nikt nigdy nie był przygotowany na taką sytuację. Powiedz mi prawdę, Nolan, czy gdybyś się z nimi minął

w garderobie, wiedziałbyś, która jest która? A gdybym powiedział, że na samym początku poprosiliśmy każdą z nich, żeby odegrała rolę tej drugiej? Gdybyśmy spróbowali wprowadzić cię w błąd?

Wśród publiczności podnosi się szmer zaskoczenia. Nolana ogarnia zwątpienie, traci pewność siebie i instynktownie cofa się o krok od Adriany March. To już nie jest zabawne. Nagle ludzie zaczynają się niepokoić, pojawia się dyskomfort, a Colbert od razu żałuje swojego pomysłu.

– Nie denerwuj się, Nolan. To jest twoja Adriana (*okrzyki ulgi*). To był bardzo kiepski żart, nie potrafiłem się oprzeć. Wybacz…

Nolan ponownie bierze Adrianę March za rękę. Stephen Colbert krzywi się. Ma sobie za złe, że obnażył swoje okrucieństwo tylko dlatego, że poszedł w improwizację. Zagląda do notatek i powraca na wyznaczony tor.

– A więc… Jak teraz podzielicie się rolami?

Stephen Colbert znowu tryska dobrodusznym humorem, ale w reżyserce czuć już popłoch. Na kilku ekranach widać ulicę przed Ed Sullivan Theater. Od momentu gdy pojawiły się pierwsze informacje w mediach społecznościowych, dziesiątki chrześcijańskich fanatyków napłynęły pod teatr, a kilka minut temu zaczęły go oblegać.

– Nie sądziłam, że w Nowym Jorku mamy tak dużo bożych oszołomów – mówi producentka z cierpkim uśmiechem.

Tego wieczoru siły bezpieczeństwa podwojono, zbyt cienki kordon policji próbuje utrzymać napastników na dystans, ale przed kamerami monitoringu manifestanci wyją, plują nienawiścią i strachem, wznoszą banery: „*Vade retro*”, „Córy piekła”, „Jesteście dziećmi szatana”, „Bluźnierstwo”…

– Bluźnierstwo? Jakie bluźnierstwo? – pyta producentka.

– Czytałam, że oni uważają duplikaty za przeklęte – mówi asystentka. – Między innymi ze względu na dziesiąte przykazanie.

– A które to?

– No przecież pani wie… „Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego, nie będziesz pożądał domu bliźniego twego” i tak dalej. Oczywiście duplikaty nie mogą go przestrzegać, bo posiadają to samo. Z drugiej strony można dowodzić, że nie są dla siebie „bliźnimi”…

– Tja… Wątpię, by ci obłąkańcy zajmowali się teologiczną egzegezą.

Nagle, w chwili gdy przybywa oddział wsparcia mający wzmocnić linię obrony, nadlatuje płonący koktajl Mołotowa, który rozbija się przy wejściu do teatru. Jego pracownicy szybko gaszą pożar, policjanci odpychają

manifestantów, wyciągają pałki, zaczynają się zatrzymania, ale nic to nie daje, podniecony tłumek jest coraz liczniejszy, przewraca barierki, próbuje utorować sobie drogę do schodów.

Program się kończy i Colbert, powiadomiony o incydentach, zwraca się do publiczności:

– Drodzy przyjaciele, musimy zostać w teatrze nieco dłużej. Na zewnątrz odbywa się bardzo agresywna manifestacja, są starcia z policją. Pozwalając wam teraz wyjść, narazilibyśmy was na niebezpieczeństwo. Tak więc oto moje ostatnie pytanie do obu pań: FBI ostrzegało was o zagrożeniu ze strony fanatyków religijnych. Słyszeliśmy deklaracje kierownictwa niektórych związków wyznaniowych, w których obie zostałyście uznane za szatańskie kreatury i „abominacje". Dostałyście groźby śmierci, prawda?

– Tak, są ich setki na moim koncie facebookowym, to znaczy na naszym koncie…

– Tak mi przykro. Co chciałybyście powiedzieć tym ludziom, którzy czasami po prostu boją się tego, czego nie rozumieją? – Stephen Colbert milknie i zapada cisza.

To kulminacyjny punkt programu, który wszyscy będą pamiętać. Stephen i dziewczyny z reżyserki wraz ze specjalistami z komórki kryzysowej długo nad tym pracowali. Adriana June – tak zdecydowali specjaliści, gdyż to ona zdaniem większości jest intruzem – ma wygłosić wielokrotnie przećwiczone oświadczenie, które powinno wyglądać na improwizację.

– Nie wiem oczywiście, jakim sposobem samolot mógł wylądować po raz drugi – mówi spokojnie Adriana June. – Nikt tego nie wie, *Tak, przede wszystkim mówić powoli, pewnym głosem, pokazać, że z trudem znajdujesz słowa, przekazać emocje*. Wszystkim, którzy się boją, pragnę powiedzieć, że ja również się boję. Niech każdy spróbuje sobie wyobrazić, co my przeżywamy. Nie zostałam „wybrana". Ani ja, ani którykolwiek z dwustu czterdziestu dwóch pozostałych pasażerów. To, co mi się przydarza, co nam się przydarza, mogłoby się przydarzyć każdej z obecnych tu osób. Nie jestem nikim ważnym… *Jeśli się uda, powtórzyć to, nie, to byłoby zbyt wiele*. Nie ma we mnie niczego wyjątkowego, *zrobić pauzę*, jestem dziewiętnastoletnią dziewczyną mieszkającą w Edison, która chce zostać nauczycielką, *Nie mówić „wykładowcą francuskiego", dużo ludzi nie lubi Francuzów, nie używać słowa „wykładowca", tylko „nauczycielka", to*

prostsze, wszyscy lubią nauczycielki, młodą kobietą grającą amatorsko w teatrze, *podkreślić słowo „amatorsko”*, która na początku marca wracała z Europy, *lepiej powiedzieć „Europy” niż „Francji”*, a teraz okazuje się, że wróciła w czerwcu i nie rozumie, co się z nią dzieje, ale będzie musiała sobie z tym poradzić. *Jeszcze jedna pauza, zaplątać się, przez chwilę nie znajdować słów*. A ta druga dziewczyna, która stoi naprzeciwko mnie i jest mną tak samo, jak ja jestem sobą… też będzie musiała sobie z tym poradzić. Tamta Adriana przeżyła o trzy miesiące więcej niż ja, ale mamy te same wspomnienia, tak samo wierzymy w Boga, *Omal nie zapomniałam o Bogu, cholera, to przecież najważniejsze, tak bardzo to podkreślali, przypomnieć, że jestem wierząca, byłabym zapomniała, to jakiś obłęd*, mamy tych samych przyjaciół, tych samych rodziców, obie ich kochamy, a nawet musimy nosić te same ubrania, bo należą do nas obu.

– A do tego – przerywa jej Adriana March – w tej samej chwili mamy ochotę założyć to samo. *To był pomysł Colberta, zresztą niezły, poczekać na śmiech i jechać dalej*.

– To prawda – mówi Adriana June. – Od tej chwili nasze życia oczywiście się rozejdą. To już się zaczęło. *Obrócić się w stronę Nolana, czekając na emocje publiczności*. Nie wiem, co byśmy zrobiły, gdybym poznała Nolana przed wyjazdem do Europy, gdybym się w nim zakochała. *Nie zatrzymywać się na tym dłużej, pozwolić publiczności, żeby zdała sobie sprawę ze skali zamieszania*. To jedna z wielu rzeczy, które mi krążą po głowie.

– Sądzę… – mówi Adriana March, *Zmienić trochę głos, podkreślić możliwość różnicy między nimi*. – Chciałabym, żeby ludzie nie bali się ani mnie, ani tej drugiej Adriany, ani nas. Żeby byli życzliwi. *Tu zrobić dłuższą pauzę. I przejść do zakończenia*. Jesteśmy zagubione, potrzebujemy miłości tych, którzy są nam bliscy. *Spuścić wzrok, wziąć Adrianę June za rękę, poczekać na oklaski. Jeśli poczujecie, że możecie płakać, koniecznie się rozpłaczcie*.

Łza spływa po policzku Adriany June, nie musiała się zmuszać, emocje biorą górę, mogłaby zacząć szlochać. Adriana March podchodzi, przytula ją, a Stephen Colbert uśmiecha się do niej.

– Bardzo wam obu dziękuję. Wiem, że wiele osób was rozumie. Mam ostatnią prośbę: wasz brat mi powiedział, że w wieczór wigilijny śpiewałyście w domu słynną bossa novę *The Girl from Ipanema*.

– W wersji Amy Winehouse, tak – mówi Adriana June.

– A więc… zanim nas opuścicie… Czy mogłybyście?…

Publiczność krzyczy, dziewczyny się uśmiechają.

– Chciałbym dodać, że zaśpiewacie bez przygotowania – precyzuje Colbert, bezwstydnie kłamiąc, gdyż odbyły półgodzinną próbę.

Perkusista Stay Human zaczyna od spokojnego charlestona na werblu, po czym przechodzi do bossa novy Jobima i Moraesa, światło łagodnieje, jego dwa miękkie strumienie padają na dziewczyny, czerwony na jedną, niebieski na drugą, zacierając różnice między nimi. Gra kolorów to pomysł produkcji. Vinicius de Moraes powiedział kiedyś o swojej piosence, że mówi ona o upływającym czasie, o smutnym pięknie, które należy do wszystkich i do nikogo, o melancholijnych przypływach i odpływach. I plaża w Ipanemie pojawia się na planie *Late Show with Stephen Colbert*, kiedy jedna z Adrian zaczyna śpiewać, a od drugiego wersu dołącza do niej jej bliźniaczka: *Tall and tan and young and lovely*…

Obie Adriany śpiewają w idealnym duecie o wdzięcznej syrenie z Ipanemy, która idzie po drobnym piasku w stronę morza. Jedna zaczyna frazę, druga ją kończy; grając na tym, że są razem, a jednak są różne, harmonia ich głosów ociera się o magię i wywołuje ciarki na plecach. A każdy wzbudzony przez nie dreszcz zawiera homeopatyczną dawkę strachu.

– To jest diabelnie dobra telewizja – mówi w reżyserce dziewczyna z produkcji. – Diabelnie dobra.

Głos w głowie Jacoba Evansa

Wtorek, 29 czerwca 2021, 23 : 00
Ed Sullivan Theater, Nowy Jork

Ręka Boga nigdy nie słabnie. A to On prowadzi Jacoba Evansa. Jacob urodził się w wierze chrystusowej w Scottsville w stanie Wirginia, a od swojego ojca Johna dowiedział się, że ci, którzy nie przychodzą na świat w cierpieniu, nie są stworzeniami boskimi, gdyż wszelkie życie pochodzi od Boga; niemilknący głos w jego głowie powtarza słowa, które słyszał, kiedy był jeszcze dzieckiem i pracował na farmie.

Kiedy Abominacja została ujawniona w mediach i sieciach społecznościowych, Bóg poprowadził Jacoba Evansa. Pierwszego dnia on i jego bracia z Armii Dnia Siódmego zgromadzili się w kościele baptystycznym i wysłuchali wielebnego Robertsa, który mówił o stworzeniach i o szatanie, o legionie bez wiary, legionie wszystkich tych, którzy obrazili Boga, gdyż jest powiedziane w Apokalipsie Jana, iż nastąpiły błyskawice i wielkie trzęsienie ziemi, i grad ogromny o wadze jakby talentu spadł z nieba na ludzi, i dzięki Bogu, który wie i prowadzi, wielebny Roberts, a wraz z nim Jacob i wszyscy wierni rozpoznali burzę i samolot złapany w świętą nawałnicę, którą Pan postawił na ich drodze. A w samolocie byli wszyscy ci, którzy bluźnili przeciw Bogu z powodu plagi gradu, która zaprawdę była wielka.

I ekstaza Pana przebiegła przez ciało Jacoba Evansa, Jego gniew wszedł w jego ramiona, a On chciał, by Jacob wypełnił Jego chwałę w świecie ludzi.

Są wyjaśnienia dawane i powtarzane przez gazety, są dyskusje między ekspertami i uczonymi, ale *Wytracę mądrość mędrców, a przebiegłość przebiegłych zniweczę*, gdyż tak, Jacob pamięta Izajasza, a jest pychą i pogardą wobec Wszechmocnego szukanie w sobie własnego zbawienia. Oto posłanie, jakie Paweł przekazuje do Koryntian, którzy chcą się wyzwolić od przesłania Pana i mądrości poszukują w próżności człowieka,

w którym przecież powinny panować pokora i lęk przed Bogiem, i wiara w Pana naszego, Jezusa Chrystusa. *Zmartwychwstał, zaprawdę zmartwychwstał*. W przesłaniu, które Bóg przekazuje w Abominacji, nie ma innego zbawienia jak poprzez chwałę Pana i wyrzeczenie się Zła. Oczy Jacoba były zamknięte, o tak, ale oczy Najwyższego szeroko je otworzyły na noc.

W samym sercu tego niegasnącego pożaru, jaki od zawsze trawi Amerykę, w tej wojnie, którą ciemnota prowadzi przeciw inteligencji, a rozum krok za krokiem cofa się przed ignorancją i niedorzecznością, Jacob Evans przywdziewa ciemny pancerz swojej prymitywnej absolutnej nadziei. Religia to mięsożerna ryba morskich czeluści. Emituje słabe światło, a żeby zwabić ofiarę, potrzebuje ciemności.

Evans i inni członkowie Armii Dnia Siódmego przez siedem godzin jadą w kawalkadzie samochodów ozdobionych krzyżem Chrystusa Zbawiciela, by wykrzyczeć złość Boga pod bazą wojskową, lecz żołnierze ich przeganiają. A wtedy, dzięki Bogu, Instagramowi i Facebookowi, Jacob dowiaduje się, że tego wieczoru jedno z Monstrów pokaże światu swoją twarz, z niesmakiem i wściekłością przygląda się tej brunetce, która, Jacob nie ma wątpliwości, ucieleśnia Wielkie Kłamstwo i perfidię Upadłego Anioła.

Jacob i wielu innych zmierzają do teatru CBS, wysiadają na stacji przy Pięćdziesiątej Ulicy, wśród neonów i wielobarwnych świateł Broadwayu. Idą przez Wielki Babilon, przez Wielką Nierządnicę udającą miasto, lecz policja blokuje dostęp od południa, a metalowe barierki chronią wejście do sali. Podekscytowany tłum rośnie dzięki niekończącym się wezwaniom w mediach społecznościowych.

O północy pierwsza butelka z materiałem wybuchowym rozbija się o podświetlany daszek nad wejściem, ogień wywołuje krótkie spięcie, gasząc tysiące żarówek i neon *Late Show with Stephen Colbert*, ale Jacob prze do przodu wśród płomieni, *Nie obawiaj się Piekła, bowiem Jezus w sercu się raduje*. Policja szarżuje, zatrzymuje protestujących. Jacob błaga Pana, by mu pozwolił zbliżyć się do Nieczystych i wypełnić Jego wolę, otoczony przez ogień modli się do Pana, wiedząc, że wkrótce zazna słodyczy Raju wśród wybranych.

Ze swoich wyżyn Pan spogląda na swoją owieczkę, Jacoba Evansa, i prowadzi go na Pięćdziesiątą Trzecią Ulicę. Jacob idzie skąpany Jego światłem, albowiem *Mój Pan drogę zna*. I podczas gdy jego bracia

w wierze wznoszą okrzyki na Broadwayu, Jacob widzi czarną limuzynę wyjeżdżającą z podziemnego parkingu o kilka metrów od niego. Limuzyna próbuje skręcić w lewo, by uciec przed manifestacją wiernych, lecz ulica jest tak zatłoczona, że samochód stoi unieruchomiony na wysokości Deli Special Broadway. Ktoś szybko podnosi tylne szyby, ale w ostrym świetle nowojorskiej nocy Jacob dostrzega na tylnej kanapie dwie młode kobiety o tak podobnych do siebie twarzach. *Niezgłębiona jest mądrość Pana*. Nieczyste chichoczą i śmieją się, pokazując wszystkie zęby w swoich nieczystych ustach, a ich anielskie twarze przypominają krzywoprzysięską maskę Anioła Ciemności. *Pan poprowadzi mój miecz, aby wywarł pomstę*.

Niechaj zginą wszelkie Stworzenia, a *niebiosa ogarną ludzi*, zaś Jacob wyjmuje z kieszeni grendela P30, *a światło będzie błyszczeć tak lekkie i ciepłe, Podtrzymaj mą rękę, Panie*, po czym strzela przez szybę, która eksploduje *W imię Jezusa Chrystusa zaprawdę ja was przepędzę*, a wokół niego ludzie krzyczą z przerażenia, strzela jeszcze raz, a strzał rozrywa jedną twarz, *Archanioł Gabriel zstąpi we mnie*, Jacob wciąż strzela, opróżniając magazynek w kierunku drugiej, zalanej krwią Adriany, pada na kolana, *Jezus Chrystus się narodził*, przewraca się na brudny asfalt, leży na ziemi, Chrystus zbawiciel o szeroko rozłożonych ramionach, *Ale rzeknij jedno słowo, a będzie zbawiona dusza moja*, i podczas gdy policjanci rzucają się na niego, skuwają mu ręce na plecach, wśród wycia syren i ostrych świateł policyjnych kogutów i fleszy, *Pan jest moim pasterzem, On daje i odbiera*, Jacob Evans, uśmiechnięty z zamkniętymi oczami, widzi, jak z paszczy Smoka i z paszczy Bestii i z ust Fałszywego Proroka wychodzą trzy duchy nieczyste jakby ropuchy.

Zniknięcia

Środa, 30 czerwca 2021
Clyde Tolson Resort, Nowy Jork

Czterdzieści trzy minuty po północy. W budynku FBI na wszystkich ekranach na okrągło lecą kanały informacyjne, a ekipa protokołu 42 ogląda wiadomości o podwójnym morderstwie. Pierwsza nad ranem: CBS nadaje program specjalny. Załamany Stephen Colbert rozmawia na antenie z dziennikarzami wyspecjalizowanymi w zagadnieniach religijnych. Wezwanie do spokoju wystosowane przez Pudlowski i jej ekspertów na nic się nie zdało: w kazaniach na Hope Channel gani się kult fałszywych proroków, na Fox News telewizyjni ewangeliści grzecznie potępiają zbrodnię, jednocześnie opowiadając o zbliżającym się końcu świata. Rano Gallup i inne sondażownie przeprowadzają ankiety uliczne: czterdzieści cztery procent Amerykanów uważa, że jest to „znak końca czasów", trzydzieści cztery procent sądzi, że koniec jest „blisko", a dwadzieścia pięć procent, że wręcz „bardzo blisko". Jeden procent uważa, że ów koniec już nastąpił. W ciągu dnia na całym świecie tłumy napływają do miejsc kultu. Kiedy siedem miliardów ludzi odkrywa, że być może nie istnieje, sprawy naprawdę się komplikują.

Rozwścieczona Jamy wielkimi krokami krąży po sali konferencyjnej Clyde Tolson Resort, dokąd się przeniosła ekipa protokołu 42. Powtarza:

– Wszystkim pasażerom musimy zagwarantować anonimowość. Podobnie jak w przypadku świadków w procesach mafii. Ci ludzie muszą mieć możliwość rozpłynięcia się, zmiany tożsamości.

A przecież ostrzegała, że Bóg okaże się problemem… Ponieważ nic nie jest w stanie zaprzeczyć Jego wszechmocy, ten boeing, który pojawił się znikąd, wpisuje się w boży plan. Na ironię zakrawa fakt, że przyjmując hipotezę symulacji, jednej rzeczy nie można już kwestionować: człowiek jest tworem jakiejś wyższej inteligencji. Któż jednak byłby gotów wielbić autora monumentalnej gry fabularnej?

– Od przemowy prezydenta – wtrąca Mitnick – szpitale zgłaszają falę samobójstw. Wiele osób o słabej konstrukcji psychicznej już przeszło do czynów. Teorie spiskowe biją rekordy popularności: cała sprawa jest oszustwem, historyjka o symulacji ma na celu ośmieszenie wszelkiej walki, od walki z kapitalizmem po walkę z ociepleniem klimatu. Płaskoziemcy widzą w tym potwierdzenie swoich przekonań. Wiele innych teorii pomijam.

– Nie wolno ufać ludziom, którzy każą nam nikomu nie ufać – podsumowuje Pudlowski.

– Kosmici też dokonali fantastycznego comebacku – dodaje Mitnick. – Ale cóż, tego nie da się uniknąć… No i jeszcze ta dziewczyna, Tomi Jin, influencerka… Właśnie wrzuciła posta.

Mitnick pokazuje na ekranie selfie szczupłej brunetki o amerykańsko-azjatyckim pochodzeniu. Dostało już tysiąc pięćset dwanaście lajków. Dziewczyna ma na czole kosmyk szkarłatnych włosów, a pod spodem widnieje napis: „1, 2, 1000 Adrian”. O drugiej w nocy post ma dwanaście tysięcy osiemset szesnaście udostępnień. O ósmej rano będzie ich siedem milionów. A wczesnym rankiem wszędzie, od Paryża po Rio, od Hongkongu po Nowy Jork, tysiące ludzi maszerują ulicami z czerwonym kosmykiem Adriany June. Przesłanie jest niezbyt jasne, lecz totalna swoboda wypowiedzi panująca w internecie tym dobitniej pokazuje, że ludzie przestali myśleć.

Mija kilka godzin, a ponieważ empatia, emocja i śmieszność dobrze się sprzedają, na rynku pojawiają się T-shirty z napisami: *Stimulate me, don’t simulate me*; *I’m a program, reset me*; *I am 1, U are 2, we are free*. Komicy w porannych programach prezentują skecze o duplikacji.

– Wiesz, co to jest symulacja, Hillary? – pyta dziennikarz imitatorkę znanych postaci.

– Peter – odpowiada głos Hillary Clinton – wszystkie kobiety w Ameryce wiedzą, co to jest symulacja.

*

Dotychczas zaledwie około setki uczonych spekulowało, siedząc w hangarze. Nagle okazuje się, że dziesięć milionów badaczy na całej planecie ma debatować nad ich teoriami, proponując alternatywy.

„Fotokopiarka” i „tunel czasoprzestrzenny” znajdują mało zwolenników. Co robić, jeśli najprostsza teoria okazuje się zarazem najbardziej szalona.

Astrofizycy nie lubią jednak symulacji. Agencje kosmiczne tym bardziej. Badanie przestrzeni pozaziemskiej pochłania ogromne koszty, ale jeśli żadnej przestrzeni pozaziemskiej nie ma, to sprawa staje się kosmicznie nieopłacalna. Teoretykom cząstek też się to nie podoba. A co z ich pięknymi cząstkami, kwarkami, gluonami, czarną materią? Wszystko miałoby być wirtualne? A te olbrzymie akceleratory, z których są tak dumni, jeden wielki żart w 3D? A czas? Jeżeli nawet czas jest tylko sztuczką, jak w grach wideo, gdzie wszystko jest skalibrowane i spowolnione, by człowiek miał szansę w nich zagrać, jak mierzyć czas rzeczywisty na podstawie naszego czasu wirtualnego? Do oburzonych dołączają biolodzy. A ewolucja, wymieranie gatunków, zanikanie różnorodności biologicznej? Wszyscy jednak wiedzą: wszechświat, wirtualny lub nie, rządzi się prawami, które są coraz lepiej znane. Wszyscy naukowcy od lat zajmują się jakimiś symulacjami, używając potężnych kalkulatorów, których moc w ciągu dziesięciu lat zwiększyła się stukrotnie. A bez trudu wyobrażają sobie maszyny miliardy miliardów razy potężniejsze.

W środę rano lepiej nie mierzyć wydajności pracy. Prawdę mówiąc, jedyni, którzy naprawdę pracują, to mężczyźni i kobiety zajmujący się protokołem 42.

W środę rano rusza bowiem operacja „Hermes”. To Meredith wymyśliła kryptonim, odwołujący się do podróży i tajemnicy wokół wszystkich pasażerów lotu 006, których teraz trzeba „zniknąć”. Zbrodnia Jacoba Evansa przynajmniej ostatecznie przekonała pasażerów, że są na celowniku, co do czego przynajmniej w Stanach Zjednoczonych wszyscy się zgadzają. NSA zniszczyła wszelkie cyfrowe ślady lotu, francuscy i amerykańscy agenci przejęli całą jego dokumentację. Ludzie wiedzą tylko, że chodziło o marcowy lot Air France z Paryża do Nowego Jorku, ale takich lotów było ponad dwieście.

*

Środa, 30 czerwca 2021

Studio 4, France 2, esplanada Henri-de-France, Paryż

Prawda jest taka, że w ciągu kilku godzin świat pogrążył się w bezsensie. O ile religia przynosi odpowiedzi doktrynerskie i fałszywe, o tyle te, które stara się przynieść filozofia, są abstrakcyjne i błędne. Wszędzie na świecie mnożą się talk-show. Szczególnie we Francji, kraju o legendarnej koncentracji medialnych filozofów. Jeden z nich nazywa się Filomedes. Niech tak będzie. Oto widzimy go w studiu ogólnokrajowego kanału telewizyjnego w towarzystwie innego gościa, Victora Miesela.

– Nie chciałbym się wypowiadać – mówi Filomedes – na temat samej teorii symulacji. Według mnie jednak ona niczego nie zmienia. Jestem materialistą: nie ma różnicy między myśleniem a sądzeniem, że się myśli, a więc również między sądzeniem, że się istnieje, a istnieniem.

– Mimo wszystko, Filomedesie – mówi prowadząca – prawdziwe i wirtualne istnienie to nie to samo.

– Proszę wybaczyć, ale owszem, to jest to samo: myślę, więc, nawet jeśli jestem tylko myślącym programem, jestem. Odczuwam miłość i ból w taki sam sposób, i tak samo umrę. A moje czyny mają takie same konsekwencje, niezależnie od tego, czy mój świat jest wirtualny, czy realny.

– Filomedesie, obok pana siedzi pisarz, Victor Miesel, którego książka *Anomalia* jest kultowa, dzisiaj jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Victorze, był pan na pokładzie tego samolotu, jak wiadomo pański „sobowtór” popełnił samobójstwo, dzisiaj po południu miał pan konferencję prasową, a teraz dziękujemy za pańską obecność wśród nas. Jak pan sobie wyobraża los zduplikowanych pasażerów?

– Jest nas ponad dwieście osób, które przyglądają się losom swoich „duplikatów” między marcem a czerwcem i być może żałują, że nie podjęły one innych wyborów. Niektórzy woleliby zapewne postąpić inaczej, lepiej, pójść inną drogą. Lecz ja nie miałem okazji skonfrontować się z samym sobą. Chociaż… – Pisarz wyjmuje z kieszeni dwa klocki lego. – Od śmierci mojego ojca, ponad trzydzieści lat temu, zawsze nosiłem ten klocek w kieszeni. Nie był to żaden fetysz ani amulet. Po prostu kilka gramów wspomnień, rodzaj przyzwyczajenia. Oddano mi klocek przechowywany przez tego Victora, który popełnił samobójstwo, i w tej chwili mam dwa. Zapomniałem, który jest który, więc je złączyłem. Nie umiem powiedzieć, co one symbolizują, lecz odnoszę wrażenie, że mam większy wybór, jestem bardziej wolny niż kiedykolwiek. Mimo wszystko nie lubię słowa „los”. To tylko cel, który sobie wyznaczamy po fakcie, w miejscu, w które trafiła strzała.

Wśród publiczności siedzi rozbawiona Anne Vasseur, dziennikarka z „Times Literary Magazine”. Woli żart, który mówi, że aby strzała dosięgnęła celu, musi nie trafić do wszystkich poprzednich. Kiedy w kwietniu dowiedziała się o śmierci Victora, była zaszokowana i zasmucona, a intensywność tego uczucia zdziwiła ją. Oczywiście zauważyła go na konferencji w Arles, jego wystąpienie uznała za świadczące o inteligencji i wrażliwości, a przy kolacji była wzruszona jego chłopięcymi podchodami, by ją zagadnąć. Była wówczas zaangażowana w inny związek, nie chciała wchodzić w tę grę. Później myślała z niechęcią o tej chwili słabości, łatwości i pychy, nie mogła znieść tego, że mu się spodobała, właśnie dlatego, że on też jej się spodobał. Wyjechała więc z Arles wcześniej, niż zamierzała, wstydząc się swoich egoistycznych i niekonsekwentnych pragnień, odmawiając bycia kobietą, która zdradza, przeżywa rozkosz, zadaje ból, a na koniec już nie wie, gdzie mieszka. Uciekła. Przez chwilę miała wrażenie, że wolałaby wyrzuty sumienia od żalu, lecz nigdy nie szukała pretekstu, by odnaleźć tego tłumacza Gonczarowa. Jego cudowne „zmartwychwstanie” odczytała jako znak, może niezrozumiały, ale mimo wszystko znak. I ona, krytyczka literacka, dostała od redakcji naczelnej „Timesa” polecenie, by na tej konferencji zastąpić wysłannika specjalnego. Teraz patrzy na człowieka, który przez dłuższy czas mógł być jej „losem”.

– Proszę mi powiedzieć, Filomedesie – podejmuje dziennikarka – jak by pan zareagował w takiej sytuacji?

– Przede wszystkim nie miałbym zbyt długo poczucia nierealności. Gdybym wątpił we własne istnienie, wystarczyłoby się uszczypnąć. Ponadto ten drugi jest niezbyt życzliwym lustrem, zgoda, ale to jedyna istota, która wie o mnie wszystko, zna wszystkie moje sekrety. W tej sytuacji mógłbym albo postanowić się zmienić, albo uciec przed sobą. I wreszcie bycie dwiema osobami w jednym życiu oznacza, że tych osób jest o jedną za dużo. Na pewno bym sobie powiedział: cóż za próżność, mieszkanie, praca, te wszystkie sprawy materialne… Skoncentrowałbym się na swoim wnętrzu, na tym, co z całych sił muszę zachować. Mam córkę, kocham swoją żonę i kiedy mówię „moja żona”, „moja córka”, wiem, co dla mnie oznacza słowo „moja”… Gdybym miał się nimi podzielić, być może zdołałbym zrelatywizować samo pragnienie posiadania. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak bym zareagował.

– Jak pan tłumaczy oświadczenie papieża Franciszka?

– Przepraszam, ale nie mam pojęcia, co powiedział papież.

– Cytuję: „Bóg daje ludzkości znak swojej wszechmocy i szansę, by się przed nią ukorzyć, by podporządkować się Jego prawom”.

– Powiedział tak?

– Dzisiaj rano.

– Pobrzmiewa w tym coś w rodzaju: „Okażcie skruchę, nieszczęśni grzesznicy”. Niech mi wybaczy, ale akurat od niego oczekiwałbym czegoś więcej. Ale trzeba też powiedzieć, że tak są zaprogramowani wszyscy duchowni: „Oto wasza wiara, znajdźmy fakty, które ją potwierdzą”. Jak Wolterowski Pangloss wierzą, że nos został stworzony po to, by nosić na nim okulary i dlatego właśnie nosimy okulary. W tej sprawie ani nie usłyszałem Boga, ani nie ujrzałem go zza chmur. Szczerze mówiąc, gdyby miał nam cokolwiek do powiedzenia, powinien to zrobić teraz albo nigdy. Właśnie teraz. Nie, jedyne podejście filozoficzne i naukowe brzmi następująco: „Oto fakty, spójrzmy, jakie wynikają z nich możliwe wnioski”.

– A dla nas wszystkich, Victorze Mieselu, gdyby miał pan przepowiedzieć, co się teraz zmieni?

– Nic.

– Słucham?

– Nic. Nic się nie zmieni. Obudzimy się rano, pójdziemy do pracy, bo czynsz trzeba płacić, będziemy jeść, pić, kochać się jak dotychczas. Będziemy postępować tak, jakbyśmy byli rzeczywiści. Jesteśmy ślepi na wszystko, co mogłoby nam udowodnić, że się mylimy. To rzecz ludzka. Nie jesteśmy racjonalni.

– Czy to, co mówi Victor Miesel, nie przypomina tego, co pan, Filomedesie, w swoim dzisiejszym artykule w „Le Figaro” nazwał naszą potrzebą zmniejszenia „dysonansu poznawczego”?

– Owszem. Jesteśmy gotowi do przekręcania rzeczywistości, jeśli stoimy przed wyzwaniem, by wszystkiego nie stracić. Chcemy uzyskać odpowiedź na najmniejszy z naszych niepokojów, znaleźć sposób myślenia o świecie bez kwestionowania naszych wartości, emocji, czynów. Spójrzmy na zmiany klimatyczne. Nigdy nie słuchamy naukowców. Bez żadnych hamulców emitujemy wirtualny dwutlenek węgla pochodzący z energii kopalnej, wirtualnej lub nie, przyczyniamy się do ocieplenia naszej atmosfery, wirtualnej lub nie, a nasz gatunek, wirtualny lub nie, w końcu wyginie. Nic się nie zmienia. Bogaci, wbrew zdrowemu rozsądkowi, liczą

na to, że jako jedyni się uratują, wszyscy pozostali mogą tylko mieć nadzieję.

– Zgadza się pan z Filomedesem, Victorze Mieselu?

– Oczywiście. Pamięta pani o Pandorze i jej puszce?

– Tak – mówi ze zdziwieniem prowadząca. – Ale co to ma do rzeczy?

– Otóż to: niech sobie pani przypomni Prometeusza, który wykradł niebu ogień, a Zeus, chcąc się zemścić na świętokradcach, zaproponował jego bratu Epimeteuszowi rękę Pandory. Do bagażu kobiety Zeus wkłada podarek, tajemniczą puszkę, a właściwie dzban, który zakazuje jej otwierać. Zbyt ciekawa Pandora okazuje nieposłuszeństwo. Z puszki ulatują wszelkie nieszczęścia ludzkości: starość, choroba, wojna, głód, szaleństwo, nędza… Tylko jedno nieszczęście okazuje się zbyt powolne, by ulecieć, a być może jest posłuszne woli Zeusa. Czy pamięta pani, co to za nieszczęście?

– Nie. Proszę nam powiedzieć, Victorze Mieselu.

– To nieszczęście to *Elpis*, Nadzieja. Najgorsze ze wszystkich nieszczęść. To nadzieja nie pozwala nam na działanie, to nadzieja przedłuża nieszczęście ludzi, skoro, wbrew oczywistości, „wszystko się ułoży”. Nie może być tego, czego być nie powinno… Prawdziwe pytanie, które za każdym razem powinniśmy sobie zadać, brzmi następująco: „W czym przyjęcie danego punktu widzenia jest dla mnie korzystne?”.

– Rozumiem – mówi prowadząca. – A czy uważa pan, Filomedesie, że to, co dzieje się dziś, fakt, że każdy z nas znajduje swój sposób na pogodzenie się z nową rzeczywistością, to jest właśnie to?

– Tak. Jak najbardziej. Pozwoli pani, że przypomnę pewne zdanie Nietzschego: „Prawdy są złudami, o których zapomniano, że nimi są”. Obecnie cała planeta została skonfrontowana z nową prawdą, która stawia pod znakiem zapytania wszystkie nasze złudzenia. Bez wątpienia otrzymaliśmy znak. Niestety myślenie zabiera czas. Na ironię zakrawa fakt, że bycie wirtualnym nakłada na nas chyba jeszcze więcej obowiązków wobec bliźnich i planety. Zwłaszcza obowiązków zbiorowych.

– Dlaczego?

– Dlatego że, o czym mówił już pewien matematyk, test ten nie jest przeznaczony dla nas jako jednostek. Symulacja ta przywodzi na myśl ocean, kpi sobie z ruchu poszczególnych cząsteczek wody. Symulacja oczekuje reakcji od całego gatunku ludzkiego. Nie będzie żadnego najwyższego zbawiciela. Sami musimy się zbawić.

Trzy listy, dwa maile, jedna piosenka, zero absolutne

Sobota, 10 lipca 2021
Carroll Street, Brooklyn

W adresie na kopercie napisano „Aby i Joanna Wassermanowie”, a Joanna rozpoznaje własne pismo, ciasne, a zarazem rozwlekłe. Kiedy Aby otwiera kopertę, znajdują w środku złożoną na czworo kartkę i dwa zamknięte listy.

Aby, Joanno,

w tej kopercie znajdziecie list do Ciebie, Joanno, wiem, że go przeczytasz Aby’emu, ponieważ ja bym tak zrobiła. Oraz jeden do Ciebie, Aby, i tylko do Ciebie.

Podobnie jak Ty, Aby, i Ty, Joanno, podobnie jak tylu innych pasażerów tego samolotu, szukałam odpowiedzi lub choćby znaków w *Anomalii*, dziwnej książce, którą napisał lecący z nami francuski pisarz. Niczego nie znalazłam poza tym zdaniem: „Trzeba zabić przeszłość, by uczynić ją jeszcze możliwą”.

My też pragnęliśmy, by przeszłość odżyła, więc pojechaliśmy do chaty w Vermoncie i otaczającej ją życzliwej przyrody. Aby mnie tam zawiózł, Ciebie też zawiózł, Joanno, na te długie dni pełne śniegu i lodu, i tam zdecydowaliśmy się na dziecko. To, co tam przeżyliśmy, Ty, ja i Aby, było tak silne, że chcieliśmy, by wspomnienie to wspierało nas i wskazało całej naszej trójce drogę, którą powinniśmy podążać.

Lecz na wąskiej kamienistej ścieżce między świerkami, ścieżce tak symbolicznej, po której nie mogliśmy iść obok siebie, Ty, mój biedny Aby, biegałeś między jedną a drugą bez żadnej radości, jak spaniel między dwiema paniami, ze smutnym uśmiechem proszącym jedną o wybaczenie tego, że był obok tej drugiej, a teraz musi szybko do niej wracać. Nigdy tak naprawdę Cię nie było, tak po prostu, ani ze mną, ani z nią, byłeś jedynie rozdarciem. Malowałeś, to był Twój sposób na uniknięcie niewygodnych pytań bez odpowiedzi, zabrałam te akwarele, które zawsze będą mi Ciebie przypominać.

Gdyż zdecydowałam się odejść, tak, zostawiłam Was samych w tej chacie pełnej smutku, zanim byśmy się wszyscy zniszczyli. Joanno, Ty, która nosisz dziecko Aby'ego, wiedziałaś, że to ja ustąpię, złamię się jako pierwsza. Że pierwsza ucieknę. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że wiesz.

Uciekłam.

Wróciłam do Nowego Jorku, umówiłam się z Jamy Pudlowski w siedzibie FBI na Manhattanie. W ciągu jednego dnia FBI wyrobiło mi nową tożsamość i sześć lat cyfrowego życia, z ostrożności pod nazwiskiem Joanna Ashbury. Ashbury, jak nazwa małego miasteczka w Anglii, na północ od Londynu, w którym jest tylko romański kościół. Poza tym Woods, drewno, Ashbury, zakopane popioły: gdyby zrobili to specjalnie, wykazaliby się sporym poczuciem humoru.

Joanna Ashbury będzie pracować w dziale prawnym FBI, a dzięki NSA ma dyplom Uniwersytetu Stanforda. Biuro zobowiązało się także, że opłaci leczenie Ellen.
To bardzo hojna propozycja, której nie odrzuciłam. Nie porzucaj jednak swojego stanowiska u Dentona & Lovella. Zresztą nie muszę Ci dawać rad, Joanno, znam Twoją decyzję.

Oczywiście jeszcze się spotkamy. Spotkamy się pewnego dnia, odwiedzając Ellen.

Życzę Wam wiele szczęścia.

Joanna Ashbury

Joanno,

jakie to dziwne, nazywać Cię tym imieniem.

Nazywasz się Wasserman, a ja Ashbury. *Wasser*, woda, *Ash*, popiół, cóż za ironia. Joanna Ashbury, jak John Ashbury i jego długi wiersz *Autoportret w wypukłym lustrze*, który, jak zapewne pamiętasz, obiecałam sobie przeczytać. Ashbury pisze w nim o obrazie z epoki cinquecenta pędzla Parmigianina, bardzo mi się spodobał ten wiersz i zapragnęłam poznać historię obrazu.

Pewnego dnia malarz – bardzo młody, ma zaledwie dwadzieścia jeden lat – widzi siebie w wypukłym lustrze u golarza i chce namalować autoportret. Zleca zatem cieśli utoczyć kulę z drewna i podzieliwszy ją na dwoje, doprowadziwszy do rozmiarów lustra, zaczyna z wielkim kunsztem kopiować wszystko, co ujrzał w zwierciadle.
Na pierwszym planie maluje swoją dłoń, bardzo dużą, tak piękną, że wygląda na prawdziwą, a w środku swoją lekko zdeformowaną twarz, anielską i pełną wdzięku, prawie dziecięcą. Wokół twarzy wiruje świat, w którym wszystko jest zdeformowane, sufit, światło, perspektywa: prawdziwy chaos linii krzywych.

Obraz ten nie przedstawiał ani nas dwóch, ani Ciebie, ani lustra mojego lustra, a przecież musiała to być jakaś alegoria, gdyż długo się w niego wpatrywałam, aż nagle wybuchłam płaczem – ostatnimi czasy tak dużo płaczę. I wówczas zrozumiałam, że ta zbyt duża dłoń próbuje mnie złapać, grozi mi, odbiera wszystko, co do mnie należy.

W tamtej chatce w Vermoncie miałam sen. Nagle umierałaś, a ja odzyskiwałam swoje dawne życie, byłam taka szczęśliwa, widząc Cię martwą. Pocieszałam Aby'ego, tak łatwo było go ponownie zdobyć, sprawić, by o Tobie zapomniał. Obudziłam się, świtało, nie udało mi się zasnąć, wyszłam więc na taras z filiżanką kawy. Byłaś tam, też nie mogłaś spać. Podobnie jak ja wzięłaś sobie kawę, podobnie jak ja byłaś bosa, włosy miałaś ściągnięte do tyłu i spięte taką samą srebrną klamerką jak moja, trzymałaś filiżankę w obu dłoniach z dokładnie tak samo ułożonymi palcami. Naprzeciwko nas poranna mgła wisiała uczepiona góry, słońce jeszcze nie wzeszło, wymieniłyśmy zimne spojrzenie. Zrozumiałam, że Ty również zamordowałaś mnie we śnie. W tym właśnie momencie postanowiłam odejść. Nie ze strachu, ale dlatego, że zazdrość i cierpienie czyniły mnie ohydną, a tę brzydotę widziałam również w Tobie, bez makijażu.

Nie wiem, dokąd pójdę. Lecz na pewno daleko od Ciebie, daleko od Was, mam jeszcze szansę odnaleźć osobę, którą jestem, którą pragnę być.

Joanna

Aby wychodzi na balkon, otwiera list przeznaczony tylko dla niego, a każde przeczytane słowo kładzie się ciężarem na jego piersi.

Aby,

tylko Ciebie kocham i odchodzę.

Rok temu się nie znaliśmy. Ty, który w nic nie wierzysz, mówiłeś o cudzie, a ja się radośnie uśmiechnęłam, ja, która mówię tylko o spotkaniach.

Wiem, że tamta Joanna da Ci do przeczytania mój list. Niewiele mam do dodania.

W dniu mojego przyjazdu z bazy wojskowej zaproponowałeś, byśmy razem poszli do parku naprzeciwko Twojej pracowni i usiedli na ławce, na której tyle rozmawialiśmy. Objąłeś mnie, moja głowa opadła na Twoje ramię, a Ty położyłeś rękę na moim brzuchu. Od razu wiedziałam, że ten gest Ci się wymknął, że to Wasz czuły rytuał: Twoja ręka chroniąca Twoje dziecko, Wasze dziecko. Tyle że w moim brzuchu nie było niczego do chronienia, niczego, Aby, było tylko moje pragnienie Ciebie, a Ty, skrępowany, odsunąłeś dłoń, zacząłeś mówić sama nie wiem o czym, a Twoje spojrzenie mówiło, że masz nadzieję, że ja niczego nie zauważyłam. Potem wróciliśmy do domu, byłam równie pozbawiona sił, jak mój brzuch był pozbawiony życia.

Przypomnij sobie tamtą ciepłą, wilgotną noc w Twojej chacie w Vermoncie, kiedy Cię zaciągnęłam do lasu, tak bardzo pragnąc, byś się ze mną kochał pod drzewami, a Ty nie ośmielałeś się na żaden gest ani wobec mnie, ani wobec tej drugiej, nie pozwalałeś na pojawienie się choćby śladu pożądania. Chciałam, żebyś mnie wziął, tak, chciałam czuć w sobie siłę Twojego pożądania. A jeśli nagle od Ciebie uciekłam, to nie dlatego, że mi odmówiłeś, nie, lecz dlatego, że czułam rosnący niesmak wobec siebie. To, czego pragnęłam przede wszystkim, to również zajść z Tobą w ciążę, by los mi dał coś, czym mogłabym rywalizować.

Spójrz, jaką kobietę zrobił ze mnie ból. Muszę odejść. Nie niepokój się, mój kochany Aby: Ty, który tyle razy czytałeś *Wojnę i pokój*, podobnie jak generał Kutuzow wiesz, że dwaj najpotężniejsi wojownicy to cierpliwość i czas.

Pojawi się inny mężczyzna, inne spotkanie, inny cud. Nie mam co do tego wątpliwości. Znowu pokocham. Miłość pozwala przynajmniej uniknąć ciągłego poszukiwania sensu życia.

Patrzę na swój portret pełen ciepła, który namalowałeś, stoję na nim w zachodzącym słońcu z głową opartą o belkę, z zamkniętymi oczami.

Kocham Cię, zawsze będę Cię kochać, a Ty będziesz o tym wiedział, gdyż dziwnym sposobem będę obok Ciebie.

Joanna

*

Poprzedniego dnia, Clyde Tolson Resort, Nowy Jork

– W porządku, Joanno? – pyta Jamy Pudlowski przez drzwi koedukacyjnej toalety FBI.

Nie, nic nie jest w porządku. Za dużo whisky, za dużo cierpienia. Kręci jej się w głowie, w sercu, chciałaby dać nura, ale przecież tylko by się ubrudziła.

Kilka godzin temu Joanna napisała te listy, sądząc, że nie zdoła ich nadać. Włożyła je do torebki, w której tkwią teraz jak kupiony przez pomyłkę rewolwer. Chowamy go u wezgłowia łóżka, lecz jego obecność coraz bardziej zajmuje przestrzeń, staje się obsesją, a ponieważ rewolwer żąda, by go użyć, w końcu czyni z nas mordercę lub samobójcę. Joanna

June nie potrafiła spalić tych trzech listów, które żądały, by wrzuciła je do skrzynki.

Żeby zostawić tego, kogo kochamy, musimy zdekonstruować świat. Joanna June musiała przepisać ich historię, wykorzystując wątpliwości, które sama przed sobą ukryła, zniszczyła swój pociąg do Aby’ego, jak wtedy, gdy powtarzamy jakieś słowo po wielokroć, odzierając je z sensu. Nauczyła się nie kochać jego jasnych loków, miny prymusa, niezgrabności chudzielca, wszystkich tych cokolwiek snobistycznych ubrań, skłonności do śmiechu z byle powodu, tego chłopięcego chichotu. Przypomina sobie zażenowanie, z jakim patrzyła na jego egzaltację, jakby istniała jakaś konieczność, że muszą się jak najszybciej pobrać, zamknąć w ramach kontraktu, jakby wszystko miało nazajutrz zniknąć, jakby brakowało mu zaufania do niej, do siebie, do ich dwojga. Przez jedną bolesną noc zmusiła się do ponownego przeżycia każdej chwili spędzonej razem, do znalezienia w sobie chłodu, by oglądać ten niesmaczny spektakl czułości, aż w końcu stopniowo odarła go z uczuć i wreszcie pojawił się wstręt. Adwokatka zmieniła się w prokuratorkę, bezlitośnie wykorzystującą swoją inteligencję w służbie zbrodni; na tysiąckrotnie doskonałego Aby’ego, na tę prostą gałązkę, na której jej miłość wykrystalizowała nieskończone mrowie diamentów soli, ruchomych i olśniewających, Joanna wylewa teraz deszcz obojętności, a kryształki gasną i pojawia się bezlistna, pozbawiona wdzięku gałąź, tak banalna i bezbarwna, że aż chce się wyć.

W chwili, gdy wysyłała listy, a potem jeszcze przez godzinę, Joanna nie kochała Aby’ego. Po czym cała miłość powróciła do niej jak fala przyboju, a ona otworzyła butelkę taliskera.

*

Od: andre.vannier@vannier&edelman.com
Do: andre.j.vannier@gmail.com
Data: 1 lipca 2021, 09 : 43
Temat: Zerwanie

Drogi André (jak inaczej miałbym się do Ciebie zwracać?),

piszę do Ciebie z Drôme, zostanę tu przez pewien czas, a Ty możesz siedzieć w Paryżu u mnie, u siebie, przez tyle czasu, ile będzie trzeba. W załączeniu znajdziesz wszystkie maile, jakie wymieniłem z Lucie od naszego powrotu z Nowego Jorku.

Czytając je, zrozumiesz. Dużo do niej pisałem, ona mało odpowiadała. Przeczytasz kłamliwe „Nie chcę Cię ścigać, upierać się na próżno”, ponieważ wciąż i wciąż do niej pisałem, ale bez skutku. I ten ostatni, nieskończenie długi mail – cholera, streszczaj się – mail, który się kończy jakże pretensjonalnym sformułowaniem: „przejść wraz z Tobą najdłuższą z możliwych dróg”. Byłem na zmianę górnolotny, natarczywy, płaczliwy, uskarżający się, a kiedy mnie usunęła ze swojego życia, nadal próbowałem ją przekonać, by cofnęła swoją decyzję.

Nie jestem Twoim wrogiem ani rywalem, nie jestem nawet Twoim sprzymierzeńcem. Lecz mam swoją przeszłość w poczcie elektronicznej i jeśli nie chcesz, by taka była Twoja przyszłość, działaj.

Do zobaczenia.

André

Od: andre.j.vannier@gmail.com
Do: lucie.j.bogaert@gmail.com
Data: 1 lipca 2021, 17 : 08
Temat: Ty i ja, ja i Ty

Lucie,

piszę do Ciebie ze swojego nowego adresu na Twoją nową skrzynkę, skoro stare są zajęte przez tamtych, i tak jak Ty dodałem *J* jak June. Dlaczego to właśnie my mamy się przystosowywać? Wyobrażam sobie, że te cztery miesiące, których ani Ty, ani ja nie przeżyliśmy, dają tamtemu Andrému i tamtej Lucie pewną przewagę.

Oboje już wiemy, co „nam” się przytrafiło. „Ty” mnie porzuciłaś, znużona moim zapałem i moją niecierpliwością. Przeczytałem maile, które „Ty i ja” wymieniliśmy, słowa tamtej Lucie, które świadczą o jej oddalaniu się od tamtego Andrégo, przeczytałem zdania, w których się rozpoznałem w całej swojej wrażliwości i głupocie.

Napiszę krótko. Bycie ze mną nigdy nie było wyborem Twojego rozumu. A przecież przyszłaś do mnie. Bycie z Tobą było cudem, a przecież zdołałem Cię utracić.

Rzadko mamy okazję uratować miłość, zanim zostanie zagrożona. Chciałbym dostać drugą szansę, zanim zepsułem pierwszą.

Kocham Cię. Przytulam, ale nie za mocno.

André

*

GHOST'S SONG

Music & Lyrics:
Femi Taiwo Kaduna & Sam Kehinde Chukwueze
© RealSlim Entertainment, 2021

Here I dance with a holy ghost
On the sandy Calabar beach
Because now love is so out of reach
Oh we did not see them comin'
I loved your skin that was our sin
That's how they burned you in a tyre
And threw our rainbows in their fire

I have remembrance of every kiss
So many things of you I miss
O fallen hearts from the abyss

And I sing a gone away ghost
On the sunny Calabar beach
Even love now is out of reach
Hear the barking dogs around us
The blowing wind over the dust
Of my sweet love gone in the dark
Come on, let us swim with a last shark

I have remembrance of every kiss
So many things of you I miss
O fallen hearts from the abyss

As I walk with you lover Tom
On the crying Calabar beach
See, even hate is out of reach
I want a mist of forgiveness
But I shall beg for nothing less
To cover the blood and tears
I just want some love if you please

I have remembrance of every kiss
But everything of you I miss
O fallen hearts from the abyss

To cover the blood and tears
I just want some love
if you please
if you please.

Oto mój taniec ze świętym duchem
Na Calabaru plaży piaszczystej
Nie mam już dzisiaj miłości czystej
Żaden nie słyszał, jak po nas idą
Głaskać Twą skórę było przewiną
Spalili żywcem w brudnej oponie
Ciebie i tęczę, i to był koniec

Jest we mnie pamięć naszych dni
Tęsknoty ostrze w duszy tkwi
Poległe serca, otchłań krwi

Śpiewam o duchu, który uleciał
Na Calabaru plaży słonecznej
Krzyczę o śmierci miłości wiecznej
Wściekłe szczekanie tu wszędzie wokół
Śmiertelny wicher rozwiewa popiół
Najsłodsza czułość spłonęła w mroku
Dajcie nam pływać z rekinem u boku

Jest we mnie pamięć naszych dni
Tęsknoty ostrze w duszy tkwi
Poległe serca, otchłań krwi

Gdy idę z Tobą, najdroższy Tomie
Na Calabaru plaży płaczącej
Nienawiść znika w wodzie gorącej

Niech skryje wszystko mgła przebaczenia
Nie proszę o mniej mego sumienia
By zmazać krew, by wytrzeć łzy
Kropla miłości potrzebna mi

Jest we mnie pamięć naszych dni
Tęsknoty ostrze w duszy tkwi
Poległe serca, otchłań krwi

By zmazać krew, by wytrzeć łzy
Kroplę miłości podajcie mi
Kroplę miłości podajcie mi

*

Czwartek, 1 lipca 2021
Clyde Tolson Resort, Nowy Jork

– Czy chce pani jeszcze raz posłuchać nagrań, pani Kleffman?

Avril June kręci głową. Jamy Pudlowski patrzy na nią, kiwającą się na krześle, jakby nieobecną. Zabawa, usta, mydło, świat wiruje, a słowa dźwięczą, nie układając się w żaden sens. Kobieta z FBI podaje jej szklankę wody, którą Avril musi odstawić, tak bardzo drżą jej ręce. Tamta historia z samolotem, a teraz jeszcze to.

– Psychiatra dziecięca pozwoliła pani córce się wygadać, w żaden sposób jej nie ukierunkowując. Sophia jej zaufała i objaśniła każdy rysunek, mówiąc o tajemnicy. Czy pani rozumie?

Avril skamieniała. Clark, jego własna córka, kąpiel, wszystko w niej odmawia przywołania jakiegokolwiek obrazu. *April tender, April shady*, Avril czuła i marudna, jak mówił wiersz, który nie był napisany przez Clarka. Kobieta z FBI robi długie przerwy w swoich wyjaśnieniach. Lecz za każdym razem łagodnie powraca do tematu.

– Pani Kleffman, nazywam się Jamy. Czy mogę do pani mówić Avril?

– Tak, to ja – mówi Avril bezdźwięcznym głosem.

Jamy znowu podaje jej szklankę.

– Proszę się napić, Avril.

Avril pije posłusznie, choć mechanicznie. *April soft, so sleepy warm*, Avril mięciutka, spaniem rozgrzana…

– Dziękuję pani.

– Avril… – mówi Jamy. – Czy pani mnie słyszy? Pani córka nie dała się zniszczyć. Potrafiła o tym mówić. Słowa są ważne, bardzo ważne. Specjaliści od nauk kognitywnych długo z nią rozmawiali, wspominając o jej lęku przed wodą i ciemnością, o jej stosunku do własnego ciała. Są spokojni, jeśli chodzi o krótkoterminowe konsekwencje traumy przeżytej przez Sophię. Lecz oczywiście nie wiemy, jak będzie przebiegał jej dalszy rozwój, pani Kleffman. Mamy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

– …że wszystko będzie dobrze.

– Oto, co teraz nastąpi: pani mężowi zostanie wytoczona sprawa, a biorąc pod uwagę zeznania Sophii, obu Sophii, mogę śmiało powiedzieć, że zostanie skazany. Bo od Paryża i przez te trzy miesiące… których pani brakuje… pani córka… to znaczy… ta druga Sophia znowu była molestowana w domu. Czy pani rozumie? Według ustawodawstwa stanu Nowy Jork, w którym się znajdujemy, za takie przestępstwo grozi kara od dziesięciu do dwudziestu pięciu lat.

– Dwudziestu pięciu lat. Tak.

– Może mniej, jeśli się zgodzi na terapię, nadzór, oddalenie. Trzeba to będzie wytłumaczyć pani dzieciom, przede wszystkim Liamowi, który będzie zły na panią, na siostrę, a nawet na samego siebie…

– A czy… Liam?…

– Nie. Proszę się uspokoić. Na podstawie rozmów nie ma żadnych wątpliwości.

Avril przesuwa palcem po wargach, jej oczy patrzą w pustkę, przygładza włosy. Jamy obserwuje ją z niepokojem i mówi dalej:

– Może pani zmienić nazwisko, przeprowadzić się do innego stanu. Pani kopia zrobi to samo. Już przyjęła naszą propozycję. Rozmawiałam z przedstawicielami wojska: będzie pani miała rentę po mężu, jakby zginął na wojnie.

– Zginął na wojnie – powtarza Avril słabym głosem. Myśli o źrebakach przypominających te, które rysowała dla matki. Źrebaki. Mają kolor krwi. Płyną po stalowobłękitnym niebie. Jest zimno, tak bardzo zimno. Nic już się nie rusza. Zero absolutne. *April caught in the icy storm*, Avril przez mroźną burzę złapana.

– Będzie pani mieć prawo do opieki medycznej, dla dzieci i dla siebie.

Avril nie wykonuje żadnego gestu, jej oczy rozszerzają się ze zgrozy, ogarniają ją mdłości, czuje podchodzącą do gardła żółć nie do opanowania, chce jej się wymiotować, ale nie jest w stanie.

Ostatnie słowo

21 października 2021, 13 : 42

Pilot super horneta trzykrotnie poprosił o powtórzenie rozkazu. Lecz on jest tylko ostatnim ogniwem łańcucha, a do czego służy ręka, jeśli odmawia posłuszeństwa mózgowi?

Decyzja została podjęta w „Tanku”, najświętszej z sal Pentagonu, opancerzonym pomieszczeniu bez okien, oficjalnie zwanym „Room 2E924”, które przypomina banalną salę konferencyjną w jakimś przedsiębiorstwie, z dębowym stołem, skórzanymi obrotowymi fotelami i ponadczasowym wystrojem. Na wiszącym na ścianie obrazie prezydent Abraham Lincoln kieruje strategicznym posiedzeniem podczas wojny secesyjnej. Wokół niego siedzą generał broni Ulysses Grant, generał dywizji William Tecumseh Sherman i kontradmirał David Dixon Porter. Wszyscy ci wyżsi oficerowie ukazani na płótnie byli świadkami najbardziej tajnej decyzji, jaką kiedykolwiek podjęli szefowie sztabów różnych formacji, nad którą długo debatowano, a ostatnie słowo miał prezydent.

Pocisk oddziela się od skrzydła myśliwca, który zawraca na północny zachód. AIM 120 w parę sekund osiąga swoją prędkość przelotową, pozostawiając za sobą prostą szarą smugę. Słońce odbija się od jego stalowego korpusu, od połyskliwej śmierci. Przy prędkości mach 4 cel zostanie osiągnięty po piętnastu sekundach.

W Paryżu, naprzeciwko ogrodu Luksemburskiego, Victor i Anne piją ostatnią kawę na tarasie kafejki, zanim udadzą się na kolację. Jest koniec października, ale wciąż trwa lato, babie lato, jak to się mówi. Anne podnosi wzrok na Victora, uśmiecha się do niego. Pisarz nigdy nie czuł się tak żywy, czasami myśli, że śmierć tamtego Victora przywróciła mu życie, równie ulotne, co cenne. Na stole położył dwa klocki Lego, jak dwie jaskrawoczerwone kostki cukru. Machinalnie je składa i rozkłada.

> Marność nad marnościami, powiada Kohelet,
> Hawel hawalim

ha-kol hawel, powiada Kohelet, wszystko marność.

Victor napisał ostatnie słowo krótkiej książeczki, która opowiada o samolocie, anomalii, dywergencji. Chciał jej dać tytuł *Jeśli zimową nocą dwustu czterdziestu trzech podróżnych*, ale Anne potrząsnęła głową, później chciał to wstawić jako incipit, ale Anne westchnęła. Ostatecznie tytuł będzie krótki, tylko jedno słowo. Niestety *Anomalia* jest już zajęta. Nie próbuje niczego wyjaśniać. Po prostu daje świadectwo. Zajął się tylko jedenastoma postaciami, zgadując, że jedenaście to niestety za dużo. Redaktorka błagała, Victorze, litości, to zbyt skomplikowane, stracisz czytelników, uprość to, skróć, zajmij się tylko tym, co najważniejsze. Lecz Victor stawia na swoim. Zaczął powieść pastiszem stylu Mickeya Spillane'a, o którym mało kto słyszał. Nie i jeszcze raz nie, to nie dość literackie jak na pierwszy rozdział, zarzuca mu Clémence, kiedy przestaniesz się bawić? Lecz Victor jest w bardziej zabawowym nastroju niż kiedykolwiek.

Tysiąc kilometrów dalej, w Mount Sinai Hospital, Jody Markle brakuje łez, zamyka oczy. Po raz drugi traci Davida. Od czterech dni David jest w stanie głębokiej sedacji, gdyż nawet francuski nanolek już nie uśmierza bólu. Paul stoi obok brata, jest wychudzony, blady, milczący. Brzęk szkła na zewnątrz wyrywa go z zadumy, Paul odsłania kotarę, wychyla się i spogląda na podwórko: na parkingu dwóch mężczyzn obrzuca się wyzwiskami przy rozbitym reflektorze, podczas gdy w pokoju sinusoida elektrokardiogramu wypłaszcza się, a przerywany sygnał dźwiękowy zamienia się w ciągły.

W Lagos koncert SlimMenów kończy się, gdy zapada tropikalna noc. Pod koniec, przed ostatnią piosenką, przy huraganie wiwatów i oklasków na scenę wchodzi niezapowiedziany gość, niski blondyn w różowym garniturze pokrytym cekinami i dużych okularach ze złoconymi oprawkami. Ponad trzy tysiące młodych Nigeryjczyków śpiewa refren, którego ukryty sens jest im świetnie znany.

I want a mist of forgiveness
But I shall beg for nothing less
To cover the blood and tears
I just want some love if you please

Joanna March utyła, a dziecko może się urodzić przed terminem. Dziewczynka będzie się nazywać Chana. To imię zapomnianej japońskiej księżniczki i słowo „rok” po hebrajsku. Joanna ma trochę wolnego czasu, gdyż proces Valdeo nie odbędzie się. Została zawarta ugoda ze skarżącymi, a heptachloran wycofano z rynku. Nie wzięła udziału w spotkaniu Dolder Clubu, na którym mówiono o poszukiwaniu nieśmiertelności, a później, podczas kolacji, o miejscach na planecie, gdzie można się schronić przed skutkami ocieplenia i falami migracyjnymi. Prior kupił sto hektarów w Nowej Zelandii.

Aby chciałby nadal korespondować z Joanną June, z mieszaniną niepokoju i poczucia winy, lecz ona odmówiła podtrzymywania znajomości. Może później. Poznała kogoś z Biura, jakiegoś eksperta od przemytu dzieł sztuki. On sądzi, że to poważne, ona wątpi, ale chce w to wierzyć.

Na polarnej czapie lodowej Antarktydy Zachodniej zaczyna się wiosna i niewykluczone, że lodowiec Thwaites, olbrzymi blok o grubości dwóch kilometrów i powierzchni Florydy, w ciągu trzech miesięcy może się oddzielić, co spowoduje podwyższenie poziomu wody w oceanach o ponad metr, ale Sophia, Liam i ich matka opuścili dom na terenach zalewowych w Howard Beach. Rodzina June przeprowadziła się do Akron niedaleko Clevelandu, rodzina March do Louisville. Armia i FBI dotrzymały obietnic, a one ze swojej strony zgodziły się, by nigdy nie szukać ze sobą kontaktu. Mogłyby mieć jeden punkt wspólny, Clarka, ale warunki jego kary wykluczają jakiekolwiek kontakty z rodziną w przyszłości. Złość obu Liamów stopniowo opadła.

Blake niesłusznie się niepokoi. Nikt w FBI już go nie poszukuje. Na podstawie dwóch niewyraźnych zdjęć zrobionych przy kontroli celnej na lotnisku Kennedy’ego, gdzie widać mężczyznę mogącego być pasażerem z miejsca 30E, dzięki programowi rozpoznawania twarzy NSA zidentyfikowała w mediach społecznościowych milion czterdzieści dziewięć tysięcy dwieście siedemdziesiąt osiem osób. Z tej liczby tysiąc pięćset pięćdziesiąt trzy zostały w następnym tygodniu sfilmowane przez kamery któregoś z lotnisk na Wschodnim Wybrzeżu, ale to niczego nie dowodzi; cztery tysiące czterysta osiemdziesiąt dwie kolejne nie odpowiadają żadnemu profilowi i pojawiają się tylko na zdjęciach, niekiedy na drugim planie. Bez wątpienia facet jest zduplikowany, ale najwyraźniej

stara się pozostać niezauważony. A zresztą co takiego popełnił poza wyłamaniem drzwi hangaru i kradzieżą samochodu?

André March układa niebieskie kafelki na blacie kuchennym w swoim całkiem nowym domu w Montjoux. Na początku sierpnia podczas koncertu w miejscowym kościele poznał kontrabasistkę, która mieszka w sąsiednim miasteczku: był już na to gotów. Ta szczupła wysoka kobieta o bardzo ciemnych włosach i głębokich błękitnych oczach umie go rozśmieszyć i ciągle rzuca palenie. Czasem nosi szerokie ogrodniczki, w które André z zachwytem zanurza ręce, poza tym odkrył radość z jazdy elektrycznym rowerem. Tego ranka kochali się, po czym ona zasnęła. Podczas gdy on nakrywa stół do śniadania, dzwoni Lucie March, by zamienić z nim kilka słów. Pracuje, „dużo, dużo za dużo", mówi, ale uspokoiła się, lepiej znosi stosunki z Lucie June, jeśli chodzi o opiekę nad Louisem. U którego wszystko w porządku. „Zaskakująco w porządku".

Chłopiec nie jest nieszczęśliwy, że jego „druga" matka, Lucie June, spodziewa się dziecka. Środek ciężkości jej życia tak bardzo się przesunął w ciągu kilku miesięcy, że niewyobrażalne stało się możliwe. Jesteś pewna? pyta André June, równie szczęśliwy co niespokojny. Tak, jest pewna. To nowy punkt równowagi i odwet na przeznaczeniu. Nigdy więcej nie dzwoniła do Raphaëla, którego nie zastąpił żaden inny przypadkowy kochanek.

Adrian i Meredith przebywają w Venice, Italy, Europe. Są zablokowani w hotelu z powodu *acqua alta*, ale ta chwilowa kwarantanna nie jest zbyt tragiczna. Ich słoneczny pokój wychodzi na Fondamenta del Passamonte, room service jest bez zarzutu – dyrektorowi hotelu wydało się, że Adrian jest jakimś amerykańskim aktorem, ale którym? – niezbyt biała i niezbyt czysta koszula, pamiątka z Białego Domu, leży na podłodze przykryta czarną sukienką. Rozmawiają szeptem, niewidoczni pod piramidą prześcieradeł, słychać jasny śmiech Meredith.

We wrześniu Departament Obrony zakończył protokół 42, by się skoncentrować na operacji „Hermes". Spekulacje grupy roboczej trwały przez całe lato, choć nikt nie wpadł na pomysł, jak obalić jedną teorię lub potwierdzić inną. Amerykanie nigdy nie dowiedzieli się o istnieniu tamtego drugiego samolotu w Chinach. O jego pasażerach niczego nie wiadomo.

Jamy Pudlowski pije Dry Martini w barze w Quantico, po ostatnim szkoleniu. Dwa dni temu zatwierdziła finalny plan ochrony pasażerów lotu 006 i na własną prośbę została przeniesiona na Zachodnie Wybrzeże, do

San Francisco, gdzie w przyszłym tygodniu obejmie stanowisko dyrektorki biura regionalnego i siedmiu podlegających mu urzędów. Gdyby ją zapytać, co w tej chwili myśli, zamówiłaby następne Dry Martini.

Boczna kamera pod lewym skrzydłem super horneta śledzi trajektorię AIM 120, a w pokoju dowodzenia, mieszczącym się w podziemiach Białego Domu, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, marszcząc brwi i zaciskając pięści, obserwuje sytuację na ogromnym ekranie. Tak, była to trudna decyzja, którą osobiście podjąłem, gdyż taka jest moja rola, samodzielne podejmowanie decyzji. Kiedy się dowiedział, że trzeci lot Air France 006 pojawił się nad Atlantykiem, a za sterami siedzi ten sam kapitan Markle, drugim pilotem jest ten sam Favereaux, a na pokładzie są ci sami pasażerowie, prezydent rozkazał, by maszyna została zestrzelona. Ostatecznie nie można pozwolić na ponowne lądowanie tego samego samolotu kolejny i kolejny raz.

Napijmy się ostatniej kawy, proponuje Victor, co ty na to? Przyciąga Anne do siebie, gładzi jej chłodne palce, delikatnie całuje ją w usta, które ona rozchyla, a jej oddech pachnie tytoniem i mentolem. I właśnie wtedy wszystko się wydarza. Najpierw podmuch, nieznaczne zawirowanie suchych liści na ziemi. Słychać bardzo słabą nutę *fa* graną na kontrabasie. Powietrze wibruje, niebo się rozjaśnia, choć tylko trochę. Dobrze ubrana kobieta z wózkiem na zakupy zatrzymuje się przed księgarnią, mężczyzna w garniturze z gabardyny spaceruje z dużym czarnym psem, przed nimi przejeżdża dziewczyna na rowerze, zatrzymuje się, spogląda na smartfona i się uśmiecha. Chwila jest spokojna i pogodna.

Pocisk jest już tylko o sekundę lotu od samolotu Air France 006, czas wydłuża się i wydłuża przed eksplozją.

Trudno opisać, co się dzieje, nie ma takich słów w języku, którymi można by oddać tę powolną wibrację świata, ledwo dostrzegalne pulsowanie, które na całej Ziemi w tym samym momencie dotyka zarówno kota śpiącego przy kominku w chacie w Arkansas, jak i popielatą gęś lecącą nad Bordeaux, wodospad na Zambezi i nieskazitelnie białe śniegi Annapurny, most Rialto na weneckim Canal Grande i zatłoczoną arterię w ogromnych slumsach Dharavi, brudną gąbkę na brzegu zlewu w Montjoux i starą przebitą oponę na podwórzu warsztatu w Mumbaju, i filiżankę kawy

mar lly w dło V tora M s la, arny d ame t a
pal u A V a s s u r, o r u h y a j e j

s p ó d n y
b y c i e
z n i k
n i ę
c i e
d r o
b n y
p i a
c h
e
n

d

Podziękowania

Ali Amir-Moezzi, Paul Benkimoun, Eduardo Berti, Élise Bétremieux, Hadrien Bichet, Nick Bostrom, Hélène Bourguignon, Olivier Broche, Sarah Chiche, Christophe Clerc, Claire Doubliez, Paul Fournel, Jacques Gaillard, Thomas Gunzig, Jacques Jouet, Philippe Lacroute, Jean-Christophe Laminette, Daniel Levin Becker, Clémentine Mélois, Anaëlle Meunier, Victor Pouchet, Anne-Laure Reboul, Virginie Sallé, Sarah Stern, Jean Védrines, Pierre Vivares, Charlotte von Essen, Ida Zilio-Grandi.

Źródła cytatów

s. 5 Zhuangzi, *Prawdziwa księga południowego kwiatu*, przeł. Marcin Jacoby, Warszawa 2009, s. 41.
s. 12 William Blake, *Smutek dziecięcy* [w:] *Poezje wybrane*, przeł. Zygmunt Kubiak, Warszawa 1991, s. 98.
s. 192 William Shakespeare, *Romeo i Julia*, przeł. Stanisław Barańczak, Poznań 1992, s. 57.
s. 201 *Koran*, przeł. Józef Bielawski, Warszawa 1986, s. 406.
s. 281 W. H. Auden, *Ale nie mogę* [w:] *44 wiersze*, przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 1994, s. 91.
s. 245 Albert Camus, *Moralność i polityka. XI („Combat", 8 sierpnia 1945)* [w:] *Eseje*, przeł. Joanna Guze, Warszawa 1974, s. 250.
s. 339 Friedrich Nietzsche, *O prawdzie i kłamstwie w pozamoralnym sensie* [w:] *Pisma pozostałe 1862–1875*, przeł. Bohdan Baran, Warszawa 1993, s. 189.

Wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia.

MAREK BIEŃCZYK

Posłowie

Jedni czytelnicy *Anomalii* zapamiętają zwłaszcza pytanie starszego faceta zakochanego w młodej kobiecie: „Czy zechce pani być wdową po mnie?”; drugim nie dadzą spokoju quasi-naukowe hipotezy dotyczące kopiowania ludzi i zdarzeń, i będą rozważali na forach literackich tajemnicę zakończenia powieści (znalazłem około czterdziestu interpretacji). Jednych bardziej wciągnie pierwsza część opisująca prześmiesznie rozsypaną talię postaci, o których wiemy na początku tylko to, że czeka je wspólny los (przecież, do licha, to jest powieść! coś musi się tu ze sobą łączyć!), drudzy poczują się lepiej w częściach dalszych, gdzie wciągną ich techniczne, egzystencjalne i metafizyczne konsekwencje powielania i sobowtórstwa. Niektórych bardziej rozochoci styl Le Telliera, jego jakby poważne, a przecież krotochwilne zdania oraz zegarmistrzowska konstrukcja fabuły, a innych – tym bardziej, że obchodzimy właśnie Rok Lema – motywy rodem z science fiction.

Dwóch posłowi, czegoś bardziej dla tych pierwszych i czegoś bardziej dla tych drugich, nie da się niestety napisać; zresztą zgodnie z logiką *Anomalii* byłyby one mniej więcej identyczne. Bo też cała powieść została wymyślona tak, aby niczego nie dało się tu łatwo odsupłać i wyraźnie od siebie oddzielić, artystyczne lepiszcze jest wysokiej klasy. Sam autor porównuje swoją książkę do scoubidou, niegdyś (chwilę po kostce Rubika) szalenie modnej we Francji zabawki – warkoczyka zaplatanego z kilku plastikowych, kolorowych nitek. W ciągu dnia widywało się na ulicach i w kawiarniach setki ludzi, którzy godzinami oddawali się temu zajęciu, pochłaniającemu ich spracowane dłonie.

W miłej lekturze nie warto przeszkadzać, niemal milion sprzedanych egzemplarzy – absolutny rekord oficyny Gallimard od długich lat – zasługuje na spolegliwe milczenie i rozkoszne sączenie tego wieloskładnikowego koktajlu. Jednak krytyczna wścibskość każe go eksperymentalnie rozwarstwić, by całkiem serio zadać pytanie: o co chodzi? Czy śmielej: o co chodzi w literaturze?

Rozróżnienie, które nasuwa się na początek, jest raczej oczywiste, wręcz stereotypowe: Francja versus Ameryka. Co mielibyśmy po stronie

francuskiej? Skłonność do satyry, zakorzenioną od wieków (dostaje się – elegancko, bez dociskania pedału – wszystkim, z prezydentami Macronem i domyślnie Trumpem na czele). Równie elegancką, delikatną ironię, słyszalną, kiedy opowiada się nam o bohaterach powieści – z lekkim dystansem, jakby pieszczotliwie i złośliwie naraz. Pokrewną nieco Houellebecqowskiej, podobnie jak wysokie stężenie aktualności, czyli przyjemność używania w opisach nazw własnych (produktów, marek, tytułów modnych książek itp.) charakteryzujących postacie i środowiska, z których się wywodzą. Humor, który nieraz wynika bardziej z użytych słów i aluzji literackich niż z tworzenia dowcipów sytuacyjnych – francuszczyzna Le Telliera, choć pozornie prosta, jest pyszna i chwilami przypomina język niezrównanego jej mistrza, innego laureata Goncourtów, Jeana Echenoza. Jeśli wyrażenie „skrzyć się inteligencją” ma w beletrystyce jakiś sens, to trudno o lepszy przykład niż *Anomalia*.

Widać to również, czy nawet przede wszystkim, po zabawie formą, czyli po samej kompozycji powieści, doprawdy *so French*. Jej symetryzmy, gry lustrzanych odbić, powtórzenia i warianty, jej permutacje, jej matrioszki wkładane w matrioszki, wskazują na matematyczne zdolności pisarza. Każdy tekst mu poświęcony (zwłaszcza jeśli jest pisany przez humanistę, który tak naprawdę opanował jedynie tabliczkę mnożenia i operacje odejmowania na koncie) wspomina z nabożnym uznaniem o jego matematycznym i ogólnie ścisłym wykształceniu. Chyba słusznie, po polonistyce trudniej byłoby coś takiego zbudować. I każdy mówi w tym kontekście o wciąż istniejącej grupie OuLiPo, której Le Tellier – jej członek od roku 1992 – jest jednym z późniejszych przedstawicieli. Nie wypada zresztą jej paru słów nie poświęcić, skoro w samej powieści autor do niej aluzyjnie się odwołuje, wspominając Georges’a Pereca, największego pisarza grupy (jej członka od roku 1967) i może całej powojennej Francji, czy mrugając okiem do jej włoskiego współtowarzysza, Itala Calvina. I dając do zrozumienia, że powieść zatytułowana *Anomalia* pisana jest w oulipiańskiej poetyce, albo raczej jest zabawą w jej pastisz. Bo też u Le Telliera jeden pastisz drugi pastisz pastiszem pogania. Tyle że w ostatecznym rezultacie – i to jest paradoks tej książki – nie czytamy jej bynajmniej jako pastiszu i jak na statku pijanym rzuca nas od burty chichotu do burty refleksji.

O grupie OuLiPo można powiedzieć, że i ona, gdy powstawała na samym początku lat sześćdziesiątych, wydawała się anomalią nie tylko

wobec literackiej tradycji, lecz nawet wobec ówczesnej awangardy, jaką była sławetna, obrazoburcza wobec dotychczasowej powieściowej kultury *nouveau roman*, „nowa powieść”. Eksperymenty OuLiPo sięgały dalej. Nie będę powtarzał dostępnych jednym kliknięciem informacji, przypomnę tylko, że grupa postulowała między innymi różne matematyczne wyzwania oraz „przymusy” stawiane piszącym, czy to ściśle językowe (najbardziej znanym przykładem jest powieść Pereca *Zniknięcie*, w której ani razu nie zostaje użyta samogłoska „e”), czy też konstrukcyjne, bardzo dokładnie określone.

Słynne porównanie, jakie miało paść z ust współzałożyciela grupy, Raymonda Queneau, tak wyjaśniało charakter tej twórczości: „Jesteśmy szczurami, które same budują labirynt, usiłując następnie znaleźć z niego wyjście”. Ważnym składnikiem myśli oulipiańskiej – jej echo słychać dobrze w *Anomalii* – jest postulat literatury „nieprzypadkowej”, która nie poddaje się kaprysom wyobraźni, falom natchnienia, miazmatom podświadomości, lecz narzuca sobie mocno zdefiniowany rygor. Raz jeszcze Queneau: „Klasyk, który pisze tragedię, przestrzegając pewnych reguł, jest bardziej wolny niż poeta piszący, co mu przychodzi do głowy, i zależny od reguł, o których istnieniu nie ma pojęcia”.

Jeśli jednak nawet wiemy, w którym kościele dzwoni, nie dajmy się całkowicie zwieść oulipiańskiemu rodowodowi *Anomalii*. Mówiąc brutalniej: powieść nie trafiłaby do toreb podróżnych, na stoliki nocne i kawiarniane, i nie biłyby się o nią najlepsze wydawnictwa na świecie, gdyby miała być ortodoksyjną ekspresją tęsknoty za OuLiPo. Założenie było od początku jasne: to ma się czytać, i to czytać jednym tchem, i to ma przyciągać czytelników zarówno mniej, jak bardziej wyrobionych.

Ciągoty formalne przybierają tu zatem bardzo atrakcyjną postać, a ich cwane pokomplikowanie równoważone jest przez to, co nazywam roboczo stroną amerykańską powieści. Nie tylko ze względu na umieszczenie w Stanach części wydarzeń. Chodzi o nastrój thrillera, nasączenie fabuły modnym anglosaskim technologicznym językiem i przede wszystkim samą stronę scjentystyczno-fantastyczną. Francja, owszem, ma swoje niemałe, przede wszystkim dziewiętnastowieczne dokonania na polu literatury niesamowitej, lecz nie literatury SF; to nie jest jej mańka. Jules Verne czy Auguste de Villiers de L’Isle-Adam są wczesnymi wyjątkami, lecz i tak poddanymi francuskiemu gadulstwu, a nie wymogom czystej, dynamicznej akcji.

Głównym tematem „filozoficznym” powieści zdaje się kwestia sobowtórstwa, a wraz z nią zagadki tożsamości. Używam cudzysłowu, gdyż motyw powielenia, kreacji alter ego – w dzisiejszych czasach wzmocniony rozwijającymi się technikami klonowania – ma ogromną, dobrze ponaddwusetletnią tradycję. Do tego stopnia silną, że można go uznać za jeden z najważniejszych w literaturze. Le Tellier wie, że wkracza na teren stereotypu, który co prawda nigdy nie traci swej atrakcyjności (wystarczy pomyśleć, że jest nas dwóch takich samych czy dwie takie same, a już nam się robi słabo lub dziwnie), lecz pozostaje w sferze odwiecznego, nieco już zbanalizowanego motywu.

Tyle że Le Tellier wykorzystuje bardziej jego moc dublowania do stworzenia skomplikowanej sieci odniesień niż do wniknięcia w tożsamościowe kwestie. Ale jeśli już przychodzi komuś ochota interpretować te podwojenia bohaterów, te różne warianty ksero o opóźnionym działaniu, to raczej powinniśmy dostrzec w ich losach znaną nam codzienność niż jakąś niepojętą futurystyczną czy surrealną odmienność. Jeden sobowtór zabije zatem drugiego, zawodowego mordercę, inna para sobowtórek po występie we wzorcowym telewizyjnym talk-show zginie w zamachu przeprowadzonym przez religijnego fanatyka, kolejna sobowtórka wyrwie się ze szponów toksycznego związku, w jakim pozostawało jej alter algo, by podjąć osobne życie, a piosenkarz ze swym odbiciem stworzą niezły estradowy duecik. I tak dalej, komedia ludzka, świat, jaki jest.

Innymi słowy, nie będzie tu żadnych poważnych ekskursji w stronę biofantastyki, transhumanizmu, przekraczania człowieczeństwa przez zabieg kopiowania czy przez podłączenie mózgu do cyfrowej rzeczywistości. Kwestia symulacji i naszej niby niezbywalnej tożsamości, która okazuje się programem z jego nieskończonymi permutacjami, zarazem identycznymi i minimalnie przesuniętymi – sobowtóry są jak dwie (a wkrótce trzy, cztery itd., itd.) krople wody, lecz mają własne życie – rozgrywa się w rzeczywistości dobrze nam znanej. Bo „życie jest kalką, jak mówiła babcia, która nie wymawiała *w*” – babcia Knausgårda w *Mojej walce*.

W wyjątkowo ciepłej, często bardzo entuzjastycznej recepcji krytycznej we Francji rzadkie nieprzychylne głosy sprowadzają się do stwierdzenia: „To nie jest literatura”. Nie o to w literaturze chodzi, nie unośmy się nad

ładną zabawką, majstersztykowską robotą, nad jej płaską doskonałością, nic z niej nie wynika. Społecznie, filozoficznie, obyczajowo, politycznie.

A ja na to tak: skoro mowa o bycie literatury, spróbujmy pomyśleć nieco inaczej. Spójrzmy raz jeszcze na zakończenie powieści, tę trudną do rozgryzienia zagadkę, wraz z kaligramem, który przypomina to eksplozję liter („bo zestrzelono kolejny samolot z kopiami i nastąpiło bum!", twierdzą niektórzy), to kielich na ostatni pożegnalny toast, to klepsydrę. Raczej coś w stylu klepsydry, skoro dwa ostatnie rozsypane słowa brzmią w wersji francuskiej: „piasek drobny". Czas (opowieści) upłynął. Tym bardziej że „drobny", po francusku *fin*, znaczy też „koniec". Dawny wydawniczy zwyczaj kazał używać na końcu słowa „koniec", stawianego pod ostatnim zdaniem. Znowu więc żart. Mówiąc Gombrowiczem: „Koniec i bomba. A kto czytał, ten trąba". Lecz może coś jeszcze.

To mianowicie, że cała książka jest pomyślana tak, jakby zjadała, niczym wąż, własny ogon. Kolejny pastisz, nic przecież nowego pod słońcem, pomysł już cokolwiek ograny, począwszy co najmniej od Prousta: czytelnik dowiaduje się, że przeczytał powieść, która ma właśnie zostać napisana czy została właśnie napisana przez jednego z bohaterów (w tym przypadku Victora/Victøra Miesela) i nosi lub mogłaby nosić ten sam tytuł, co jego lektura. Koło się domyka, z literatury wpadamy w literaturę, wrzuceni w dwa identyczne teksty.

Ale co by to znaczyło? To, że literatura bierze górę nad wszystkim. Fikcja wywołuje fikcję; próbujemy rozwiązać zagadkę, zastanawiając się, jaka to siła, wyższa, boczna, oddolna, mogła doprowadzić do anomalii, do wiecznej symulacji, która się rozpętała. Wymyślamy fikcje na temat fikcji, czyli programów, którymi wszyscy w tej książce są, którymi wszyscy jesteśmy. Wyobrażamy sobie na przykład, że to istoty kosmiczne wygenerowały nas w swoich komputerach. Albo chociaż Bill Gates. Lecz oczywiście tą ponadludzką siłą jest sam autor. Zobaczył sobie ludzi jako programy, jednak istnieje ryzyko, że anomalia to dla niego po prostu odwieczny stan świata, *Anomalia* zaś to opowieść o nim. A niczego lepszego niż tworzenie o nas opowieści, tworzenie fikcji o fikcjach, którymi jesteśmy, nie mamy.

Dlatego dziwi mnie, że Marek Bieńczyk rozpoczął swoje posłowie od przytoczenia bon motu. Choć skądinąd świetnie go rozumiem.

NOTA O AUTORZE

Hervé Le Tellier – francuski pisarz urodzony w Paryżu w 1957 roku. Autor powieści, sztuk teatralnych, opowiadań i wierszy, z wykształcenia matematyk i doktor lingwistyki, przewodniczący legendarnej grupy literackiej OuLiPo (Warsztatu Literatury Potencjalnej) założonej przez pisarza Raymonda Queneau i matematyka François Le Lionnais'go w 1960 roku. Do grupy tej, która postuluje tworzenie dzieł literackich z wykorzystaniem pewnych językowych czy konstrukcyjnych ograniczeń, tak zwanych przymusów, inspirowanych kombinatoryką i teorią gier, należeli między innymi Georges Perec, Harry Mathews czy Italo Calvino.

W 2013 roku Hervé Le Tellier otrzymał Nagrodę Czarnego Humoru za sfingowane tłumaczenie *Contes liquides* (Płynnych opowieści) Jaime Montestreli – portugalskiego autora, którego istnienie, dzieło i biografię wymyślił. Wydał też książkę *Moi et François Mitterrand* (Ja i François Mitterrand), która jest zbiorem listów między postacią noszącą imię i nazwisko pisarza a prezydentem. Jego ostatnia powieść *Anomalia* otrzymała w 2020 roku najbardziej prestiżową francuską nagrodę literacką Prix Goncourt i do tej pory w samej tylko Francji sprzedała się w ponad milionie egzemplarzy.

Tytuł oryginału: *L’anomalie*

Copyright © Éditions Gallimard, Paris, 2020
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Filtry, 2021
Copyright © for the Polish translation by Beata Geppert, 2021

Projekt okładki: Marta Konarzewska / Konarzewska.pl
Projekt typograficzny i skład: Robert Oleś / d2d.pl

Redakcja: Ewa Wieleżyńska, Łukasz Klesyk
Korekty: Justyna Żebrowska, Jadwiga Makowiec / d2d.pl
Koordynacja produkcji: Aleksandra Kardaczyńska
Przygotowanie e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-961264-9-8

Wydawnictwo Filtry sp. z o.o.
ul. Filtrowa 61 m. 13
02-056 Warszawa

redakcja@wydawnictwofiltry.pl
www.wydawnictwofiltry.pl